

OLLE LÖNNAEUS

**WIELKIE
SERCE**

**MIKE'A
LARSSONA**

Wielkie serce Mike'a Larssona

Tłumaczenie:
Monika Korczuk



Warszawa 2012

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Epilog

Metryczka książki

Rozdział 1

Mike Larsson chyba nigdy nie wyjąłby z portfela tego zatłuszczonego zdjęcia i nie pokazałby go pani kurator, gdyby nie miała tak dużych piersi. Przez głowę przemknęło mu, że mogłaby być wspaniałą matką. Dokładnie taką, jakiej potrzebował Robin.

Byłaby kochającą kobietą, czekającą z gorącą czekoladą na powrót chłopca ze szkoły. Pomagałaby mu odrabiać lekcje, pilnowała, by on i Mike mieli w komodzie czyste bokserki, a na niedziele zapraszałaby krewnych na pieczeń w sosie śmietanowym z korniszonami.

Gdyby oczywiście byli jacyś krewni.

– Ma czternaście lat. W wigilię skończy piętnaście. Porywczy skurczybyk. Tak samo jak ojciec.

Mike posłał pani kurator swój najbardziej szarmancki uśmiech.

Kobieta ściągnęła usta. Rzuciła obojętne spojrzenie na zdjęcie, widniejące tuż przed jej oczyma między jego kciukiem a palcem wskazującym.

– Aha...

Nie pofatygowała się nawet, by wziąć zdjęcie do ręki. Zamiast tego popatrzyła w stronę jesiennego słońca, którego promienie próbowały wedrzeć się do środka przez brudne okno, gdzie mały pajak wyczekiwał w swojej sieci. Mike umieścił starannie fotografię w przewidzianej dla niej przegródce, tuż obok swojego drugiego marzenia: ogłoszenia wydartego z gazety.

Włożył portfel do wewnętrznej kieszeni kurtki. Dotarło

do niego, że się pomylił. Może ona nie była typem matki.

Zmyliły go te jej dorodne balony. Dosłownie wylewały się ponad różową koronką dekoltu. Wyglądało to tak, jakby pod jedwabną bluzką chowała parę żywych zwierząt. Dwa miękkie, pulsujące zwierzaki, które oddychały tak namiętnie, że tlen w pokoju był na wyczerpaniu.

Z trudem nabrał powietrza.

– Odzyskam go – wymamrotał.

– Najpierw musi się pan chyba wziąć za porządkę we własnym życiu.

Oczy kurator wbiły się w niego jak dwa czekany. Mike przeniósł dyskretnie wzrok na jej czerwone usta. Na ułamek sekundy pomiędzy wargami przebłysnął koniuszek języka. Światło odbiło się od szminki. Mike odchrząknął i przełknął ślinę.

– Tak, mam pewien plan...

Kurator wydawała się już nie słuchać. Wyjęła kilka papierów z aktówki, którą postawiła obok krzesła.

– Mike Lorne Larsson...

Zrobiła krótką pauzę, podnosząc jedną brew.

Mike udał, że tego nie widzi. Bębnił niecierpliwie o podłogę swoimi nowymi butami do biegania. Srebrno-niebieskie trampki marki Asics, ładne, ale drogie. Musiał za nie zapłacić ponad tysiąc koron wysmażonemu w solarium snobowi, sprzedającemu w sklepie ze sprzętem dla biegaczy. Gdy usłyszał cenę, niemal dał mu w mordę. Na szczęście się pohamował. Pobicie podczas ostatniej przepustki przed zwolnieniem nie wyglądałoby dobrze.

– Wie pan o tym, że może pan dostać leki? – zapytała kurator.

– Przeciwlękowe i inne... Możemy poprosić lekarza...

– Żadnych pigułek!

Mike poczuł w mózgu narastające gorąco i nabrzmiewające żyły na skroniach. Kobieta po drugiej stronie stołu spotkała bez strachu jego wściekłe, nieruchome spojzenie.

– Antabus? Miał pan przecież poważne problemy z alkoholem.

– Powiedziałem, żadnych pigułek!

Wzruszyła ramionami, uderzył go zapach jej szamponu owocowego.

– Jak pan chce.

Podczas gdy wertowała dalej swoje papiery, marzenie powróciło. Prawdziwa kobieta w domu. Może nie było to mimo wszystko niemożliwe. Dom byłby posprzątany i elegancki. Mike mógłby pomagać w odkurzaniu i zmywaniu naczyń. Nawet w robieniu prania. Kiedy woskowałby samochód na podjeździe przed garażem, ona pukałaby w okno kuchenne, machała mu i odśmiała w uśmiechu swoje białe zęby. Na Boże Narodzenie zawieszaliby w oknie trzy serca z piernika na czerwonych, jedwabnych tasiemkach. Mike i Robin – widniałyby lukrowe napisy na dwóch z nich. Na trzecim... Zerknął na dokumenty znajdujące się na stole w poszukiwaniu wskazówki, ale niczego nie znalazł. Może Solveig. Tak, to ładne imię. Byłaby dorodnym słońcem, rozlewającym ciepło nad całą rodziną.

Mike znowu się uśmiechnął, tym razem nie będąc tego świadomym.

Któregoś dnia po kolacji mogliby razem obejrzeć jakiś film. Ona nakryłaby tacę białą serwetką, umieściła na niej dwie filiżanki kawy, kilka ciasteczek i szklankę soku malinowego. Może Indianę Jonesa? Na pewno spodobałby się Robinowi. Albo ostatni film z Bondem?

A później, kiedy położyliby już chłopca spać, mogliby zapalić kilka świec i włączyć delikatną muzykę. Erosa Ramazzottiego. Amore...

Mike przymknął oczy i spoglądał przez rzęsy na głęboką szczelinę pomiędzy jej piersiami, wilgotny wąwóz, którego tajemnicę skrywały koronki i jedwab. Poczował pulsowanie w podbrzuszu, w dżinsach zrobiło się ciasno. Kiedy wsunąłby rękę pod jej sweter i uwolnił spotniałe melony, ona zaskamlałaby z oddaniem. Dyszałaby i przygryzała wargę. Potem odepchnęliby z impetem ławę, szalejąc z pożądania, a ona stanęłaby przed nim na dywanie na czworakach. Zwróciłaby do niego twarz ze splątanymi pasmami włosów przed zaszklonymi oczyma, jęczałaby i prosiła go, by wszedł

w nią mocno. On zdarłby z siebie spodnie, chwycił jej białe, pełne pośladki i...

– Dwie suszarki do ubrań!?

Patrzyła na niego wzrokiem, w którym nie było najmniejszego śladu podniecenia. Mike zamrugał jak po przebudzeniu.

– Co?

– Ukradł pan dwie suszarki elektryczne z pralni wspólnoty mieszkaniowej na Föreningsgatan. To dlatego pan siedział. Między innymi.

– Taa...

– Pytam z ciekawości – powiedziała kurator. – Zastanawiam się, jak pan rozumował. Dla mnie nie wygląda to na najsprytniejszy plan na świecie. Kto kupi dwie kradzione suszarki?

Mike zaczerwienił się, otworzył usta, lecz nie wpadł na nic sensownego, co mógłby powiedzieć. Absolutnie nic.

Z tamtej nocy nie pozostało mu żadne wspomnienie. Obudził się w policyjnym areszcie z tak potwornym bólem głowy, że chciał umrzeć. Kiedy funkcjonariusz prowadzący przesłuchanie powiedział mu, za co został zatrzymany, sam postawił sobie pytanie, w jaki sposób, do ciężkiego ciała, rozumował. Złapano go na gorącym uczynku, gdy próbował wytaszczyć te ciężkie cholerstwa po schodach z piwnicy; zalany w trupa, z rozciętym prawym ramieniem owiniętym parą zakrwawionych kalesonów. Jezu Chryste!

Kac nie był bynajmniej czymś niezwykłym w życiu Mike'a Larssona. Za dwa miesiące skończy czterdzieści pięć lat. Pewnej bezsennej nocy w celi, gdy znudziło mu się już zarówno oglądanie telewizji i pism pornograficznych, jak i gapienie się w księżyc za oknem, wyliczył, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat był pijany przez około jedną trzecią czasu. Dłuższą chwilę spędził też za kratkami.

Kiedy w tamtym momencie oświecenia Mike pomyślał o wszystkim, co go ominęło i co stracił, ogarnął go lęk. Ze strachu zrobiło mu się zimno i zaczął się trząść. Był tak

przeżony, że nawet się trochę popłakał w samotności, chociaż czuł odrazę do mężczyzn, którzy bezeli jak cioty.

Ale teraz koniec z tym wszystkim. Najwyższy czas, by Mike Larsson zapanował nad własnym życiem.

Dostał dwa lata więzienia za kradzież suszarek, nieudane włamanie do wypożyczalni filmów przy centrum handlowym Triangeln (policja zidentyfikowała go na nagraniu z kamery przemysłowej) i za roztrzaskanie kufła na głowie typa, który nazwał go „pierdolonym pedałem” w restauracji Nyhavn przy placu Möllevångstorg. Mike odsiedział już szesnaście miesięcy w zakładzie karnym Kirseberg w Malmö i był o krok od otrzymania zwolnienia warunkowego za wzorowe sprawowanie.

– Nie ma zarzutów co do pańskiego zachowania. Pracował pan w warsztacie i brał udział we wszystkich pogadankach o narkotykach – powiedziała kurator po przejrzeniu papierów.

Mike przeciągnął wnętrzem dłoni po swoich świeżo ostrzyżonych na jeża włosach i odchylił się na krześle.

– Widzę, że trenował pan także sporo na siłowni.

Założyła nogę na nogę i zakołysała lekko stopą. Mike spoglądał na nią badawczo. Czyżby się z nim drażniła? Poczł znowu rosnącą w ciele irytację, ale nie mógł się powstrzymać, by nie napiąć gwałtownie mięśni na kłacie, aż coś drgnęło w mierzwie włosów pod niedopiętą koszulą. Skrzyżował na piersi swoje masywne ramiona.

– Ważne, by trzymał się pan teraz z dala od złego towarzystwa i narkotyków – rzekła kurator. – I by zaczął pan pracować. Widzę, że załatwił pan sobie coś na złomowisku samochodów?

– To pierwszorzędna robota. Mam do tego idealne kwalifikacje.

Mike pomyślał o ofercie, którą dostał od Dragana pewnego popołudnia, gdy siadł dla złapania oddechu po serii ćwiczeń ze sztangą w cuchnącej potem graciarni, znajdującej się w piwnicach więzienia. „Znam gościa z Tomelilla, który potrzebuje pomocnika. Jesteś chyba z tamtych stron? To równy

koleś. Ma na imię Borys. Jest grubo nadziany. Pytał, czy nie znam jakiegoś godnego zaufania faceta, który mógłby mu pomóc, powiedzmy... we wszystkim po trochu.”

Mike od razu to kupił. Choć raz boginie losu okazały łaskawość. Chciał przecież pojechać do Tomelilla. Tam mieszkał Robin. Ponadto Dragan zapewniał, że ta robota to najzwyczajsza harówka. Zero prochów ani innego gówna, za które mógłby wylądować w kiciu. Mimo że Dragan był Jugolem, do tego piętnaście lat młodszym od niego, Mike polubił go od pierwszej chwili. Chłopak siedział co prawda za przemyt anabolików z Polski, ale powiedział, że żałuje. Często rozmawiali ze sobą, siedząc w piwnicy między hantlami. Draganowi także odebrano syna. Doskonale rozumiał jak to jest.

Dla pewności Mike włożył rękę do kieszeni spodni i sprawdził, czy karteczka z numerem telefonu wciąż tam była.

– Cóż, w takim razie to chyba wszystko.

Kurator, która być może miała na imię Solveig, zebrała swoje papiery i zatrasnęła teczkę. Nagle zastygła w pół ruchu i spojrzała na Mike’a z miną, która po raz pierwszy pozwalała przypuszczać, że była zadowolona.

– Wspomniał pan o jakimś planie...

Wzruszył ramionami.

– E tam, to nic takiego. Chodzi o Robina. Pomyślałem, że teraz, kiedy zacznę pracować i zarabiać pieniądze, a do tego odstawię flaszkę, to może wszystko się ułoży. Może wtedy on i ja...

Zamilkł, szukając w jej twarzy śladu zrozumienia. Kurator siedziała spokojnie, czekając beznamyślnie na dalszą część. Oddychała ciężko, jakby z udręczeniem. W pokoju nie było chyba aż tak potwornie gorąco? Pająk ciągle czekał w sieci na oknie. Mike znowu poczuł łaskotanie w dołku. Zdawało się, że nad jej bujnym ciałem zawisła jakaś magia, jakby jej pachnąca kwiatami postać wysyłała hipnotyczne fale. Jego wzrok spoczął bezwiednie na jej wilgotnych ustach i wylewających się piersiach, po czym powędrował dalej, wzdłuż nogi okrytej jedwabiem, do czarnego trzewika, którym

cały czas uparcie kołysała. W wyobraźni zobaczył ją jeszcze raz, śnieżnobiałą i nagą, klęczącą na miękkim dywanie przed telewizorem obok przewróconej ławy.

– Nie ma pani ochoty wyjść dziś wieczorem na lampkę wina?

Słowa wymknęły mu się z szybkością błyskawicy i Mike momentalnie poczuł śmiertelnie przerażenie. Jeśli tylko byłoby to możliwe, rzuciłby się za nimi, próbując je złapać, jak rybak, któremu wyslizgnął się świeżo złowiony węgorz.

Przełknął ciężko ślinę.

Kurator wstała z krzesła bez słowa i spojrzała na niego z góry. W sekundę zamienił się w małe, nędzne musze gówienko, kompletnie bez znaczenia.

– Powodzenia – powiedziała zimno, opuszczając pokój z dumnie wyprostowanymi plecami.

*

Zstąpiwszy ze schodów więzienia, zrzucił z ramienia sportową torbę ze swoim dobytkiem i wziął głęboki oddech. Spojrzał w górę na kamerę monitorującą pomalowaną na zielono furte i wysokie mury z drutem kolczastym, po czym wygrzebał z kieszeni paczkę Marlboro i zapalił papierosa.

Październikowe powietrze było przejmująco krystaliczne, zimne jak wolność i świeże jak obietnica o nowym, lepszym życiu. Klony przy żwirowym boisku, na którym kilku małych chłopców grało w piłkę, płonęły intensywną czerwienią i złotem. Na błękitnym niebie nad jego głową krakało kilka wron.

„Corvus corone cornix – odnotował z przyzwyczajenia. – Ciekawe, czy Robin byłby zainteresowany?” W każdym razie album o ptakach spoczywał bezpiecznie pomiędzy zmiętymi ciuchami w torbie.

Mike czuł w piersi rozgrzewający dym. Wciągnął w nozdrza zapach ziemi i wilgotnych liści, dolatujący z małego parku za murami. W oddali słyszał szum autostrady do Lund. Rzucił

szybko okiem przez ramię, by upewnić się, czy żaden z posępnych klawiszy nie obserwuje go przez zbrojone okienko w furcie.

Następnie wyjął portfel. Starannie rozwinął wyrwane z gazety ogłoszenie obłodzi. Kadłub wyglądał na leciwy. Nie podano ceny. Przerobiony holownik – oznajmiało ogłoszenie. „Powinien wytrzymać i burze, i sztormy – pomyślał. – Stary marynarz nie będzie mieć chyba trudności ze sterowaniem takiej łajby?”

Mike widział siebie na dziobie, ponuro wypatrującego czegoś na horyzoncie. Raz po raz jego ogorzałą twarz uderzały bryzgi spod wygiętego korpusu łodzi. Byłby wtedy w drodze. Byliby w drodze.

Złożył ogłoszenie i wyjął ponownie fotografię Robina. Miała już parę lat i zaczynała strzępić się na brzegach. Było to stare zdjęcie zrobione w szkole, o ile dobrze pamiętał. Chłopiec miał potargane włosy i gapił się na fotografa z osobliwą miną, przez co trudno było rozstrzygnąć, czy się złościł, czy był o krok od wybuchnięcia śmiechem.

Mike poczuł ciepło wokół serca.

– Teraz, mój mały gnojku, teraz zobaczysz, kim jest twój ojciec! – zamruczał pod nosem.

Rozdział 2

Żółta poświata lampy naftowej sprawiała, że chłopcy siedzący w zmurszałej chatce myśliwskiej wyglądali, jakby mieli wspólną tajemnicę.

Robin obserwował ich z lękiem i dumą. Sześć zaciętych twarzy w półmroku, który przeobrażał krosty i wypryski w ostre cienie. Z ich oczu wydobywały się błyski. Byli wojownikami, wymagali szacunku.

Ale im teraz pokaże! Tym wszystkim zrzędzącym pojebańcom. Babom z przedszkola, nauczycielom i facetkom z opieki.

I ojcu, zwłaszcza ojcu.

Poczuł żar w piersi. Ojciec byłby chyba dumny, gdyby go teraz widział?

Wyjął komórkę i sprawdził godzinę. Robiło się późno. Cisza pełzła po podłodze jak niewidzialny duch, owijając wokół nich swoje wilgotne macki. Deszcz skapywał niemal niezauważalnie na parapet za czarną szybą. Woń stęchlizny kłuła w nozdrza. Ze szczeliny w dachu spadały ciężkie krople.

Buła obiecał, że załatwi race.

Gdzie on się podziewał?

Przynajmniej mundury dostali na czas. „Całe szczęście” – pomyślał Robin. Kenny twierdził, że najważniejsza jest dyscyplina, a łatwo się wkurzał, jeśli coś nie szło po jego myśli. Robin spojrzął na niego kątem oka. Siedział najbliżej drzwi i bawił się swoim składanym sztyletem. Na rękojeści migającej między jego palcami widoczna była roześmiana trupia czaszka. Ostrze wsuwało się i wysuwało z kliknięciem świadczącym o tym, że nóż był dobrze naoliwiony. „Wygląda groźnie” –

pomyślał Robin. Zielone spodnie moro. Kominiarka zwinięta na czole.

– Biała supremacja. Ojczyzna. Ultima Thule¹. To nasz żywioł. Jesteśmy wybrani. Kapujecie?

Kenny lustrował swą małą drużynę wyblakłymi oczyma, osadzonymi głęboko w mięsistych fałdach twarzy. Pozostali chłopcy wymienili spojrzenia, po czym skinęli z powagą.

– Wszędzie mieszkają Jugole i Arabcy. Przejmują kraj. Napędzimy im takiego stracha, że się posrają.

– Widziałem wczoraj dwóch czarnuchów w markecie – zaświadczył Jocke, najmłodszy z nich. – Byli tacy czarni, że aż granatowi. Pewnie przyszli kupić banany.

Na twarzy Kennego pojawił się uśmiezek uznania. Tu i tam z mroku myśliwskiej chatki wydobywały się nerwowe chichoty i chrząknięcia naznaczone chłopięcą mutacją.

Robin milczał. Dopóki Kenny nie zaczął rozprawiać o tych wszystkich kolorowych, nie myślał o nich zbyt wiele. O tym, żeby się jakoś specjalnie wyróżniali. Ale teraz wszystko wydawało się takie oczywiste. Czego oni szukali w Szwecji? Do jasnej cholery, nadszedł już chyba czas, by zaprotestować.

Mimo wszystko miał dziwne uczucie w żołądku. Gdy Kenny po raz pierwszy opowiedział o swoim planie, ktoś próbował zażartować, że to coś w stylu Rambo w gwardii obrony narodowej. Jednak Kenny warknął tylko i świdrował przestrzeń przebiegłym wzrokiem. Teraz wszyscy zdawali się być świadomi, że mówił poważnie. „Pora pokazać, że są Szwedzi, którzy mają już tego dosyć – powiedział kiedyś. – Patrioci znudzeni narzekaniem.”

Decydującą rolę odgrywała stanowczość. Robin sam czytał o tym w sieci. Często, gdy nikogo nie było w domu, przeglądał strony o tej tematyce na starym komputerze Gunborg w salonie. „Opór Narodowy”². „Szwedzki Narodowy Socjalista”³. Biała supremacja. Pewnego razu Sune zauważył przez przypadek swastykę. Stary wyłonił się za jego plecami, jakby miał zamiar podglądać. Gdy spostrzegł obrazki na ekranie, oczy mu

pociemniały i wycedził coś zjadliwego, lecz Robin wlepił w niego przekornie wzrok.

Pierwszy okres u Sunego i Gunborg spędził w strachu. Kulił wtedy ramiona i czekał na pięść, jak wylękniony pies spodziewający się chłosty. Właściwie nie było to takie straszne. Można się było przyzwyczaić. Założyć twardą skorupę i wyłączyć mózg. Najgorsze przychodziło potem, gdy Gunborg patrzyła na niego tym swoim żebrzącym wzrokiem. Tak jakby to jej trzeba było współczuć. Po pewnym czasie do Robina dotarło, że i ona dostawała lanie od Sunego.

Ale teraz koniec z tym. Robin nie zamierzał więcej dawać się bić. Jeżeli stary spróbuje zaciągnąć go jeszcze raz do piwnicy, to mu odda i złamie parszywcowi nos.

Co dziwne, Sune to chyba przeczuwał. Uwidoczniło się to wyraźnie tamtego wieczoru, gdy zaskoczył Robina przed komputerem. Wysyczał z siebie kilka przekleństw i zobaczywszy, że Robin się nie ugiął, wycofał się w milczeniu. Niczego bydlak nie pojął. W każdym razie nie na poważnie.

– Kenny, myślisz, że będziemy w gazecie? – zagadnął znowu Jocke.

– Jasne, że będziemy. Pedał z dziennika, któremu dałem cynk, tak się podniecił, że prawie spuścił się do słuchawki.

Inni zarechotali. Słysząc było syk otwieranej przez kogoś puszkę z piwem. Potem stłumione beknięcia.

– Myślisz, że przyjdą gliny?

Kenny wydobył ostrze noża, naciskając kciukiem przycisk na rękojeści i skierował je w stronę Jockego.

– Może. Oni są zdrowo pomyleni, więc nigdy nie wiadomo. Uprowadziłem tę ciotę z redakcji, żeby się nie wygadała. Ale właściwie nie trzeba było. Powiedział, że chce jako jedyny opublikować ten gorący materiał.

Parsknął pogardliwie i wwiercał wzrok w każdego po kolei. Był w tym podobny do oficera dokonującego inspekcji swojej drużyny.

– Akcja ma być błyskawiczna. Szybkie wejście i szybkie wyjście. Żadnego ślimaczenia się. Gliny nie zdążą wtedy nic

zrobić.

Robin poczuł mrowienie w nogach. Rozejrzył się po chatce. W rogu leżał poplamiony materac, kilka starych koców i pustych puszek po piwie. Przy drzwiach stała łopata i para ubłoconych kaloszy. Nikt nie miał siły rozpalić w blaszanym piecyku. Robin podniósł się i podszedł do zaparowanego okna. Wytarł je do sucha rękawem i spojrzał na zewnątrz. Zobaczył jedynie czarny las i bladą połowę tarczy księżyca.

– Cholera, kiedy przyjedzie Buła?

– Przyjedzie... Lepiej, żeby przyjechał. Mamy być na miejscu punkt dwunasta. Powiedziałem tak temu idiocie z gazety.

Pstryk!

Wszyscy śledzili nawiedzony wzrok Kennego, który obserwował wystrzelone z rękojeści ostrze noża.

Pstryk!

I znowu zniknęło. Robin próbował stłumić irytację. Czy on musi cały czas bawić się tym pieprzonym scyzorykiem?

– Zabiłeś nim kogoś? – wyrwało mu się.

Kenny podniósł wzrok z przebiegłym wyrazem twarzy. Przeciągnął kciukiem po swoim rzadkim wąsie. Szybkim ruchem nadgarstka przerzucił sztylet do lewej dłoni, następnie z powrotem, po czym złożył go i pozwolił zniknąć w kieszeni kurtki.

– Nie pytaj, jeśli nie masz odwagi usłyszeć odpowiedzi – odparł niskim głosem.

Robin wstrzymał oddech. Żałował, że cokolwiek powiedział. Wszystko przez to, że nie umiał sobie znaleźć miejsca.

– Uwierzysz mi, jeśli powiem, że rozprułem nim kolorowego?

Kenny wyglądał teraz naprawdę groźnie. Właśnie to było w nim tak nieprzyjemne. W jednej chwili opowiadał mnóstwo zabawnych dowcipów i rechotał jak wszyscy, ale zaraz potem wchodził w niego diabeł. Złośliwy uśmieszek sprawiał, że jego oczy przybierały kształt wąskich kresek.

Robin wzruszył ramionami i znowu usiadł.

– Nie wiem...

Kenny wlepił w niego nienawistny wzrok. Robin poczuł

ssanie w żołądku. Miał odeprzeć spojrzenie, czy po prostu spokojnie się odwrócić? Wszyscy milczeli, ale dotarło do niego, że przystanęli w środku myśli, jak gdyby coś zwęszyli.

Nagle Kenny wyrzucił w powietrze rękę i niczym kobra pochwycił nadgarstek Robina. Chłopak próbował się wyrwać, ale było już za późno. Uwiązał w silnych szczękach węża.

W oczach Kennego pojawił się jadowity błysk. Był tak blisko, że Robin czuł jego kwaśny oddech. Przycisnął bezwzględnie jego dłoń do stołu, skonstruowanego z szerokiej deski opartej na dwóch skrzynkach po piwie.

– Rozłóż palce!

Robin nie miał odwagi nie usłuchać. Rozłożył pięć palców na desce, rozstawiając je najszerzej jak potrafił.

– Jeśli zamkniesz oczy, to jesteś tchórzliwą ciotką!

W ręku Kennego znowu pojawił się sztylet. Poblask lampy naftowej rozpalił na moment ostrze. Robin oddychał z trudem. Wygłodniały szczur szalał i miotał się po jego jelitach. Poczł, że musi się wypróżnić. Pozostali siedzieli jak skamieniali. Ktoś sucho zakaszłał. Przez przejmująco cichą wieczność ostry jak brzytwa szpic noża był jedynym, co widzieli.

Szybkim ruchem Kenny obrócił sztylet tak, że trzymał go teraz ostrzem w dół, w gotowości do zadania ciosu.

– Naznacz go! – wyszeptał podekscytowany Jocke.

– Zamknij się! – wysyczał Kenny, ani na sekundę nie spuszczać wzroku ze swej zdobyczy.

Chwył wokół nadgarstka Robina stwardniał. Palce stawały się coraz bielsze.

Łup!

Pierwszy cios wbił się z gwałtowną siłą w blat stołu pomiędzy kciukiem Robina a jego palcem wskazującym. Przez chatkę przeszedł szum. Ostrze noża tkwiło w drewnianej desce na głębokości dwóch centymetrów i Kenny musiał się wysilić, aby je wyciągnąć. Uśmiechał się z satysfakcją.

Na skroniach Robina pojawił się lodowaty pot. Instynktownie czuł, że powinien coś zrobić. Prosić o łaskę lub chociaż zaśmiać się przymilnie i rzucić coś w stylu „Cholera, ale

się wystraszyłem”, aby sprawić, by Kenny spuścił z tonu i zmienił tok myślenia. Było to jednak niemożliwe. Z jego ust nie wyszło ani jedno słowo. Zamiast tego spotkał despotyczny uśmiezek Kennego i jego pełne podniecenia oczy, mimo że całym swym czternastoletnim ciałem czuł, iż popełnia błąd.

Jak to można było przewidzieć, kolor twarzy Kennego zmienił się z płomienistej czerwieni we wściekły fiolet.

– Dobra, zobaczymy, jaki z ciebie twardziel!

Po raz kolejny nóż łupnął w drewnianą deskę, teraz jednak wyładował między palcem środkowym a wskazującym. Lecz tym razem Kenny nie zadowolili się tylko jednym atakiem. Wyciągnął szybko ostrze i zaczął nim gorączkowo walić pomiędzy rozłożonymi palcami. Jego prawe ramię, oblepione mięśniami ze stali, przeobraziło się w maszynę do szycia z olbrzymią igłą w postaci sztyletu.

Łup-łup-łup-łup-łup!

Robin chciał mocno zamknąć oczy. Pragnął wyrwać rękę, przewrócić stół z łomotem, wypaść z chatki i uciec daleko, daleko w las. Lecz jego nadgarstek był zablokowany jak w imadle i jedyne, co mógł w tej chwili zrobić, to śledzić błyskające ostrze, które krążyło w górę i w dół pomiędzy palcami a deską.

– Ałaaaaa!

Jego dłoń przeszył gwałtowny ból.

Sztylet wbił się w fałdę skóry pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, tworząc głęboką ranę. Wypłynęła z niej ciemna krew, która utworzyła kałużę na desce. Na twarzy Kennego pojawił się zdziwiony wyraz, jak gdyby ocknął się z ekstazy. Puścił zarówno rękę Robina, jak i nóż, który drgając sterczał w blacie.

W momencie gdy otworzył usta, by coś powiedzieć, dobiegł ich odgłos silnika samochodu, a zaraz potem przez okno wpadło światło dwóch reflektorów.

– To Buła!

Wszyscy za wyjątkiem Robina wybiegli z chatki, gdzie stanęli, patrząc pod światło, oślepieni jak nietoperze.

– Siema, zdążyliście sobie już wszyscy zwalić? – dał się słyszeć wołający głos.

– Gdzie byłeś?

– Koleś w firmie robił nadgodziny. Już myślałem, że nigdy nie pójdzie do domu. A do tego zabrał ze sobą kluczyki do pick-upa, więc musiałem odpalić na krótko.

– Masz flary?

– Leżą na pace. Możecie się tam ładować. Uważajcie tylko, żeby nie ubabrać ciuchów smołą.

– Musimy poczekać na Robina.

– Gdzie on jest?

Na zewnątrz zapadła cisza. Robin czuł pulsowanie w dłoni. Krew splamiła rękaw bluzy, tryskając w dalszym ciągu z rany przy kciuku. Cholera, co za ból! Rozejrzał się wkoło i zauważył leżące na materacu szmaty. Zdrową dłonią wyszarpał sztylet z deski, po czym podniósł się na drżących nogach i pochwycił jakąś starą płachtę. Zrobiwszy w niej kilka nacięć, wydarł skrawek materiału i obwiązał nim rękę.

Zamknął oczy, by pozbyć się zawrotów głowy i nudności. Odczekał chwilę i spróbował uspokoić oddech. Następnie otworzył butem uchylone drzwi i wyszedł przed chatkę.

W ciemności napotkał cichy popłoch. Milczał, ściskając sztylet w zdrowej dłoni.

– Siema, Robin! Skaleczyłeś się?

Buła spoglądał na zakrwawioną szmatę owiniętą wokół ręki Robina. Pozostali patrzyli na nóż. Nikt nie odpowiadał.

Robin wykonał jeszcze kilka kroków, po czym się zatrzymał. Zamrugał kilka razy, aby lepiej widzieć. Powoli uniósł sztylet, kierując ostrze prosto w oczy Kennego.

– Kurwa, Robin...

Pozostali odsunęli się na bok z cichym pomrukiem. Kenny cofnął się odrobinę i szybko rzucił okiem przez ramię. Błądził niespokojnie wzrokiem, jak gdyby szukał wsparcia. Wtedy Robin odkrył coś w jego twarzy. Był to wyraz, którego jeszcze nie znał. Kenny się bał.

Upojony władzą Robin zapomniał na kilka sekund o bólu.

Po chwili wcisnął kciukiem przycisk na rękojeści noża i ostrze szybko się schowało. Nonszalanckim ruchem rzucił Kennemu złożony sztylet.

– Masz! Weź sobie ten swój pieprzony nóż!

*

W bezsenne noce Amela wędrowała zazwyczaj ulicami, dopóki nie pokonało jej zmęczenie. Najbardziej lubiła, gdy padał drobny deszcz. Mgła, która często spowijała domy wilgotnym płaszczem miała kojący wpływ na jej nerwy. Zauważyła to, kiedy przybyła do nowego kraju.

Czy mówiono o niej w miasteczku?

Może.

Właściwie to nie miała pojęcia. Rzadko natrafiła na kogoś podczas swoich nocnych spacerów. Jeśli ludzie patrzyli na nią ukryci za zasłonami w ciemnych domach, obok których przechodziła, to była ich sprawa. Jej to nie obchodziło.

Wyszędłszy przed bramę, przystanęła, napawając się wilgocią wnikałą do oskrzeli. Skuliła ramiona i zapięła jeszcze jeden guzik płaszcza. Było chłodniej niż ostatnio.

Powoli zwróciła twarz ku niebu i pozwoliła kilku zimnym kroplom popieścić policzki. Potem zaczęła iść. Stawiała kroki na tyle pomału, by wejść w to medytacyjne tempo, w którym zazwyczaj rozpierzchały się myśli. Czas zatrzymał się dość szybko, tak jak się tego spodziewała. Pustka w głowie przybywała zawsze jak wyzwolenie.

Gdy doszła do rynku, nie wiedziała, jak długo była już poza domem. Godzinę, może dwie. Nagle coś skłoniło ją, by się zatrzymać. Być może był to odgłos, który nie współbrzmiał z resztą, może coś, co zobaczyła, nie przywiązując do tego wagi, a co pobudziło mózg do wysłania sygnału. Nagle jakby się ocknęła. Nie wiedząc czemu, stanęła w cieniu starego budynku banku.

Rynek był niemal w całości opustoszały. Oświetlało go kilka

latarni i słaby blask sklepowej wystawy. Na ławce przed monopolowym, w miejscu, gdzie zazwyczaj gromadzili się menele, leżał zwinięty tobołek, który mimo wszystko był chyba człowiekiem. Trochę dalej, w kierunku przejścia kolejowego, stał starszy pan z czarną plastikową torebką w ręku, czekając niecierpliwie na swojego jamnika, który siedział żałośnie przykurczony w rynsztoku. Z otwartego okna na trzecim piętrze słyhać było ożywione głosy z telewizora.

Na rynku znajdował się jeszcze jeden człowiek, dyskretnie oparty o ścianę w bramie. Nie wyglądało na to, żeby się chował; mowa ciała wskazywała raczej na kogoś, kto nie chce zwracać na siebie uwagi, wyglądając przy tym naturalnie. Może zainteresowanie Ameli przykuł aparat fotograficzny, który tamten raz po raz podnosił, by przy nim pomajstrować. Zdawało się, że mężczyzna na coś czekał. To ją zaciekawiło.

Stała dalej w ciemności przy ciężkim ceglany budynku. Para gołębi obudzonych ze snu wzleciała z furkotem do posągu Artemidy zdobiącego fontannę wyłączoną na zimę. Mały, szczupły mężczyzna z aparatem spoglądał niecierpliwie na swój zegarek.

„Cisza przed burzą” – pomyślała Amela.

W tym momencie spokój przerwał wyjący silnik samochodu i muzyka dudniąca z trzeszczących głośników. Zza rogu wyłonił się załadowany do pełna pick-up, zbaczając nieco z kursu, po czym skręcił przy nieczynnej o tej porze budce z jedzeniem i zahamował z piskiem opon. Rynek wypełniła hałaśliwa pieśń: Ragnarök, wybawca i śmierć

Ragnarök, Ultima Thule rodzi się⁴

– Go, go, go! Pospieszcie się, do kurwy nędzy! – ponaglał podniecony głos przebijający się przez hałas.

Z paki zeskoczyło pięć postaci ubranych jakby w mundury. Rozbłysnął płomień, następnie kolejne. Z szoferki wypadły jeszcze dwie osoby, z których jedna trzymała w rękach magnetofon. Nacisnęła kilka guzików, co sprawiło, że muzyka umilkła na sekundę, po czym znowu wydobyła się z głośników,

tym razem z jeszcze większym natężeniem. Między ścianami domów rozbrzmiał szwedzki hymn państwowy:

Północy prastara, ożywcza jak źródło,

Radosna, spokojna w górskiej szacie...⁵

Siedmiu komandosów z płonącymi racami w rękach ruszyło do posągu. Rozwinęli wielki transparent, a następnie stanęli sztywno na baczność.

„Precz z kolorowymi z naszego miasta! Szwedzcy patrioci” – głosił napis wykonany czarnym sprayem.

Najwyraźniej właśnie na to czekał człowiek z aparatem. Gdy tylko pojawił się samochód, rzucił się naprzód i zaczął fotografować. Biegał dokoła w podnieceniu, by znaleźć nowe ujęcia; najpierw wspiął się na ławkę, potem przyłgnął do pomnika w fontannie, na koniec zaś leżał na brzuchu na mokrym bruku przed zamaskowanymi wojownikami. Cały czas wrzeszczał z uniesieniem, lecz jego słowa tonęły w dźwiękach pieśni.

Amela instynktownie wtuliła się głębiej w cień rzucany przez bryłę budynku. Napatrzyła się już w domu na młodych, kipiących adrenaliną mężczyzn w mundurach. Poczowała ucisk w żołądku, a do gardła przedostał się kwaśnawy, palący smak.

Nagle muzyka ucichła. Uszu Ameli dobiegł krzyk, a następnie dwa ostre wystrzały. W górę wzbił się gęsty dym, tworząc jedną żółtą i jedną niebieską chmurę, które szybko połączyły się nad rynkiem w gęstą, zieloną mgłę. Spieszne kroki. Tłuczone szkło. Potem dźwięk startującego silnika i samochód znikający w mroku nocy.

Po chwili otwarło się kilka okien i w ciszy, która zapadła równie nagle, jak została przerwana, dało się słyszeć niespokojne głosy. Z chmury dymu wyszedł na chwiejnych nogach fotograf. Zmierzał prosto na Amelę, uporczywie kaszląc. Kiedy ją mijał, zdążyła zauważyć, że po jego policzkach spływały łzy.

Amela opuściła swój posterunek przy budynku banku i oddaliła się wśląd za patykowatym mężczyzną. Czuła

szczypanie w oczach. Trudno było oddychać nocnym powietrzem.

*

Gdy Robin otworzył drzwi do domu, zorientował się, że Sune jeszcze nie śpi. W przedpokoju panował mrok, lecz z salonu sączyło się zimne światło telewizora i brzmienie odległych śmiechów. Dźwięk był przyciszony. Nie można było rozróżnić głosów.

„Co on, do ciężkiej cholery, ogląda w środku nocy?” – pomyślał.

Czuł zapach dymu, który wgrzył się w ubranie, poza tym nie było innych śladów. Mundury ukryli dokładnie w chatce myśliwskiej.

Zdjął buty i powiesił kurtkę na wieszaku. Może stary zasnął na kanapie? Robin zaczął skradać się na palcach, lecz gdy był już w połowie schodów, usłyszał za sobą szuranie. Szybko się odwrócił.

W drzwiach salonu stał Sune. Robin spojrział na niego z odrazą. Rozpłataną koszula i luźny podkoszulek zwisały na jego sflaczałym ciele, a worki pod oczami upodabniały go jeszcze bardziej niż zwykle do buldoga. Obaj milczeli, lecz Robin się nie ugiął. Sune zaś stał nieruchomo z obwisłymi ramionami i gapił się. Nie był ani trochę groźny. Przez kilka sekund obaj wyglądali jak skamieniały. Potem Sune pokręcił głową i poczłapał z powrotem na sofę przed telewizorem.

Robin poszedł na górę.

„Wszystko poszło idealnie. Dokładnie zgodnie z planem” – myślał, kiedy położył się już do łóżka.

Czuł jednak pieczenie w żołądku. Zgasił lampkę nocną i wlepił wzrok w ciemność. Przysłuchiwał się swojemu sercu. Biło szybko i mocno, jak gdyby za wszelką cenę chciało wpompować do jego nabitej już czaszki tyle krwi, ile tylko było możliwe. Ponownie zapalił światło. Bolała go głowa, a myśli

brzęczały jak rój komarów. Właściwie czuł złość. Irytowało go, że był ciągle wściekły, ale nigdy do końca nie wiedział na kogo. Obrócił się i mocno wbił pięść w poduszkę.

Zaczął się zastanawiać. Skąd brał się cały ten gniew? Odkąd pamiętał, krew bez przerwy szumiała mu w głowie, a on nie pojmował dlaczego. Często doznawał jakby zwarcia w mózgu. Za każdym razem, gdy przenosili go do nowej szkoły było tak samo: nagle znajdował się w centrum bójki, nie wiedząc, jak do tego doszło. Mimo że był niskiego wzrostu, koledzy z klasy się go bali. Czasem napełniało go to pewnego rodzaju rozkoszą. Czuł się tak, jakby nigdy nie poznał żadnego z nich.

„Ojciec – pomyślał. – Może to na niego jestem wkurzony?”

Albo na kolorowych. Gdy Kenny o nich opowiadał, zdawało się, jakby puzzle lądowały na właściwym miejscu. Jakby wszystko stawało się prostsze i łatwiej było mu być złym, kiedy już wiedział, kogo nienawidzi.

Leżał przez długą chwilę zupełnie nieruchomo, wpatrując się w sufit, gdzie mały plastikowy model samolotu sklejonny przed laty szybował bez celu.

Zasnął z ciężkim uciskiem w piersi.

-
- [1](#) Ultima Thule – szwedzki zespół, grający muzykę z pogranicza rocka, folku i punku, budzący kontrowersje z powodu tekstów o neonazistowskim wydźwięku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
 - [2](#) „Opór Narodowy” – Nationellt motstånd – czasopismo wydawane przez Szwedzki Ruch Oporu (Svenska motståndsrörelsen), które cechują treści o charakterze rasistowskim i antysemitycznym oraz analizy historyczne, dokonywane z perspektywy narodowosocjalistycznej.
 - [3](#) „Szwedzki Narodowy Socjalista” – Den Svenske Nationalsocialisten (w skrócie: Den svenske) – czasopismo szwedzkiej partii narodowosocjalistycznej o nazwie Front Narodowosocjalistyczny (Nationalsocialistisk front), wydawane w latach 1933–1950 i 2001–2009.
 - [4](#) Słowa utworu pt. Ragnarök (Zmierzch bogów) wykonywanego przez zespół Ultima Thule.
 - [5](#) Pierwsze wersy szwedzkiego hymnu narodowego. Autor tłumaczenia nieznany

Rozdział 3

Na placu Möllevångstorg zapadła ciemność, czego Mike nie zdążył zauważyć. Beknął bezgłośnie i przyłożył nos do szyby.

Musiało być już późno.

Spróbował przysłonić dłonią światło, padające ze środka knajpy i spoglądał na zewnątrz, mrużąc oczy, lecz para rozmywała widok. Światła reflektorów samochodowych odbijały się od asfaltu, a po brukowanym placu spieszyły czarne, przygarbione cienie. Zaczął padać deszcz.

„Cholera, robi się późno” – pomyślał.

Chociaż z drugiej strony, był to chyba zupełnie ludzki odruch. Kilka piw zaraz po wyjściu z pudła to przecież nic wielkiego. Pierwszego pilznera wlał w siebie jednym błogim haustem. Jego ciało wypełniła musująca rozkosz. Na smakowanie drugiego dał sobie więcej czasu. Gorzkie, pełne, z wyczuwalną nutą słodu i chmielu. Z miejsca zamówił trzecie. Po siódmym piwie odczuł ssanie w żołądku, zamówił więc porcję prażonek z jajkiem sadzonym, burakami i kieliszkiem wódki Gammeldansk. Smakowało cholernie dobrze.

Z głośnym siorbnięciem wypił resztkę piwa z kufła i rozejrzał się po lokalu. Najwyższy czas pomyśleć o transporcie.

Przy barze tłoczyli się głównie młodzi mężczyźni i tylko kilka kobiet. Skóry, kurtki dżinsowe, lekki zarost. „Masa Jugoli i Arabów w dresach. Zupełnie jak w pudle” – pomyślał Mike. Barman był szczupłym facetem z końskim ogonem i kolczykiem w uchu. Twarz miał bladą, jak przedsiębiorca pogrzebowy. Mike’owi kręciło się trochę w głowie i nie umiał rozstrzygnąć, czy sobie to tylko ubzdurał, ale zdawało mu się, że część

starszych klientów przy barze odwracała wzrok, kiedy na nich patrzył, jak gdyby się go bali. Pijak, który właśnie wytoczył się z knajpy wydał mu się swój. Mike wzruszył ramionami. Nikt, kogo by znał.

Gdy wstał od stolika, zawroty głowy przybrały na sile. Otrząsnął się mocno, aby obraz przed jego oczyma stał się bardziej klarowny, lecz na niewiele się to zdało. Chwiejnym krokiem podszedł do baru i obcesowo wetknął łokieć między dwóch młodszych mężczyzn w połyskujących marynarkach. Wokół nich unosił się ostry zapach męskich perfum. Mike rzucił na nich szybkie spojrzenie. Źle znosił ledwo zarośniętych wymoczków z półdługimi, przylizanymi fryzurami, które wyglądały jak przyczesane kotлетem schabowym.

– Mogę prosić o rachunek? – wybełkotał w stronę barmana.

– Musisz się tak pchać!?

Wyższy z mężczyzn w garniturach spojrzał na niego z urażoną miną, zaznaczył łokciem swoje miejsce przy barze i podjął przerwana rozmowę z kolegą. Lecz to krótkie spojrzenie wystarczyło, aby Mike uświadomił sobie zniewagę.

Odczuł narastające swędzenie w okolicy skroni. To był pierwszy objaw. Swędzenie zaraz nad uszami zawsze ostrzegało Mike'a, że temperatura w mózgu zaczyna rosnać i pojawia się ryzyko przegrzania. Podrapał mocno obiema dłońmi swą ostrzyżoną na jeża czaszkę.

– Co powiedziałaś, ty wypachniony dupku?

Ryk Mike'a uciszył szum wokół nich. Wysoki obrócił się powoli i spojrzał na niego z góry. Mike był niższy prawie o pół głowy, ale kark miał szeroki jak u byka. Wściekłość w jego przekrwionych oczach sprawiła, że mężczyzna cofnął się z przerażenia.

Pijacka życzliwość, która jeszcze przed chwilą wypełniała Mike'a, zniknęła bezpowrotnie. Rozwiały się miękkie cienie. Widział teraz wszystkie zależności jasno jak na dłoni. Całemu złu winni byli popaprańcy, tacy jak ci dwaj szczyłe. Giełdowe snoby, maklerczyki, którym wydawało się, że posiadają cały świat. Synkowie bogatych tatusiów, obsługiwani przez ojców

i nawożeni rodową fortuną. Smarkacze, którzy nigdy nie podjęli się uczciwej roboty i dla których on sam znaczył niewiele więcej niż nędzny robak. Właśnie takie zadufane ścierwa rzucały zawsze kłody pod nogi biednym chłopakom, takim jak Mike. I będą to zawsze robić... Także Robinowi.

– Pytam, co powiedziałeś, dupku?

Mike balansował na czubkach palców. Oddychał ciężko przez nozdrza i zaciskał prawą pięść tak, że pobiełały mu kłykcie, a paznokcie wbiły się w fałdę skóry między kciukiem a palcem wskazującym. Jedyne, co czuł, to żar w mózgu.

Wysoki zrobił krok w tył. Jego twarz stała się nagle szara i przezroczysta. Usta miał szeroko otwarte, co upodabniało go do ryby poszukującej tlenu w akwarium. Kolega, któremu nagle zaczęła drzeć dolna warga, schował się za jego plecami. Żaden z nich nie był w stanie wydobyć z siebie słowa i przypuszczalnie to ich uratowało.

– Mike, wyluzuj – ostrzegł barman.

W chwili konsternacji Mike odwrócił głowę.

– Chłopaki, będzie chyba mądrze, jeśli natychmiast się stąd zwiniecie – powiedział blady barman, nie podnosząc głosu ani nie spuszczać wzroku z Mike'a.

Mężczyźni nie zwlekali. Trzy sekundy później rzucili kartę kredytową na ladę i nie czekając na jej zwrot, wypadli przez drzwi.

– Nic się nie zmieniłeś, Mike...

Barman obserwował go z uśmiechem w kąciку ust.

– To my się znamy?

– Nie, niezupełnie. Ale widziałem cię kiedyś w akcji. Rozumiesz chyba, że nie chciałem dopuścić do demolki w barze i do ściągnięcia tu całej masy glin...

Mike kiwnął głową. Największy żar w mózgu zaczął tracić na sile, a puls powracał do normalnego poziomu. W sumie dobrze się złożyło, że ci tchórze zwiali. Przyjrzał się przestrzeni za szklanymi drzwiami i zauważył, że stali wciąż na zewnątrz, żywo gestykulując, jak gdyby spierali się, kogo winić za to, że się wycofali. Nagle stali się dla niego zupełnie obojętni.

Wpadł w towarzyski nastrój.

– Właśnie mnie zwolnili. To znaczy, wyszedłem z pudła...

– O, cholera...

– Zaczynam nowe życie. Uczciwa praca i żadnych wykroczeń.

– Masz w takim razie szczęście, że cię zatrzymałem.

Mike wlepił wzrok w faceta z końskim ogonem, który wydawał się chwilowo nie mieć zajęcia.

– Mam dzieciaka w Tomelilla. Chcę się nim teraz zająć. Wiesz, wychować go.

– Brzmi nieźle...

Barman patrzył mu prosto w oczy. Mike badał jego twarz, lecz nie odkrył w niej śladu ironii. Wyciągnął więc portfel i ponownie wyłowił z niego małą fotografię.

– Ma na imię Robin.

Mężczyzna pochylił się do przodu i z zainteresowaniem przyglądał się zdjęciu w wyciągniętej dłoni Mike'a.

– Miły chłopak.

Potem szybko się odwrócił, wklepał na kasie kilka cyfr i położył przed nim rachunek.

– Skoro masz już portfel na wierzchu, to może zechcesz zapłacić. W sumie pięćset osiemdziesiąt koron.

Mike westchnął ciężko. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Starannie włożył zdjęcie do właściwej przegródki i wygrzebał sześć setek z portfela. Nie pozostało mu wiele.

Kiedy zbierał się już do wyjścia, barman zatrzymał go.

– Może masz ochotę na ostatniego pilznera? Ochłoń trochę, nim zaczniesz nowe życie. Ja stawiam.

Gdy Mike opuścił ciepłą knajpę i stał, trzęsąc się z zimna na placu, który powoli zagłębiał się w nocnej pustce, naszła go myśl, że chyba zaprzepaścił plan na pierwszą dobę.

Kopnął puszkę po piwie, którą ktoś odstawił na ziemię, tak że poleciała z ciężkim sykiem i zabębniła w felgę lśniącego merca zaparkowanego na poboczu. Idiota! Żeby tak zostawiać na wpół wypitego pilznera! Szybko rozejrzył się wokół, ale nie

dostrzegł znaków mówiących o tym, że ktoś go widział.

Plan długofalowy był według oceny Mike'a dosyć jasny. Krótkofalowy miał natomiast kilka luk. Właściwie to sporo. Na przykład gdzie, u licha, spędzi dzisiejszą noc. I jak dostanie się jutro do Tomelilla. Dragan dał mu co prawda numer telefonu do tego Borysa. Jednak teraz było już za późno, by dzwonić.

Wsunął dłonie w kieszenie skórzanej kurtki, skulił ramiona i bez żadnego pomysłu powlókł się chwiejnym krokiem na Ystadgatan. Pachniało miastem i jesienią. Przed warzywniakiem na rogu leżała sterta na wpół zgniłych kalafiorów, w restauracji tajskiej dostrzegł pracownika układającego krzesła na stolikach. Robiło się naprawdę zimno.

Minąwszy libańską ciastkarnię, zaczął na poważnie rozważać alternatywy noclegu. Jako pierwsze pojawiło się w jego głowie schronisko Armii Zbawienia. Ale tak nisko jeszcze nie upadł. Nie przychodził mu na myśl żaden przyjaciel, który chciałby zaoferować mu łóżko. A kurczenie się przez kilka godzin w jakiejś bramie nie było w jego stylu. Mimo wszystko trzeba mieć jakąś godność. Zwłaszcza teraz, gdy pora zacząć nowe życie.

Uczciwe życie.

Nagle jego wzrok padł na zardzewiałego forda sierra zaparkowanego na poboczu. Kiedyś miał taki właśnie samochód. Granatowy, rocznik osiemdziesiąty ósmy, ze spoilerem i poszerzonymi oponami wartymi majątek. Ogarnęło go wzruszenie. Poczł się tak, jakby zobaczył drogiego, starego przyjaciela. Niemożliwe, by to był przypadek.

Wbił wzrok w głąb opustoszałej ulicy, następnie w niebo w nadziei na znak. Gdy nie otrzymał żadnego, pozwolił, by pokierował nim impuls wychodzący z wnętrza pleców.

W niecałe trzy minuty wetknął w szczelinę drzwi śrubokręt, który akurat miał przy sobie i otworzył samochód, po czym wyłamał stacyjkę i splótł ze sobą kilka kabli. Samochód odpalił ze znajomym mrukiem. Mike wcisnął pedał gazu w podłogę i zwolnił sprzęgło. Odczuł błogie zadowolenie, gdy opony wczepiły się w asfalt.

Odjeżdżając stamtąd, uśmiechał się całą swą szeroką twarzą.

Świadomość, że ukradł swój ostatni samochód była pięknym uczuciem.

*

Refleksy odbijające się od lodu kłują go w szeroko otwarte oczy jak ostre igły, potem przechodzą nerwami wzrokowymi do mózgu, gdzie zmieniają się w palący ból. Mike próbuje zamknąć oczy, ale nie potrafi ich nawet zmrużyć. Wokół słychać huk, jakby cała bezkresna połać lodu zapadała się w morze.

Niedobrze mu, ale wie, że nie może zwymiotować i zabrudzić otaczającej go nieskazitelnej bieli.

Wieczne piękno.

Wszędzie tylko lód i niemiłosiernie błękitne niebo. Gdzie podziła się łódź, na której tu przybył?

Jest zimno i z każdym oddechem tworzy się wokół niego chmura pary. Dygocąc, otula się ramionami. Potem patrzy na swoje stopy i zauważa, że są bosa.

„Dlaczego nie jestem ubrany?” – myśli.

Pochyla się i zeskrobuje dłońmi trochę śniegu. Palce czerwienieją od mrozu. Pragnienie, musi ugasić pragnienie! Wkłada śnieg do ust, czeka, by roztopił się na języku, potem czuje zimną wodę przepływającą przez gardło. I tak wciąż od nowa.

Chwilę później przypomina sobie, dlaczego się tutaj znalazł. Chłopiec. Siłą woli udaje mu się mimo wszystko zacisnąć oczy tak, że pozostają z nich tylko wąskie szparki. Dudnienie i ból nie ustają, ale przynajmniej widzi teraz odrobinę wyraźniej. Lód nie ma końca.

Odwraca się tyłem do słońca. Cień przed nim jest jednak krótki i dziwnie blady, tak jakby on sam był w połowie przezroczysty.

Czy nie powinny tu żyć niedźwiedzie polarne?

Mike słyszy wycie lodu. Morze napiera z nieposkromioną siłą. Jest czarne i głębokie. Czuje, jak wibruje pod jego stopami.

Może to tylko kwestia godzin, zanim lód zacznie się łamać.

Musi odnaleźć chłopca.

Zaczyna iść. Zmierza chyba na północ, bo promienie słońca grzeją mu plecy. Dziwi go, że nie czuje już prawie zimna pod stopami, a tylko silny ból głowy. Bezlitosne uderzenia młotem w czoło i skronie.

Nagle go dostrzega. To tylko punkcik mający na horyzoncie, lecz Mike wie, kto to jest. Wie także, że musi się spieszyć. Wydłuża krok i zaczyna biec. Macha rękami i krzyczy, aż czuje szarpanie w płucach i smak krwi napływającej do ust. Lecz huk wydobywający się spod lodu zagłusza go, a mała czarna postać w oddali nie wydaje się przybliżać. Czy nie widzi? Dudnienie w głowie potwornie utrudnia myślenie.

Z grzmiotem przypominającym wystrzał z pistoletu pojawia się pierwsza szczelina tuż przy jego stopach. Nagle lód, który przed momentem był tak gładki i czysty, staje się mozaiką ściśle do siebie przylegających odłamków. Mogą się zapaść w każdej chwili i zamienić biały raj w bulgoczące, kipiące, lodowate piekło.

Szuka rozpaczliwie czarnego punktu na horyzoncie. Zniknął. Podłoże zaczyna drżeć, czuje pod stopami przerażającą siłę morza. Słyszczy ryk i wycie, w końcu kruszą się pierwsze kry lodu. Napierają na siebie krawędziami niczym potężni wojownicy, ocierając się ze zgrzytem. Dokoła nich tryskają kaskady wody, a huk jest tak potworny, jakby zapadała się cała kula ziemiska.

Mike osuwa się powoli do ciemnej, zimnej wody, paznokciami szukając punktu zaczepienia, lecz wie, że nie ma już dla niego nadziei.

„Oby chociaż chłopiec zdążył się uratować” – myśli.

Gdy się obudził, jego nogi były sztywne jak u trupa. Dobrą chwilę trwał w niepewności, czy jest żywy, czy martwy. Spróbował się przeciągnąć, ale coś go blokowało. Usłyszał szelest pod stopami. Chociaż tupał i kopał na wszystkie sposoby,

aby wyprostować ciało, pozostawał przygnieciony i omotany. Dygotał z zimna, nie mając bladego pojęcia, gdzie się znajduje.

Ostrożnie otworzył sklezione powieki. Szare światło zakłuło go w oczy. Poczul zapach rozlanej benzyny. Głowę miał ciężką jak przerośnięta dynia. W środku szumiało i dudniło. Na domiar wszystkiego jakiś idiota przytknął mu pistolet do pleców.

Zerwał się gwałtownie, uderzając głową w lusterko wsteczne. Cholera! Dźwignia zmiany biegów, na której leżał, celowała przekornie w jego stronę i Mike nie mógł powstrzymać impulsu, by walnąć w nią pięścią, aż zagrzecotało w przekładniach. Zabolały go kłykcie. Potem spojrzął głupkowato na czarny worek na śmieci, do którego zapewne wpełznął w nocy, aby się ogrzać.

Drżącymi rękoma pomajstrował przy drzwiach, aby je otworzyć, po czym chwiejnie wyszedł z auta i zdał folię motającą mu nogi.

Otaczała go gęsta, wilgotna mgła. Gdzie nie spojrzął, widział tylko asfalt. Plac parkingowy, pusty i bezkresny jak szare morze przy bezwietrznej pogodzie. I zimno, to szaleńcze zimno.

„Muszę przyspieszyć krążenie” – pomyślał Mike.

Ponownie splótł ze sobą kable i uruchomił silnik. Czekając na zewnątrz, aż samochód się nagrzej, klepał się po bokach, krzyżując ręce, lecz wkrótce zrozumiał, że na niewiele się to zda. Zaczął więc robić pajacyki. Najpierw sztywno i niepewnie, potem z większą energią. Złączył i rozstawił nogi, klaśnij w dłonie nad głową. Jak za dawnych czasów na gimnastyce szkolnej.

Kiedy tak wymachiwał ramionami jak wiatrak i sapał niestrudzenie, zauważył majaczący we mgle wózek sklepowy. Nie przerywając ćwiczenia, skakał w jego stronę. Ikea, oznajmiał mały napis na uchwycie. Skonsternowany, rozejrzał się dokoła, próbując na darmo odtworzyć w głowie wczorajszy wieczór i dojść do tego, jak, do ciężkiej cholery, znalazł się na parkingu dla klientów aż w Bulltofta.

Po chwili poczuł, że krew krążyła w ciele z mniejszym oporem. Jak zwykle przeżywał bolesną rozkosz, gdy z żył wypłukiwało się alkoholowe błoto i do mózgu dochodziła

świeża, natleniona krew. Kac był zawsze dla Mike'a czymś, co należy pokonać przemocą, a nie przeczekać w łóżku, jak jakiś marudzący mięczak. Był dumny, że w wieku czterdziestu pięciu lat miał w dalszym ciągu dostateczną krzepę, aby to wytrzymać.

Z mgły wyłonił się bezgłośnie samochód ochrony. Mike zareagował dopiero, gdy za jego plecami trzasnęło niemal jednocześnie dwoje drzwi. Przerwał swoje pajacyki, okręcił się do tyłu i wlepił wzrok w ochroniarzy, najwyraźniej cierpiących na nadwagę. Obserwowali go, stojąc na szeroko rozstawionych nogach i trzymając kciuki za paskami. Grubszy z nich uśmiechał się groźnie. Drugi wyciągnął flegmatycznie z kieszeni na piersi puszkę snusu i wetknął jedną małą torebkę z tytoniem pod wargę.

– Co tam kombinujesz?

Mike wytrzeszczył oczy.

– Robię pajacyki, a co, u licha, myślałeś?

Większy z nich uśmiechnął się sztucznie.

– W zdrowym ciele zdrowy duch, co nie? Słyszałem już, że są tacy, co urządzają sobie poranną przebieżkę po parkingu Ikea koło wpół do szóstej. Chociaż dziś nie pojawiło się chyba zbyt wielu zawodników...

Mrugnął zadowolony do swojego kolegi. Mniejszy z ochroniarzy kiwnął głową w stronę sierry.

– To twój samochód?

Mike odczuł słabe swędzenie w jednej skroni.

– Uhm...

– Spałeś w nim?

– Czyżby to było zabronione?

Ochroniarze przypatrywali mu się podejrzliwie, nie odpowiadając.

– A może chciałeś się włamać do marketu? – zapytał grubszy w zamyśleniu. – Rozbić szybę, ukraść masę rzeczy, a potem zwiąć tym swoim autkiem?

Mike wyteżył się, by jego głos brzmiał spokojnie.

– Taa, łóżko wodne.

– Co takiego?

– Zamierzałem ukraść łóżko wodne.

– Ach tak...?

– Wiesz, takie miękkie, kołyszące się łóżko, na którym tacy przystojniacy jak ja bez przerwy bzykają panienki.

Mike uśmiechnął się szyderczo.

– I które pękłoby jak balon pod takim grubasem jak ty!

Z zadowoleniem obserwował, jak kolor twarzy ochroniarza przechodził z bladobiałego w czerwony, by następnie przybrać odcień gdzieś pomiędzy fiołkowym a czarnym.

– Ty sukinsynu...!

W momencie, gdy obaj mężczyźni chwycili za pałki, w ich samochodzie zatrzeszczał radiotelefon. Zastygli w pół ruchu i nasłuchiwali, sztywni jak posągi. Następnie popatrzyli po sobie z niezdecydowaniem, jak gdyby byli rozdarci pomiędzy poczuciem obowiązku a ochotą natłuczenia do łba temu bezczelnemu przybłądzie, którego przydybali.

Ich wahanie nie trwało długo, lecz wystarczyło Mike'owi. Z wystudiowaną nonszalancją powędrował do forda, wsiadł i nim zatrzaskał drzwi, zawołał jeszcze:

– Chłopaki, nie zapomnijcie o pączku do kawy! Żebyście nie zmarnieli!

Powiedziawszy to, ruszył gwałtownie z piskiem opon.

Gdy wyjechał z parkingu, pomyślał, że mimo nocnego koszmaru jego drugi dzień na wolności miał naprawdę dobry start.

Rozdział 4

Koszulka łopocze wokół ciała małego chłopca, który pędzi przez plac. Nogi tupoczą o zakurzoną ziemię. W oczach płonie strach. Wokół panuje głucha cisza.

– Biegnij, Adnan! Tutaj! Biegnij tak szybko, jak umiesz!

Amela wysila się tak mocno, że o mało nie pękną jej płuca. Z jej ust nie wydobywa się jednak ani jedno słowo.

Nie posiadając się z tęsknoty, wyciąga ręce do syna, jakby samą tylko wolą mogła przyciągnąć go w swoje objęcia.

Bestia jest szybka. Zbliża się do zdobyczy wielkimi susami. Ma ostre kły. Mimo że obie postaci są daleko, kobiecie wydaje się, że słyszy dyszenie chłopca i sapanie wielkiego psa.

– Biegnij, Adnan!

Lecz chłopiec nie ucieka na wskroś przez plac, tak jak powinien, tylko w drugą stronę, do wylotu innej ulicy. Dlaczego biegnie w złym kierunku? Amela próbuje mu machać. Potwór ryczy żądny krwi.

Co dziwne, mężczyźni i kobiety na placu nie reagują. Czyżby niczego nie zauważyli? Ludzie krążą beztrosko wzdłuż i wszerz, stoją w grupkach, rozmawiają, śmieją się i wyzywają, lecz nikt nie widzi chłopczyka pędzącego, ile sił w nogach.

Jej chłopczyka.

– Pomóżcie mu, na litość boską!

Amela wie, że to nie jest sen. Nie śpi. Kiedy otwiera oczy, widzi niemal samą ciemność. Słabe, ledwo dostrzegalne światło wpada przez szparę między ścianą a zasłoną, którą zaciągnęła, by nie przeszkadzał jej księżyc.

O ile księżyc w ogóle świecił.

Słucha. Może uspokoją ją odgłosy z parkingu. Z dołu dobiega ją czyjś śmiech pozbawiony radości. Słyszy zamykające się drzwi samochodu. Dźwięk odpalanego silnika, opony na mokrym asfalcie.

Czasami, w nocy, jeśli mocno się wysili, może usłyszeć jego spokojny oddech tuż przy poduszce. Chrapnięcia, jakie od czasu do czasu z siebie wydawał.

Amela leży nieruchomo na plecach, wpatrując się w mrok sufitu. Próbuje przyzwyczaić się do ciemności. Czy pajęczyna, którą już dawno chciała zmieść, wciąż wisi przy kablu lampy?

Powieki znowu drgają, lecz ona nie ma odwagi zamknąć oczu.

„Muszę przecież spać – myśli. – Muszę wcześniej wstać i iść do pracy.”

Obrazy nachodzą ją zwykle, kiedy balansuje na niebezpiecznym pograniczu między jawą a wyzwalającym snem. Boi się ich i ich nienawidzi. Wie jednak, że musi się z nimi zetknąć.

Adnan jest już prawie przy wylocie drugiej uliczki. Amela rozumie teraz, dokąd chłopiec zamierza uciec. W górę ulicy przecinającej wioskę, obok meczetu i dalej na lesiste zbocza, gdzie zwykł się bawić i gdzie zna każdą jaskinię i szczelinę, każde zawalone drzewo i nieprzebyte zarośla, które mogą dać mu schronienie.

Ale dzieje się coś dziwnego. Adnan urósł, biegnąc przez plac. Jak to możliwe? W kilka krótkich sekund przemienił się z chłopczyka w chłopaka, który wkrótce stanie się mężczyzną.

Któremu nigdy nie będzie dane stać się mężczyzną i Amela o tym wie.

Zrozpaczony spogląda teraz przez ramię, a ona patrzy mu prosto w oczy przez całą wieczność: „Ratuj mnie, mamol!” – mówi bez słów.

Bestia jest tuż przy nim. Chłopak krzyczy ostatkiem sił.

W chwili gdy pies jest już tak blisko, że może wykonać decydujący skok, obaj znikają w uliczce.

Amela napełnia płuca powietrzem, aby krzyknąć, lecz się powstrzymuje. Dociera do niej myśl: Jest już za późno.

Błądzi wzrokiem w nadziei, że po raz ostatni zobaczy przelotem swojego syna. Szuka w uliczce, w której przed momentem zniknął, wypatruje ponad domami pokrytymi czerwoną dachówką, patrzy wyżej, w stronę meczetu ze szpiczastym jak igła minaretem, a potem w stronę lasu na górze.

Nic.

Nagle widzi, że coś wznosi się ku niebu. To samotny, czarny ptak.

Amela lubiła te krótkie chwile spędzane z Ragnhild. Z czasem obie się do siebie zbliżyły.

Co prawda kawa robiona przez kobiecinę była odrobinę lurowata, a sucharki, którymi zwykła ją częstować zbyt czerstwe i mączne, jednak nie to było ważne. Amela przychodziła tam, żeby serdecznie porozmawiać. I oczywiście po pieniądze. Lubiła słuchać okrucichów przeszłości, którymi Ragnhild tak chętnie się dzieliła. W pewien sposób wydawały się znajome, a zarazem obce. Jeżeli je dobrze przeanalizowała, mogła z nich powoli poskładać lustro. Wprawdzie było ono pokiereszowane i splekane, ale zupełnie dobre, by móc w nie spojrzeć i dostrzec sporo rzeczy.

W zasadzie Amela nie miała także nic przeciwko sprzątanii.

Uspokajało ją przecieranie szmatką wszystkich książek na półce. Przystawanie i czytanie tytułów. Potem krzątanie się z odkurzaczem. Szorowanie łazienki, aż z jej ciała spływał pot. W tym czasie Ragnhild pochrapywała w salonie, siedząc w swoim ulubionym fotelu przy oknie wychodzącym na podwórko. Zawsze, gdy staruszka się budziła, pytała zaspana, która godzina. Jakby to miało jakieś znaczenie.

Podczas długich chwil przy kawie Amela opowiadała trochę o sobie. Nie za dużo. Tylko odrobinę za każdym razem. Staruszka zadawała pytania. W żaden sposób natrętne. Ostrożnie, jakby stąpała po cienkim lodzie. Nieśmiało sondując, jakby wiedziała, że czarna woda pod spodem jest bardzo głęboka.

Jak to się zaczęło? Twoja rodzina? Przyjaciele? Czy ktoś mógł to zatrzymać?

Amela nie wiedziała. Wydarzyło się to w mieście niewiele większym od tego. Amela знаła ludzi, którzy tam mieszkali. Tak jej się przynajmniej wydawało. Potem nadeszły wieści o wojnie. Początkowo wszystko działo się tylko na ekranach telewizorów. Nikt nie wierzył, że spotka to także ich. Jednak uchodźców przybywających z okolicznych wiosek było coraz więcej. Ci, którzy mieli szczęście, przyjeżdżali z całym swoim dobytkiem w przeładowanych samochodach. Inni przybywali pieszo wzdłuż drogi, wycieńczeni i głodni. Pewnego dnia sąsiedzi przestali się kłaniać. Kilka szyb w oknach zostało rozbitych. Na fasadach domów pojawiły się bazgroły. Ktoś zastrzelił krowę. Spojrzenia stawały się ciemne i złowrogie. Podstępne szemrania przechodziły w głośne wyzwiska. I gdy śnieżka zaczęła się już toczyć, niemożliwe było zatrzymanie lawiny. Nawet ONZ, która obiecała ustanowienie w mieście strefy bezpieczeństwa, nie zdołała nic zrobić. Ludzie oszaleli.

Ostatniego lata byli naprawdę jak wściekłe psy.

Amela próbowała teraz o tym nie myśleć, lecz wspomnienia narzucały się same.

Ragnhild patrzyła na nią, wzdychając ze smutkiem.

– Tego się po prostu nie da zrozumieć.

Amela podejrzewała jednak, że kobieta rozumie więcej, niż twierdziła.

Często się także śmiały. Zazwyczaj z zupełnie codziennych rzeczy. Z jakiegoś komicznego wspomnienia z dzieciństwa. Z czegoś, co przeczytały lub zobaczyły w telewizji. Z tamtego sapiącego strażaka ze skeczu, który tak głupio gadał i przewracał koleżanki, kiedy grał w unihokeja. Albo z tego grubawego, cwaniakowatego szefa w sennym biurze na przedmieściach Londynu, gdzie wszyscy ziewali, siedząc przed mrużącymi komputerami. Lub z Napalonej Gun, kobiety-wampa z kabaretu.

Dzięki chwilom przy kawie spędzonym z Ragnhild Amela mówiła już prawie bezbłędnie w nowym języku, aczkolwiek z delikatnym akcentem. Ponadto były przecież koleżankami

po fachu.

– Amelo, powinnaś znowu zacząć pracować jako nauczycielka. Nie marnuj życia na sprzątanie u starych bab.

– Wiem, wiem...

Ujęła żylastą dłoń staruszki, uśmiechając się.

– Ale wtedy nie miałabym już czasu, żeby tu z tobą siedzieć i rozmawiać, Ragnhild.

Patrzyła na deszcz, który uderzał w okno i spływał po szybie jak zimne łzy. Płomień świecy zatrzepotał od powiewu z niewidocznej szczeliny. Pelargonie na stole kuchennym trochę oklapła. „Muszę ją podlać, zanim wyjdę” – pomyślała Amela. Chciała jeszcze przez chwilę pobyc w cieple.

– Ragnhild, masz piękne imię.

Staruszka parsknęła, jakby była zła, ale po chwili jej twarz rozświetliła się w pomarszczonym grymasie.

– Zawsze uważałam, że brzmi bardzo twardo. Ragnhild. Prawie jak ragata.

– Ragata...?

– Cóż, to słowo oznacza po szwedzku mniej więcej wredną babę. Taką jak ja.

Amela zaśmiała się.

– Ależ ty jesteś najmniej ze wszystkiego wredna! Jesteś przecież miła... Co oznacza to imię? Tak na poważnie.

– Mniej więcej to, co można sobie wyobrazić, kiedy się je słyszy. To stare nordyckie imię. Władczyni – takie ma znaczenie. I coś z walką... Walka bogów, o ile dobrze mi się wydaje.

Nagle podłużna twarz Ragnhild wygładziła się i kobieta spoważniała. Szare oczy zaszklily się.

– A Amela?

– To ojciec nadał mi to imię. Po swojej matce...

Gdzieś w oddali usłyszała nawołujący głos. Jakaś postać nadchodziła do niej z lasu. Szorstka, napawająca poczuciem bezpieczeństwa dłoń pogładziła ją po włosach a potem zewnętrzną stroną palców po policzku.

– Amelo. Jesteś dziełem Boga. Cudem Allaha. Takie znaczenie ma twoje imię.

Po jednej z takich wizyt u Ragnhild Amela ujrzała tamtego mężczyznę.

Początkowo nie była pewna. Widziała go od tyłu, z ukosa. Jako pierwszy zareagował jej żołądek. Przez jej ciało przelała się fala mdłości. Zachwiała się i oparła o samochód, który właśnie otworzyła. On? Tu, w Tomelilla? Amela stała jak skamieniała. Bezwiednie ścisnęła otwarte drzwi samochodu tak mocno, że krew odpłynęła jej z palców. Śledziła jego grzbiet wytrzeszczonymi oczyma.

Stała w miejscu pełna niezdecydowania, obserwując jak mężczyzna oddalał się od samochodu – ciężkiego jeepa w wersji pick-up, z którego przed chwilą wysiadł. Poczowała drzenie w nogach. Nie była jednak przekonana. To chyba nie było możliwe?

„Musiałam się pomylić” – pomyślała.

Spojrzała szybko na zegarek. Była już spóźniona. Kawa z Ragnhild przeciągnęła się i Amela pół godziny temu powinna być u kolejnego klienta. Był to opryskliwy starzec, który zawsze śmierdział moczem. Nazywał się Palmlund. Po tym jak ostatnio się spóźniła, zadzwonił ze skargą do firmy sprzątajacej, w której była zatrudniona, i szef zganił ją za to, że jest powolna. Szef brał zawsze stronę klientów.

„Mam to w nosie! – pomyślała. – Muszę się dowiedzieć, czy to rzeczywiście on.”

Ostrożnie, jakby się bała, że chrobotanie klucza ją zdradzi, zamknęła ponownie drzwi auta. Potem się rozejrzała. Na rynku panował nadzwyczaj duży ruch. Handlarz na stoisku z warzywami miał pełne ręce roboty. Przy budce z jedzeniem stali dwaj mężczyźni w kombinezonach i gumowcach, zajadając się kiełbaskami. Zapewne rolnicy. Od banku szła grupa roześmianych pracowników, którzy zmierzali w stronę hotelu na wczesny lunch. Zaś w okolicy marketu i monopolowego, dokąd najprawdopodobniej zdążył mężczyzna, kręciło się sporo osób. „Dobrze, łatwiej będzie się ukryć” – pomyślała.

Amela ruszyła powoli. Mijając jeepa, zauważyła, że jego koła były ubłocone, a karoseria zachlapana. Mężczyzna jeździł zapewne w terenie. Na pace leżał zwój drutu kolczastego, worek karmy dla psa i kilka narzędzi. Zajrzała prędko przez szybę do środka. Zwinięty w kłębek koc na fotelu pasażera. Paczka papierosów. Gazeta. Nic nadzwyczajnego.

Jej uwagę przyciągnął obrazek w złoczonej ramce, wetknięty między deskę rozdzielczą a przednią szybę. Była to prosta plastikowa reprodukcja. Staroświeckie malowidło w przydymionych, brązowo-szarych barwach. Wokół głowy świętego majaczyła biała aureola. Amela natychmiast go rozpoznała.

Święty Sawa.

W przeszłości często go widziała. Wtedy, dawno temu, gdy wszystko było jak zwykle, nie znaczył dla niej nic szczególnego. Serbowie mogli przecież mieć swoją wiarę, zupełnie tak jak i inni mieli swoją. Amela nigdy nie troszczyła się o religię. Nigdy, do chwili, gdy wszystko się zmieniło i sąsiedzi stali się wrogami.

Widok świętego z dawnych czasów sprawił, że zmiękły jej kolana. Nieprzyjemne zapachy powróciły. Dym pożaru i smród diesla. Słyszała gorączkowe krzyki oraz mężczyzn, którzy wrzeszczeli i wydawali rozkazy. Płacz zrozpaczonych ludzi. Huczące silniki i zwierzęta ogarnięte paniką. Ręce próbujące uchwycić dzieci, które im wyrywano. Dźwięk wystrzałów w pobliskim lesie.

Potrząsnęła mocno głową, aby pozbyć się tych obrazów zła. Właściciel samochodu dotarł już prawie do monopolowego. Jego plecy były szerokie, podobnie jak kark. Czy to naprawdę był on? Amela nie zdążyła mu się jeszcze dobrze przyjrzeć. „Przecież każdy może mieć w samochodzie obrazek świętego – próbowała sobie wmówić. – Powinnam stąd pójść.”

Pod zielonym szyldem sklepu zawahała się. Popatrzyła do środka przez okno wystawowe. Światło dnia odbijało w szybie ulicę i utrudniało zagłębienie w głąb lokalu. Powoli otworzyła drzwi.

„A jeśli mnie rozpozna?” – przemknęło jej przez myśl, gdy wchodziła do środka.

Porwała szybko jakąś broszurę ze stojaka i pochyliła głowę, udając, że analizuje wykaz napojów wysokoprocentowych. Ostrożnie wyjrzała znad krawędzi ulotki i zbadała teren wzdłuż regałów. Przy czerwonych winach pusto. Przy białych stała samotna kobieta ze spuchniętym nosem i poruszała ustami, jakby mamrotała coś do siebie. Może zapomniała nazwy wina, które chciała kupić i szukała jej w pamięci. Dwóch młodszych mężczyzn ładowało skrzynki z piwem do wózka. Lecz człowieka, którego śledziła, nie było.

Nagle znowu go zobaczyła. Był już przy kasie. Na taśmie przed kasjerką prześlizgnęły się dwie butelki Johnniego Walkera, mężczyzna wyciągnął kilka banknotów, otrzymał resztę, podziękował skinieniem i w momencie gdy się obrócił, aby wsadzić butelki do zielonej plastikowej torby, podniósł wzrok i popatrzył prosto na Amelę.

Serce jakby stanęło. Gwałtowny ucisk w piersi wypompował powietrze z jej płuc. Z trudem złapała oddech. Jedna, jedyna sekunda. Lecz w tym krótkim czasie, gdy ich oczy się spotkały, Amela zdążyła zarejestrować każdy szczegół jego twarzy. Głęboko osadzone, szare oczy, które znajdowały się tak blisko siebie, że wyglądały jak wylot dubeltówki. Niskie, szerokie czoło połączone z mięsistym nosem. Wgłębienie dzielące masywną brodę na pół.

Postarzał się oczywiście, jak wszyscy inni. Zła krew także obumiera. Włosy miał gęste i krótko przystrzyżone, tak samo jak wtedy, lecz posiwiałe przy skroniach. Szyję i barki równie potężne jak kiedyś.

I tak minął ten moment.

Mężczyzna wziął do ręki torbę z dwiema butelkami whisky i ruszył w stronę wyjścia, jak gdyby nic się nie stało.

Amela odprowadzała wzrokiem jego plecy, dopóki nie zniknął z pola widzenia. Nogi miała ciężkie jak kłody. Spojrzała na broszurę z wódkami, którą nieświadomie zmięta. Otworzyła dłoń i pozwoliła ulotce spaść na podłogę. Było jej zimno.

Poczuła zawroty głowy i zorientowała się, że miała za mało tlenu we krwi.

„Patrzył przeze mnie na wylot – pomyślała. – Jakbym była powietrzem.”

Przyłożyła dłoń do mostka. W dalszym ciągu oddychała nierówno.

„Powinnam poczuć ulgę, że mnie nie rozpoznał. Ale to sprawia tylko ból.”

Głęboko w sercu czuła, jak rosło w niej najbardziej gorzkie z uczuć.

To on powinien się męczyć. Jeżeli na świecie istniała jakaś sprawiedliwość, to on powinien cierpieć wszystkie piekielne katusze, to on powinien nie spać po nocach, będąc ściganym przez wspomnienia, on powinien być zmuszony do ciągłego przeżywania tego szatańskiego zła.

On, człowiek, który zniszczył jej życie.

Który zabrał jej syna.

Lecz najwyraźniej Amela była dla niego tylko jakąś kobietą, znaczącą zbyt mało, by ją utrwalić w pamięci.

Rozdział 5

Niepewność naszła Mike'a niespodziewanie. Miał wrażenie, jakby dostał ataku epilepsji. Od palców u nóg aż po samą głowę przeszedł go gwałtowny wstrząs, a przed oczami zrobiło mu się ciemno. W ostatniej chwili przyszedł do siebie, chwycił kierownicę i szczęśliwie uchronił samochód przed wjechaniem do rowu.

– Jasny gwint!

Co się stało? Czy zasnął?

Potrząsnął głową. Koszula namokła od zimnego potu i przykleiła się do pleców.

„Muszę się napić kawy” – pomyślał.

Na rondzie przed Sjöbo nie skręcił na południe w kierunku obwodnicy miasta, jak początkowo zamierzał. W zamian przejechał obok wielkiej siedziby lokalnego dealera samochodów, i sunął po prostej jak drut ulicy w stronę centrum. Cukiernia leżała na ukos od stacji Statoil, dokładnie tak, jak pamiętał. Zaparkował ukradzioną sierzę, wysiadł i rozprostował ciało, aż zatrzęszczało w stawach.

Mgła się rozproszyła, lecz tuż nad dachami zwisała ciężka powłoka chmur. Między rzędami domów wiał przejmujący wiatr. Mokra koszula przyparowała Mike'a o zimne dreszcze. Spojrzył w głąb ulicy. Najpierw na wschód, potem na zachód. Ani żywej duszy. Przed kafejką stało pięć skuterów. W oddali słyszał stukot silnika.

– No country for old men, to nie kraj dla starych ludzi – mruknął pod nosem.

Kobieta za ladą była pulchna jak drożdżowa babeczka.

Uśmiechała się zapraszająco, wsuwając tackę z ciastkami francuskimi do szklanej gabloty. Chłopcy siedzący wokół stolika przy oknie umilkli i rzucili przybyszowi kilka obojętnych spojrzeń przez ramię, po czym odwrócili się, by dalej gapić się w ulicę. Kaski, które położyli na stole pomiędzy filiżankami kawy i puszkami z napojem, były ozdobione wizerunkami czerwonookich wampirów i ziejących ogniem smoków.

– Poproszę kawę. I ze dwie bułki z serem.

– Już się robi!

Kelnerka zatrzepotała rękami. Były podejrzenie długie, by mogły być prawdziwe.

– Nieciekawa dziś pogoda, prawda?

– Uhm...

Uwagę Mike'a przykuła taca z kulkami czekoladowymi.

– Proszę mi jeszcze dorzucić jedną murzyńską kulkę – powiedział, wskazując palcem.

Kobieta zachichotała z zachwytem.

– Ma pan na myśli kulkę Branco?

– Co takiego?

– One tak się teraz nazywają: kulki Branco.

– Ach, tak – powiedział Mike bez zainteresowania. – W takim razie poproszę jedną kulkę Branco.

Rzuciła mu tajemnicze spojrzenie i ujęła szczypcami brązową maślaną kulkę.

– Nie zapyta pan, dlaczego?

Mike odchrząknął i spojrział na nią zdeorientowany.

– Cóż... mogę to zrobić. Dlaczego nazywają się kulkami Branco?

Kelnerka przechyliła się nad ladą tak, że jej biust wylądował niemalże w tacy z piernikami. Wyszepotała poufale:

– Jakiś klient doniósł na nas do rzecznika od spraw dyskryminacji. Nazwa „murzyńska kulka” jest zakazana. Więc zorganizowaliśmy konkurs na nową. Wygrała „kulka Branco”. Całkiem pomysłowe, prawda? Bröderna Anderssons Conditori – Cukiernia Braci Andersson. Branco to taki jakby skrót od nazwy naszej firmy.

– Aaa...

– A wie pan, co było w tym wszystkim najśmieszniejsze?

– Nie?

– Mieliśmy potem klienta, chyba ze Sztokholmu, który powiedział, że branco oznacza biały. Po hiszpańsku albo portugalsku czy jakoś tak. Takie to wszystko zwariowane. Murzyńskie kulki stały się białymi kulkami...

Znowu zachichotała i mrugnęła porozumiewawczo do Mike'a, który nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Nalał sobie kawy z dzbanka stojącego przy ekspresie i zabrał swój talerzyk.

– Fajnie.

Zajął stolik przy ścianie pod olejnym malowidłem przedstawiającym smutnego łosia. Wielkiego, niezgrabnego łosia z ponuro zwisającym pyskiem. Zwierzę gapiło się na niego z wyrzutem. Było to nieprzyjemne spojrzenie. Niemal ludzkie. Jakby to była wina Mike'a, że zgraja narwanym, zasapanym leśnym ludków ganiała po polach, marząc o tym, by ustrzelić dwunastaka. Wziął swoją filiżankę i talerzyk, po czym zmienił stolik.

Kawa wprowadziła ożywienie do jego mózgu. Lecz ten niepokój, który tak nagle go napadł, w dalszym ciągu kołatał mu się po głowie. Ugryzł bułkę i spojrzawszy kątem oka na chłopców siedzących przy oknie. Wyglądali na zmęczonych. Jeden ziewał znudzony, drugi bawił się włosami, coś pomrukując, trzeci śmiał się z rzuconej riposty. Nogi krzesła szurały po linoleum, zabrudzonym naniesionym piaskiem.

„Są chyba mniej więcej w wieku Robina” – pomyślał.

Wcześniej wszystko wydawało się takie proste. Gdy siedział zamknięty w celi i planował swoje nowe życie, sprawa była oczywista. Mike i Robin. Oni dwaj. Ojciec i syn. Do tego byliby też kumplami. Mogliby jeździć za miasto z lornetką, by razem obserwować ptaki.

Wyjął z torby album ornitologiczny i zaczął go bezmyślnie kartkować. Był to porządnie sfatygowany egzemplarz „Ptaków Europy”. Mike znał go niemal na pamięć.

Wcześniej książki go nie interesowały. Gdy do więzienia

przybył bibliotekarz, który w dodatku był ornitologiem, i zaproponował Mike'owi, by zamiast zabijać czas przed telewizorem zabrał się za coś sensownego, początkowo wpadł w złość. Ale przyjął książkę. A kiedy zobaczył ilustracje i zaczął czytać opisy o wędrówkach ptaków i ich miejscach lęgowych, jakaś jego część obudziła się do życia. To było takie piękne.

Z okna celi udało mu się rozpoznać wróbla zwyczajnego, mazurka, srokę, wronę, ziebę i rudzika. Ptaki z rodziny mew. Raz nawet myszołowa, czy też może kanię, która zbliżyła się do autostrady w nadziei, że znajdzie tam rozjechanego zająca.

W samotności Mike fantazjował czasem, że jest orłem. Majestatycznym orłem przednim, który krążył nad światem.

– Aquila chrysaetos – bąknął pod nosem.

Zamknął książkę z westchnieniem i wpakował do ust ostatni kęs kulki Branco. „Właściwie to człowiek jest tylko przeklętą, postrzeloną kawką, słaniającą się przez życie” – pomyślał.

Przypomniał sobie ostatnią wizytę Robina w więzieniu. Chłopak był markotny. Jakby coś w sobie tłumił. Choć z drugiej strony może było to całkiem naturalne? Kto potrafi się cieszyć w ponurym pokoju widzeń, wiedząc, że klawisze za drzwiami pobrzękują kluczami i tylko czekają, aż skończy się czas? Wysławianie się nigdy nie przychodziło Robinowi łatwo. Pod tym względem był kropka w kropkę jak ojciec.

Mike próbował wysondować, jak mu było u tych ludzi w Tomelilla. U Sunego i Gunborg Olssonów. Raz spotkał się z nimi przelotem, kiedy był na przepustce. Sune capnął jego rękę jak krab i potrząsnął nią z przesadną serdecznością, jakby byli najlepszymi kumplami. Gunborg patrzyła w ziemię i bąknęła coś o szybkiej filiżance kawy. Lecz Mike i Robin poszli na pizzę do „Alladyna” przy rynku.

Kiedy ostatnim razem siedzieli w pokoju widzeń z dwoma kawałkami mącznego biszkopta na talerzu leżącym między nimi, Mike odważył się zapytać:

- Czy oni są dla ciebie dobrzy?
- No jasne, do cholery...
- Na pewno?

- No, przecież mówię.
- Dobra już, dobra. A szkoła? Chodzisz... tam?
- Zazwyczaj...
- Szkoła jest ważna. Trzeba korzystać i uczyć się, póki jest się młodym. Póki nie jest za późno.

Robin prześwidrował go dziwnie spod brwi i prychnął pogardliwie.

- Przestań.

Długą chwilę siedzieli w obitych sztuczną skórą fotelach, przegryzali biszkopt i siorbali kawę, nie mówiąc ani słowa. Mike pamiętał uczucie, które go wtedy trawiło. Jakby miał wybuchnąć od środka, jakby sprzeczne pragnienia rozrywały jego ciało na kawałki. A jeśli rzuciłby się na chłopca i przewrócił go, udając zapaśnika albo po prostu go przytulił lub klepnął po policzku, żeby się obudził? Do niczego takiego nie doszło.

- A ten... Sune?

Szczeka mu się napięła, gdy miał wypowiedzieć to imię.

Robin wzruszył ramionami i pociągnął nosem.

- Jest w porządku.

Po krótkiej chwili chłopak zebrał się w sobie i uśmiechnął z przekorą.

- Choć cholerny z niego tłuścioch. Wygląda jak Jabba de Hutt z Gwiezdných Wojen. Sune the fucking Hutt!

Zaśmiali się szorstko i zaczęli razem udawać ropuchowaty głos Jabby, boksując się wzajemnie po ramionach i śmiejąc jeszcze bardziej. Ale nie można powiedzieć, że było dobrze. Bynajmniej. Chłopak wyglądał tak niepozornie, kiedy strażnicy prowadzili go korytarzem do wyjścia.

*

Złomowisko samochodów znajdowało się kawałek za miastem, przy drodze na Spjutstorp. Było to odludne miejsce w szczerym polu, gdzie czarne gawrony żerowały na robakach w bruzdach ziemi. Mgła, która powróciła, unosiła się jak delikatny welon

nad brunatną glebą. Budynki otaczało wysokie ogrodzenie. Z oddali wyglądały niemal jak fort. Komin kopcił ciężkim dymem.

Mike zatrzymał samochód na szutrowej drodze przed bramą. Może powinien był wcześniej zadzwonić? Ale Dragan powiedział przecież, że wystarczyło tam tylko pojechać. Zapewnił też, że Borys potrzebuje kogoś do pomocy. Nie było się nad czym zastanawiać. Wrzucił jedynkę i samochód powoli wtoczył się na podwórkę.

W chwili, gdy otworzył drzwi auta, usłyszał przytłumione warknięcie, po którym nastąpiło żądne krwi szczekanie. Przymknął drzwi i niespokojnie rozejrzał się wokół. Psy były najgorszą rzeczą na świecie. W każdym razie zaraz po kotach. Nie grało żadnej roli, czy były to zadziorne mopy podłogowe, czy wielkie, toczące ślinę bestie. Zdradzieckie diabelstwo. Nie mógł za żadne skarby zrozumieć, jaki był z tego pożytek, by trzymać je wśród ludzi. Miał nadzieję, że ten tutaj jest porządnie przywiązany.

Nie był.

Doberman stał zaledwie kilka metrów od samochodu i ujadał, odsłaniając kły. Był to ogromny potwór z lśniąco-żółtymi ślepiami. Mike wziął głęboki oddech.

Może ktoś przyjdzie i go ujarzmi? Czekał, bębniąc nerwowo palcami o kierownicę. Nic się nie wydarzyło.

Spoglądał przez przednią szybę. Na podwórku zgromadzono tuzin aut gotowych do rozbiórki. W dwóch oknach domu paliło się światło. Naprzeciwko znajdował się budynek, który na pierwszy rzut oka mieścił warsztat i małe biuro. Nieco dalej Mike zauważył otwartą bramę, prowadzącą na większe podwórze za domem, gdzie stało jeszcze więcej wraków. Tuż obok sierry, w której siedział zabarykadowany, dostrzegł jedyny odrobinę nowszy samochód. Był to ubłocony jeep marki Mitsubishi.

Po chwili zobaczył dziwny posąg, stojący przy schodach prowadzących do domu. Ciężkie popiersie z granitu na kamiennym piedestale. Przedstawiało mężczyznę

o wyrazistych rysach. Miał na głowie czapkę wojskową z gwiazdą na czole. Bez wątpienia był przywódcą o wielkiej sile.

Mike długo przyglądał się postaci, nie rozpoznając jej. W pobliżu nie było żadnej żywej istoty z wyjątkiem psa, który nie przestawał ujadać.

„Nie mogę tu siedzieć cały dzień jak jakiś mięczak” – pomyślał Mike. Spojrzał na zwierzę i poczuł na plecach nagły dreszcz. Drzwi do domu były w dalszym ciągu zamknięte, prawdopodobnie nawet na klucz. Nie miał szans, by zdążyć tam dobiec, zanim pies go dopadnie.

„Może równie dobrze będzie stąd odjechać – przeszło mu przez myśl. – Zdaje się, że i tak nie ma nikogo w domu.” Zawahał się jednak. Wprawdzie nie wiedział dokładnie, do jakiej pracy zamierzał przeznaczyć go Borys, ale rozmawiając z Draganem odniósł wrażenie, że handlarz złomem nie szuka raczej tchórze, który bałby się byle psa. A jeśli obserwował go przez okno? Czmychnięcie z podkulonym ogonem nie wyglądałoby dobrze.

Właśnie w chwili, gdy najbardziej tego potrzebował, przez głowę przemknęła mu odważna myśl. Fantom! Jak on zwykł to robić? Mike wertował śpiesznie opasłe archiwum starych komiksów w swojej głowie, aż znalazł to, czego szukał. Sztuczka z psem, którą wykonał Fantom.

Nabrał powietrza do płuc, otworzył drzwi samochodu najspokojniej jak umiał i rozprostował nogi. Doberman wydobył z siebie jeszcze jedno zdławione szczeknięcie i napiął ciało do ataku. Ale w chwili, gdy miał już ruszyć, Mike naprężył wszystkie mięśnie brzucha, aż krew uderzyła mu do głowy i zabarwiła twarz na wściekłe czerwony kolor. Z jego ust wydobył się jeden krótki ryk, który zagrzmiął na podwórku jak burza z piorunami.

– Cisza!

Pies natychmiast umilkł.

Mike uniósł powoli rękę, celując dwoma palcami w oczy zwierzęcia. Nieustraszony niczym poskramiacz lwów, popatrzył w żółte ślepia i opuścił dłoń ku ziemi.

Pies zaskamlał żałośnie i oblizał się, po czym położył się

plackiem w błocie.

W Mike'u zawrzała cicha radość.

– Ja pierdołę, zadziałało! – wybełkotał w zachwycie.

Nagle usłyszał głos za plecami.

– Imponujące. Doprawdy imponujące.

Odwrócił się błyskawicznie. Drzwi domu były teraz otwarte, a o futrynę opierał się rostry facet.

Mike spojrział ze zdziwieniem na psa, który siedział na podwórku potulnie jak owieczka, następnie znowu na mężczyznę w drzwiach.

– Chodź, Tito!

Doberman pomachał ogonem, przeparadował do swojego pana i polizał go z oddaniem po ręce. Mężczyzna podrapał zwierzę za uszami, a następnie posłał Mike'owi zagadkowy uśmiech.

– Możesz wejść – powiedział.

Mike rozejrzał się z konsternacją. Borys, pies i ten dziwny kamienny łeb na piedestale.

– Josip Broz – rzekł Borys stłumionym głosem. – Wielki przywódca. Nie powinni byli nigdy dzielić kraju.

Poważnie pokręcił głową, jakby właśnie przekazał bolesną wiadomość.

– Nie, jasne, że nie – zgodził się Mike.

Chyba słyszał już o tym człowieku.

Po chwili zauważył, że jego pracodawca zniknął w domu. Przeanalizował prędko, że nie było innej możliwości, niż za nim pójść.

W środku było ciemno i cicho. Na półce z butami stała para kaloszy i kilka potężnych trepów. Ściany wydzielały lekki zapach stęchlizny. W ponurym korytarzu znajdowało się dwoje zamkniętych drzwi. Trzecie były na wpół otwarte i prowadziły do salonu, gdzie w kominku żarzyło się kilka polan drewna. Przez próg pokoju, znajdującego się w głębi, padało światło. Ruszył szybkim krokiem naprzód i otworzył uchylone drzwi.

Borys siedział za biurkiem zawalonym stertą papierów. Mike nie wątpił, że przyjął go handlarz złomem we własnej osobie.

Mężczyzna przyglądał mu się w sposób zdradzający, że przywykł do wydawania rozkazów. Jego blisko osadzone oczy nadawały spojrzeniu natrętną intensywność. Mike poczuł się tak, jakby w jego twarz skierowany został płomień spawarki.

– Dragan mówił, że potrzebujesz pomocy.

Mężczyzna bez słowa wygrzebał papierosa z paczki i zapalił go z beznamiętnym spokojem, dając do zrozumienia, że nie ma powodu do pośpiechu.

– Cóż, tak więc to ja jestem Mike Larsson. Siedziałem w Kirseberg razem z Draganem.

– Usiądź.

Mike usłuchał. Spojrzał na psa, który leżał teraz na wypłowiełym orientalnym dywanie i ogryzał suszone świńskie ucho. Za biurkiem handlarza stał ciężki sejf, a obok niego regał wypełniony segregatorami. Komputer na biurku zdawał się być starszej daty. W jedynym oknie zwisały grube zasłony w kolorze winnej czerwieni, które wpuszczały tylko wąską smużkę dziennego światła. Na ścianie obok widniał obraz ze staroświeckim motywem. Wyglądał na wizerunek świętego.

– Sprawa ma się tak – rzekł Borys nieśpiesznie, z akcentem, który potwierdził Mike’owi, że mężczyzna miał korzenie w byłej Jugosławii. – Teraz, gdy Dragan siedzi za kratkami, potrzebuję chłopaka, który może mi pomóc we wszystkim po trochu. Kogoś, na kim mogę polegać. Rozumiesz?

Mike uśmiechnął się usłużnie.

– W takim razie znalazłeś właściwego człowieka.

– Tak mówisz?

– Jak najbardziej! Przez lata pracowałem w wielu miejscach, nawet na morzu. Zajmowałem się załadunkiem w porcie. Byłem zatrudniony u wulkanizatora. Co prawda siedziałem też trochę w pudle, ale nauczyłem się tam spawać i naprawiać różne rzeczy. To się chyba może tutaj przydać...?

Borys skinął głową w zadumie.

– A czy ta sierra, którą tu przyjechałeś, jest twoja?

Policzki Mike’a zapłonęły. Zaczął wiercić się na krześle i kilka

razy zakastał sucho w zwiniętą dłoń. „Będzie równie dobrze, jeśli powiem prawdę” – pomyślał.

– Cóż, po wyjściu z kicia chlapnąłem kilka piw przy Møllevångstorg. Wiesz, człowiek robi się spragniony. A potem zabrałem ten wóz tak jakby przez przypadek...

Mike uśmiechnął się krzywo. Masywna twarz po drugiej stronie biurka przybrała gwałtownie ciemniejszy odcień. Lecz zaraz rozpromieniła się w ojcowskim uśmiechu.

– Załatwimy to. Jeżdżenie kradzionym autem to kiepski pomysł. Możesz na razie pożyczyć coś ode mnie.

– To miło.

Borys rozpostarł dłoń w wielkodusznym geście, mamrocząc coś bezgłośnie. Mike pomyślał, że powinien zadać jakieś pytanie.

– Do jakiej pracy mnie przeznaczysz?

– Będziesz przyjmował samochody. Rozbierał je i sortował. Sprzedawał części ludziom, którzy tu przyjeżdżają. Wszystko po trochu. Z czasem zobaczysz...

Umilkł i badał Mike'a swoim przenikliwym wzrokiem.

– Masz gdzie mieszkać?

Mike rozpromienił się.

– Pewnie. Zamierzam wprowadzić się do Króla Kul. Jest trochę trzaśnięty, ale ma wielki dom, który odziedziczył po swojej matce.

– Król Kul?

Po raz pierwszy handlarz zachowywał się tak, jakby nie do końca panował nad sytuacją. Mike zaśmiał się z zażenowaniem.

– Właściwie to nazywa się Roland Andersson. Mówią na niego Rolle. Ale dla przyjaciół jest Królem Kul. Ta ksywa to... ech, długa historia. Najważniejsze, że ma duży dom, w którym znajdzie się miejsce i dla mnie, i dla Robina.

– A Robin... to twój syn?

Mike dostrzegł błysk ciekawości pod podniesioną brwią Borysa i ponownie poczuł, jak duma rozgrzewa mu pierś. W mgnieniu oka wyłowił fotografię z portfela.

– Czternaście wiosen. Wykapany tatuś.

Mężczyzna wziął zdjęcie z dłoni Mike'a z ostrożnością, o którą ten by go nie podejrzewał. Długą chwilę siedział całkiem cicho i przyglądał się fotografii. Gdy w końcu podniósł twarz, Mike zauważył, że była odmieniona. Jakby płomień spawarki zgasł.

– Ja też miałem syna – powiedział handlarz bezdźwięcznie, jakby nie obchodziło go, czy ktoś słucha. – Umarł. Zabili go podczas tej cholernej wojny.

Jego szorstka dłoń drżała, gdy oddawał fotografię Mike'owi.

– Dbaj o swojego chłopca – powiedział cicho. – Dla mężczyzny nie ma nic lepszego, niż posiadanie syna.

Rozdział 6

Olbrzymi kasztanowiec nie wyglądał zdrowo. Większość liści opadła przedwcześnie, a te, które jeszcze trzymały się gałęzi, pokryte były brązowymi plamami, jakby zaatakowała je zaraźliwa choroba.

Mike przyglądał się żaloszemu drzewu. „Na górze powinien być jeszcze stary domek” – pomyślał, szukając wzrokiem.

W rozwidleniu znajdującym się kilka metrów nad ziemią, tam, gdzie gruby pień rozchodził się na trzy strony, zwisała zmurszała deska, dyndając na zardzewiałym gwoździu. To tam po kryjomu palili papierosy. Mike uśmiechnął się do siebie. John Silver bez filtra. Stara Rollego lubiła, kiedy darło w gardle. Przez ostatnie lata skrzeczała już jak wrona. Mike mógł niemal poczuć na języku smak jej lepkiego likieru bananowego. Często podkradali butelki ze starego barku fabrykanta podgrzewaczy i wlewali je w siebie na górze w sekretnym domku. Dopóki Rolle nie zrobił się tak gruby, że nie był już w stanie wspiąć się po drabinie, siadywali tam co wieczór, ukryci za gęstym listowiem i marzyli o przyszłych podbojach.

Dom był, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej ponury niż kasztanowiec. Kępy barszczu i chwastów, które otaczały go wilgotnym objęciem, sprawiały że wyglądał, jakby miał zapaść się w ziemię. Szary tynk był popękany, a czerwona farba z wiatrownic rozplynęła się wzdłuż fasady niczym krwawe łzy. Z komina, buchał biały dym jak męczący kaszel gruźlika. Sroka, która przycupnęła na kalenicy, wyglądała, jakby zrobiła sobie krótką przerwę w zabiegach mających na celu zacopowanie gałązkami przewodu dymowego.

Do wejścia prowadziły wysokie kamienne schody, godne pałacu. Mike nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Ostrożnie je otworzył, nasłuchując odgłosów z wnętrza domu.

Muzyka.

Muzyka bożonarodzeniowa.

Ktoś w środku odtwarzał kolędy, mimo że trzeba było jeszcze czekać ponad dwa miesiące do czasu, aż święty Mikołaj przybędzie z prezentami i radosnym pohukiwaniem na ustach, by przypomnieć, że syn Boga narodził się w żłobku w stajni dla osiołków, hen, daleko w Betlejem... Czy jak to tam było.

– Ci-icha noc..., świę-ęta noc – rozbrzmiewało w całym domu.

Przez ciało Mike'a przepłynęła fala ciepła. W pewien osobliwy sposób czuł, że nareszcie przybył do domu. Rzucił torbę na podłogę i zawołał, nie jak dopiero co zwolniony recydywista, ale mężczyzna, który tego samego ranka zjadł w domowej kuchni starannie przygotowane śniadanie, przeczytał gazetę, pocałował z czułością żonę w policzek i rozwichrzył pieszczotliwie włosy dzieci, po czym rozpoczął kolejny, wypełniony sensem dzień swojej ciężkiej pracy, a teraz wracał na bezpieczne łono rodziny.

– Halo? Jest tam kto?

Król Kul przebywał w salonie. Był całkowicie zaabsorbowany ubieraniem choinki i pochłonięty bożonarodzeniową muzyką. Nucił coś pod nosem z marzycielskim wyrazem twarzy. Co jakiś czas wykonywał kilka tanecznych kroków. Obok niego na podłodze stało olbrzymie, kartonowe pudło, wypełnione małymi kulkami z przezroczystego plastiku. W rękach trzymał nożyczki i rolkę czerwonej, jedwabnej tasiemki. Potężny mężczyzna kręcił się radośnie po wielkim pokoju jak po królestwie snów, wydobywał nieśpiesznie z pudła po jednej kulce, dokładnie przyglądał się zawartości każdej z nich, po czym decydował, na której gałązce je zawiesi.

– Cześć Rolle! – krzyknął Mike.

W okamgnieniu czar prysł. Olbrzym wzdrygnął się jak porażony prądem. Całe jego cielsko zachwiało się, a plastikowa

kulka, którą zamierzał właśnie zawiesić na jednej z najwyższych gałązek choinki, spadła na podłogę, gdzie pękła na dwie części z katastrofalnym traskiem. Na parkiet wytoczyło się małe, czerwone serduszko.

Na Mike'a spoglądała para jasnoniebieskich oczu, przepełnionych poczciwością.

– Jasny gwint, ale mnie wystraszyłeś, ty dupku!

Mike rozpromienił się w zachwycie, rozłożył umięśnione ramiona jak do serdecznego uścisku, po czym szybko się przykurczył, przybierając pozycję bokerską, i wymierzył kilka udawanych ciosów w stronę przyjaciela z dzieciństwa.

– Królu wszystkich królów kul! Do stu diabłów, a więc nic się nie zmieniłeś!

Znajomy zapach potu, który otoczył Mike'a wraz z miękkim uściskiem, napełnił go poczuciem bezpieczeństwa. Był niegroźny i bezpretensjonalny. Mike wziął kilka głębokich oddechów, zanim wydostał się spod pachy przyjaciela. Następnie kiwnął głową w stronę kartonu.

– Znowu zrobiłeś skok?

Król Kul otrzymał swoje przezwisko właśnie za sprawą takich plastikowych kulek. W pewnym okresie życia stały się jego manią. Sam twierdził, że było to jedyne przestępstwo, jakie kiedykolwiek popełnił. Wyrokiem sądu rejonowego w Ystad został trzykrotnie objęty kuratelą za niemal identyczne napady rabunkowe. Uzbrojony w młot Rolle włamywał się do spożywczaka, rozwałął automat i zgarniał przezroczyście kulki z ich połyskującą zawartością: plastikowymi ozdobami, breloczkami i dziwacznymi figurkami we wszystkich kolorach tęczy. Nigdy nie troszczył się natomiast o to, by wygrzebywać monety pięciokoronowe, gdyż było to zbyt skomplikowane. Mimo to policja i tak we wszystkich trzech przypadkach złapała go niemal na gorącym uczynku. Roland Andersson był osobą, którą nietrudno było zauważyć. W starym volvo, które w tamtym czasie posiadał, znaleziono sterty pustych, rozłupanych na pół kulek, które upodabniały samochód do wiewiórczej dziupli na wiosnę.

– Nie, do diabła. Zapłaciłem za wszystkie.

Gdy Król Kul ujrział powątpiewanie w oczach Mike'a, jego blada twarz przybrała najpierw rozgniewany wyraz, lecz chwilę potem rozpromieniła się w uśmiechu, który sprawił, że pucołowate policzki mężczyzny zmarszczyły się, tworząc fałdy przy uszach.

– Mike, szkoda, że cię tam nie było – zaśmiał się. – Niezły wariat z tego gościa w markecie!

– Jak to?

Wesołość przyjaciela udzieliła się i Mike'owi. Poczł znajome łaskotanie w dołku.

– Rozmieniłem w kasie pieniądze, by dostać całą górę pięciokoronówek, tak jak to robię, odkąd postanowiłem być uczciwy. Ale automat był prawie pusty, więc kiedy wyostałem już ostatnią kulkę, poszedłem do naczelnika i poprosiłem, by napełnił maszynę. I wiesz, co ten idiota odpowiedział?

– Nie?

– Daj mi pięćset koron i weź sobie od razu całe pudło, to nie będę musiał napełniać automatu. W paczce jest dokładnie sto kulek. Tak mi powiedział.

Z gardła Rollego wydobył się zachwycony rechot. Jego brzuch, opięty flanelową koszulą, falował w górę i w dół.

– Kapujesz?

Mike potrząsnął głową z rozbawieniem.

– Nie bardzo...

– On kompletnie nie pojął sensu! Najważniejsze w tym wszystkim są przecież emocje. To, że nigdy nie wiadomo, jaka kulka wytoczy się z automatu.

Dom był dla Rollego bezpieczną przystanią na ziemi, królestwem, którym rządził niepodzielnie i które niechętnie opuszczał. Tak jak oczywistym było, że nigdy nie odwiedzi Mike'a w więzieniu, tak teraz naturalnym było dla niego, że pozwoli przyjacielowi wprowadzić się do siebie na bliżej nieokreślony czas.

Roland Andersson cierpiał nie bez powodu na paniczny lęk przed instytucjami, lecz jego serce było wielkie i przestronne niczym zagrożone atakiem bombowym centrum handlowe.

Do tego byli przecież braćmi krwi, nawet jeśli Mike'owi nie udało się uratować kolegi tamtego dnia przed niemal trzydziestoma laty, gdy ojciec Rollego postanowił wysłać swojego syna do wariatkowa. Dużo bimbrowo upłynęło od tamtego czasu, lecz dla obu owo wydarzenie stało się punktem zwrotnym w życiu. Mike w dalszym ciągu nie mógł myśleć o tamtym zajściu bez fali gorąca napływającej do skroni i ciemnego spojrzenia w oczach, które obce mu osoby nazwałyby bez wątpienia morderczym.

Bogowie, o ile w ogóle istnieli, powinni wiedzieć, że próbował...

O rodzicach Mike'a nie można było wiele powiedzieć. W każdym razie jeśli pytano jego samego. Zgodnie z tym, co słyszał z opowiadań, jego ojciec pracował jakiś czas w rzeźni Scans. Starsi ludzie twierdzili, że już w czwartej klasie był środkowym obrońcą, którego wszyscy się bali, później zasłynął jako awanturnik w klubie Gislövs Stjärna. Wspomnienia samego Mike'a były mętne. Widział wściekłą postać, siedzącą przy kuchennym stole i pytającą z rozdrażnieniem, czy podanie posiłku musi zawsze zajmować tak cholernie dużo czasu. Masywne plecy, skołtunione włosy na karku i pięści, przed którymi trzeba było mieć się na baczności. To nie były ręce, a śmiercionośne maczugi. Miały grube, żółte fałdy, powstałe od używania topora rzeźniczego i zawieszania tusz wieprzowych na hakach w chłodni. Nie można było przechodzić zbyt blisko nich. Przecinały powietrze bez ostrzeżenia, wymierzając siarczyste policzki. Gdy Mike miał pięć lat, Oskar Larsson został zwolniony z rzeźni i opuścił dom, by nigdy więcej nie dać o sobie znaku życia. Jego syn nigdy za nim nie tęsknił.

Czy Dagmar Larsson odczuwała jakąkolwiek stratę po swym zbiegłym małżonku? Tego nie można było definitywnie stwierdzić. Była niepozorną istotą. Chudą, niemal przezroczystą. Miała tak filigranową budowę ciała, że Mike jako dorosły

mężczyzna zawsze wyobrażał sobie, w jak piekielnych bólach musiała go rodzić. Był przecież solidnym kawałem dzieciaka już wtedy, gdy pojawił się na tym łez padole.

Dagmar utrzymywała siebie i syna ze sprzątaniam. Jednym z jej klientów był fabrykant Malcolm B. Andersson, którego murowany dom pod olbrzymim kasztanowcem, leżący w odległej dzielnicy Adelsberg, był jednym z największych w miasteczku. Mike spotkał Rollego po raz pierwszy, gdy towarzyszył swojej matce w pracy, kilka dni przed tym, nim rozpoczął szkołę.

Nerwowy grubas – takie było jego pierwsze wrażenie.

Lecz gdy Mike dostrzegł gigantyczny tor wyścigowy z elektrycznymi samochodzikami, które wiły się niczym czarny wąż boa pomiędzy nogami krzesła i wezglowiem łóżka, poprzez lesiste tunele z masy papierowej, po stromych stokach, i które w końcu wyjeżdżały przez niewielkie drzwi wahadłowe nawet na balkon przy pokoju Rollego, było już po nim.

Co za szczęście!

Tata Rollego, Malcolm B. Andersson, dorobił się pokaźnej fortuny na swojej fabryce, gdzie czterdziestu nędznie opłacanych pracowników wytwarzało świece zwane podgrzewaczami, przeznaczone zarówno na eksport, jak i na rodzimy rynek. W domu był tyranem. Rzadko zdarzało się, by nie pastwił się nad swoim synem za to, że chłopak wiecznie siedział w swoim pokoju i dłubał w tym cholernym torze wyścigowym lub oddawał się marzeniom, czytając sterty książek, które uparcie przywlekał ze sobą z biblioteki. Malcolm B. Andersson żywił nadzieję na to, że wychowa swoje własne odbicie: sportowca, który zostanie oficerem rezerwy w pułku pancernym w Ystad, a następnie przejmie imperium podgrzewaczy rodziny Anderssonów. Gdy zrozumiał, że z jego nasienia zrodził się tchórzliwy mól książkowy z tendencją do tycia, był głęboko zawiedziony.

Fabrykant zakładał, że syn odziedziczył swoje skłonności po matce. Wcześniej zorientował się, że małżeństwo z Lisbet, zwaną przez wszystkich „Lillan”, było pomyłką. Wprawdzie

w młodości była blondwłosą piękną i pożądaną zdobyczą na okolicznych parkietach, lecz miała słabe nerwy i Malcolm B. nie mógł powstrzymać irytacji, gdy przybierała wygląd spłoszonego cocker spaniela, ilekroć tylko podnosił głos. Spozregł jednak szybko, że rozwód kosztowałby go połowę majątku, z którego nie miał najmniejszej ochoty zrezygnować. W konsekwencji rozwiązał swój dylemat poprzez coraz częstsze wyjazdy do Ystad i noclegi w hotelu Continental w towarzystwie pań lekkich obyczajów. Lillan, przytłoczona niezadowolaniem fabrykanta, zaczęła zaglądać do kieliszka. Kiedy Roland kończył piętnaście lat, była już wrakiem.

Nie było wątpliwości, że syn był nieco dziwny. Z wiekiem coraz wyraźniej przejawiał brak piątej klepki, jak twierdził jego ojciec. W jednej chwili szalał jak szczur w klatce, a po sekundzie stawał się apatyczny, jakby był niedorozwinięty. Malcolm B. Andersson nie zdołał jednak zauważyć, że ten drugi stan przytrafiał się najczęściej, gdy on sam znajdował się w pobliżu.

Fabrykant próbował ożywić chłopca własnymi sposobami, z których jeden był bardziej sadystyczny od drugiego. Ogłaszał głodówki i zmuszał Rollega do lodowatych kąpeli. Gdy to nie pomogło, założył swoje najcięższe buty myśliwskie. Z mocnymi przytupami i triumfem w oczach maszerował po pokoju chłopca, śpiewając głośno pieśń Horsta Wessela, aż z ukochanego toru wyścigowego jego syna pozostały jedynie małe czarne okruchy. Robił to wszystko, aby – jak sam się wyraził – sprawić, by gnojek zareagował.

W końcu zdecydował, że potrzebna jest fachowa pomoc.

Pewnego popołudnia, gdy pogrążeni w myślach Mike i Roland siedzieli w pokoju na górze, zaciągając się papierosami przy otwartych oknach, zupełnie niespodziewanie zobaczyli ojca nadjeżdżającego swoim ciemnozielonym mercedesem. Chłopcy ledwo zdążyli wyrzucić niedopałki przez okno, gdy drzwi do pokoju gwałtownie się otworzyły.

– Zbieraj się, Rolle! Jedziemy do Lund.

– Co?

– Nie słyszałeś? Jedziemy do Lund. Jest tam doktor, który cię

zbada.

Roland zamrugał nerwowo oczyma i podniósł się niezdarnie na kanapie, na której leżał wyciągnięty.

– Nie... nie chcę jechać do żadnego do... doktora – wyjąkał.

– Nie pytam, czy chcesz, czy nie. Uspokój się i rusz swoje tłuste dupsko. Zaraz wyjeżdżamy.

Potężny korpus fabrykanta wypełniał całą ramę drzwi. Wyglądał jak siwiejący bóg piorunów z zimnymi oczyma, podobnymi do dwóch niklowych pocisków. Mike obserwował go ze zgrozą. Nieraz widział, jak jego przyjaciel dostawał lanie bez wyraźnej przyczyny. Teraz wyglądało na to, że wszystko działo się na poważnie.

Rolle podniósł się niechętnie z kanapy. Zapiął guzik koszuli i podciągnął dżinsy, które zsunęły się tak, że widoczna była górna część bruzdy między jego rozlanymi pośladkami. Ojciec spoglądał na niego ze wstrętem.

– Nie chcę... – mamrotał Roland, gapiąc się na pasiasty dywanik ze szmatek.

Trzasnęło jak z bicia, gdy dłoń fabrykanta trafiła w policzek syna. Głowa chłopca odchyliła się do tyłu. Cztery czerwone paski na twarzy zdradzały, gdzie wylądowała karcąca ręka ojca.

– W tej chwili!

Malcolm B. wskazywał bezwzględnie drzwi.

– Czemu mamy jechać do Lund...? – szlochał Rolle.

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to mają tam szpital psychiatryczny. U Świętego Laurencjusza. Leczą tam takich jak ty.

Po policzkach Rollego, na których wciąż jeszcze widniały czerwone smugi po palcach ojca, spływały wielkie, okrągłe łzy. Pociągając nosem, wycierał twarz rękawem koszuli. Stał niezgrabnie i całkiem bezradnie na środku swojego pokoju, nie będąc w stanie podjąć żadnej decyzji. Wyglądał jak olbrzymie niemowlę, które równie łatwo można było pokochać, jak i nim wzgardzić. W tym momencie Mike zdał sobie sprawę, że musi zainterweniować.

Przez osiem lat znajomości chłopców połączyła nie tylko

bliska, choć nieco osobliwa przyjaźń. Obaj także urosli. Podczas gdy Rolle przybierał kilogram po kilogramie, Mike zdołał uformować sobie sporo mięśni za pomocą starej, zardzewiałej sztangi zakupionej na pchlim targu, zorganizowanym przez klub sportowy.

Powoli, czując w piersi, że coś się teraz rozstrzygnie, wstał z kanapy, objął przyjaciela obronnym ramieniem i wytrzeszczył oczy na fabrykanta. Pora na ostateczną rozgrywkę!

– Rolle, nie jedź tam. Święty Laurencjusz to dom wariatów. Jeśli nie jesteś idiotą, kiedy tam przybywasz, to oni i tak postarają się, żebyś nim został.

Po tych słowach zapadła absolutna cisza. Cisza, w której dźwięk szpilki spadającej na podłogę mógłby zabrzmieć jak huk olbrzymiego pręta zbrojarskiego uderzającego o beton.

Po chwili Malcolm B. Andersson zareagował z jeszcze większą porywcznością. Jego prawe ramię wystrzeliło jak z procy. Pięść wylądowała z impetem na twarzy Mike'a. Nie zwlekając ani sekundy, fabrykant podgrzewaczy uderzył jeszcze lewym sierpowym, w którym zgromadzona była cała siła, odróżniająca dorosłego mężczyznę od najlepiej wytrenowanego piętnastolatka. Nim Mike upadł na ziemię, był już nieprzytomny.

Dużo później dane mu było dowiedzieć się, co miało miejsce w Lund. Gdy Malcolm B. Andersson dotarł do starych budynków szpitala Świętego Laurencjusza położonych na terenie zielonego parku przy szosie na Malmö, wprowadził swojego syna do izby przyjęć, trzymając jego kark w stanowczym uścisku. Wiedział dokładnie, co należy zrobić.

– Lobotomia! – warczał. – Mojego syna należy poddać lobotomii.

Dyżurujący psychiatra po szczegółowym zbadaniu Rolanda przyznał, że chłopiec wymaga opieki. Lecz lobotomia wydawała się zbyt agresywna. Ponadto wyjaśnił zrzędcącemu fabrykantowi, że metoda nie jest już stosowana. Jego syn

powinien natomiast definitywnie pozostać w szpitalu na obserwacji i leczeniu.

Nigdy do końca nie wyjaśniono, na co cierpiał młody Roland Andersson. Jedyna diagnoza postawiona przez lekarzy ponad wszelką wątpliwość głosiła, że chłopak nie był zdrowy. W związku z tym personel u Świętego Laurencjusza był zmuszony działać metodą prób i błędów.

W kolejnych latach Roland musiał pakować w siebie kilogramy kolorowych tabletek, dawać się przypinać do łóżka pasami i poddawać elektrowstrząsom, aż w kącikach ust pojawiała się piana. Był także zmuszony przecierpieć tysiące godzin psychoterapii, która zawsze wydawała mu się bezsensowna.

Wkrótce jednak fabrykanta spotkała kara. Zaledwie kilka miesięcy po tym, jak zamknął w szpitalu psychiatrycznym dziwoląga, którego miał za syna, dostał ataku serca i zmarł na miejscu w jednym z pokoi hotelu Continental. Wyzionął ducha, leżąc na golasa, z rękoma i stopami przykutymi do łóżka przez polską prostytutkę, która tego popołudnia przybyła do Szwecji promem ze Świnoujścia.

Lillan Andersson okazała się być ulepiona z twardszej gliny. Chociaż haniebna śmierć małżonka doprowadziła kobietę do zwiększenia konsumpcji koniaku i słodkich likierów, zdołała utrzymać swoje coraz to mizerniejsze ciało przy życiu jeszcze przez dekadę, zanim jej serce przestało bić. Roland polecił, by pogrzebano ją na cmentarzu pod drogocenną bryłą z czarnego marmuru. Jej nagrobek umieszczono w bezpiecznej odległości od wystawnego grobowca fabrykanta, który to, zgodnie z testamentem mężczyzny, miał być miejscem jego ostatniego spoczynku. Przynajmniej po śmierci kobieta dostała możliwość uchronienia się przed tym upierdliwcem.

Sprzedaż fabryki nie przyniosła wiele pieniędzy. W tym czasie producenci podgrzewaczy mieli poważną konkurencję w postaci chińskich i nadbałtyckich firm, więc działalność była ledwo opłacalna.

Mimo to nieprzejeźdny Roland Andersson, zwany przez

garstkę kochających przyjaciół Królem Kul, otrzymał swoje królestwo ponury, kamienny dom pod wiekowymi kasztanowcami, których liście zaczęły po jakimś czasie nosić znamiona choroby.

Rozdział 7

Roine Lind pojawił się punktualnie. W momencie, gdy po domu rozniosło się ostatnie z dziewięciu złowieszczych uderzeń mahoniowego zegara stojącego w salonie, ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

Mike spojrzył kątem oka na Rollego, który właśnie opadł na wytartą sofę przy choince. Przyjaciel skinął na niego zachęcająco i uśmiechnął się.

– A man's got to do what a man's got to do. Mus to mus. Otwórz, do cholery.

Rolle wyglądał bardzo strojnie. Naciągnął na swój potężny korpus świeżo wypraną czerwoną koszulę flanelową, a do tego przyliżał włosy tak, że przylegały teraz płasko do czaszki, rozdzielone na środku równiutkim przedziałkiem. Jego klatka piersiowa wciąż intensywnie falowała po porannym wysiłku.

Poprzedniego wieczora Mike ustawił wczesną pobudkę na swoim telefonie komórkowym. Aby przeprowadzić wielkie sprzątanie u Króla Kul, trzeba było zacząć od podstaw. Od wschodu słońca harowali jak szaleni. Już samo zebranie pustych butelek, kartonów po pizzy, stert puszek po konserwach, starych gazet oraz innych kłopotów i upchnięcie tych śmieci pod plandeką w ogrodzie na tyłach domu zajęło im dobrą chwilę. Do skrzyni w piwnicy wpakowali obszerny skład kaset wideo z amerykańskimi filmami porno, z których większość dubbingowana była po niemiecku. Następnie uzbroili się w łopatki kuchenne i poświęcili dobrą godzinę na zdzieranie z mebli, ścian i podłogi pleśni, zaschniętych resztek jedzenia i zeszywniałych rozpaćkanych

plam, do których zidentyfikowania Mike'owi nie starczyło wyobraźni. W końcu Rolle tchnął życie w nieużywany od lat odkurzacz, po czym przemknął przez dom jak tornado, podczas gdy Mike podążał za nim z mopem, wiadrem z wodą i płynem do czyszczenia. Rzucił szybkie spojrzenie na toaletę na parterze i postanowił ją zamknąć. Pozostawało mieć tylko nadzieję, że pracownikowi opieki społecznej nie zachce się sikać.

Ponowne, dyskretne pukanie, po którym nastąpił dźwięk dzwonka sprawiło, że Mike podniósł się z fotela. Potarł twarz dłońmi i spróbował rozprostować zmięte rogi koszuli, którą znalazł na dnie swojej torby. W drodze do drzwi rzucił okiem na świąteczną dekorację Rollego. Wyglądała pięknie, zwłaszcza teraz, gdy salon był posprzątanym. Mike zadawał sobie jednak pytanie, co pomyśli o tym osoba, która nigdy nie miała okazji poznać właściciela domu.

Mężczyzna na schodach wyglądał, jakby się czegoś śmiertelnie bał, ale próbował za wszelką cenę tego nie okazywać. Na okrągłej, dziecięcej twarzy, którą zwrócił w stronę Mike'a można było dostrzec mały, szpiczasty nos, niemal niewidzialne usta i parę jasnoszarych oczu. Mimo że Roine Lind był na oko po trzydziestce, wydawał się nie mieć zarostu. Miał na sobie beżową marynarkę ze sztruku, a w ręku trzymał aktówkę ze stalowymi brzegami, podobną do tych, jakie Mike widział u adwokatów, którym przypadło to niewdzięczne zadanie, by bronić go w sądzie rejonowym.

– Roine z opieki społecznej – przywitał się mężczyzna skrzekliwym głosem. – Pan to pewnie Mike. Mogę wejść?

Mike uśmiechnął się przymilnie i ustąpił na bok, wykonując przy tym niezrozumiały gest.

Roine Lind rozwiązał pieczołowicie sznurówki swoich jasnobrązowych butów marki Ecco, które zaparkował przy drzwiach z milimetrową precyzją. Rozprostował palce w kredowobiałych skarpetkach i wyciągnął bladą dłoń. Mike, przekonany o tym, że silny uścisk dłoni wzbudza zaufanie, chwycił rękę gościa, lecz zdążył jedynie poczuć coś zimnego i wilgotnego, nim mężczyzna wywinął się z jego uchwytu.

- Czy możemy gdzieś usiąść?
- Oczywiście, proszę wejść.

Rolle musiał uwinąć się z szybkością błyskawicy. Gdy Mike wkroczył do salonu, prowadząc za sobą gościa, przyjaciel stał już przy choince ubrany w różowy, zdobiony koronką fartuszek po swej zmarłej matce. W rękach trzymał tacę, na której stały dwie filiżanki czarnej kawy, torcik czekoladowy i wazon z samotnym tulipanem.

- Witam w moich skromnych progach. A właściwie w naszych skromnych progach. Mogę zapewnić, że mamy zamiar dopilnować, by Robinowi było tutaj dobrze – rzekł promieniejąc, po czym postawił tacę na stole. – Pozwólcie panowie, że nie będę już przeszkadzał.

Rolle wypowiedział ostatnie słowa tonem, który w zamyśle miał być chyba poufny. Puścił oko i wyszedł z pokoju kołyszącym krokiem. Mike pokręcił ze zdziwieniem głową.

- Cóż... hmm – rzekł Roine Lind, odchrząkując nieśmiało.

Rozpiął aktówkę, którą położył obok siebie na sofie. Wydobył się z niej słodkawy zapach. Obok plastikowej teczki na dokumenty leżało jabłko, a tuż przy nim banan, którego skórka zaczynała brązowieć.

- Rozumiem, że chce pan ponownie przejąć opiekę nad swoim synem, Robinem. Urząd opieki społecznej uważa, że to bardzo dobry pomysł. Według szwedzkiego prawodawstwa w normalnych przypadkach to właśnie rodzice biologiczni mają do tego najlepsze predyspozycje. O ile rozumiem, matka chłopca nie jest dostępna?

Mike wzruszył ramionami.

- Można powiedzieć, że to był krótki epizod. Zniknęła prawie zaraz po urodzeniu dziecka.

Roine Lind rzucił Mike'owi niepewne spojrzenie, po czym zwilżył wąskie usta i zaczął szperać w papierach.

- Pan natomiast miał... długoletnie problemy.

- Ech... Problemy czy nie problemy. Zrobiłem kilka głupich rzeczy. Wszystko przez flaszkę. Jak się tylko trochę napiję, w mojej głowie zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Ale koniec

z tym. Rzuciłem picie. „Przestań tankować, zacznij trenować”, jak mawiał stary dobry redaktor Bedrup. Chłop świetnie pisał o sporcie, a do tego sam też wyszedł z nałogu.

Mike uśmiechnął się.

– Ale pan jest chyba zbyt młody, by go pamiętać. Pewnie nie było pana jeszcze wtedy na świecie?

Na twarzy kuratora pojawił się wyraz zmieszania.

– Najpierw moglibyśmy zająć się formalnościami – powiedział, przeglądając zawartość swej teczki. – Mike Lorne Larsson, urodzony w 1963 roku tu, w Tomelilla.

Przerwał i podrapał długopisem koniuszek nosa.

– To nietypowe imię. Nie mam oczywiście na myśli nic złego. Jest ładne, ale... nietypowe.

Gdy ciekawość Roinego Linda na krótką chwilę pokonała strach, w jego grdyce podskoczyło jabłko Adama.

– Można spytać o jego pochodzenie?

– To po Cartwrightach.

Mike patrzył na niego z kamienną miną. Delikatne pulsowanie nad uszami wysłało mu sygnał ostrzegawczy. Czuł, że zmienia mu się kolor twarzy.

– Aha...?

Mike uśmiechnął się z przymusem.

– Ich też pan nie kojarzy?

– Wręcz przeciwnie – zapewnił gorączkowo kurator. – Jako dziecko oglądałem powtórki.

– A, to w porządku – skinął Mike. – Mój ojciec był wrednym typem, ale lubił westerny, a w szczególności „Bonanzę”. Więc kiedy się urodziłem, stwierdził, że takie imię będzie pasować. I oczywiście miał w dupie, co myślała o tym moja matka.

– W dalszym ciągu nie rozumiem...

– Ulubieńcem wszystkich był Mały Joe, którego grał Mike Landon. Ponadto ojciec twierdził, że tata Cartwright był stylowym gościem. Aktor grający tę postać nazywał się Lorne Green. Ochrzcił mnie więc Mike Lorne...

Roine Lind przyglądał mu się z wielką powagą.

– Fascynujące.

Długą chwilę obaj siedzieli w milczeniu. Mike patrzył za okno, gdzie jesienna wichura targała gałęziami chorego kasztanowca. Po szybie spływał zimny deszcz. Kurator wyglądał, jakby się zapomniał. Jego wzrok błędził gdzieś pomiędzy połyskującymi kulkami na choince, której do tej pory na pozór nie zauważał. Nagle wzdrygnął się, jakby ktoś wyrwał go z pięknego snu.

– Cóż, przeprowadzamy takie wizyty, aby urząd był pewny, że dziecku zagwarantowane będą dobre warunki. Robin ma trochę trudności w szkole, ale umieszczenie go w domu Sunego i Gunborg Olssonów świetnie się sprawdziło. Sune cieszy się oczywiście zaufaniem w miasteczku. Wie pan zapewne, że jest przewodniczącym Partii Centrum w tych stronach? On i Gunborg przez lata przyjmowali do siebie wiele dzieci. Bardzo lubią dzieci.

Roine Lind skosztował kawy. Pomiedzy jego wargami pojawił się na chwilę wąski koniuszek języka.

– Zmierzam do tego, by panu powiedzieć, że może powinniśmy podejść do sprawy ostrożnie. Skonstruować jakiś plan dla Robina, aby mógł się przyzwyczaić. Jest przecież w trudnym wieku.

– Co pan ma na myśli?

Zbladł, słysząc warknięcie Mike'a.

– Cóż, z perspektywy prawnej jest pan w dalszym ciągu opiekunem dziecka, więc ma pan najświętsze prawo... Ale może warto byłoby rozłożyć to na etapy? Badać teren bez pośpiechu. Dla dobra dziecka.

Mike poczuł w żołądku ogłuszającą pustkę. Właśnie tego się obawiał: rozczarowania, które przeżył już tyle razy. Wszystko musiało się pogmatwać właśnie teraz, kiedy nareszcie udało mu się coś zaplanować. Ta fałszywa ckliwość kuratora sprawiała, że Mike'owi cierpła skóra. Dlaczego nie mogli mu po prostu uwierzyć? Zaufać, że na poważnie chce zacząć od nowa. Jasne, że Mike Larsson popełnił w życiu błędy. Mówiąc szczerze, nawet wiele błędów. Ale człowiekowi powinno się chyba dawać szansę? Może ludzie z urzędu chcieli dobrze, ale na nic się

to zdało. Przy pracownikach socjalnych takich jak Roine Lind, Mike czuł się zawsze jak motyl, który dopiero co z mozołem wykluł się z poczwarki, tylko po to, by wlecieć prosto w lepłą pajęczynę. Z wielkim trudem udało mu się zdławić impuls, by zacząć wymachiwać rękami i krzyczeć, aby się oswobodzić.

– Z dokumentów wynika, że mieszkał pan już przez jakiś czas z Robinem. Kilka razy w Malmö. I krótki czas tutaj, w Tomelilla... Nie układało się wam zbyt dobrze.

Mike patrzył zrezygnowany na młodszego o piętnaście lat kuratora, który siedział na sofie z zapoconymi dłońmi i przyklejoną do twarzy miną pełną zrozumienia. „Gówniarzu – westchnął w duchu. – Co ty wiesz o życiu?”

Potem spróbował jednak cofnąć się myślami w czasie. Od ostatniego razu minęła dobra chwila. Robin miał wtedy może jedenaście lat. Udało im się pomieszkać razem przez jakieś sześć miesięcy na osiedlu Lindängen w Malmö. Chłopak wpakował się w kłopoty i ledwo zaczął szkołę, już narobił sobie wrogów. Mike’a przejmował dreszcz, gdy przypominał sobie rozmowy z nauczycielami. Robin przez większość czasu chodził zły. Wreszcie, gdy Mike’a wykopali z firmy wulkanizacyjnej, wszystko się wykoleiło. Gdzie przebywał Robin, kiedy jego ojciec chłnął na umór? W tej kwestii Mike miał mętne wspomnienia. Zadrżał na całym ciele, czując głębokie wyrzuty sumienia. Tym razem będzie inaczej.

Podniósł wzrok z nowym postanowieniem.

– Dobrze, co pan proponuje?

– Tylko to, żeby podszedł pan do tego ze spokojem. Może się pan spotykać z Robinem, możecie robić coś razem jak ojciec z synem, aby chłopak miał okazję się przyzwyczaić, zanim zakończy pobyt w rodzinie zastępczej.

Roine Lind zamknął swoją aktówkę i wstał z kanapy. Uśmiechał się przyjaźnie. Z kuchni słychać było brzęk porcelany i wesołe pogwizdywanie. Rollemu najwyraźniej przypadła do gustu domowa krzątanina.

– Mam jeszcze tylko jedno pytanie – rzekł z ociąganiem.

Zerknął niespokojnie w stronę korytarza, jakby podejrzewał,

że ktoś podsłuchuje, po czym wyszeptał tajemniczo:

– Zastanawiam się nad jedną sprawą. Czy Roland Andersson i pan... czy jesteście... czy chodzicie...?

Mike spojrział na niego pytająco.

– Oczywiście nie wpłynęłoby to w żaden sposób na decyzję o umieszczeniu Robina u pana, ale chcielibyśmy wiedzieć, jak wygląda ta kwestia, aby sporządzić całościowy raport... – tłumaczył się Roine Lind.

– Ale o co panu chodzi?

– Chciałem spytać, czy pan i Roland... czy są panowie parą?

Na długą chwilę w głowie Mike'a zapanowała cisza. Potem wszystko zaczęło się przejaśniać. W trakcie tych kilku sekund, podczas których żeton turlał się w dół, by uderzyć o dno, mózg Mike'a zdążył sobie zadać podświadome pytanie: jak to impulsywne ciało, z którym był połączony, zareaguje na takie nieporozumienie?

Wybuchem wściekłości czy głośnym śmiechem?

W jakiś zdumiewający sposób facet z opieki społecznej wywnioskował, że Mike Larsson był pedałem!

Gdy krótko potem Roine Lind dreptał po schodach w stronę swojego nissana micra zaparkowanego przy krawężniku, w jego zawstydzonych uszach rozbrzmiewały salwy śmiechu Mike'a.

Rozdział 8

Trawler nie był dużo większy od białej kropki na horyzoncie, gdy dostrzegli go po raz pierwszy. Morze lśniło jak lustro, a krzyk mew krążących wokół masztu dobiegał wyraźnie aż do pirsu, z którego ojciec i syn przypatrywali się wodzie.

Robin wziął głęboki oddech i napełnił płuca świeżym powietrzem, pachnącym wodorostami i słonawą wodą. Spojrzał kątem oka na Mike'a, ostrożnie wciągając w nozdrza znajomą, lekko kwaśną od potu woń jego skórzanej kurtki. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, po czym znów zwróciły się ku błękitnemu ogromowi morza, jakby w cichym porozumieniu.

Stali tak w milczeniu, śledząc wędrówkę trawlera do portu. Stukot silnika diesla stawał się coraz wyraźniejszy. Woda pieniała się przy dziobie, a miękkie fale rozchodzące się za łodzią tworzyły idealne trójkąty, przetaczające się dalej w nieskończoność. Przy relingu stał mężczyzna w sztormiaku i czyścił dorsze. W równych odstępach czasu wyrzucał za burtę garść wnętrzości, które nim zdążyły musnąć powierzchnię wody, były porywane przez zachłannie trzepoczące skrzydłami ptactwo.

Dopiero kiedy trawler dotarł do pirsu i wpłynął do basenu portowego, mijając ich tak blisko, że mogli poczuć w nozdrzach kłujące opary oleju napędowego, Mike przerwał ciszę.

– To jest wolność!

– Trochę szlamowata...

Robin zmrużył oczy, patrząc na jesienne słońce, które jak na tę porę roku naprawdę prażyło, i udał, że nie widzi zmarszczki

niezadowolenia między brwiami Mike'a.

Słowa wyskoczyły mu z ust jak zabłąkana żaba. Sam nie rozumiał dlaczego. Właściwie to i on poczuł magię morza, choć tylko na kilka minut. Czar horyzontu. Tęsknotę, by uciec, uwolnić się od wszystkiego i wszystkich, by ani jeden człowiek na ziemi nie mógł wtrącić się w to, co on robi ze swoim życiem.

– Trzeba było zostać rybakiem – ciągnął Mike. – To byłoby coś, nie uważasz, Robin?

Szturchnął syna zachęcająco.

– Sam przeciwko siłom natury – filozofował, a w jego oczach pojawił się marzycielski błysk, gdy znowu spojrzął w bezkresną toń.

Robin wzruszył ramionami z irytacją.

– Że jak? Zamiast być pijakiem?

Kątem oka widział, jak twarz Mike'a poczerwieniała, a szczęka jakby napuchła, gdy ojciec zagryzł zęby. Robin zdawał sobie sprawę, co to mogło oznaczać i jakie ryzyko niosło za sobą kuszenie losu. Mimo to nie potrafił się powstrzymać.

– Oprawca śledzi – wybełkotał. – Gówniana robota. Chodzić i cuchnąć jak stary sracz.

Kopnął w kawałek betonu, który oderwał się od szczeliny w pokryciu pirsu i wpadł z pluskiem do wody.

– A poza tym dorsz jest na wykończeniu. Faceci łowią tylko kilka razy w roku, a potem zgłaszają się do opieki. Frajerzy!

Mike oddychał ciężko, lecz Robin nie dawał za wygraną. Kopnął jeszcze jedną bryłkę betonu, tym razem mocniej. Mewa, drzemiąca na palu, zaskrzeczała z przerażeniem i odskoczyła z toru lotu pocisku.

– Chociaż to mogłoby pewnie pasować takiemu zeru jak ty...

Nagle Robin poczuł się, jak w szczękach wielkich kleszczy. Mike złapał go za ramię i pociągnął tak, że chłopak okręcił się wokół własnej osi.

– Słuchaj no, gnojku! Za kogo ty się, do cholery, uważasz?

Z ust Mike'a bryzgała ślina, a jego twarz spotażniała i stała się czarna, niczym gradowa chmura.

– Pilnuj się...!

Chociaż Robin wiedział, że igrał z ogniem, nagła zmiana w nastroju ojca wyzwoliła w jego duszy gwałtowną reakcję. W pierwszej chwili się przestraszył. Potem otwarła się w nim śluza, która wypuściła wezbraną rzekę przekory i złości. „No, wybuchnij, ty zapity psie! – myślał. – Schlej się! Zniknij jak zawsze, pieprzony kiblowniku! Jebany dezernerze!”

Potem śluza się zamknęła. Robin przełknął wielką kulę w gardle i wstrzymał oddech. Z jego ust nie padło ani jedno słowo, ale za to z twarzy można było czytać, jak z otwartej książki.

Gałki oczne Mike'a wyglądały, jakby miały zaraz wyjść z orbit. Na skroniach wybrzuszyły się tętnice. Z jego włochatych nozdry wydobywał się syk.

„Cholera, że też się od razu nie zamknąłem” – przemknęło Robinowi przez myśl. Uścisk wokół ramienia zelżał.

– Porachuję ci gnaty, jak się zestarzejesz, parszywcu! – usłyszał swoje własne mamrotanie.

W oczach Mike'a zabłysł niebieski ognik, który przypuszczalnie był refleksem wody. Prychnął głośno. Z jego gardła dobył się zdławiony bulgot. Potarł dłonią zarost i wbił wzrok w ziemię. Gdy po chwili podniósł głowę, w kącikach ust pojawiło się delikatne drganie.

Wyglądało na to, że niebezpieczeństwo minęło. Robin rozmasował obolałe ramię i splunął do wody.

– No to gdzie ta zaszra łódź?

Właściciel holownika wyglądał tak, jakby przez pół roku spał w tym samym ubraniu. Znaleźli go drzemiącego na ławce przy stercie pustych skrzynek na ryby, ułożonych w stos na krawędzi nabrzeża, w pobliżu jednego z najbardziej wsuniętych w głąb lądu basenów portowych. U jego stóp leżał labrador o siwiejącym pysku, potargany co najmniej tak, jak jego pan. Dopiero, gdy podeszli całkiem blisko i Mike dyskretnie zakaszał, pies zwęszył ich, podniósł głowę i wydał z siebie zmęczone skomlenie. Ciało mężczyzny na ławce zadrgało.

– A więc jesteście...

Ośłonił ręką oczy przed słońcem.

– To ty dzwoniłeś w sprawie ogłoszenia?

– Tak jest. A pan to... Greger Kling?

– We własnej osobie. Ślicznotka, którą tam widzicie to M/S Wiekuista. Pogromczyńsi siedmiu mórz. Mocna jak wieloryb i szybka jak tuńczyk. Statek jedyny w swoim rodzaju!

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i rozpostarł ramię w zapraszającym geście, którym wskazał łódź przy nabrzeżu, wciśniętą między dwa wielkie trawlerzy do połowu śledzi.

Na sprzedaż: Okazja stulecia! – głosiła wypisana ręcznie tablica na relingu.

Mike wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął portfel. Zdjęcie na przyniszczonym od ciągłego składania i rozkładania ogłoszeniu było wprawdzie małe i zamazane. Jednak nie miał wątpliwości. Był to statek, o którym marzył przez tyle samotnych godzin w więziennej celi.

Holownik spoczywał ciężko na wodzie. Nad pomalowanym na czarno stalowym kadłubem wznosił się krótki maszt i mostek kapitański, do którego prowadziły otwarte drzwi. Po zewnętrznej stronie relingu zwisało pół tuzina przymocowanych łańcuchami opon samochodowych, które najwyraźniej służyły jako odbijacze. Pod wodą, lśniąca od plam oleju, widoczna była para potężnych śrub napędowych.

– W takim razie zapraszam na pokład.

Z niespodziewaną zwinnością Kling przestąpił nad relingiem, wskoczył gibko na mostek kapitański, po czym zszedł na półpiętro pod pokładem. Mike i Robin podążyli za nim. Uderzył ich zapach wilgoci i starych fusów z kawy. Kajuta wyglądała zupełnie jak małe mieszkanie. Znajdował się tu przymocowany do ściany stół z ławkami, aneks kuchenny z palnikiem do gotowania, a za przepierzeniem widoczne były cztery solidne koje. Na ścianie wisiała szabla, przytwierdzona za pomocą kilku gwoździ i stalowego drutu.

– To stara piracka łajba – rzekł Kling, mrugając do Robina.

– Chyba pan żartuje?

Nie pytając, mężczyzna nalał kawy z zardzewiałego termosu.

– Nie, do stu diabłów. Przez wiele lat należała do pewnego pirata z Karaibów. Zwał się Gudriksen. Zdaje mi się, że był Norwegiem, czy też może Holendrem. W każdym razie jego bazą był port w Curaçao. Stamtąd siał postrach na tym statku aż do Bahamów. Miał tylko trzech ludzi, a mimo to potrafił uprowadzać nawet olbrzymie wenezuelskie tankowce. Potem żądał okupu od właścicieli. Milionów dolarów. Ściagały go okręty wojenne ze Stanów, Wielkiej Brytanii i całej masy republik bananowych, ale Gudriksen znał karaibskie wody lepiej, niż własną kieszeń. Nigdy go nie złapali. Nie dowiedzieli się nawet, kim był. W końcu był już tak bogaty, że mógł porzucić piractwo i kupić największą fabrykę likierów w Curaçao. Siedział tam i popijał te swoje ulepki, aż zrobił się stary i zramolały, a zęby w gębie zaczęły mu gnić.

Robin uśmiechnął się niechętnie.

– Jasne...

– Ależ tak – ciągnął Kling. – Chociaż minęło już od tamtej pory kilka lat. Natomiast jeszcze niedawno łajba krążyła tam i z powrotem po Bałtyku. Ostatni właściciel kursował non stop do Polski, gdzie ładował ją do pełna wódką. Wyborową i Żubrówką. Wspaniałe trunki. Zarabiał na tym krocie. Lecz pewnego razu nie wytrzymał. Gdy płynął przez Cieśninę Bornholmską, otworzył jedną skrzynkę i zdrowo sobie pociągnął. Takie błędy zawsze się mszczą, tamte wody są zdradliwe. Traf chciał, że facet zoczył z kursu i wpłynął na mieliznę niedaleko Hammershus. Kurewsko trzasnęło, ale sami widzieliście, jaki ta łódź ma solidny kadłub. Łajba wyszła z tego bez jednego wgniecenia, chociaż skała, w którą uderzyła, pękła w pół. No i cóż, duńska służba celna oczywiście go schwytała. Skonfiskowali ładunek, a facet posiedziałby pewnie za kratkami do końca życia, gdyby nie był taki stary. Sąd w Ystad zadowolili się tylko kuratelą i resocjalizacją. Można więc powiedzieć, że władze mają go na oku.

Powoli wyciągnął ze schowka pod stołem butelkę i trzy kieliszki. Potem przyglądał się Robinowi przez dłuższą chwilę,

próbując ustalić jego wiek, po czym odstawił jedną ze szklaneczek. Wódka zachlupotała przyjemnie w przechylonej butelce. Mike uśmiechnął się szelmowsko.

– A co pan robił z tą łodzią?

– Ja... ech. Ja jestem tylko zgrzybiałym rencistą. Kiedy trzeba, naprawiam stare silniki w kanciapie nieopodał.

Kling wychylił szybkim ruchem kieliszek, stuknął nim o stół, po czym wydał z siebie pełne zadowolenia parsknięcie.

– Ta łajba jest warta majątek, ale ponieważ jesteś dobrym chłopem, dostaniesz wyjątkową cenę. Pół bańki! Co ty na to? Bierzesz ją od razu?

Gdy Kling wyciągnął do Mike'a swoją chropowatą rękę w zamiarze uściśnięcia jego dłoni, Robin zobaczył przed oczyma fantastyczną scenę filmową w zwolnionym tempie. Obraz ten napełnił go podziwem: Mike wyjmując z lodowatym spojrzeniem ze swojej przepastnej skórzanej kurtki paczkę owiniętą zmiętym szarym papierem i przewiązaną sznurkiem. Szybko przecina węzeł sztyletem, który niespodzianie zjawił się w jego dłoni. Na stole leżą dwa okazałe pliki banknotów pięćsetkoronowych. „No big deal, old man. The money is yours.⁶” Mike opiera się o ścianę z surowym wyrazem twarzy. Starzec promienieje z radości. W zachwycie zdiera gumki spinające pieniądze i zanurza swój wielki, czerwony nos w banknotach, napawając się ich zapachem. Potem Mike odwraca się do Robina, kładzie ciężką rękę na jego ramieniu i mówi głębokim głosem: „We are sailing at dawn, son.⁷”

Jednak reakcja Mike'a była daleka od wyobrażeń Robina. Wyglądał, jakby uszło z niego powietrze. Ku rozczarowaniu syna spojrzął tylko na Klinga i zrezygnowany pokręcił głową. Wypił swoją wódkę, beknął głośno i wydał z siebie ciężkie jak ołów westchnienie.

– To cholernie dużo pieniędzy...

– Możemy chyba skądś pożyczyć, tato?! – wybuchnął Robin. – Albo zrobić skok czy cokolwiek. Ta łódź jest przecież zajebista!

Greger Kling zaśmiał się przyjaźnie pod nosem i ponownie

odkręcił butelkę.

– I co, Mike? Posłuchasz swojego dzieciaka?

Kajutę wypełniło milczenie. Niemal nieznośna cisza. Robin obserwował ojca, czując że coś się w nim powoli rozsypuje. Nie podobał mu się ten widok. Ani trochę. Z jakiejś przyczyny pomyślał o rozmazanym tatuażu na ramieniu Mike'a, zakrytym teraz koszulą flanelową. Przedstawiał syrenę. Kiedy Robin był mały, na okrągło pytał, dlaczego ta babka z wielkimi piersiami miała tyłek ryby, jednak nikt mu tego nie wytłumaczył. Teraz myśl o tym niewyraźnym wizerunku przepełniła go nieprzyjemnym uczuciem, którego nie potrafił nazwać. Gdyby tylko mógł wymyślić, jak zdobyć forszę.

– No, tato!

– Czterysta patoli – usłyszał mamrotanie Mike'a.

Robina zapiekło w dołku. W spojrzeniu ojca było coś dziwnego, co nie przypadło mu do gustu. Gdyby tylko miał odwagę, chwyciłby go i potrząsnął nim z całych sił. Mike Niepokonany. Zdobywca niewieścich serc. Gość, któremu żaden skurwiol nie ważył się podskoczyć. Wyglądał na zmęczonego.

– No, tato! – powtórzył Robin.

Greger Kling uśmiechał się nieprzejeźdnie.

– Pół bańki, Mike. To dobra cena. Zostaw sobie czas do namysłu, mnie się nie spieszy. Ale chcę pół miliona. Powinno wystarczyć, żeby... – zanim dokończył, spojrzał kątem oka na Robina, zdradzając lekki niepokój – żeby kto inny nie wpakował się tu z butami.

*

Samochód, pożyczony przez Borysa Mike'owi był jeszcze gorszym gratem niż sierra, którą ten ukradł po swoim pierwszym zakrapianym wieczorze na wolności. Był to zielony opel rekord z wysiedzianymi fotelami, tylnymi szybami, których nie dało się zamknąć oraz skrzynią biegów, wydającą chroboczące odgłosy. Handlarz złomem zapewniał jednak,

że auto jest dopuszczone do użytku.

– Silnik jest na chodzie – tłumaczył Mike synowi. – Borys zamierzał sprzedać wóz, ale kiedy okazało się, że jestem zainteresowany, dostałem go jako samochód służbowy. Ten Borys to naprawdę równy gość.

Bez ostrzeżenia nastawił głośniej radio, aż plastikowe głośniki zdrżały, po czym zaczął wyć do muzyki zachrypniętym głosem:

– Everybody has a hungry heart... oh, oh... everybody has a hungry heart...

Robin wzdrygnął się i przełknął złośliwy komentarz, który miał już na końcu języka. Jednocześnie poczuł ulgę, że Mike tak szybko podźwignął się z chwilowej finansowej depresji, która dopadła go przy pertraktacjach w porcie. Chłopak siadł głębiej w fotelu i wbił wzrok w brunatne, zaorane pola. Pociągnął nosem.

– Jesteś przeziębiony? – spytał Mike, przekrzykując hałas.

Robin pokręcił głową, nie mówiąc nic. Obserwował masywne pięści ojca, które spoczywały na pokrytej skórą kierownicy i raz po raz wykonywały kurczowe ruchy, które z biedą mogłyby ująć za wybijanie taktu do piosenki Springsteena. Kiedy Robin był mały, zawsze uważał, że Mike miał wielkie dłonie. W dalszym ciągu takie były. Szerokie, z palcami przypominającymi owłosione parówki, tyle że trochę twardsze. I silniejsze.

Gdy Robin siedział tak w samochodzie, obserwując w zamyśleniu łapy swojego ojca, naszło go odległe wspomnienie. Musiało przed wieloma laty utknąć między zwojami jego mózgu i tam się zaszyć. Była to tylko krótka, ale za to bardzo wyraźna sekwencja kłykcie Mike'a, zakrwawione i odarte ze skóry aż do kości. Palce są wygięte, a dłonie spoczywające na kuchennym stole lekko drżą. Mike podnosi jedną z nich i oblizuje rany. Potem wykrzywia twarz w grymasie, którego Robin nie rozumie, ale który napawa go strachem. „Czyja to krew?” – przemyka mu tylko przez myśl. Odpowiedzi nie ma. Z obrazem połączone są także dźwięki i zapachy. Jakiś mężczyzna ryczy w tle jak zraniony byk, a ostrzy

kobiecy głos kłuje w uszy. Słysząc czyjeś beknięcie, a w pokoju czuć pijacki smród.

– Chcesz cukierka na gardło?

Robin podskoczył w fotelu. Wybełkotał coś pod nosem, wygrzebał palcem kilka cukierków Tenor z pudełka i wetknął je do ust. Kątem oka dostrzegł, jak porwana dłoń nastawia ciszej radio.

– Rzuciłem palenie – oznajmił Mike. – Dziś rano wypaliłem ostatnią fajkę.

– Uhm...

– Palenie nie służy kondycji. I jest drogie. Poza tym zamierzam też skończyć z piciem. To znaczy, stopniowo.

Gdy Mike w odpowiedzi otrzymał tylko pogardliwe prychnięcie, umilkł. Zrobił niezadowoloną minę i zaczął znowu wybijać palcami takt o kierownicę.

Po tym jak pożegnali się z Gregerem Klingiem i opuścili Simrishamn, obaj milczeli dobrą chwilę. Nie, żeby brakowało tematów. W głowie Robina roiło się od pytań, tylko potwornie trudno było mu je z siebie wydobyć. Mimo że jedyne, czego pragnął, to otrzymać odpowiedź, nie potrafił zdobyć się na odwagę i otworzyć ust w innym celu niż wybełkotanie kilku szorstkich dźwięków. Myśli kłębiły mu się w głowie. Kiedy wreszcie uwolni się od Sunego i Gunborg? Gdyby Mike wiedział, jak on nienawidzi tego bydlaka! Jedyne, co ojciec powiedział to tylko, że jakiś idiota z opieki stwierdził, żeby podeszli do tego bez pośpiechu. Jak to bez pośpiechu? Robin nie miał ochoty podchodzić do tego bez pośpiechu. Nie chciał spędzić ani jednej nocy więcej w domu Sunego. Chciał się przeprowadzić do Króla Kul już teraz. A najlepiej uciec od całego tego gówna na holowniku, na który jego nieszczęsny ojciec nie mógł sobie pozwolić. Trudno mu było patrzeć Mike'owi w oczy.

– Mówiłem ci już, że w młodości byłem na morzu? Gdy zaciągnąłem się pierwszy raz na statek, byłem niewiele starszy od ciebie. Właściwie to nie było tak źle.

Mike uśmiechnął się tęsknie pod nosem.

– Można powiedzieć, że szkoła nigdy była moim żywiołem.

Chodziłem do klasy mechanicznej w Ystad. Ciągle źle się tam czułem. Pewnego ranka coś mnie tknęło i postanowiłem olać szkolny autokar i pojechać autostopem do Malmö. Poszło jak z płatka. Dostałem robotę jako pomocnik kuchenny na pewnym kontenerowcu. Miałem obierać ziemniaki, siekać cebulę i przenosić naczynia. Pływaliśmy do Rotterdamu, Londynu i Nowego Jorku. Cholerna harówka. Nieczęsto można też było zejść na ląd. Właściwie to prawie nigdy. Ale za to człowiek się, powiedzmy... zahartował.

Mike przerwał i spojrzął na syna, jakby coś mu się nagle przypomniało.

– Robin, jak tam w szkole?

– Tak sobie...

– Masz jakichś kolegów?

– Kilku.

– Mam na myśli prawdziwych kolegów. Takich, na których możesz polegać.

– Jest jeden taki chłopak. Ma na imię Kenny. Nawet równy z niego koleś...

Kula w żołądku Robina znowu dała o sobie znać. Odczuł ten sam ból, co tamtej nocy, kiedy ciskał bomby dymne i rozbijał okna wystawowe u Araba. Ostrożnie przesunął palcem po ranie przy kciuku. Kenny i jego pieprzony sztylet. „Powinienem być mu oddać – pomyślał Robin. – Walnąć go w kark pustą butelką, gdy nie był przygotowany. W chatce było przecież kilka flaszek. Wystarczyło tylko chwycić jedną i zamachnąć się, kiedy Kenny stał tyłem. Cudownie byłoby widzieć go padającego jak worek. Albo sztylet. Przecież miałem go w ręce.”

Strząsnął z siebie to nieprzyjemne uczucie i spojrzął na Mike’a.

– Czytałeś w gazecie o nazistach na rynku?

– Co takiego?

– O nazistach. Pisali o tym w „Ystads Allehanda”. Podpalili bomby dymne na rynku w środku nocy. I zbili wszystkie szyby w pizzerii u Araba. Nieźle, co nie?

– Dlaczego?

– Hm, nie wiem... Chcieli ich chyba nastraszyć.

– Ale kogo?

Mike spojrział na niego pytająco. W ciele Robina narastało rozdrażnienie.

– Skąd, do cholery, mam to wiedzieć? Pewnie kolorowych.

– Ale dlaczego?

– Bo oni...

– Ożeż kurwa!

Nagle Mike nadepnął szybko prawą stopą na hamulec i zjechał z kursu, aż samochodem zarzuciło. Robin przewalił się do przodu, uderzając czołem w deskę rozdzielczą.

– Ała, niech to szlag!

– Pieprzony wieśniak! – ryknął Mike, obracając się i grożąc wściekle palcem wskazującym w powietrzu.

– Widziałeś!? Ten traktor chciał wyjechać prosto na drogę!

Dopiero po chwili zauważył, że Robin krzywił się i rozcierał głowę.

– Uderzyłeś się? – zapytał. Jego twarz była w dalszym ciągu purpurowa, lecz głos odmieniony, łagodniejszy.

– Eee, pieprzyć to.

– Muszę naprawić ten pas – powiedział Mike i ponownie wrzucił piąty bieg.

Robin czuł pulsowanie w czole. Opuścił osłonę przeciwśłoneczną i przejrzał się w lusterku. Tuż pod nasadą jego przystrzyżonych na jeża włosów widniało czerwone stłuczenie, otoczone szaroniebieską opuchlizną, przybierającą na brzegach żółty odcień. Dotknął sińca opuszkami palców.

– Mówiłeś coś o nazistach?

– Nic.

Długą chwilę siedzieli w milczeniu, gapiąc się na szary asfalt pędzący w ich stronę. Po Springsteenie w radiu pojawiła się grupa Thorleifs. Jednak Mike uciszył dźwięk tak, że nosowy głos wokalisty ledwo przebijał się przez huk dobiegający z zepsutych tylnych szyb.

– A jeśli chodzi holownik... – rzucił Mike w powietrze. – Zobaczymy, jak pójdzie z tym planem.

6 ang. To nic wielkiego, staruszk. Forsa jest twoja.

Z ang. Wypływamy o świecie, synu.

Rozdział 9

Kiedy do Ameli dotarło, że planuje morderstwo, przeraziła się. Sama świadomość tego faktu stworzyła coś w rodzaju wyrwy w jej duszy. Skuliła się na kanapie.

Spojrzała sennie na zegar, wiszący nad komodą w przedpokoju. Kwadrans po dziesiątej. Odłożyła książkę na stół. Jak długo się w nią gapiła, nie przewracając kartek? Minuty. Godziny. Dla Ameli zegar mógł równie dobrze stanąć na zawsze.

Słyszając czyjś histeryczny śmiech, zwróciła głowę w stronę ekranu telewizora. Miała w zwyczaju włączać odbiornik wieczorami, przede wszystkim dla towarzystwa. Ujrzała łysawego komika, który próbował naśladować koguta gwałcącego kurę. Wyglądał na rozzłoszczonego. Publiczność klaskała. Amela zgasiła obraz pilotem, który rzuciła na kanapę obok siebie.

Za oknem słyszała wiatr szarpiący antenę satelitarną sąsiada. Brzmiało to prawie jak sztorm. Metaliczny, gwiżdżący dźwięk.

Wstała i otworzyła drzwi balkonowe. Zacinały się, więc musiała je mocno docisnąć ramieniem, aby je uchylić. Natychmiast uderzył ją podmuch wiatru, zachwiała się i chwyciła barierkę. Choć rurka była zimna, to dobrze było czuć ją w dłoni. Drżąc, napawała się jesiennym powietrzem. W ciemności wirowało kilka liści, które zapewne odpadły z drzew w parku przy domu starców. Amela zapaliła kolorowe lampki, które powiesiła tu zeszłej jesieni. Czerwone, zielone i żółte. Myślała wtedy, że stworzą cieplejszą atmosferę.

W sąsiednim bloku w większości mieszkań było ciemno. Ci,

którzy jeszcze nie spali, chowali się za zaciągniętymi zasłonami. Na jednym z balkonów tańczyło kilka przypiętych do sznurka ubrań, które wyglądały jak opętane duchy. Przez jedno z okien z zepsutą roletą, wiszącą krzywo w smutnym, migoczącym świetle, dojrzała mężczyznę i kobietę, mocno do siebie przytulonych. Stali na środku ciemnego pokoju, kołysząc się wolno w takt muzyki, której nie słyszała. Amela poczuła w piersi ukłucie zazdrości.

Morderstwo.

Jej usta poruszały się bezdźwięcznie, gdy formułowała to słowo, niejako je smakując.

Zemsta.

Owinęła się szczerzej swetrem i spoglądała w noc. Ten człowiek w monopolowym. Od momentu, gdy na niego natrafiła, nie znikał z jej myśli. Najpierw miała wątpliwości, czy się nie pomyliła. Lecz im dłużej się zastanawiała, tym bardziej była przekonana. To nie było przywidzenie. To był on, co do tej kwestii nie było żadnych wątpliwości. Przez trzynaście lat nie zdołała poznać nawet jego imienia, chociaż rozbił jej życie na kawałki. Czasem myślała o nim jak o samym diable. Teraz już wiedziała: Borys Nicolici. W każdym razie takiego nazwiska używał w Szwecji.

Czy ją rozpoznał? Przez tę krótką chwilę, kiedy patrzyła w jego blisko osadzone oczy, nie dał tego po sobie w żaden sposób poznać. Mimo to Amela nie miała pewności. Może stał teraz gdzieś w mroku? Wstrzymała oddech i nadstawiła uszu. Dobięł ją płacz niemowlęcia z piętra poniżej. Prócz tego słychać było tylko wycie wiatru. Wyostrzyła wzrok i zaczęła przeszukiwać blade okręgi światła wokół latarni. Ścieżki asfaltowe i trawniki były puste. Ani żywej duszy pomiędzy cieniami.

Znalezienie jego nazwiska okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała. Następnego dnia po spotkaniu w sklepie monopolowym znalazła w kieszeni kurtki karteczkę. Był to paragon, na którego odwrocie widniał zanotowany w pośpiechu numer rejestracyjny. Przypominała sobie, że śledziła mężczyznę

aż do rynku, mając wrażenie, jakby to nie działało się naprawdę, a potem obserwowwała, jak wsiadał do swego zabłoconego jeepa. Musiała nieświadomie zapisać numer. „Jest chyba jakiś sposób, by namierzyć auto?” – myślała wtedy.

Tego samego wieczora natknęła się przy śmietniku na Wanję. Gadatliwa fryzjerka mieszkała dwie klatki dalej i była jedną z nielicznych osób, z którymi Amela się zadawała. Od czasu do czasu chodziły razem na spacer lub piły kawę, pozwalając, by czas uciekał. Teraz Amela skorzystała z okazji i zagadnęła ją, wyrzucając w międzyczasie czasopisma do plastikowego kontenera.

– Powinien istnieć jakiś rejestr pojazdów, do którego można zadzwonić – odpowiedziała Wanja, spoglądając na nią z zaciekawieniem. – Wytropiłaś sobie chłopaka?

Amela zaśmiała się i pośpieszyła do siebie.

Wystarczyły dwie rozmowy telefoniczne – jedna do biura numerów, a druga do rejestru pojazdów. Po półminutowym oczekiwaniu usłyszała w słuchawce kobietę, informującą ją beznamiętnym tonem, jakby chodziło o jakiekolwiek nazwisko na świecie: „Borys Nicolice. Czy chce pani także jego numer ewidencyjny?” Amela odłożyła słuchawkę, nie odpowiadając.

„To takie dziwne – myślała, stojąc na balkonie. – Takie nierealne. W jednej chwili poznać imię zła.”

Poczęła znowu przeszukiwać wzrokiem ciemność. Nadstawiła uszu, by wyłapać wszystkie odgłosy w wichurze. Wiatr wył jak stado wygłodniałych wilków. Może mężczyzna ukrywał się pod potarganymi bukami w parku po drugiej stronie ulicy, a może siedział w samochodzie, czekając, aż w jej mieszkaniu zgaśnie światło? Czy widział ją teraz? W jednej chwili poczuła się, jakby stała na estradzie w świetle reflektorów skierowanych prosto na jej twarz, sama naprzeciw niewidocznej publiczności. Zgasła kolorowe lampki. Tańcząca para za zepsutą roletą wydawała się nieświadoma zagrożenia – od nich nie otrzyma pomocy. Czy drzwi do klatki były zamknięte?

Pomyślała jednak, że właściwie to nie ona powinna się bać, tylko on. W sercu żywiła nadzieję, że przez te wszystkie lata

dręczyło go sumienie. Oczywiście nie mógł liczyć na przebaczenie. Pewne czyny nie podlegają prawu łaski.

Adnan miał tylko dziesięć lat, ale był duży jak na swój wiek. Gdyby był mniejszy, może pozwolono by mu żyć.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi balkonowe, była przemarznięta. Poszła do łazienki, odkręciła kran nad umywalką i pozwoliła, by gorąca woda oblała jej nadgarstki. Pomyślała o tym, jakie są szczupłe. „Masz nadgarstki jak księżniczka” – zwykła jej mawiać babcia w domu, w Srebrenicy. To było tak dawno temu. Długą chwilę stała zupełnie nieruchomo, przyglądając się szaroniebieskim żyłom, podczas gdy po jej ciele rozchodziło się ciepło.

*

Komputer szumiał podejrzenie głośno. „Oby się tylko nie zepsuł” – przeszło Ameli przez głowę. Urządzenie kosztowało ją połowę miesięcznej pensji. Odrzuciła od siebie tę myśl i usiadła na krześle obrotowym przy biurku. Przepęłniała ją świeża, chłodna determinacja. Kawa wyostrzyła zmysły. Myśl o zemście wyparła ból.

Zastanawiała się przez moment. Broń – wpisała po chwili w Google. Otrzymała trzy miliony wyników, pierwsze z nich kierowały do rozmaitych sklepów myśliwskich na północy kraju. Zirytowana, pokręciła głową i spróbowała jeszcze raz. Broń Tomelilla – po wpisaniu tej frazy na ekranie pojawiło się trzynaście tysięcy wyników, jednak żaden nie wskazywał na to, by w miasteczku znajdował się jakiś sklep z bronią. Jej palce znowu zatańczyły na klawiaturze. Po kilku próbach wywnioskowała, że najbliższy punkt, w którym można było nabyć broń strzelecką znajdował się w sklepie myśliwskim w Sjöbo.

„Śrutówka byłaby najlepsza” – pomyślała. Jako mała dziewczynka miała raz okazję wypróbować strzelbę swojego ojca. Umieścił na pieńku wielką dynię i przyłożył kolbę

do ramienia Ameli. „Strzelaj! Nie bój się!” Jeszcze dziś pamiętała ten huk i odrzut broni, który zostawił pamiątkę w postaci wielkiego siniaka. Lecz najbardziej utkwiło jej w pamięci, że strzał rozszarpał dynię na drobne strzępy, które poleciały we wszystkie strony.

Powinna definitywnie sprawić sobie strzelbę. Ale czy można tak po prostu wejść do sklepu i wyłożyć pieniądze na ladę? Może należy wcześniej załatwić pozwolenie i tym samym dać się wpisać do całej sterty rejestrów? Na pewno wyglądałoby podejrzanie, gdyby kobieta, do tego imigrantka z Bośni, twierdziła, że chce zacząć polować, co w istocie było prawdą. Właściciel sklepu pewnie zadawałby pytania. Nie miała odwagi podjąć takiego ryzyka.

Parsknęła z rozdrażnieniem i odepchnęła się na krzesło od biurka. Opadła na oparcie, niecierpliwie wpatrując się w pustkę. Może powinna zmienić tok myślenia? Analizowała możliwości, podczas gdy jedna półkula jej mózgu trwożyła się bezdusnością drugiej.

Nie można chyba tak po prostu wystawić ogłoszenia w Internecie, że chce się kupić używany rewolwer?

Upozorowany wypadek samochodowy? Może. Ale w jaki sposób odłącza się hamulce w jeepie? Odrzuciła tę myśl i zaczęła poszukiwać nowej. Karambol samochodowy można przecież przeżyć.

Pożar? Miała już jego adres. Łatwo byłoby odszukać go na mapie, pojechać tam ciemną nocą, oblać dom całą rzeką benzyny i podłożyć zapałkę. Przez jej głowę przemknął obraz diabła upieczonego we własnym ogniu.

A może lepiej byłoby go otruć? Natknąć się na niego niby przez przypadek i oślepić kobiecym urokiem. Zaprosić na elegancką kolację, trochę bośniackich specjałów, a potem dodać do jedzenia tyle trutki na szczury, by wystarczyło, aby jego narządy strawiły się od środka, a on wykrwawił się, najwolniej i najboleśniej jak to tylko możliwe.

Ta myśl wprowadziła Amelę w świetny humor. Miała wrażenie, że jest nietrzeźwa. Nie była pewna, ile właściwie wypła kawy.

Przyłożyła dłoń do piersi i poczuła, jak jej serce biło pod żebrami, mocno i w nienaturalnym tempie. Głowę wypełnił lekki szum. Puls walił, jakby pragnął pogonić czas.

Spojrzała jeszcze raz na zegar nad komodą w przedpokoju. Właśnie minęła północ.

Potem poczuła coś słonego na górnej wardze. Powoli przesunęła dłoń po twarzy i otarła mokry policzek.

Rozdział 10

Po sześciu dniach na złomowisku samochodów w Spjutstorp Mike otrzymał pełnomocnictwo do wykonania swojego pierwszego zlecenia. Szef użył właśnie takiego sformułowania i wywołało to zamierzony efekt. Mike poczuł się wybrany.

– Chcę, byś zrobił dla mnie pewną rzecz – rzekł Borys uroczystym tonem, gdy Mike wszedł do jego małego biura i wytarł brudne od oleju ręce w nogawki spodni. – Chodzi o dług. Ty i ja należymy do ludzi tego samego pokroju. Uważamy, że należy się wywiązywać ze swoich zobowiązań, prawda? Płacić swoje długi. Rozumiesz, tu chodzi o zasady.

Zamrugął i dał mu porozumiewawczego kuksańca.

– Wiem, że mogę na tobie polegać.

W pierwszej chwili Mike'owi ta robota wydała się prosta. Trochę urozmaicenia na pewno mu nie zaszkodzi. Cały tydzień rozbierał stare samochody, sortował złom i sprzedawał części zamienne nielicznym klientom, którzy pojawiali się na złomowisku. Teraz chętnie zajmie się czymś innym. Poza tym, jak to powiedział szef: „W życiu trzeba się wywiązywać ze swoich zobowiązań.”

Na siedzeniu obok niego leżała rozłożona, wypisana ręcznie faktura, którą Borys przekazał mu w używanej, szarej kopercie. Zanim Mike wsiadł do opla, przestudiował dokument dokładnie, aby mieć dużo czasu na obmyślenie sposobu postępowania.

„Scania Magic Movies, Lövestad. Raymond Nygren.

Serwis i naprawa. 25 000 koron.

Płatne na żądanie do Stacji Demontażu Pojazdów „Borys”

w Spjutstorp.”

Sprawa wydawała się jasna jak słońce. Jeżeli istniał papier potwierdzający należność, to wszystko powinno być w porządku. Mike’a zaniepokoiła tylko jedna rzecz, o której powiedział Borys.

– Raymond to chytry gość. Stary kumpel, ale kiedyś mnie wykiwał. Może się zdarzyć, że będzie kłamał i twierdził, że nie jest mi dłużny żadnych pieniędzy. Wtedy musisz... cóż, musisz go przekonać. Za to ci płacę. Rozumiesz, co mam na myśli, co nie?

Mike rozumiał. W zasadzie nie miał nic przeciwko temu, by pomóc swojemu pracodawcy. Jeśli trzeba było, nawet za pomocą mniej dżentelmeńskich środków. W prawdzie Mike nigdy nie uchodził za wzór moralności – na tę kwestię duży wpływ miał alkohol – jednak hołdował zasadzie, że długi należy spłacać, zwłaszcza jeśli dotyczą one, tak jak w tym przypadku, starych kumpli. Poza tym miał nadzieję, że wystarczy tylko trochę powarczeć i napiąć mięśnie, aby dłużnik ustąpił.

Był więc w dobrym nastroju, gdy prowadził auto na północ, w stronę Lövestad. Na szosie było dosyć pusto. Jednak widoczność była słaba. Nad polami zalegała gęsta mgła, w której majaczyły samotne gospodarstwa. Miejscami zdawało się, jakby wierzby pozbawione były korzeni. Gdyby Mike nie wiedział, jak jest naprawdę, myślałby, że najmniejszy powiew wiatru byłby w stanie roznieść je na cztery strony świata. Tu i tam widoczne były ogromne kopce ubłoconych buraków cukrowych. Do auta przenikała woń wilgoci i ziemi, gdzie mieszała się ze słodkawym zapachem odświeżacza, który dyndał pod lusterkiem wstecznym.

Firma Scania Magic Movies ulokowana była w dużym, pokrytym eternitem domu o ścianach, na których zalegał grzyb. Posesja leżała dokładnie tak, jak opisał to Borys – jakiś kilometr za miejscowością, całkiem na skraju ciemnego świerkowego lasu. Na podwórku stał pokiereszowany pick-up, którego marki Mike nie rozpoznał. Zaparkowane były tam również stare volvo i mała skoda, prawdopodobnie z wypożyczalni. Nie odnalazł

żadnego szyldu reklamującego przedsiębiorstwo. Nie dostrzegł też innych znaków, które wskazywałyby na to, że w środku nagrywano filmy, choć właściwie nie spodziewał się, by firma Raymonda Nygrena mogła wykazywać jakieś większe podobieństwo do Hollywood.

Mike wysiadł z auta i przyjrzał się szybom w oknach. Nie dojrzał nikogo. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, był głos sroki, która skakała wokół kontenera z odpadami, gaworząc z zadowoleniem, że udało jej się rozdziobać kilka cuchnących plastikowych worków. Z komina wiła się cienka strużka dymu, łącząc się w górze z oparami mgły.

– Halo! Jest tam kto?

Mike zwinął dłonie w trąbkę przy ustach, zupełnie tak, jakby płynął po morzu i nawoływał nieznany statek-widmo.

Dom pozostawał jednak cichy i niegościnnie.

– Raymond Nygren!

Donośny głos Mike'a jeszcze raz rozległ się w gęstej jak mleko mgle, nie napotykając na jakiegokolwiek oznaki życia.

Mike obszedł niepewnie dom dookoła. Żwir chrzęścił mu pod butami, a słaby zapach dymu łaskotał go w nozdrza. Jednak wewnątrz domu nie można było zaobserwować żadnego ruchu.

Dyskretnie zapukał do drzwi wejściowych. Żadnej reakcji. Gdy ostrożnie nacisnął na klamkę, drzwi uchyliły się z kocim piskiem. Przesząpił próg i rozejrzał się.

Na wprost, po drugiej stronie przedpokoju znajdował się salon, wyposażony w wysiedziane, zdarte meble, zbliżone wiekiem do domu. Na lewo mieściła się kuchnia, gdzie na ekspresie do kawy paliła się czerwona lampka. Na kuchence stała patelnia z przypalonymi resztkami kiełbasy. Po prawej stronie widniała para zamkniętych drzwi, które prawdopodobnie prowadziły albo do garderoby, albo do sypialni. Jednak to nie stamtąd słyszał głosy. Dobiegały z piwnicy położonej piętro niżej. Nie przypominały raczej pogaduszek przy kawie i Mike pojął to w mig. Można było rozróżnić dwa matowy męski głos, który wydawał monotonne porykiwania i stęknienia, oraz prowokujący głos kobiecy,

wykrzykujący w równych odstępach czasu: „Oh my God!... Oh, my God!” Z jakiejś przyczyny, którą być może był zwykły takt, Mike nie zawołał ponownie. Zamiast tego przemknął najciszej, jak mógł, w dół po sosnowych schodach, wyłożonych wykładziną dywanową. Zrobiwszy kilka kroków, mógł przykucnąć i obserwować przestrzeń zza rogu. Leżała przed nim bawialnia, która zdawała się zajmować całą piwnicę. Tylna część pomieszczenia skąpana była w ostrym świetle. Wokół gigantycznego łóżka, obleczonego we wściekle czerwone jedwabne prześcieradła, wyrastał las reflektorów i mikrofonów na statywach. Jakaś postać, która najwidoczniej pełniła rolę zarówno operatora kamery, jak i reżysera, pełzała pomiędzy kablami leżącymi na podłodze, próbując przypuszczalnie uchwycić scenę na łóżku w ramy tak artystycznego ujęcia, na jakie pozwalały warunki. Jednak zainteresowanie Mike’a przyciągnęli naturalnie aktorzy na jedwabnej estradzie.

Mocne światło lamp sprawiało, że kredowobiała skóra kobiety dosłownie się iskrzyła. Dziewczyna stała na czworaka, wyginając kark w grzesznej pozie i kierując ochotczo swoje wielkie pośladki w stronę wytatuowanego mięśniaka, który klęcząc, chwycił jej kołyszące się piersi i bzykał ją z zapalem, wydając przy tym te same odgłosy jaskiniowca, które Mike tak wyraźnie słyszał, stojąc w przedpokoju.

Na ten widok wstrzymał oddech. Opadł bezszelestnie na schody, gapiąc się jak zaklęty. Poczuł znajome, nie dające się poskromić poruszenie w okolicy rozporoka.

– Oh my God! – jęknęła ponownie kobieta. Film był najwyraźniej przeznaczony dla zagranicznej publiczności.

Gdy oczy Mike’a przyzwyczyły się do ostrych kontrastów w piwnicy, zauważył, że znajdowało się tam więcej osób. W ciemniejszej części pomieszczenia ujrzął kobietę owiniętą kołdrą, półleżącą na skórzanej sofie. Obok niej siedział nagi mężczyzna w późnym wieku średnim. Miał siwe włosy sięgające ramion. Gorączkowo pociągał obwisły penis, krążąc wzrokiem pomiędzy kochającą się parą na łóżku a pornosem w swojej lewej ręce. Na ławie rozrzucone były rozmaite

przybory: sztuczne członki w jaskrawych kolorach, jakaś skórzana uprząż oraz kilka innych akcesoriów, których zastosowania Mike nie był do końca pewien.

– Świetnie, Leffe! Trzymaj tak dalej! Wyjdzie zajebście! – krzyczał zachęcająco operator.

Zdawało się jednak, że wytatuowany odtwórca głównej roli ma problemy. Jego zawzięta twarz przybierała coraz bardziej udręczony wyraz. Nagle uszły z niego wszystkie siły.

– Do kurwy nędzy! Już dłużej nie mogę – wybuchnął i bez zbytnich ceremonii podniósł się z łoża miłości, z przyrodzeniem zwisającym żałośnie pomiędzy nogami. Przyciągnął do siebie paczkę papierosów i nerwowo wykrzesał ogień z zapalniczki.

Wydawało się jednak, że dla reżysera nie była to całkiem nowa sytuacja, bowiem w krótkim czasie znalazł rozwiązanie.

– Dobra, zmiana. Jak tam u ciebie, Kent? – zapytał, zwracając się do mężczyzny na skórzanej sofie.

– Przykro mi, Raymond – westchnął siwowłosy i zarzucił zapalniczkę masturbację. Potrząsnął lokami, wyglądając na zmartwionego. – Mały potrzebuje chyba jeszcze chwili odpoczynku...

– W takim razie zrobimy lesbijską scenę. Lina, rusz tyłek!

Kobieta owinięta w kołdrę ziewnęła, wstała, chwając się na swoich wysokich szpilkach i zaczęła wspinać się na scenę. Teraz jednak zaoponowała przeznaczona jej partnerka.

– Kurwa, Raymond. Powiedziałeś zwykłe pieprzenie. Za lizanie cipy biorę podwójnie.

Dziewczyna na łóżku, która przed momentem oddawała się swoim żądom w tak przekonywujący sposób, usiadła teraz i skrzyżowała ręce na piersiach, a na jej mocno pomalowanej twarzy pojawiło się zdecydowanie. Raymond Nygren westchnął boleśnie i spojrzał na swój zespół artystyczny niczym nauczyciel na niepokorną klasę.

– Dobra już, dobra. Piętnaście minut przerwy. W kuchni są kanapki i kawa.

W tym momencie spostrzegł Mike'a siedzącego na schodach.

– A coś ty, kurwa, za jeden?

Mike poczuł, że zapłonęły mu policzki, dokładnie tak jak wtedy, gdy został po raz pierwszy przyłapany na podkradaniu słodyczy w sklepie. Pięć par oczu wpatrywało się w niego z osłupieniem. Cztery nagie gwiazdy porno przystanąły w różnych pozach, jakby uwiecznione na osobliwej fotografii. Sam dyrektor wytwórni filmowej był szczupłym mężczyzną koło pięćdziesiątki. Jego porządnie przylizane woskiem włosy układały się w loczki nad kołnierzem koszuli. W jednym uchu miał cygański kolczyk, który doskonale korespondował z jego złotym kłębem. Gdy otworzył usta, gapiąc się na nieproszonego widza, ząb zamigotał.

– Nazywam się Mike Larsson. Jestem od Borysa...

Mike kiwnął przyjaźnie ręką, uśmiechając się. „Ci seksakrobaci wyglądają doprawdy komicznie” – pomyślał.

Potem wstał powoli i wyjął z kieszeni kopertę od Borysa. W tym czasie aktorzy poczłapali na górę. Raymond Nygren wziął kopertę, rozłożył rachunek i przebiegł go oczyma, po czym wydał z siebie prychnięcie.

– Dwadzieścia pięć kawałków – rzekł surowo Mike. – Borys powiedział, że mam brać tylko gotówkę. Chce mieć forszę natychmiast.

Reżyser przypatrywał mu się spod ciężkich powiek. Kiedyś to ciemne spojrzenie musiało być naprawdę uwodzicielskie. Teraz wydawało się raczej zmęczone. Mike'a uderzyła myśl, że być może ten człowiek mimo wszystko nie posiadał żadnego sekretnego sejfu ukrytego za obrazem, gdzie czekałyby pliki banknotów.

– Wiesz, ile kosztuje wynajęcie tego sprzętu? – zapytał zrzędlawie Nygren, wskazując głową w kierunku sceny.

– Nie – odparł zgodnie z prawdą Mike.

– Zajebicie dużo. A wiesz, ile te nadęte wałkonie, wpieprzające teraz moje kanapki z pasztetem, biorą za godzinę? Nie mówiąc już o panienkach? Wiesz?

Najwidoczniej Raymond Nygren zinterpretował milczenie ze strony Mike'a jako sygnał, że ten nie orientował się także w stawkach godzinowych obowiązujących dla aktorów porno.

– Dwieście koron za godzinę! Możesz więc sobie wyobrazić, jak ta branża jest opłacalna. Utuczyć to się na niej nie można – poskarżył się i rozpostarł demonstracyjnie koszulę, ukazując swoją kurzą klatkę piersiową.

– Spójrz! Sama skóra i kości!

– No...

– Cholera, z tego wszystkiego rozboleła mnie głowa – wybuchł Nygren, chwytając się za czoło. – Nie masz jakiejś tabletki?

– Nie.

– To pozwól mi się chociaż zastanowić...

Mike umilkł i czekał, aż mężczyzna skończy myśleć. Coś mu mówiło, że powoli traci inicjatywę i windykacja wymyka mu się spod kontroli.

– I nie przyjmiesz czeku?

W tonie głosu była teraz jakby prośba. Gdy Nygren zobaczył, że Mike kręci głową, sam zrobił podobnie.

– Nie, właśnie... – wymamrotał ledwo słyszalnie.

Do Mike'a dotarło, że w tej sytuacji powinien posłużyć się bardziej stanowczymi środkami. Przekonać faceta, jak ujął to Borys. Mike był na tyle bystry, że dokładnie pojął, czego oczekuje jego pracodawca. Powinien oczywiście napiąć mięśnie i rykiem porządnie napędzić stracha Raymondowi Nygrenowi. A jeśli to by nie pomogło, przeciągnąć nim kilka razy po piwnicy, złamać parę statywów na jego wątłym kręgosłupie i może wybić tego cygańskiego zęba, którego miał w gębie.

Lecz Mike Lorne Larsson był człowiekiem, który nie potrafił sterować swoim temperamentem. Wściekłość mogła go opanować z prędkością błyskawicy i zamienić w rozjuszonego byka, tornado albo uszkodzony reaktor jądrowy. Przychodziła, kiedy chciała. Jeśli jej nie było, nie dało się temu w żaden sposób zaradzić. Nie można było wydobyć z niego gniewu na zawołanie. Gdy stał tak w piwnicznej bawialni, która stanowiła studio nagrań Scania Magic Movies, i gdy obserwował zrezygnowanego małego filmowca, nie czuł najmniejszej ochoty, by zamieniać się w ogarniętego żądzą

walki wojownika. Było mu najzwyczajniej w świecie żal Raymonda Nygrena.

– Zrobimy tak – wykrzyknął nagle tamten. – Cholernie się denerwuję, że wraz z czasem płyną mi pieniądze. Nakręcimy ostatnie ujęcia w piwnicy, a ty póki co poczęstuj się kanapkami na górze. W lodówce są browary. Za godzinę skończymy na dziś, a wtedy będziemy mogli się porządnie rozmówić. Co ty na to...?

– Zasuwasz – Mike usłyszał swoje bełkotanie. – Godzina, a potem pogadamy na poważnie.

Wchodząc schodami na górę spotkał aktorów, którzy zawinęli się teraz w szlafroki, ale wzmocnieni kawą i kanapkami wydawali się gotowi do nowych ujęć. Skinął na nich powściągliwie. Nie miał już ochoty oglądać nagrania. Był natomiast trochę głodny.

Na stole w kuchni stała miska z sałatką makaronową i wielki talerz, na którym leżała osamotniona kanapka z kiełbasą. W lodówce znalazł półkę pełną piwa Norrlands Guld, dokładnie jak mu zapowiedziano. Otworzył z syknięciem jedną puszkę, wziął kanapkę i zaczął włóczyć się bez celu po domu. „Całkiem tu przytulnie” – zauważył w myśli. Na ławie przed gigantycznym telewizorem plazmowym leżały kupony z zakładami na wyścigi konne oraz kilka numerów czasopisma plotkarskiego. Dwie filiżanki po kawie. Popielniczka pełna niedopałków. Trochę kłaczków kurzu przy listwach przypodłogowych. Fotografie w ramkach na półce. Wszystko spowijał zapach wilgoci. Przez uchylone drzwi do łazienki usłyszał szum, który wskazywał na to, że zaciął się mechanizm w spłuczce. „Pływak” – pomyślał Mike.

Odstawił piwo na umywalkę i wziął ostatni kęs kanapki.

– Lepiej się do czegoś przydać, skoro i tak już czekam – wybełkotał do siebie.

Odkręcił nakrętkę spustu i odłożył na bok porcelanową pokrywę zbiornika na wodę. Tak jak podejrzewał, ramię pływaka przyrdzewiało, co sprawiało, że woda ciągle się lała. Nie zwlekając, podwinął prawy rękaw koszuli, najwyżej jak mógł i wepchnął dłoń w zapleśniały otwór.

„Jeśli uda mi się poluzować ramię pływaka i docisnąć korek do dna, to chociaż na chwilę zatrzymam ten szum – myślał Mike. – A jak Raymond już skończy kręcić ten film, to załatwi części zapasowe i naprawi spłuczkę.”

Nagle usłyszał za sobą głos.

– Oooo, nareszcie dotarł do nas hydraulik...

Mike błyskawicznie przyciągnął do siebie rękę, jakby ugryzła go pirania. Przyniosło to taki rezultat, że zahaczył o metalową krawędź w zbiorniku i rozciął skórę na nadgarstku.

– Ała, do ciężkiej cholery!

Gdy ujrział opierającą się o futrynę kobietę, na której ustach widniał drwiący uśmieszek, opadła mu szczęka. W życiu nie widział nikogo piękniejszego... W każdym razie od czasu, gdy jakąś dekadę temu firma H&M wytapetowała połowę Szwecji wizerunkiem Anny Nicole Smith w czerwonych koronkowych majtkach. Kobieta stojąca przed nim miała równie jasne włosy, równie bujne kształty i równie wydatne usta. Jedyna różnica polegała na tym, że ta supermodelka była jeszcze bardziej okazała, i do tego zupełnie naga, nie licząc pary złotych sandałków na ostrych jak sztylety obcasach.

– Zraniłeś się? – zapytała sennym głosem.

Mike spojrzał prędko na krople krwi spływające z jego dłoni.

– Co? Nie, nic się nie stało. Usłyszałem, że w kiblu cieknie woda, więc pomyślałem, że mogę go naprawić. To znaczy, skoro i tak czekam. Części w otworze przyrdzewiały, ale jak się pokręci trochę ramieniem pływaka i dociśnie korek, to pływak będzie się unosił tak, jak powinien...

Przerwał w środku zdania. Coś w spojrzeniu blondwłosej piękności dało mu do zrozumienia, że nie jest zainteresowana konstrukcją spłuczki toaletowej.

– Interesujące – rzekła mimo to, zbliżając się do niego o kilka kroków. Omiótł go obłok słodkich perfum i kobiecego ciepła. Zakręciło mu się w głowie.

– Pozwól, że spojrzę na twoją biedną rękę.

Oniemiały Mike pozwolił podejść jej jeszcze bliżej. Bezwolnie wpatrywał się w hipnotyzujące, ciężkie rzęsy kobiety, czując jej

paznokcie na swoim nadgarstku.

– Nie jesteś hydraulikiem, prawda? – spytała tym swoim przeciągłym głosem.

– Nie do końca – odparł Mike, nie myśląc nawet o tym, by skłamać. – Jestem tu raczej po to, by ściągnąć dług.

– Rozumiem...

Bez pośpiechu studiowała jego ranę. Niemal tracąc zmysły, Mike, który w szoku opadł na sedes, zdał sobie sprawę, że coś w jego ciele zostało wprawione w ruch. Z początku powoli, lecz w miarę jak zdumienie ustępowało, hormony zaczęły pędzić coraz szybciej. Szemrzące potoki stawały się grzmiącym wodospadem. Tuż przy nim, z piersiami zwisającymi swobodnie przed jego oczyma, stała kobieta, potężna amazonka przewyższająca jego najśmielsze marzenia, którym oddawał się podczas desperackich chwil masturbacji w więziennej celi. Jednak w odróżnieniu od czasopism pornograficznych, ta kobieta roztaczała wokół siebie upojny zapach i promieniowała taką zmysłowością, że Mike'owi wirowało w głowie. To po prostu musiał być sen.

Gdy w końcu sklonowana Anna Nicole podniosła wzrok znad jego skaleczonego nadgarstka, zrozumiał, że nie była przywidzeniem.

– Wydaje mi się, że mój mały hydraulik potrzebuje ukojenia – wyszeptła i przycisnęła bezlitośnie jego twarz do swojego miękkiego brzucha.

W tym momencie Mike odniósł wrażenie, jakby olbrzymi meteoryt uderzył w ziemię. Zobaczył gwiazdy i planety. W ułamku sekundy wyzwoliła się cała żądza, tłumiona w jego ciele przez te wszystkie miesiące za kratkami i przemieniła go w rozszalałe, dzikie zwierzę.

Czterdzieści minut później siedział już w samochodzie, błogo pogwizdując. Był obolały i odrobinę niepewny tego, co właściwie rozegrało się podczas intensywnej półgodziny w łazience Scania Magic Movies. Z drugiej jednak strony czuł się

rozluźniony i jakby... na nowo narodzony.

Fakt, że kobietą, która wyłoniła się znikąd i uwiodła go, nie była Anna Nicole, a żona Raymonda Nygrena, Bettan, zrozumiał dopiero po miłosnym akcie, kiedy wyczerpani, jak po dwunastorundowym pojedynku wagi ciężkiej, opadli na podłogę przy wannie, trzymając w ustach po papierosie. Mike'owi nie przyszło nawet na myśl, by zaprotestować, gdy ona zapaliła dwa Marlboro, z których jednego włożyła mu między wargi.

– Ale z ciebie napalony byczek! – zamruczała pod nosem, rzucając mu zagadkowe spojrzenie.

– Mmm... – uśmiechnął się z zadowoleniem.

Potem wstała, owinęła swoje wspaniałe ciało niemal przezroczystym ciuszkiem, ozdobionym różowymi pomponikami z piór i zatrzepotała rżęsami.

– A ten dług, który ma spłacić Raymond... Może chyba trochę poczekać, prawda?

Mike zdołał jedynie głupkowato się uśmiechnąć.

To dlatego siedział teraz za kierownicą swojego opla, obserwując mało reprezentacyjne studio nagraniowe Scania Magic Movies znikające w lusterku. Zastanawiał się, jak wytłumaczy Borysowi, że udzielił Raymondowi Nygrenowi zwłoki.

Rozdział 11

Rolle miewał chwilowe przebłyski. Momenty, gdy jego skomplikowany mózg mobilizował całą teoretyczną wiedzę zgromadzoną w zwojach, spajał ją z burzami emocjonalnymi, których doświadczał przez pół życia i formułował syntezę najgłębszej mądrości. Tak właśnie zdarzyło się, kiedy jego przyjaciel w przypiływie bezradności spytał go, co ojciec powinien robić razem ze swoim synem.

Gdy Mike siedział w celi w Malmö i spoglądał na księżyc, uśmiechający się szyderczo nad opustoszałym boiskiem piłkarskim za drutem kolczastym, miał tylko jeden cel. Wyjść na wolność. Potem wszystko miało się ułożyć. Teraz nie ograniczały go już mury, ale trudności nagle zaczęły się piętrzyć.

Choć właściwie wszystko, jak do tej pory, szło dobrze. Spotkał się kilka razy z Robinem. Wprawdzie chłopak chodził trochę naburmuszony, lecz z całą pewnością była to cecha dziedziczna. Może nie było w tym nic dziwnego. Także i Mike żywił instynktowną niechęć do tego pochlebczego centrowca, u którego umieszczono jego syna – ojca zastępczego Sunego. Zmusił się jednak, by pójść za radą Roinego Linda i nie działać w pośpiechu. Jego ostatnia rozmowa z kuratorem napełniła go otuchą: Robin będzie mógł wkrótce przeprowadzić się do swojego biologicznego taty, o ile sam nie wyrazi sprzeciwu.

Do tego momentu wszystko wydawało się być w jak najlepszym porządku. Głowę Mike'a zaprzętał jednak niepokój o życie codzienne. W marzeniach wyobrażał sobie, że takie rzeczy będą się same rozwiązywać. Byłoby przesadą powiedzieć, że Mike miał naturę myśliciela, lecz w miarę zbliżania się chwili,

w której przyjdzie mu przejąć całą odpowiedzialność za swego potomka, zaczął odczuwać niepokój. Co pocnie z całym tym czasem? Co będą robić wieczorami po szkole? W weekendy? Przecież to nie mały smarkacz ma się wprowadzić do domu Króla Kul i stać się częścią... hm, rodziny. Wprowadzi się tu niezwykle zawzięty czternastolatek, który w nie tak znowu odległej przyszłości stanie się mężczyzną.

– Pomyśl o swoim ojcu – rzekł Rolle.

– Po co?

– Co on z tobą robił?

Przed oczyma Mike'a wyłonił się mętny obraz gniewnej postaci, przed której pięściami należało trzymać się z daleka.

– No nic. Tłukł mnie od czasu do czasu, kiedy był wkurzony.

– Dobra, pomyśl teraz, co mój ojciec robił ze mną.

Fabrykant podgrzewaczy, Malcolm B. Andersson wywoływał jedynie wspomnienia zła w najczystszej postaci.

– Maltretował cię?

– Dokładnie. A teraz spróbuj pomyśleć o tym, czego te dwa bydlaki z nami nie robiły. Tutaj tkwi sedno sprawy, rozumiesz? Żeby postępować odwrotnie. I co wtedy z tego wyjdzie?

Mike rozłożył ręce, spoglądając bezradnie na przyjaciela.

– Naturalnie wyprawa na ryby z synem i najlepszym przyjacielem! – wykrzyknął radośnie Rolle.

Wyruszyli w drogę w pewien bezwietrzny poranek. Robin czekał na nich przed domem Sunego i Gunborg, tak jak się umówili. Rolle napełnił starą torbę podróżną wałówką i starannie ulokował ją w bagażniku opla wraz z trzema dopiero co zakupionymi pilkerami i podbierakiem, który znalazł w piwnicy.

Łódź, którą mieli pożyczyć, leżała wciągnięta na plaży w Juleboda. Należała do ojca Roinego Linda. Gdy Mike opowiedział o planowanej wyprawie na ryby, kurator stwierdził, że to doskonały pomysł. „Świetnie, Mike! Właśnie takie rzeczy wzmacniają więzi” – wykrzyknął i bez mrugnięcia

okiem przekazał mu klucz do nadmorskiej chatki, w której schowany był silnik. Zaufanie było słowem kluczowym w kontakcie z podopiecznymi, tego Roine nauczył się już w Wyższej Szkole Nauk Społecznych w Lund.

Ponieważ ranek był wczesny, jechali w milczeniu. Robin siedział na tylnej kanapie, pocierając sklezione oczy. Rolle, który pod woderami wygrzebanymi w piwnicy miał na sobie cztery warstwy kalesonów, siedział uciśnięty pasem bezpieczeństwa i ledwo mógł się poruszać. Mike napawał się radością i nadziejami, od których miał ciarki na całym ciele.

Na północ od Brösarp zjechał z krajowej szosy na szutrową drogę, prowadzącą w stronę wybrzeża. Wokół nich wznosił się las rzadko rosnących drzew. Liście buków zaczęły opadać, a klony mieniły się złotem i czerwienią. Tu i tam mijali polany, na których nisko stojące na niebie, październikowe słońce przemieniało wysoką, ciężką od rosy trawę w bajkowe dywany. Widzieli powykręcane, stuletnie dęby, które zaczęły przygotowania do zimy.

Wkrótce krajobraz zdominowały sosny i piasek. Nagle rozpostarło się przed nimi wielkie morze. Mike zaparkował samochód w miejscu, gdzie kończyła się droga. Wysiedli i rozprostowali zeszywniałe stawy. Poniżej piaszczystych wydm rozciągała się długa plaża. Łódki letników, dawno wciągnięte na ląd po sezonie, leżały do góry dnem na starych oponach samochodowych, poza zasięgiem jesiennych sztormów. Kilka mew krzychało wokół czegoś jadalnego, co utknęło w wyschniętych wodorostach tuż nad pluskającymi falami. Przy wiecierzach poprowadzonych do wody czuwały wygłodniałe kormorany.

Silnik marki Evinrude, o mocy dziesięciu koni, znajdował się, zgodnie z zapewnieniem Roinego, w pomalowanej na czerwono, nadmorskiej chatce. Był dobrze naoliwiony i miał pełny bak benzyny. Łódź z czteroipółmetrowym kadłubem z włókna szklanego i wyposażeniem z drewna pokrytego pokostem była zadbane w każdym szczególe. Przygotowania do rejsu zajęły im tylko kilka minut.

W chwili, gdy mieli już wodować łódź, Mike zauważył ogłoszenie, które ktoś przyczepił do jednej z sosen. Był to zwykły, skopiowany arkusz papieru z czarno-białym zdjęciem jakiejś kobiety koło czterdziestki. Wyglądała pospolicie. Miała okulary i lekko falowane włosy. Jednak właśnie coś w tej przeciętności przykuło jego uwagę. Podszedł bliżej i przeczytał.

Czy ktoś widział Lenę?

Pod zdjęciem widniał numer telefonu. Nic więcej. Mike ponownie przyjrzał się twarzy. Zdjęcie było najprawdopodobniej zrobione przy jakiejś uroczystej okazji. Kobieta miała na sobie naszyjnik z pereł. Uśmiechała się do fotografa.

– Dziesięć dni. Potem ją znajdą.

Głos zupełnie go zaskoczył. Obrócił się i nagle znalazł się przed mężczyzną o ogorzałej twarzy, równie poranej zmarszczkami jak kora pobliskich sosen. Starzec miał siwe włosy, przystrzyżone przy samej skórze głowy. Jego oczy były wybałuszone w nienaturalny sposób. W jednym kąciku ust zwiisał pomarszczony papieros, który wyglądał niemal jak przyschnięty do warg.

Mężczyzna spojrzał znacząco w stronę kartki na drzewie.

– Dziesięć dni. Potem wypłynie przy wzgórzu Stenshuvud.

– Skąd pan to wie?

– Co?

– Że wyląduje w okolicy Stenshuvud.

Starzec podrapał się z krzywym grymasem po nieogolonej brodzie.

– Prądy. Ciągną wszystko w tę stronę. Zawsze. Ludzie wyglądają koszmarnie, kiedy wypływają. Są napuchnięci jak balony. Ledwo trzymają się kupy. Zdarza się, że wcześniej dobierają się do nich węgorze.

Wyjął delikatnie papieros z ust i wypluł niewidoczny strzępek tytoniu.

– O ile nie utkną po drodze w jakiejś sieci, ma się rozumieć. Co roku ktoś się zaplątuje.

Mike nie wiedział, co powiedzieć. Rzucił okiem w stronę

Rollego i Robina, czekających niecierpliwie przy łodzi.

– Wczoraj myślałem, że złapałem ją w węć. Był ciężki jak ołów. Żeby wyciągnąć sieć, musiałem się tak wysilić, że prawie pękła mi śledziona. Z początku zobaczyłem coś owłosionego i pomyślałem: Jasny gwint, no i się zaplątała...

Stary umilkł i patrzył chytrze na Mike'a, jakby chciał go sprowokować.

– I?

– To była foka. Foka pospolita. Martwa na amen. Przeżyłem piekło, żeby ją wyciągnąć.

Mike westchnął z ulgą, ciesząc się, że nie usłyszał więcej szczegółów na temat gnijących kobiecych ciał. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie zaspokoić swojej ciekawości. Wskazał głową kartkę na drzewie.

– Zna ją pan?

Starzec przechylił dwuznacznie głowę.

– Nie... albo tak, w każdym razie wiem, kim ona jest. To żona dealera samochodów z Malmö. Mają tutaj dom. On porozwieszał te ogłoszenia. Był tu wczoraj. Biedak, sam wyglądał jak truposz. Zdaje się, że mają też dzieci. Facet musi oczywiście zrozumieć...

– Co zrozumieć?

Stary mężczyzna bez pośpiechu zmoczył palec wskazujący w ustach i uniósł go w górę. Zmrużył oczy, patrząc na bezchmurne niebo.

– Przez cały tydzień nie było wiatru. Wypadki zdarzają się tylko wtedy, gdy dmie od morza. Są wtedy wysokie fale. I cholerny prąd przy dnie. Jeśli człowiek wypłynie za daleko, woda może go wciągnąć. Ale to nie był wypadek.

– Więc twierdzi pan, że...

– Morze było zupełnie niezmacone. Musiała utopić się z własnej woli.

Mike pożegnał się bez uprzedzenia szybkim ruchem głowy i zaczął schodzić w stronę łodzi. Przeszedłszy kilka metrów, usłyszał ponownie głos starca.

– Nie wziąłbyś węgorza? Rano wpadło mi w sieć siedem kilo.

Lśniące i tłuste sztuki.

Silnik zaskoczył za pierwszym pociągnięciem. Mruczał jak kot. Najwyraźniej Roine Lind albo jego ojciec dobrze dbali o swój sprzęt. Mike usadowił Robina na dziobie a Rollego na środku łodzi, aby ciężar równo się rozłożył. Obrął kurs na horyzont. W drodze frunęła za nimi rybitwa. Rybackie chatki przy plaży szybko się kurczyły i wkrótce wyglądały jak budki lęgowe. Po kwadransie Mike zgasił silnik i pozwolił, by łódź kołysała się na spokojnym morzu.

– Dobra, Robin. Kto ostatni złapie dorsza, ten pieskie gówno.

Pilker Mike'a wylądował w wodzie z pluśnięciem.

– Opuszczasz go, aż poczujesz, że znalazł się na dnie. Potem ciągniesz do góry, mniej więcej metr, a później szarpiesz jak cholera. Musisz to robić z werwą. Jeśli ryba nie weźmie sama, może uda ci się wbić jej haczyk w brzuch – instruował Mike.

Robin wykonywał wszystkie czynności zgodnie z objaśnieniami, lecz bez pośpiechu. W jego wnętrzu rozgrywała się walka sprzecznych uczuć. W pewnym sensie nie pragnął niczego innego, jak tylko oddawać się łowieniu, zaśmiewać się z wygłupów Mike'a i Rollego i pokazywać palcem ich zaskoczone miny, kiedy wytarga największego dorsza w całym morzu. Nigdy wcześniej nie był na prawdziwym połowie, nie licząc wycieczki nad szlamowatą sadzawkę za Sjöbo, dokąd Sune zaciągnął go na łapanie pstrągów po dwadzieścia koron za sztukę. Dzisiejsza wyprawa była czymś innym. Była na serio. Ale coś go powstrzymywało. Coś sprawiało, że żadną miarą nie mógł poddać się swojemu pragnieniu. Było to jak skurcz. Jak blizna w duszy, która przypominała wszystkie te razy, kiedy się rozczarował i która ostrzegała go, że stanie się tak znowu, jeśli tylko odważy się rozluźnić.

Robin oparł więc plecy o reling i ziewając, pociągał nieco chaotycznie nylonową żyłkę, która zniknęła w głębinie. Chcąc nie chcąc, odczuwał dreszczyk podniecenia w brzuchu za każdym razem, gdy wprawiał w ruch ciężarek pod wodą. Oczywiście

wyobraźni widział, jak drapieżne ryby, ogromne jak walenie, podpływały bezgłośnie w ciemności. W każdej sekundzie któryś z potworów mógł połknąć jego pilker. Na wszelki wypadek owinał jeszcze jeden zwój żyłki wokół dłoni. Jednak nic się nie wydarzyło.

Pierwszym, któremu znudziło się czekanie, był Mike.

– Ech, do diabła. Tyle tu życia, co w krytym basenie. Wyciągamy przynęty i płyniemy dalej.

Silnik zaskoczył równie gładko jak za pierwszym razem. Rolle zaczął wyśpiewywać z werwą starą balladę żeglarską, tak że Robin nie mógł powstrzymać ukradkowego uśmiechu. Mike obrał kurs na wschód. Gdy łąd skurczył się do rozmiarów wąskiego cienia, ponownie zatrzymał łódź.

Trzy mieniające się pilkery zachlupotały znowu w wodzie. Tyle samo par oczu obserwowało je z wyczekiwaniem, dopóki nie połknęło ich morze. Było tutaj głębiej, sądząc po tym, ile żyłki rozwinęło się, zanim poczuli dno. Ze trzydzieści metrów, jak szacował Mike. Może dopłynęli do głębi? W każdym razie wyglądało to obiecująco. Zaczął pociągać żyłkę mocniejszymi ruchami. Lecz kątem oka widział z narastającą irytacją, że Robin coraz bardziej się nudzi. Chłopak leżał na pokładzie, podpierając się na łokciu i siorbał Pepsi, którą Rolle wyczarował ze swojej torby podróźnej. Mrużył sennie oczy, patrząc na słońce i tylko raz na jakiś czas leniwie szarpał przynętę.

– Więcej werwy, Robin! W taki sposób nie złapiesz żadnej ryby!

Twarz Mike'a przybrała bardziej czerwony odcień, co w równej mierze było wynikiem jego wysiłku, jak i faktu, że zaczęło go denerwować słabnące zainteresowanie syna. Robin odparł pogardliwie:

– A ty ile złowiłeś?

Mike milczał. Aby pokazać, kto ma rację, zwiększył częstotliwość i siłę machania wędką. Wkrótce poczuł, jak żyłka wbija mu się w palec wskazujący, jednak nie pozwolił, by mu to przeszkodziło. Ciągnął i szarpał, z każdym ruchem wydając z siebie coraz głośniejsze stęknienia, w pełni przekonany,

że większość niepowodzeń w bżyciu można przekuć na sukces, jeśli włożyć w nie tylko więcej siły i energii. Szlag go trafi, jeśli ryba nie weźmie!

– Zastrane cholerstwo! – wybuchnął w końcu i opadł na ławkę na rufie. Otarł pot z czoła, gapiąc się na krwawiący palec.

– Masz tu browar – pocieszył go Rolle.

Mike wziął do ręki puszkę z piwem i opróżnił ją jednym haustem. Robin wpatrywał się z podziwem w jego krtań, która wędrowała w górę i w dół pod skórą na szyi. Gaszenie pragnienia zakończyło donośne beknięcie.

– Zmienimy miejsce jeszcze raz, a potem to olewamy.

Silnik Evinrude zawarkotał ponownie. Popłynęli kawałek dalej po srebrzystym morzu. Gdy Mike wyłączył maszynę i już mieli zarzucić wędkę, Rolle ich powstrzymał.

– Chciałbym sprawdzić pewną teorię – powiedział uroczyście.

Znow rozpiął torbę i tym razem wyciągnął z niej magnetofon kasetowy oraz butelkę wódki Renat. Z triumfalną miną nacisnął jakiś przycisk i z wiekowego odtwarzacza popłynął jedwabisty baryton, który niósł się nad wodą wraz z tęsknymi tonami muzyki dancinowej.

– Uh, będę rzygał! – wyjęczał Robin i zwymiotował colę za burtę.

– To, moi drodzy, jest Christer Sjögren i jego zespół Vikingarna. Kawałek pochodzi z albumu wydanego, o ile dobrze pamiętam, pod koniec lat siedemdziesiątych. Na temat samej muzyki można mieć różne opinie. Jednak nie to jest tutaj najważniejsze.

– Nieee...?

– Najpierw sobie golnijmy – rzekł Rolle. Przerwał na chwilę, by przyłożyć butelkę do ust i odczekać, aż łyk płynu spłynie mu do gardła. – Pozwólcie, że opowiem wam teraz o cudzie na Bornholmie.

Gdy Mike przejął butelkę, Król Kul usadowił się na chybotliwej ławeczce i odchrząknął. Uciszył odrobinę magnetofon, wskazując groźnie kciukiem w kierunku południowego wschodu.

– W latach osiemdziesiątych wszyscy myśleli, że wyłowiono już wszystkie dorsze z Bałtyku. Ale piosenkarz Christer Sjögren był legendą na Bornholmie. Pewnie zastanawiacie się, co ma wspólnego jedno z drugim?

Rolle zamrugął chytrze, po czym przeszedł do opowieści.

– W tamtym czasie kapele dancingowe były w Szwecji zupełnym przeżytkiem. Ale za to w Danii cieszyły się ogromną popularnością, a na Bornholmie Vikingarna byli wręcz bogami. Przewyższali Beatlesów, Stones’ów i Abbę razem wziętych. Żony tamtejszych rybaków w kółko wzdychały, a faceci klęli na czym świat stoi, bo nie mieli z czego zapłacić za dzierżawę swoich łodzi. Ale pewnego dnia przybyli tam Vikingarna, którzy odbywali swoją trasę koncertową. Kobiety oszalały. Ludzie wylegali tłumnie z domów, aby słuchać Christera Sjögrena. I wiecie co? Jeszcze tego samego tygodnia dorsz zgłupiał. Wszystkie pieprzone dorszowe zadki w całym morzu obrały kurs na Bornholm. Zwabiła je muzyka. Nagle wszystko się odmieniło. Rybacy z Rønne i Allinge ściągali do portów włoki pękające od dorszy. Wielu dorobiło się fortuny w kilka miesięcy. Kupowali samochody i budowali wytworne wille. To była czysta gorączka złota.

Przerwał i przez chwilę spoglądał tęsknie prosto w słońce, po czym podjął opowiadanie na nowo.

– Cóż, koniec końców, dorsz po jakimś czasie zniknął. Z balonika uszło powietrze. Nie można jednak obciążać za to Christera Sjögrena. Dla niektórych rodzin skończyło się to fatalnie. Kilka podobno wyemigrowało na Madagaskar, żeby łowić tuńczyka, ale tamtejsze rybska okazały się za szybkie dla bornholmskich trawlerów. Wszystko zakończyło się więc bankructwem. Ale to już inna historia...

Gdy przyjaciel umilkł, Mike splunął do wody. Przyłożył dłoń do czoła i zaczął wypatrywać na południe, w stronę wyspy, która kryła się zaraz za horyzontem.

– Więc mówisz, że mamy słuchać tego gówna i mieć nadzieję...? – spytał z namysłem.

Rolle skinął głową i nastawił głośniej magnetofon. Robin

wzruszył ramionami. Jak na komendę wszyscy trzej wypuścili swoje pilkery i pozwolili im zanurzyć się w głębinach.

Minęło dokładnie dziesięć sekund, gdy Mike poczuł wyraźne szarpnięcie, a potem nieokreślony ciężar, który sprawił, że nylonowa żyłka wbiła się mu w dłoń.

– O kurwa!

Chwycił ją oburącz i zaczął wciągać metr po metrze. Szło mu ciężko, jakby złapał na haczyk trupa. Zlany potem, ciągnął dalej, i w momencie, gdy w dole mignęło coś dużego i białego, usłyszał najpierw okrzyk Robina, a potem Rollego:

– Wzięła!

– Do licha, to działa!

Trzy porządne pociągnięcia i potwór Mike'a znalazł się tuż przy powierzchni. Był to olbrzymi dorsz z połyskującym, białym brzuchem i mieniącym się w słońcu, usianym plamkami, zielonkawo-szarym grzbietem oraz oczami wielkimi jak spodki.

– Podbierak, szybko!

Mike'owi udało się wolną ręką delikatnie uchwycić rybę do siatki. Jednak trzonek był za słaby i całkiem się złamał. Ponadto haczyk zwisał swobodnie w pysku ryby. Przez sekundę dorsz miał szansę odzyskać wolność jednym porządnym uderzeniem ogona. Lecz nim zdążył to zrobić, Mike wychylił się przez reling, chwycił wpół oślizgłe, zamotane w sieć cielsko ryby i wywindował je na łódź, zwalając się do tyłu jak w przerzucie zapaśniczym. Siedząc na nim okrakiem zakończył śmiertelną walkę, wbijając w kark ryby myśliwski nóż. Natychmiast trysnęła krew.

– Mam cię, gnoju! – syknął nad pokonanym wrogiem.

Nie było czasu do stracenia. Z walącym sercem Mike ujrzął, jak Robin wciągał na pokład jeszcze jednego pokaźnego dorsza, podczas gdy Rolle szarpał swoją wędkę, jakby zaczepił przynętą o dno lub wbił haczyk w syrenę. Nie było wątpliwości, że wokół kadłuba roiło się od dorszy, i nie były to małe sztuki.

– To ławica! – wrzasnął Mike. – Weźmy się do roboty, zanim znikną!

W jednej chwili załoga łodzi zakipiła od adrenaliny. Robin

zdawał się zupełnie zapomnieć o swojej niechęci do ryb. Tryskał energią. Ledwo zdjął jednego dorsza z haczyka i wrzucił pilker do wody, a już poczuł następne szarpnięcie.

– Tato, patrz, jaki obrzydliwy!

Rolle nie był gorszy. Sapiąc i stękając tak, że huśtało całą łodzią, wyciągał walecznie z głębin jednego dorsza za drugim.

– Alleluja! Coś mi się, kurwa, zdaje, że zacznę wierzyć w Boga.

Po kwadransie wszystko nagle się skończyło. Trzech wycieczonych wędkarzy opadło na pokład. Byli mokrzy i upaprani rybią krwią. Patrzyli na swoje zdobycze: trzydzieści pierwszorzędných dorszy, z których największe ważyły dobre piętnaście kilo. Na łodzi zapadła pełna uniesienia cisza. W końcu przerwał ją Rolle:

– Morska woda wzmacnia głoda, rzekł erotoman, licząc na loda. Chłopaki, pora na lunch.

Z wnętrza torby podróźnej wyłoniły się trzy spore woreczki z kanapkami i dodatkowo dwa piwa Norrlands Guld oraz Pepsi. Wygłodniali Mike i Robin dobrali się do prowiantu. Rolle wbił zęby w kanapkę z kiełbasą i zaczął mlaskać, zadowolony, że jego teoria sprawdziła się w praktyce.

Gdy tak siedzieli i pałaszowali, Robin poczuł, jak po jego ciele rozchodzi się przyjemne ciepło. Nie przeszkadzało mu ani trochę, że palce śmierdziały mu rybią krwią i szlamem. Nad ich głowami krzychało stado mew, które pojawiły się znikąd, wietrząc zdobycz. Słońce łagodnie grzało zamknięte powieki. Kąciki ust chłopca bezwiednie się podniosły. Walka Mike'a z olbrzymim dorszem wyglądała wprost komicznie. Spojrzał na pokrytą bliznami twarz swego taty, dumając, skąd wzięły się te wszystkie szramy. Mike był prawdziwym twardzielem. A jednocześnie zabawnym draniem. Gdy Robin dostrzegł, że Mike wykrzywia do niego twarz w serdecznym grymasie, odwzajemnił uśmiech.

– Wiecie, że można jeść rybie oczy? – rzucił nagle Rolle. – Eskimosi wpięprzają je jak gumę do żucia. Japończycy wierzą, że po ich zjedzeniu będą bardziej napaleni i inteligentni. Czyste lekarstwo na seks.

– Przestań...

– Ale to prawda – upierał się Rolle. – Dla Chińczyków to przysmak.

Największy dorsz leżał w pobliżu jego stóp. Robin przyglądał się zimnym oczom ryby. Z oczekiwaniem połączonym z nutką obrzydzenia zobaczył, jak Rolle zaczął grzebać kciukiem i palcem wskazującym w głowie ryby. Oko wynurzyło się z mlaśnięciem.

– Gadus morhua – rzekł Rolle, trzymając przed nimi ociekającą krwią gałkę oczną. – Tak po łacinie nazywa się dorsz. Czytałem, że ich oczy nie pracują w taki sam sposób jak nasze. Soczewka nie zmienia kształtu przy ogniskowaniu, tylko porusza się do przodu i do tyłu.

Przez moment Robin patrzył prosto w oko dorsza. Czarna źrenica otoczona była lśniącem, srebrno-szarym okręgiem i nabiegłą krwią białą. Potem oko zniknęło w jadaczce Rollego.

Ojciec i syn obserwowali w osłupieniu, jak grubas żuł mięso, które zgodnie z przewidywaniami wydawało się włókniste. Gdy w końcu je połknął, jego oczy odrobinę się zaszklify.

– Dobrze. Musicie spróbować.

Mike i Robin potrzęsnęli jednocześnie głowami.

– To żałujcie.

Czy to dlatego, że Rolle pragnął coś udowodnić, czy dlatego, że w jego potężnym ciele zrodził się nagle niepohamowany apetyt na białko dorsza i japoński afrodyzjak, pozostaje niejasne. W każdym razie wyrwał dwa tuziny oczu, otworzył z sykiem nową puszkę piwa i zaczął się opychać, wydając w równych odstępach czasu pełne zadowolenia odgłosy.

Mike i Robin gapili się na niego w zdumieniu i absolutnej ciszy. Po chwili dźwięki, jakie wydawał z siebie Rolle, zmieniły charakter. Coraz bardziej przechodziły w bolesne pojękiwania. W końcu grubas przestał gryźć, a jego napuchnięta twarz zrobiła się bladozielona, prawie przezroczysta.

– Cholera, mam chorobę morską.

Mike rzucił sceptyczne spojrzenie na lśniąca taflę wody.

– Przecież nie wieje...

Rolle ciągle przełykał. Z jego skroni spływał zimny pot. Nie

mógł już dłużej wytrzymać.

– Uważajcie, do licha! – wrzasnął i wychylił się za burzę, a z jego ust wytrysnęła kaskada piwa pomieszanego z kiełbasą, chlebem i przezutymi na miazgę rybimi oczami.

To nagłe ożywienie wprawiło w ruch olbrzymie siły. Gdy brzuch Rollego walił o burzę, cała łódź zaczęła się gwałtownie kołysać. Przez krótką chwilę jego cielsko balansowało na relingu. Potem przechyliło się niebezpiecznie. Osłupieli ze zdziwienia Mike i Robin patrzyli, jak ich przyjaciel ześlizguje się z krawędzi i znika pod powierzchnią wody ze sromotnym bulgotem.

– Rolle! – krzyknął przerażony Robin. W tym momencie Mike rzucił się, by chwycić przyjaciela, lecz było o sekundę za późno.

Obaj spoglądali z przerażeniem w głębinę. Była zielona i ciemna. Ani śladu Rollego. Lecz w chwili, gdy Mike miał już zedrzeć z siebie kurtkę i zanurkować, ujrzął bezkształtną masę, unoszącą się tuż przy kadłubie.

– Robin, trzymaj mi stopy!

Mike bez wahania przechylił ciało nad relingiem i włożył zarówno głowę, jak i ramiona do lodowatej wody, tak głęboko, jak tylko potrafił. Najpierw poruszał rękoma po omacku, podczas gdy Robin dociskał mu łydki do ławki. Po chwili na coś się natknął. Potężnym chwytem za czuprynę, przypominającą wodorosty, wyłowił swoją największą zdobycz tego dnia.

Rolle parsknął jak kaszalot, gdy jego głowa znalazła się nad powierzchnią wody.

– Nie umiem pływać! – krzyknął, wymachując gwałtownie ramionami.

– Nie ruszaj się, bo inaczej nigdy cię nie wyciągnę! – ryknął Mike.

Wspólnymi siłami ojciec i syn ciągnęli, jak tylko mogli. Jednak wywleczenie Króla Kul na łódź okazało się zadaniem ponad ich krzepę. Wodery i przemoczone do suchej nitki kalesony robiły swoje, ściągając Rollego w dół. Zaś same góry tłuszczu na jego ciele stanowiły ładunek, który z powodzeniem mógłby służyć jako balast na jakimś mniejszym tankowcu.

Ilekroć udawało im się podciągnąć go trochę, łódź przechylała się na bok i o mało co nie napełniała się wodą. W końcu byli zmuszeni się poddać.

– Nie ma innego sposobu. Musimy cię przywiązać – rzekł ponuro Mike.

Rolle wzniosł smutne spojrzenie w ich stronę, trzymając się kurczowo łodzi. Z wody wystawały mu jedynie ramiona i twarz. Wokół niego unosiły się resztki wymiocin, które nie zdążyły rozpuścić się podczas akcji ratunkowej.

Kiedy Robin ustawił się przy relingu na bakburcie dla stworzenia przeciwwagi, Mike owinął Rollego kilkakrotnie liną cumowniczą pod pachami, potem okręcił go jeszcze raz w pasie i przymocował po stronie sterburty paroma solidnymi węzłami babskimi.

– Jak ci tam?

– Zimno jak diabli! – wyjąkał Rolle, którego twarz zaczynała przybierać siny odcień.

Dobrze, że chociaż jego głowa i kawałek górnej partii ciała znajdowały się nad wodą. Na szczęście silnik także teraz zaskoczył za pierwszym razem. Mike wyruszył więc ku lądowi ze swym najlepszym przyjacielem przywiązanym do łodzi jak marlin z książki „Stary człowiek i morze”. Rolle zaś, przypuszczalnie w celu utrzymania ciepła, pozwolił swemu mocnemu głosowi jeszcze raz rozbrzmieć nad Zatoką Hanö i ponownie zaśpiewał żeglarską balladę.

W drodze do domu umysłu Mike’a nie zajmowały ani rybie oczy, ani olbrzymie dorsze, lecz kobieta z ogłoszenia, które ktoś zawiesił na sośnie przy nadmorskiej chatce.

Gdy dotarli do samochodu, zawinął Rollego w suche koce, ustawił ogrzewanie na maksimum i mimo wszelkich przeciwności zdołał zamknąć zepsute tylne szyby. Teraz obaj członkowie jego załogi chrapali wykończeni na tylnej kanapie. W aucie śmierdziało rybą.

Co powiedział ten rybak z wytrzeszczonymi oczami? „Musiała

utopić się z własnej woli”?

Jak coś takiego było możliwe?

Mike spróbował to sobie wyobrazić. Cichy domek letniskowy. Cień przemykający się do drzwi. Skrzypienie drewnianej podłogi. Być może kobieta słucha oddechów swojej rodziny, może spogląda po raz ostatni na dzieci i całuje je lekko w czoła. Potem przemierza krótką drogę przez las. Doszedłszy do plaży, zapala papierosa. Waha się, może rozważy, czy się rozebrać, ale stwierdza, że ranek jest za zimny. A może w jej głowie nie ma żadnych myśli? Gdy wchodzi do morza, decyzja już zapadła. Czuje, jak woda sięga coraz wyżej: najpierw do kolan, potem oblewa podbrzusze i piersi. Gdy dociera do twarzy, ciało odrywa się od piaszczystego dna.

Mike zamrugał szybko kilka razy, aby nie pogrążyć się w tym sennym obrazie. Jego pokaleczone palce ześlizgnęły się po kierownicy.

Zastanawiał się, co ta kobieta myślała w momencie, gdy woda zaczęła napełniać jej płuca.

Rozdział 12

Nad okolicą wisała ciężka powłoka chmur. Cały dzień padał z nich drobny deszcz, który sprawił Mike'a w ponury nastrój. Nie znał niczego gorszego od mżawki. Wolał już porządne oberwanie chmury lub huragan, byle tylko nie ten pieprzony kapuśniak, który padał godzina po godzinie.

Znużony popatrzył za brudne okno. Podwórko było puste, a światła w budynku mieszkalnym naprzeciwko pogaszone. Na dachu siedziała samotna, potargana wrona, nudząc się śmiertelnie, podczas gdy kałuże stawały się coraz większe. Wyglądała na nieszczęśliwą. Może marzyła o tym, że jest barwną papugą w dżungli. „Biedaczka” – pomyślał Mike i zatęsknił za porządną whisky.

Były chwile, kiedy dopadała go chandra. Nie przytrafiało się to szczególnie często, ale kiedy już do tego dochodziło, nierzadko bodźcem był taki właśnie deszcz, kapiący w nieskończoność.

Nic nie było w stanie wpędzić Mike'a w większe poczucie samotności niż ciężki, szary całun chmur, który nie przepuszczał słońca i wydzieliał z siebie tyle wilgoci, że wystarczyło pobyc poza domem kilka minut, by przeniknęła przez skórę.

„Dobrze, że przynajmniej jestem sam i mogę posiedzieć trochę w spokoju” – myślał. Tamtego dnia, gdy wrócił z pustymi rękoma ze zlecenia windykacyjnego w Scania Magic Movies, Borys ochrzanił go, ale dał się w końcu przekonać zapewnieniu, że Raymond Nygren powinien wkrótce zapłacić. Film miał przecież wszelkie predyspozycje, by stać się sukcesem kasowym. Dziś Mike otrzymał polecenie, by wymontować wszystkie nadające się do sprzedaży wnętrza ze starego volvo,

oddanego w ostatnim czasie na złom. Nie potrafił się jednak przemóc. Aby wprowadzić auto do warsztatu, musiałby przerzucić całą stertę opon, którą jakiś idiota wywalił przed drzwiami. Przemókłby do suchej nitki, zanim udałoby mu się zaparkować volvo pod dachem. Wszystko musiało poczekać. Dopóki padał deszcz, Mike nie zamierzał kiwnąć palcem. Chciał tylko siedzieć w magazynie, dołować się i chłeptać kawę.

Z ciężkim westchnieniem przechylił się do tyłu na krześle i położył stopy na ladzie. Przynajmniej wrona na zewnątrz miała już towarzystwo. Ponure ptaki, wyglądające jak dwie baby w chustkach, siedziały blisko siebie, czekając. Na co? Może na to, aż deszcz skłoni jakiegoś tłustego robaka do wytknięcia ryjka z ziemi pomiędzy przywiedłymi chwastami na rabacie. Mike wyjął „Ptaki Europy” i przekartkował książkę, aż znalazł *Corvus corone cornix*. „Ptak wszystkożerny, żywiący się bardzo zróżnicowanym pokarmem. Za pożywienie służą mu ciała martwych zwierząt, ślimaki, owady, owoce, warzywa, nasiona, drobne ptaki, mniejsze ssaki, ryby oraz ptasie jaja”

„Nie powinny mieć chyba większych trudności ze znalezieniem sobie czegoś – pomyślał. – Może nie są głodne – odrzucił książkę na bok. – Może tylko siedzą i czekają, aż ustanie ta cholerna mżawka.”

Mike ponownie spojrzął za okno, przepętniony niechęcią. Właśnie taka pogoda mogła wyzwolić nieprzyjemne wibracje w jego głowie. Dopóki niebo było w miarę czyste, a wiatry targały koronami drzew i sprawiały, że chmury żeglowały niczym fregaty po morzu, miał na ogół dobre samopoczucie. Mógł znieść nawet gęstą mgłę. Czuł się w niej jak ślepy płód, unoszący się w brzuchu matki, poza zasięgiem dobra i zła. Lecz gdy chmury zalegały nad nim jak ciężka pokrywa, w Mike’u zakorzeniały się złe myśli i stawał się podejrzliwy.

Siedział tu, dusząc się we własnym sosie. A co działo się poza nim?

Odkąd pamiętał, zawsze odnosił wrażenie, że gdzieś na zewnątrz jest świat, który kręci się zbyt szybko, by on mógł za nim nadążyć. Czy to za kratkami, czy na wolności, stale

trawiło go to nieprzyjemne uczucie, że historia pędzi naprzód bez niego, ciągle przyspieszając. Z biegiem lat zaczął wierzyć, że jest skazany na to, by wiecznie stać na pustym peronie i czekać na pociąg, który dawno temu odjechał ku przyszłości.

Zazwyczaj dosyć miał własnych spraw. Na Bałkanach, w Afganistanie i Iraku szalała wojna, lecz on nie poświęcił temu więcej, niż kilku przelotnych myśli. Oczywiście zauważył, że do kraju przybyli Jugole, a w ostatnim czasie napływało coraz więcej Arabów i Afrykańczyków. Dla niego nie było to ani dobre, ani złe. Wiedział też, że ludzie pisali listy, chodzili do banku i kochali się przez komputer. Jednak kiedy Robin zapytał go o iPod'a, Mike nie miał pojęcia, o czym chłopak mówił. Takie coś mogłoby zirytować każdego.

Dopóki siedział zamknięty w więzieniu, niewiele mógł w tej kwestii poradzić. Musiał po prostu próbować tłumić dopadający go momentami niepokój. Czas płynął. Mike pakował na siłowni. Uczył się spawać. Oglądał wieczorami idiotyczne programy w telewizji. I zasypiał do pojękiwań walącego konia sąsiada z celi.

Teraz, raz na zawsze, pozostawił za sobą więzienne życie. Był wolnym człowiekiem. Lecz gdy te szare chmury zwisały nad jego głową jak zatęchła stara derka, siąpiąc sikowatym deszczem, czuł się uwięziony bardziej, niż kiedykolwiek.

Znajdował się jeszcze w środku gorącej miłosnej sceny z Bettan Nygren, kiedy odgłos silnika samochodu obudził go z drzemki. Niechętnie wyrwał się z ciepłego, mokrego objęcia kobiety.

„Borys!” – przemknęło mu przez zaspany umysł, gdy zdejmował stopy z lady, przewracając kubek z kawą na zmięty magazyn motoryzacyjny.

Chwytał się za krzyż, gdzie wbiło się oparcie krzesła, potarł oczy i zaklął, gdy zaczęły go swędzieć od oleju, który miał na palcach. Wyjrzał na zewnątrz. Gdy dostrzegł, że na podwórko nie wtoczyło się wielkie mitsubishi, tylko mała toyota, odetchnął z ulgą. Miło było uniknąć spotkania z szefem i jego

zaślinionym dobermanem. Zerknął na zegar nad kalendarzem ściennym, który na cześć miesiąca października prezentował dziewczynę z obnażonymi piersiami, wijącą się zmysłowo na masce czerwonego ferrari. Za kwadrans czwarta. Jeżeli szybko obsłuży klienta, będzie mógł wkrótce zamknąć magazyn i pojechać do domu.

Przez okno zobaczył otwierające się drzwi samochodu. Odniósł wrażenie, że kobieta, która wysiadła, zawahała się, jakby nie była pewna, czy dobrze trafiła. Tkwiła przy samochodzie i rozglądała się, na pozór nie zdając sobie sprawy z padającego deszczu. Zanim zamknęła za sobą drzwi, schyliła się do siedzenia kierowcy, jakby chciała coś ze sobą zabrać, lecz potem się rozmyśliła.

Mike otworzył drzwi do sklepiku z częściami i zawołał od progu:

– Dzień dobry! Proszę wejść, żeby pani nie przemokła!

Kobieta zastygła, a w jej oczach pojawił się strach. Przez moment myślał, że rzuci się z powrotem do auta. Miała bladą, odrobinę kanciastą twarz i ciemne cienie pod oczami. Stała jak zwierzę gotowe do ucieczki, a deszcz przyklejał jej włosy do policzków. Mike zobaczył, że oblizwała wargi, zerkając na dom z pogaszonymi światłami. Po chwili zebrała się na odwagę i podeszła do niego. Zachlupotało, gdy wdepnęła w kałużę swoimi różowymi butami do biegania.

– Potrzebuję tłumik – powiedziała, nie patrząc na niego. – Auto wydaje dziwne dźwięki. Furczy. Zdaje mi się, że to dziura.

– Proszę wejść – powtórzył Mike i ustąpił na bok, aby kobieta mogła przejść obok niego.

Nagle wpadł w towarzyski nastrój.

– Napije się pani kawy?

Zbadała wzrokiem zarośnięty ekspres, stojący na półce pomiędzy puszką smaru i kilkoma utyłanymi kubkami.

– Nie, dziękuję... albo może.

Uśmiechnęła się z przymusem i Mike doszedł do wniosku, że odpowiedziała tak. Zabrał jeden z nieumytych kubków, wybełkotał coś niewyraźnie i zniknął w mini-toalecie, gdzie

szybko wytrząsnął palcami najgorszy osad pod kranem z zimną wodą. Kiedy spojrział na ręcznik, doszedł do wniosku, że klientka będzie wolała raczej mokry kubek.

– Czym mogę służyć, droga pani? – zapytał przyjaźnie, nalewając kawę.

Ostrożnie wzięła od niego kubek, jakby podejrzewała, że ukradkiem wrzucił do niego trutkę na szczury, po czym usiadła na samym skraju krzesła dla gości.

– Jest pan sam?

Jej błędny wzrok zmieszał go równie mocno jak pytanie. Wzruszył ramionami. Kobieta była jakaś dziwna. Jakby nie chciała się zatrzymywać. Powieki trzepotały niczym ptasie skrzydła, a gdzieś pod nimi zdążyła mu zamigotać para czarnych źrenic, które niespokojnie patrzyły to w jedną, to w drugą stronę, lecz nigdy na wprost. Jej ciało wydawało się napięte, jak gdyby pod tą jasną skórą znajdowała się sprężyna, którą ktoś ścisnął gwałtowną siłą. Wyglądała całkiem zwyczajnie. Nie była wysoka ani niska, chuda ani gruba. Nie miała makijażu i jedyną rzeczą, która rzucała się w oczy, była cienka, biała blizna przebiegająca od skroni do czoła i znikająca pod ciemnym, mokrym lokiem. Mike'a ogarnęła ochota, by dotknąć jej palcem.

– Co? Taa, jestem sam... Nie wystarczy?

Uśmiechnął się głupkowato.

– Wspomniała pani coś o tłumiku... Jaki kaliber ma pani splota?

Kobieta podskoczyła na krześle. Dopiero po chwili dotarło do niej, że Mike żartował. Zaśmiała się gwałtownie.

– To toyota. Zdaje mi się, że dosyć stara.

Na moment ustał ten jej ptasi trzepot.

– Może mi pan pomóc? – zapytała, spoglądając na niego wyrazistymi, ciemnobrązowymi oczyma.

Mike'owi trudno było się oprzeć wielu rzeczom w życiu. Lecz nie istniało nic bardziej zniewalającego, niż kobieta prosząca o pomoc. Co najsmutniejsze, do tej pory niewiele niewiast odkryło drzemiącego w nim dżentelmena. Rozpromienił się w uśmiechu i podał jej nad ladą czarną od smaru rękę.

– Mike Larsson. Do usług.

Dłoń kobiety była napięta i zimna.

– Amela Su... – przerwała. – Mam na imię Amela.

– Chwileczkę, sprawdzę tylko, co mamy.

Wystarczyło zaledwie pięć minut, by wpadł do magazynu, przeszukał regały i znalazł końcowy tłumik od toyoty corolli, rocznik 95, w przyzwoitym stanie. Powinien się nadać.

– Borys chce za niego pięćset koron – obwieścił Mike i trzasnął blaszaną rurą o ladę.

Kobieta jeszcze raz się wzdygnęła, jakby ujrzawszy za oknem błyskawicę. Ścisnęła mocno w dłoni kluczyki od samochodu.

– Borys...?

– Jest tu szefem – wyjaśnił Mike.

Gdy spostrzegł jej wahanie, zrozumiał, że nie miała pojęcia, jak montuje się tłumiki w samochodach. Ponownie spojrzawszy na zegar i kątem oka zauważył, iż podążyła za jego wzrokiem, omijając nagą kusicielkę na czerwonym ferrari. Poczł na karku falę gorącą.

– Jeśli pani chce, mogę go założyć. Cena obejmuje także montaż – skłamał.

Chwilę potem stawił czoło deszczowi, przerzucił opony leżące przed drzwiami do warsztatu i wjechał do niego białą corollą, parkując ją nad kanałem. Kobieta towarzyszyła mu, chociaż zaproponował, by została w sklepie. Posłał jej podnoszące na duchu skinienie i wślizgnął się pod samochód.

– Jest pan tutaj jedynym pracownikiem? – dotarło do niego jej pytanie. Widział tylko jej sportowe buty i parę białych skarpetek.

– Nie, czasem przychodzi jeszcze jeden chłopak. Ale dzisiaj ma wolne.

Mike skierował światło latarki na rurę wydechową i zdecydował się użyć klucza nastawnego.

– A ten Borys... od dawna go pan zna? – zapytały różowe buty.

– Co? Nie, raczej nie. Zacząłem tu pracować parę tygodni temu.

Usłyszał nieokreślony odgłos i ujrzał, jak jej stopy zrobiły kilka niespokojnych kroków w stronę drzwi i z powrotem.

– Wie pan, skąd on pochodzi?

– Zdaje mi się, że z terenu Jugosławii. Dlaczego pani pyta?

– Nie, nic. Jestem po prostu ciekawska z natury.

Na górze rozbrzmiał nerwowy śmiech. Była znów przy otwartych drzwiach. Kilka kroków w deszcz i z powrotem do środka. Potem stanęła odwrócona do niego piętami, jakby wypatrywała czegoś na zewnątrz. Mike ponownie skierował latarkę na rurę wydechową i obejrzał ją krok po kroku, aż do końcowego tłumika. Dziwne. Ani plamki rdzy w całym układzie. Postukał na próbę młotkiem. Blacha zaszczękała, nie wykazując najmniejszego śladu pęknięcia lub rozszczepienia.

– Na pewno słyszała pani perkotanie podczas jazdy?

Przesunęła jedną stopą po betonowej posadzce.

– Tak, auto wydawało dziwne dźwięki. Nic pan nie znalazł?

Mike wygramolił się z kanału i rzucił młotek na stół warsztatowy. Spojrzał na nią z surową miną.

– Jest pani pewna, że chce kupić tłumik? Ten w aucie jest prawie nowy.

– A reszta?

– Rura, katalizator, tłumik. Całe żelastwo. Jak na mój gust, może pani zaoszczędzić pieniądze.

Kobieta skinęła w zamyśleniu. Badała twarz Mike'a, jakby próbowała dowiedzieć się, czy był zły za to, że niepotrzebnie zajęła mu czas. Niespokojny trzepot w oczach zniknął.

– W takim razie przepraszam za kłopot.

– Wycofać pani samochód?

Potrząsnęła głową i usiadła za kierownicą. Zanim zdążyła zatrasnąć drzwi, Mike powstrzymał ją, kładąc na nich swą ciężką dłoń.

– Tak się tylko zastanawiam... Czy zna pani skądś Borysa?

Przez krótką chwilę, która trwała na tyle długo, by Mike zdążył to dostrzec, Amela wpatrywała się pustym wzrokiem przez przednią szybę prosto w ciemne wnętrze warsztatu.

– Nie, absolutnie.

Kiedy podniósł dłoń, zamknęła z trzaskiem drzwi, przekręciła kluczyk w stacyjce i gwałtownie wycofała auto z warsztatu. Zauważył, że zanim wrzuciła jedynkę, musiała pomanipulować trochę dźwignią zmiany biegów. Samochód przetelepał się przez kałużę, rozbryzgując błotnistą papkę. Mike pomachał nieśmiało ręką. Nie otrzymał odpowiedzi.

Zanim Amela wyjechała ze złomowiska na drogę, przypatrzyła mu się jeszcze w lusterku wstecznym. Ten dziwny typ zrobił kilka kroków w głąb podwórka i stał w deszczu z tajemniczym wyrazem twarzy. Ponadto machał do niej. To oczywiste, że coś podejrzewał. Przez moment podczas ich spotkania ogarnęło ją śmiertelne przerażenie, że będzie próbował ją zatrzymać. Czuła, że drżały jej ręce. Ścisnęła mocniej kierownicę.

Najchętniej wcisnęłaby gaz do dechy i możliwie najszybciej zostawiła za sobą tę koszmarną, złomową fortecę, mającą w błotnistych polach. Zmusiła się jednak, by jechać powoli.

Wycieraczki tarły z piskiem o szybę, zostawiając za sobą łukowate pasy. Amela zaklęła głośno i uderzyła dłonią o kierownicę. „Idiotka!” – mogła go przecież poprosić, by wymienił pióra wycieraczek, zamiast panikować i improwizować z tłumikiem, który był prawie nowy, bo kupiła niecały rok temu.

„Muszę być zimna – myślała. – Zimna jak lód.”

Młotek leżał ciągle za fotelem. Całe szczęście, że zarzuciła próbę przeszmuglowania go do magazynu. Co ona sobie właściwie wyobrażała? Że sam diabeł będzie tam stał i grzecznie czekał, aż wyjmie narzędzie zbrodni i walnie go w łeb? Prychnęła, myśląc o swojej głupocie. „Bądź zimna – pomyślała. – Jeśli ma ci się udać odebrać mu życie, musisz trzymać nerwy na wodzy.”

Włączyła radio, aby rozproszyć myśli. Prezenter prowadzący program informacyjny mówił o kryzysie finansowym, który się właśnie rozpoczął. Powiedział, że ludzie zostaną bez pracy. Groziło to całemu światu. „Jak to będzie w domu?” – uderzyła ją

nagła myśl. Przez chwilę miała przed oczyma brukowany rynek, minarety sterzące nad domami pokrytymi czerwoną dachówką i las, który piął się po zboczach. Odegnęła wspomnienia z irytacją. Domu już nie ma. W każdym razie nie tam. Wszyscy, na których jej zależało, odeszli.

Inna stacja grała muzykę klasyczną. Amela pozwoliła, by melodia wypełniła samochód. Próbowwała przypomnieć sobie nazwisko kompozytora. Delikatne tony. Może to Mozart? Nigdy nie była szczególnie muzykalna.

Jej myśli wróciły powoli do spotkanego na złomowisku mężczyzny. Widziała go przed sobą. Jego krótko przystryżone włosy, odrobinę krępe, umięśnione ciało i tatuaż, który mignął na jego przedramieniu. Masywny, nieogolony podbródek, w którego zaroście dostrzegła ślady po nożu. Jego nierówny chód. Bez wątplenia był prymitywem. Ale było coś jeszcze. Jasność w spojrzeniu, która sprawiła, że Amela nabrała wątpliwości.

Może udawał tylko pomocnego, by dowiedzieć się, co próbowała wywęszyć? Musiał się zorientować, że kłamała. Tak czy siak, nie dowiedziała się niczego o Borysie Nicolicu. Niczego więcej ponad to, iż najwyraźniej tak kochał Tito, że przywłókł ze sobą z ojczyzny jego granitowe popiersie. Dziwne.

Zatrzymawszy samochód przed szarymi trzypiętrowymi blokami przy domu starców i parku, siedziała w nim jeszcze długą chwilę. Ani na parkingu, ani na ulicy opadającej obok szkoły w stronę centrum nie było żywej duszy. Patrzyła na krople deszczu, które spadały na przednią szybę i spływały do maski samochodu cienkimi strużkami. Muzyka przyjemnie łaskotała jej uszy. Spróbowała rozróżnić instrumenty. Smyczki, organy i może jakiś flet. „Powinnam nauczyć się czegoś nowego” – pomyślała. Znienacka poczuła ciężkie ciepło, rozprzestrzeniające się po ciele i napełniające ją przemożną ochotą, by opaść na fotel i zasnąć przy tych łagodnych dźwiękach.

Rozdział 13

W pierwszej chwili Robin uznał za czysty przypadek to, że gdy wyjmowali rowery ze stojaka przed szkołą, jej kierownica zderzyła się z jego, aż zadźwięczały dzwonki. Później spostrzegł, że dziewczyna się uśmiechnęła. Wtedy ten przeklęty iPod zaczął palić go w kieszeni. Żałował, że go ukradł.

– Uważaj! – warknął.

Przyciągnęła do siebie rower. Był to niebieski Skeppshult, ręcznie malowany w małe, różowe kwiatuszki. Nad światłem wisiał czarny kosz. Z urażoną miną odwróciła się do niego plecami i wskoczyła na siodło.

Robin odpiął swoją odrapaną damkę. Rzucił niespokojne spojrzenie przez ramię. Wydawało się, że nikt nie zwrócił na nich uwagi, więc potoczył się za nią w dół ulicy, zachowując bezpieczną odległość.

W lecie rodzina Lindy wprowadziła się do jednej z największych willi na osiedlu Lindesborg. Gdy w sierpniu zaczęła się dziewiąta klasa, dziewczyna siedziała w pierwszym rzędzie, nie pesząc się ani trochę, chociaż Lennart Lundkvist, stary nauczyciel wiedzy o społeczeństwie, był zmuszony wrzeszczeć, aby uciszyć bezczelne chichoty rozbrzmiewające w sali i móc przedstawić Lindę.

Pedałowała powoli, nie oglądając za siebie. Robin jechał za nią trochę ukradkiem i miał wrażenie, że dziewczyna to czuła. Wiedział dokładnie, gdzie mieszkała. Była to wystawna willa z białej cegły, z czarnym dachem i latarenkami w ogrodzie. Pewnego wieczoru ukrył się w brzozowym zagajniku za murem, mając nadzieję zobaczyć chociaż cień Lindy przez okno jej

sypialni.

Dziewczyna siedziała na rowerze prosto jak struna. Robinowi bardzo się to podobało. Te poskręcane włosy, które ledwo poruszały się na wietrze. Chętnie wetknąłby w nie nos i powąchał. Choć z drugiej strony wiedział, że to głupie. Jeszcze raz zerknął przez ramię, aby upewnić się, że nikt ich nie widzi.

Kiedy ulica zaczęła piąć się pod górę w stronę domu starców, włożył więcej siły w pedałowanie i prawie ją dogonił.

– Śledzisz mnie? – zachichotała, nie odwracając głowy.

– Nieee, jadę w tę stronę.

– To nie mieszkaś na Rosendal?

– Mieszkam, ale często wybieram tę drogę.

– Ale to przecież w drugą stronę.

– Do cholery, mogę chyba jeździć, gdzie mi się podoba!

Dziewczyna zrobiła jeszcze kilka ruchów pedałami, a Robin pozwolił jej pomknąć dalej, jakby nagle wszystko stało się dla niego obojętne. Opony szumiały na mokrym asfalcie. Małe bryzgi deszczu uderzały go w twarz.

Minęli dom starców, park miejski i opuszczoną willę dyrektorską na terenie dawnej rzeźni. Robin miał już skręcić na ścieżkę rowerową nad torami kolejowymi, gdy Linda zwróciła się do niego.

– Jeśli chcesz, możemy pójść do mnie na herbatę. Nie ma nikogo w domu – rzuciła z kuszącą obojętnością w głosie.

Robin poczuł, jak serce podskoczyło mu w piersi. Miał wrażenie, jakby świeży powiew wiatru przepędził szarobure chmury na niebie, jakby słońce zajaśniało do muzyki potężnej orkiestry smyczkowej, a z góry sfrunęła gromada ćwierkających ptaszków, które, zupełnie tak jak w filmach Disneya, utworzyły obłok nad ich głowami. Wykrzyknął w duchu z radości. Lecz gdy miał sformułować odpowiedź, ktoś jakby zaciągnął sznurek wokół jego gardła. Zdołał jedynie wydobyć ze strun głosowych cienką strużkę powietrza, która wystarczyła na słabiutki:

– Taaak...

„Herbata! Ale dziecinada!” – przemknęło mu przez myśl. Zacerwienił się. Jedyne, co w tym momencie mógł zrobić, aby

nie dać się zdemaskować, to stanąć na pedałach i przejechać ostatni kawałek drogi do białej willi z prędkością rakiety.

Pokój Lindy był różowym snem, pachnącym konwaliami. Szerokie łóżko z kwiecistą narzutą i stertą poduszek, misiów, pluszowych świnek, słoni i fok. Biała toaletka z lustrem, przytłoczona flakonikami perfum i innymi pojemniczkami. Telewizor plazmowy, wmontowany pomiędzy fotografiami, ozdobami i książkami na półce. A na stoliku przed kanapą nowiusieńki laptop. Robin czuł się jak w sklepie z porcelaną. Ledwo śmiał się poruszać.

– Zaraz wracam – zaszcebiotała Linda. Rzuciła plecak na podłogę i zniknęła z pokoju.

Robin rozejrzył się. Poczłł niespokojne wzburzenie w brzuchu. „Szlag by to, oby mi się tylko nie zachciało srać” – przemknęło mu przez głowę. Pocił się na samą myśl o tym, że miałby spytać o toaletę.

Przez uchylone drzwi słyszał, jak Linda brzękała naczyniami w kuchni. Za oknem dojrzał brzożowy zagajnik, gdzie schował się tamtym razem. Liście, które opadły już z gałęzi, leżały teraz rozrzucone na trawniku jak złote monety. A co, jeśli ona go widziała?

Przewertował z rozkojarzeniem płyty CD. Potem jego wzrok padł na fotografię na półce. Linda z przyjaciółmi, których Robin nie rozpoznawał. Na ogół się śmiała. Na jednym zdjęciu była ze swoimi rodzicami. Wiedział, że jej mama była nauczycielką matematyki, a tata kupił prywatną klinikę dentystyczną przy rynku. Ta fotografia przedstawiała ich troje, siedzących w kafejce w Paryżu. W tle wznosiła się wieża Eiffla.

Uwagę Robina przykuło jednak inne zdjęcie. Stało w samym tyle kolekcji, w cienkiej srebrnej ramce. Chwycił je ostrożnie. Linda siedziała na ławce obok czarnoskórej kobiety, która uśmiechała się smutno. Zdjęcie wyglądało na zrobione w jakimś biednym kraju. Za Lindą i smutną kobietą widać było dom, nie większy od zwykłego blaszaka i czarne dzieci bawiące się

na kamieniach.

„To musi być jej prawdziwa matka” – pomyślał Robin.

– To moja biologiczna mama.

Linda stała w drzwiach, przyglądając mu się badawczo. Położyła tacę na ławie, wzięła fotografię z jego ręki i odstawiła na półkę.

– Ma na imię Grace. Rodzice, to znaczy Elisabet i Sven, zabrali mnie w tamtym roku do Kampali. Adoptowali mnie, kiedy byłam noworodkiem.

Robin odchrząknął z zażenowaniem.

– Dlaczego?

– Dlaczego mnie adoptowali, czy dlaczego wzięli mnie do Ugandy?

Wzruszył ramionami.

– Adoptowali mnie, bo sami nie mogli mieć dzieci. Grace była bardzo biedna. Wydaje mi się, że dostała pieniądze. A potem, gdy podrosłam, rodzice stwierdzili, że powinnam ją odwiedzić. Poznanie korzeni dobrze wpływa na rozwój dziecka.

– I jak było?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Przecież jej nie znałam. Ale całkiem fajnie było to wszystko zobaczyć. Nie wiem. Może jeszcze kiedyś ją odwiedzę. Wydaje mi się, że mama i tata cały czas wysyłają jej pieniądze.

Nalała herbaty z ceramicznego dzbanka i rozdarła opakowanie z ciasteczkami. Potem wybrała szybko płytę, którą włożyła do odtwarzacza. Z głośników popłynęła rytmiczna muzyka, z dużą ilością basu i bębnów: Two thousand years of history, black history, could not be wiped out so easily⁸...

Przymknęła powieki i przez moment kołysała się w takt piosenki.

– Bob Marley – rzekła po chwili. – Mamie nie podoba się, że go słucham. Twierdzi, że to muzyka narkomanów. Korzystam więc z okazji i słucham tylko wtedy, kiedy nie ma jej w domu. To zajebista nuta. My, czarni, nie możemy zapomnieć, skąd pochodzimy.

Nagle zachichotała i otworzyła szafę. Po wewnętrznej stronie drzwi wisiał plakat, przedstawiający czarnego mężczyznę z warkoczykami. Robin słabo go kojarzył. Długą chwilę Linda klęczała, grzebiąc w najniższej szufladzie. W końcu odwróciła się z triumfującą miną. Pomachała małym, zmiętym woreczkiem, który trzymała w dłoni.

– Gandzia – powiedziała tajemniczym tonem.

Nie czekając na odpowiedź, rzuciła się do tyłu na sofę, lądując obok Robina. Następnie wyjęła pomarszczonego, ręcznie skręcanego papierosa i zapaliła go. Gdy zaciągnęła się głęboko kilka razy, po pokoju rozszedł się słodkawy zapach.

– Chcesz? – spytała, podając mu jointa.

Robin chwycił skręta, robiąc wszystko, by ukryć, że to jego pierwszy raz. Oczywiście wiedział, co to było. Kenny opowiadał sporo o narkomanach, którzy nie potrafili znieść przyzwoitej wódki. Zaciągnął się głęboko, jakby to było najbardziej naturalną rzeczą na świecie, po czym zmrużył oczy i pozwolił, by dym wypływał powoli kącikiem jego ust.

– Czego właściwie słuchasz? – spytała.

– Co?

– Pytam, jaki rodzaj muzyki lubisz.

Robin miał przecucie, że Linda nie chciałaby usłyszeć w odpowiedzi, że słucha Ultima Thule i tożsamościowego rocka.

– Heavy metal, Iron Maiden i takie tam – odparł półgębkiem.

Przyglądała mu się z niezbadanym wyrazem twarzy, podczas gdy on wciągał w siebie dym, aż czerniejący niedopałek zaczął parzyć go w palce. Gdy tylko zgasił skręta, ona zapaliła nowego.

– Co robią twoi rodzice?

Policzki Robina zapłonęły. Popatrzył bez celu przez różowe franki z bawełny na białe, zimne pnie brzoź rosnących po drugiej stronie ogrodowego muru.

– Stary... pracuje na złomowisku samochodów. Zajebicie mu idzie dłubanie w autach. Niedługo przeprowadzę się do niego i Króla Kul.

– Króla Kul?

– Tak, to trochę trzaśnięty gość. Ale całkiem równy. Ojciec i on

przyjaźnią się chyba od zawsze. Właściwie to on ma na imię Rolle.

Linda skinęła głową w zamyśleniu.

- A twoja mama?
- Nie pamiętam jej.
- Nie pamiętasz?
- Tak, nie pamiętam...

Przez chwilę siedzieli obok siebie na kanapie, nie mówiąc nic i trzymając w dłoniach gorące filiżanki. Zapalili jeszcze trochę. Dla Robina herbata była zbyt gorzka. Dosypał do niej kilka łyżeczek cukru.

- Co ci się stało w rękę?

Dziewczyna bez ostrzeżenia położyła dwa palce na grubym strupie przy kciuku Robina.

- Boli?

Pokręcił głową. Opuszki palców Lindy były miękkie. Rana wciąż jeszcze pulsowała po skaleczeniu, ale już nie tak intensywnie. Pierwszej nocy myślał, że będzie musiał pojechać do szpitala na założenie szwów, tak się z niej łało. Zakrwawił wblazience dwa ręczniki Gunborg. Ale potem krwawienie ustało. Następnego ranka Sune nic nie powiedział. Za to gapił się jak zwykle. Rok temu nie zadowoliliby się tylko patzeniem. Zawłókłby go do piwnicy. Robin poczuł lodowaty uścisk na sercu. Pomyślał o tych wszystkich razach, kiedy staruch patrzył tym swoim gniewnym wzrokiem, a potem ściągał go po schodach do pomieszczenia obok kotłowni. Parszywy sadysta. W ostatnim czasie było po nim widać strach przed tym, że Robin się komuś wygada. Pewnie kiedyś to robi, tylko komu? Jeśli Mike dowiedziałby się o poczynaniach Sunego, zatłukłby go.

- Pożyczyłem sztylet Kenny'ego. Chciałem pokazać innym kilka sztuczek. I przytrafił mi się wypadek.

Puściła jego dłoń i położyła stopy na stole, obok dzbanka z herbatą.

- Kenny to idiota. Jesteście kolegami?

Robin wpatrywał się zawstydzony w jej różowe skarpetki

i czuł, że traci kontrolę.

– Nie, niezupełnie. Ale jest całkiem w porządku.

– Co ty nie powiesz? Wiesz, jak za mną wołał kilka dni temu przed marketem? Czarna suka! Jego koledzy wybuchli śmiechem i stwierdzili, że to strasznie zabawne. Ty też tak myślisz?

– Neee...

Poczęstował się ciasteczkami i przeżuwał je w milczeniu. Linda wstała i krążyła tam i z powrotem przed oknem. Potem postanowiła otworzyć je na oścież.

– Muszę wywietrzyć, zanim wróci mama.

Długą chwilę stała w miejscu, patrząc na niego z oskarżycielskim błyskiem w oczach.

– Założę się, że to on i jego kumple zorganizowali tę nazistowską akcję na rynku.

Niepokój w brzuchu znów dał o sobie znać. Puste, ssące uczucie i narastająca potrzeba wypróżnienia się. Robin zakasłał głośno, by zamaskować bulgoczące dźwięki, wydobywające się z jelit. Ciężko było mu myśleć, kiedy miał takie zawroty głowy. Rozprostował się na kanapie i udał, że ziewa.

– Jaką akcję?

– Nie widziałeś w gazecie? Były zdjęcia i w ogóle. Kilku głupków przebrało się za nazistów i rzucało bomby dymne na rynku w środku nocy. Zbili też szyby w pizzerii. Pisali o tym na pierwszej stronie „Ystads Allehanda”. Nie czytałeś?

Robin uśmiechnął się nerwowo. Oczy Lindy były jak dwie głębokie studnie. Otworzył usta, by powiedzieć coś rozbijającego, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Milczał więc.

– Boże, ale durnie wyglądasz, kiedy tak leżysz! – wybuchła znienacka. – Jak ryba, której brakuje powietrza.

Zanim zdążył zareagować, dziewczyna ściągnęła z łóżka jednego misia i rzuciła nim w głowę Robina.

– Zamknij buzię!

– Przestań! – wycedził, lecz w głębi duszy marzył o tylko tym, by kontynuowała.

Biała foka trafiła go w nos i spadła na filizanki, aż zabrzęczała

porcelana. Potem przyleciała żyrafa, a po niej małpa, za którą szybko pofrunęła jaskrawożółta poduszka. Robin pochylił się, zebrał zwierzaki i niezdarnie je odrzucił. Wtedy powietrze przecięła nowa poduszka, w towarzystwie miękkiego słonia. Robinowi udało się złapać pierwszy pocisk i rzucić nim w Lindę, tym razem z większą siłą. Trafił celnie, prosto w jej twarz, aż dziewczyna się zachwiała. Potem zobaczył, że się śmieje, a w jej wielkich oczach pojawił się błysk. Po chwili dopadła go na kanapie, waląc pluszowymi poduszkami, które trzymała w obu dłoniach.

– Pomocy! Ratunku! – krzyczał radośnie, gdy siedziała na nim okrakiem, łomocząc go swoim orężem.

Nagle odzyskał siły, podniósł się z Lindą w objęciach i rzucił ją na łóżko, aż odbiła się od sprężynowego materaca. Uzbrojony w słonia i fokę, przystąpił do ataku. Linda zwinęła się w kulkę, zaśmiewając się do łez. Robin, odurzony marihuaną i zapachem potu połączonego z konwalia, rzucił się na nią i zanurzył twarz w jej poskręcanych włosach, chcąc w nich utonąć. Lecz po chwili ona znów była na nim. Robin leżał na plecach z błogim uśmiechem i pozwolił, by okładała go swoimi przytulankami, na ile tylko starczyło jej sił.

Nagle usłyszeli głos od drzwi.

– Co wy, u licha, wyrabiacie?!

Kobieta patrzyła na nich ze wstrętem. Miała na sobie mocno ściągnięty w pasie prochowiec, którego nie zdążyła jeszcze zdjąć. W ręce trzymała skózaną teczkę. Elisabet Aronsson, nauczycielka matematyki, stanowiła widok wzbudzający respekt. Była wysoka i dobrze zbudowana. Jej wyrazistą twarz otaczała aureola w kolorze blond, a cała jej istota promieniała zdrowiem.

Pełen złych przeczuć Robin podążył za jej wzrokiem, przykutym do jego własnej ręki. Gdy ujrzął, w jakim była stanie, przeraził się. Strup przy kciuku oderwał się i palce były ubabrane krwią. A co gorsza, łóżko wyglądało, jakby jakiś morderca poćwiartował na nim swą ofiarę. Krew była wszędzie: na kwiecistej narzucie, poduszkach i wszystkich kolorowych zwierzakach. Biała foka, którą wciąż trzymał w dłoni, straciła

oboje oczu, a jej futerko lśniło na czerwono, jak u ogłuszonego na śmierć grenlandzkiego szczenięcia. W powietrzu unosił się jeszcze puch z potarganej poduszki.

– Spokojnie, mamo, nic złego się nie dzieje. To tylko Robin... – powiedziała Linda, ścierając coś z policzka.

Robin odłożył ostrożnie zakrwawioną fokę na łóżko i wstał. Rozejrzył się zmieszany.

– Muszę lecieć – wymamrotał i przecisnął się przez drzwi, mijając zdenerwowaną matkę dziewczyny.

Zanim czmychnął, zdołał jeszcze zobaczyć przelotem Lindę. Trzymała rękę na ustach, ale za jej miękkimi palcami dostrzegł coś, co dało mu do zrozumienia, że się śmiała.

*

Leżał wieczorem w łóżku, pod zwisającym u sufitu modelem samolotu i nie mógł zasnąć. Ostatnia noc w tym pieprzonym domu u tych pieprzonych ludzi, których tak nienawidził.

iPod Lindy wciąż tkwił w kieszeni jego džinsów, przerzuconych przez krzesło. Dlaczego, u licha, go ukradł? Miał wrażenie, że w tamtym momencie wstąpił w niego diabeł. Jej plecak stał otwarty przy ławce, a iPod leżał w nim, połyskując. Trwała przerwa i w klasie było pusto. Zanim zdążył cokolwiek zrozumieć, miał już odtwarzacz w dłoni.

Potem przechwalał się przed Kennym. To było w tym wszystkim najgorsze. „Patrz, co zakosiłem murzynce!” Kenny zarechotał i poklepał go po plecach swoją mięsistą łapą.

Robin poczuł, że prześcieradło namokło od zimnego potu. Całe łóżko było wilgotne, a on wstydził się tak, że mógłby umrzeć. Podciągnął kolana pod brodę, obrócił się do ściany i spróbował myśleć tylko o Lindzie.

Pierwszy raz, kiedy ją zobaczył.

Był ciepły sierpniowy wieczór, niedługo miała zacząć się szkoła. Okno było otwarte i Robin nie mógł spać. Także wtedy. Wstał więc z łóżka, założył spodnie i bluzę, a potem wymknął

się ukradkiem.

Nie zastanawiając się specjalnie, dokąd zmierzał, popedałował w stronę kamieniołomu.

Nie było całkiem ciemno, nad skalistym wzniesieniem porośniętym brzozaami wisiał blady księżyc. Robin zostawił rower w krzakach i zaczął wspinać się ścieżką na jeden z pagórków, przechodząc po drodze przez ogrodzenie z kamieni. Nad jego głową przemknął ze świstem nocny ptak o spojzeniu ostrym jak brzytwa. Ścieżka pięła się w górę, wijąc się przez rzadkie zagajniki.

Urwisko niemal go zaskoczyło, choć wiedział, że znajdowało się właśnie w tamtym miejscu. Skąła wpadała nagle w pustą nicość. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Kucnął i przyczołgał się ostrożnie do krawędzi.

Zobaczył jakby martwą kobietę. Nagie ciało z luźno rozłożonymi ramionami unosiło się na wodzie w poświacie księżyca.

Zwłoki, piękne jak na filmach.

Robin wstrzymał oddech. Czy kobieta odebrała sobie życie? Czy ktoś ją zamordował? A może dało się ją jeszcze uratować?

Gdy miał już popędzić do brzegu i rzucić się do wody, aby ją wyciągnąć, dostrzegł, że poruszała powoli ramionami tuż pod powierzchnią wody. Był to miękki ruch, który miał utrzymać ciało w równowadze.

Czy nie nuciła cichutko jakiejś melodii? Ależ tak, teraz ją słyszał. Słabe murmurando, którego ona sama nie była chyba świadoma.

Robin uśmiechnął się do siebie, siedząc na klifie. Dziewczyna nie była martwa. Była tak czarna jak woda, ale absolutnie nie martwa. Kim była?

Pomyślał, że powinien stamtąd pójść, nie był przecież podglądaczem. Nie mógł jednak oderwać od niej wzroku. Przycupnął więc za skupiskiem brzoza. Dziewczyna była taka piękna. Gęste, ciemne włosy unosiły się wokół jej twarzy jak morska trawa. Jej ciało było tak zgrabne, miękkie i czarujące, kiedy poruszała się nieśpiesznie w głębokiej wodzie.

Nagle zauważył, że zesztyniała. „Nasłuchuje” – pomyślał. Po chwili popłynęła szybko do brzegu.

Czy go zauważyła?

Robin przywarł do skały. Znowu wstrzymał oddech i zawstydził się, aż poczerwieniał. Jednocześnie pomyślał, że miał cholerne szczęście, bowiem nikt nie widział jego płonących policzków.

Obserwował spomiędzy gałęzi, jak wycierała się ręcznikiem i zakładała ubranie. Potem odprowadził ją wzrokiem do ścieżki, na której zniknęła.

„Kiedyś – myślał Robin, leżąc w swoim przepoconym łóżku. – Kiedyś muszę ją zapytać, dlaczego tak nagle uciekła i czemu kąpała się w środku nocy.”

[8](#) ang. Nie można tak łatwo zmasać dwóch tysięcy lat historii, czarnej historii...

Rozdział 14

Stary mężczyzna wyglądał na wystraszonego. Stąpał niepewnie wzdłuż chodnika, pochylony nad balkonikiem, przypominając zbutwiały, spróchniały dąb, który ktoś lichy podparł, aby uchronić go przed upadkiem. Posuwał się powoli. Łypnął lękliwie na grupkę nastolatków, stojącą pod budką z kiełbaskami. Może pragnął mieć młode, zdrowe nogi tych chłopaków, by móc popędzić do domu, zanim na ulicy zapadnie ciemność i zapanuje pustka.

– To Remington – powiedział Kenny. – Dubeltówka. Ma zajebistą moc. Próbowałem wczoraj wieczorem. Dwa buraki cukrowe na kamiennym murku. Pif-paf i zostały tylko strzępy.

Robin śledził wzrokiem mozolną wędrówkę starca. Pod jego płaszczem odznaczało się chude jak u kościotrupa ciało. Odnosiło się wrażenie, że wystarczyłoby jedno chuchnięcie, aby mężczyzna złamał się wpół.

– Fajowo – rzekł Buła i usiadł na kamiennych schodach obok kolegów. Wbił zęby w hamburgera. Wewnątrz budki z kiełbaskami zasyczało, gdy sprzedawczyni zanurzyła w oleju koszyk z mrożonymi frytkami. Miała tłuste, ufarbowane na rudo włosy. Robin wciągnął w nozdrza zapach oparów. Nie był głodny.

– Widzimy się w piątek w chatce myśliwskiej. Punkt szósta przystępujemy do pierwszego ćwiczenia. Obecność obowiązkowa.

Kenny wbijał wzrok w każdego po kolei. Wszyscy kiwali głowami, lecz Robin się odwrócił. Od tych zapachów było mu niedobrze. Staruszek przewlókł się obok nieczynnej stacji

benzynowej i zniknął z pola widzenia.

– Nie moglibyśmy postrzelać do zwierząt?

Jocke dyszał z ekscytacji.

– Mój stary opowiadał, że polował kiedyś na sarny z kolegą. W środku nocy. Siedzi się w aucie i kieruje reflektory prosto w oczy takich Bambi. Całkiem ślepną. Nie kumają, że mają uciekać, dopóki nie dostaną kulki w łeb. Buła, możesz chyba pożyczyć pick-upa?

– Jasne... – wybełkotał Buła, nie odrywając uwagi od swojej kanapki. Wolną ręką wytarł tłuszcz z ust. – Jasne, kurna.

Kenny uśmiechnął się pobłaźliwie. Zgniół w dłoni puszkę po coli i rzucił ją przez ramię w stronę kosza na śmieci. Kobieta w okienku posłała mu gniewne spojrzenie.

– Musimy zacząć od nieruchomych celów.

W oczach Kennego pojawił się zimny, metaliczny błysk. Podniósł się i siadł okrakiem na swoim motocyklu.

– Przyjdzie czas, że będziemy strzelać i do jednego, i do drugiego.

– Do kolorowych? – Jocke zapłonął nadzieją.

Kenny zamrugał, a Buła parsknął nagle, tak że z jego ust bryznęła ślina i kawałki jedzenia. Pozostali uśmiechali się nerwowo.

– Nie wiem, czy dam radę w piątek – wymamrotał Robin.

Spojrzał na przejście kolejowe i zapragnął, by wyłonił się stamtąd wyjący samochód straży pożarnej, wóz cyrkowy pełen lwów lub cokolwiek, co mogłoby odwrócić od niego ich uwagę. Kątem oka widział, że Kenny zastygł w bezruchu. Wśród chłopaków na schodach zapanowała nagle przejmująca cisza. Robin pomyślał o sztylcie i zaczął żałować, że nie trzymał gęby na kłódkę.

Kiedy się odwrócił, Kenny wlepił w niego pogardliwe spojrzenie.

– To nie zabawa, Robin. Albo jesteś z nami, albo przeciwko nam. Nikt nie rezygnuje. Jest już za późno.

Robin wstrzymał oddech, licząc sekundy. Trwało wieczność, zanim Kenny przestał się na niego gapić i założył kask. Odpalił

motor kopnięciem i przygazował.

– Kapujesz? Nikt! – wrzasnął, przekrzykując warkot silnika i wskazując na Robina palcem. W końcu odjechał z piskiem opon.

W tym momencie w kieszeni zawibrował telefon. Robin podskoczył, jakby do jego bokserek wlało stado mrówek. Linda! Od momentu sromotnej ucieczki z wielkiej białej willi stale miał nadzieję, że zadzwoni. Pragnął tego bardziej niż czegokolwiek. Widział przed sobą jej śmiejące się oczy i przez krótką chwilę poczuł woń konwalii, która przytłumiła opary, wydobywające się z budki z jedzeniem. Ale co miał powiedzieć? Nie mógł przecież wyjść przed chłopakami na rzewnego cymbała.

Przestąpił kilka kroków na stronę i odebrał połączenie.

– Taa?

To nie była Linda. Głos po drugiej stronie był krzykliwy, brzmiał niemal, jakby ktoś się zgrywał.

– Czy rozmawiam z Robinem Larssonem?

– Tak, o co chodzi?

– Wydaje mi się, że ty i ja moglibyśmy porozmawiać o tym i owym...

– Kim jesteś?

W słuchawce zapadła cisza, jakby rozmówca wazył słowa.

– Chodzi o nazistowską demonstrację na rynku w tamtym tygodniu. Byłeś tam, prawda? Rozwalałeś szyby w pizzerii Araba.

Robin poczuł narastające mdłości. Przełknął ciężko ślinę.

– O czym ty mówisz?

– Że jesteś jednym z nazistów, Robin. Mam dowody zdjęciowe.

– Co takiego?

– Nie udawaj głupka. Dobrze wiesz, o czym mówię. Byłeś tam, a ja mam na zdjęciu, jak zrywasz z siebie kominiarkę.

Wspomnienie tamtej nocy natychmiast do niego powróciło. Granaty dymne. Były bardziej intensywne, niż przypuszczał. Buchał z nich gęsty, wstrętny smog, który uderzał go prosto

w twarz. Wszystko go swędziało, łzawiły mu oczy i ciekło z nosa. Nieomal wpadł w panikę. Bez zastanowienia zdarł z siebie kominiarkę i wytarł twarz. Trwało to dosłownie kilka sekund. Czy to możliwe, że ktoś zdążył go zobaczyć?

– Pewnie się zastanawiasz, jak cię znalazłem?

Głos zaśmiał się krótko z samozadowoleniem.

– To było proste. Wystarczyło przejrzeć szkolne rejestry. Wypożyczyłem je bez problemu. Wmówiłem sekretarce, że chcę ich użyć do napisania słodkiego, szkolnego reportażu. Potem kartkowałem jakieś pięć minut i w końcu znalazłem twoją paskudną gębę.

Do Robina docierało powoli, kto to był. Dziennikarz, któremu Kenny dał cynk przez telefon. Spojrzał niespokojnie na Bułę i innych, gadających pod budką, jak gdyby nigdy nic. Poczł, że chce mu się wymiotować.

– Czego chcesz? – spytał cicho.

– Może się najpierw przedstawię. Nazywam się Nils Ek i jestem reporterem „Ystads Allehanda”. Mam propozycję.

– Propozycję?

– Jak zapewne rozumiesz, mogę oddać zdjęcia policji. Na jednym z nich widać bardzo wyraźnie twoją twarz. Stoisz w dymie i kaszlesz. Myślę, że nie wpłynęłoby dobrze na twoją przyszłość, gdyby ta fotografia wpadła w ręce policji, kapujesz?

– Nie wiem, o czym mówisz... – wymamrotał niepewnie Robin.

Nagle głos po drugiej stronie linii stał się agresywny i groźny, aż zatrzeszczało w słuchawce.

– Przestań kręcić, gówniarzu! Zrobisz dokładnie to, co powiem!

Robin szybko odrzucił połączenie. Nie mówiąc nikomu ani słowa, wsiadł na rower i pojechał prosto do swojego nowego domu.

*

Mike, widząc swą małą rodzinę, zebraną przy kuchennym stole,

doświadcział wewnętrznego spokoju i głębokiego szczęścia; ba – dochodził niemal do przekonania że w zasadzie świat jest dobry.

Taki stan nie mógł rzecz jasna trwać wiecznie. Przez lata Mike pozwolił zadać swojej duszy tyle ran, że zdawał sobie sprawę lepiej niż większość ludzi, iż wszystko to może mu zostać w jednej chwili odebrane. Lecz w tym momencie u jego boku siedziały dwie osoby, które kochał najbardziej w całym wszechświecie. Możliwe, że nawet jedyne dwie, na których mu w ogóle zależało. Robin – nareszcie w domu. Oraz Rolle – potężny i promienny jak supernowa.

Wyprawdzka Robina z domu zastępczego przebiegła bez żadnych dramatów. Na miejsce przybył także Roine Lind, aby w razie czego uspokoić atmosferę. Kurator przechadzał się z nerwowym uśmiechem przyklejonym do ust i zapewniał, że wszystko będzie dobrze. Sune i Gunborg wyglądali początkowo na skwaszonych, jakby chodziło o ich własnego dzieciaka. Był moment, że Mike poczuł, jak przypęzła do niego ta zdradziecka złość, która wywoływała swędzenie na karku. Oczywiście małżonkowie Olsson nie byli winni tego, że z Robinem było tak, jak było. Ale czy w uśmiechu Sunego nie pojawiła się złośliwość, gdy życzył im powodzenia? Jakby miał nadzieję, że wszystko znowu diabli wezmą i był pewien, że ma rację. Kiedy Sune wyciągnął rękę, by pogłaskać Robina po włosach, chłopak błyskawicznie się cofnął. Mike nie mógł tego nie zauważyć, a iskra strachu w oczach Robina wywołała palenie w jego skroniach. Lecz wtedy Roine Lind poklepał ojca i syna po plecach, śmiejąc się sztucznie. „Cóż, to chyba wszystko. Jedziemy do lasu Sherwood!” Trzy kartony z rzeczami Robina były już w samochodzie.

Na stole kuchennym w wielkim, kamiennym domu Rollego królowała teraz Octopus Magnifica. Tuż przed kolacją sam artysta odsłonił swoją pracę.

– Na cześć syna marnotrawnego. Niech żyją powroty! – ogłosił uroczyście, po czym ściągnął stare prześcieradło, które zawiesił na swym dziele sztuki.

Ośmioramienny świecznik był zbudowany z co najmniej stu

plastikowych kulek, które Mike tak dobrze znał. Rolle nawlókł je na żyłki i skleił w taki sposób, że tworzyły coś pomiędzy ośmiornicą a meduzą. Wewnątrz każdej z nich zwisał na nitce jakiś mały przedmiot. Serce, aniołek lub kwiatek. Skonstruowanie świecznika musiało zająć Rollemu wieczność. Pozostawało jednak niejasne, w jaki sposób instalacja miała symbolizować powrót Robina do domu. Mimo to trójka siedząca wokół stołu stwierdziła jednogłośnie, że światło świec odbijające się od przezroczystych kul nadawało pomieszczeniu przytulnego blasku, który wspaniale ogrzewał jesienny mrok.

– Genialne! – wykrzyknął Robin.

– Piękne – przytaknął mu Mike, uśmiechając się w duchu na widok błysku dumy w oczach starego przyjaciela.

– Zastanawiam się nad jedną rzeczą – rzekł Rolle i wskazał palcem na plastikową kapsułkę, której zawartość stanowił mały, niebieski ptaszek. – Każda taka kulka jest jak oddzielny świat. Jak wam się wydaje, o czym myśli ta ptaszyna? Czy widzi coś na zewnątrz? A może światło odbija się tak, że siedzi tam w środku i wyobraża sobie, że jest samiuteńka w całym wszechświecie?

Spoglądał na nich długo wielkimi oczyma.

– Nie ma bardziej wolnych stworzeń od ptaków – rzekł w końcu Mike filozoficznym tonem. – Mam na myśli prawdziwe, żywe ptaki. W okolicy jest mnóstwo rzadko spotykanych gatunków. Orły w Fyledalen. Zimorodki niedaleko Verkeån. Alcedo atthis – to łacińska nazwa zimorodka. To mały, przepiękny ptak, z mieniącymi się na niebiesko piórami. Często zwisa w locie nad wodą, a potem zanurza się i łapie małe rybki. Składa pięć do siedmiu błyszczących jajeczek, trzy razy w roku.

– Przeczytałeś książkę? – spytał podejrzliwie Rolle.

– Uhm. „Ptaki Europy”. Aktualnie jestem ornitologiem. Nauczyłem się mnóstwa rzeczy w więzieniu. Powinniśmy kiedyś udać się razem na obserwację w teren. Jak dostanę wypłatę od Borysa, kupię porządną lunetę. Co ty na to, Robin?

Mike pałał entuzjazmem, lecz pochmurna mina syna sprawiła, że twarz mu odrobinę pociemniała.

– Zaczęłeś też zbierać znaczki? – wycedził Robin.

Zmieszany Rolle pokręcił gwałtownie głową, aż pasemka jego tłustych włosów zatańczyły przy uszach.

– No, pora coś zjeść.

Ponieważ Rolle zdecydowanie utrzymywał, że jego nagłe torsje podczas wyprawy na ryby przed kilkoma dniami wywołane zostały przez ostrą alergię na dorsza, cała zdobycz wylądowała nieoczyszczona w zamrażarce skrzyniowej w piwnicy. Na stole zaś leżała pieczona mortadela, odrobinę przypalona na końcach, ale zupełnie jadalna. Na jej widok Mike'owi pociekła ślinka.

– Człowiek jest jednak szczęśliwie obdarzony przez los – wykrzyknął, próbując na nowo wprowadzić miły nastrój, po czym naładował na talerz górę ziemniaczanego purée.

Rolle i Robin spojrzeli na niego pytająco.

– Pomyślcie o wszystkich głodujących na świecie. Na przykład w Afryce. A my mamy jedzenie na stole, piękny dom i dobrą pracę.

Rzucił szybko okiem na swego przyjaciela.

– Cóż, Rolle, wprawdzie ty nie masz pracy, ale za to posiadasz prawdziwy pałac. I jesteś, niech mnie kule biją, geniuszem. Świat czeka tylko, by cię odkryć.

Z kiszek nowo ogłoszonego geniusza dobył się bliżej nieokreślony bulgot. Mike nalał ojcowskim gestem mleka do szklanki Robina, następnie do swojej, lecz gdy zbliżał się już do szklanki Rollego, ten zdołał w ostatniej chwili zakryć ją dłonią i w ten sposób go powstrzymać. Po chwili Mike wziął głęboki łyk i parsknął. Nad wargą miał białego wąsa.

– Ach, mleko! Robin, wiesz chyba, że mleko wzmacnia kości? Ricky Bruch w czasach swojej świetności wciągał w siebie osiem litrów dziennie. Napisał o tym w biografii „Walka gladiatora”. Fantastyczna książka. Jedna z najlepszych, jakie czytałem. Mówiłem wam już, że spotkałem kiedyś Ricky'ego? Dostałem od niego autograf. Równy był z niego facet. Potwornie inteligentny i diabelnie dobry w argumentowaniu. „Mike – powiedział do mnie – wszystko dzięki mleku. Bez

mleka nigdy nie ustanowiłbym światowego rekordu.” Potem patrzył mi długo w oczy. Pomyśl o tym, Robin.

– O kim ty w ogóle mówisz?

Mike przewrócił oczami.

– Niczego was w szkole nie uczą? Ricky Bruch, mistrz świata w rzucie dyskiem. Sześćdziesiąt osiem czterdzieści. Niewiarygodny rekord w tamtych czasach. Choć ponoć na treningach ciskał tym gównem na ponad siedemdziesiąt metrów.

Robin pochylił się nad stołem, chwycił plastikową butelkę i trysnął keczupem na kiełbasę.

– A tak na marginesie, to jak ci leci w szkole?

– Tak sobie...

– Teraz, kiedy wróciłem, zamierzam się tam wybrać i porozmawiać z twoimi nauczycielami. Chcę ich trochę wy badać.

Oświadczenie Mike’a wzbudziło w Robinie zarówno niepokój, jak i nadzieję. Potrafił sobie żywo wyobrazić, jaki rejdach powstanie, gdy Mike, jak zawsze prostolinijny, wkroczy do pokoju nauczycielskiego i porozstawia wszystkich po kątach. Chłopak zdrzął na tę myśl, gdy tak siedział i grzebał w ziemniakach. Choć właściwie chyba nie zaszkodziłoby, gdyby Mike ukazał im swą wzbudzającą respekt postać. Może jeden z drugim pojąłby, że awanturowanie się z Robinem Larssonem nie było najlepszym pomysłem.

– Mia, moja wychowawczyni, będzie wzywać na rozmowę rozwojową – wymamrotał Robin.

– Świetnie! Sama też pewnie potrzebuje się trochę rozwinąć – stwierdził Mike. Opróżnił szklanę z mlekiem i skrzywił się, jakby przez przypadek wypił czyjąś próbkę moczu.

– A jak wyglądają twoje oceny?

– Oceny dostaje się dopiero po dziewiątej klasie.

– Ach, tak. Faktycznie.

– Właśnie zacząłem dziewiątą.

– No tak.

Mike przeliczył prędko lata w pamięci i wywnioskował, że to

mogło się zgadzać.

– Ale za rok dopilnujemy, byś miał najlepsze stopnie. Widzisz, w życiu trzeba walczyć.

– Uhm...

Mike namalował szybko w wyobraźni obraz ojca i syna, pogrążonych w szkolnych podręcznikach. Przepytywałyby Robina z rzek Rosji. Mógłby też zapewne pomóc trochę w nauce angielskich słówek. A może tłumaczyłby sekrety matematyki, a Robin słuchałby z zapałem i robił notatki w zeszytach? Matma w ostatnich klasach podstawówki nie była chyba znowu tak piekielnie skomplikowana?

Jednak zwięźnięcie na twarzy syna dało się odczytać tylko w jeden sposób. Ta obojętność drażniła Mike'a.

– Robin, rozumiesz chyba, że musisz się starać. Życie to walka. Od kołyski aż po grób. Kapujesz?

Szturchnął Robina przyjaźnie w ramię, trochę mocniej, niż zamierzał. Potem podniósł kąciki ust w groteskowym uśmiechu.

– Spójrz na mnie! Myślisz, że zaszedłbym w życiu tak daleko, gdybym nie walczył?

Dyskretne kasłanie Rollego sprawiło, że Mike zgubił wątek.

– Czy ktoś życzy sobie kawy? – zapytał pan domu.

Nie odpowiadając, Mike wpakował do ust ostatnie kawałki kiełbasy i beknął donośnie. Robin rozcierał sobie ramię, obserwując go w milczeniu. Ta pyszałkowatość irytowała go do szaleństwa. Sprawiała, że chciał wstać i wykrzycheć ojcu prosto w twarz: „Myślisz, że można zwierzyć się z czegoś nadętemu idiotcie, który nigdy nie słucha?” Lecz zamiast tego rozbełtał widelcem trochę musztardy i ketchupu, które utworzyły na talerzu żółtoczerwoną papkę.

Mike poklepał się po wydętym brzuchu.

– Pyszne jak cholera, Rolle. Wyszło ci świetnie.

Robin czuł narastający ból głowy. Piętrzyło się w niej tyle spraw. Myśli brzęczały jak rój owadów. Zołzowata matka Lindy wyglądała na potwornie wściekłą. Robin miał nieprzyjemne przeczucie, że nie zetknął się z nią po raz ostatni. Do tego ten dziennikarz, który do niego zadzwonił. Czego on chciał? „Nie

powinienem był przyłączać się do nazistowskiej akcji Kennego – pomyślał Robin. – Ale przecież nie da się powiedzieć nie, kiedy on w kółko plecie o tych swoich kolorowych. Cała ta gadka wyżera mózg.” Nagle uderzyła go myśl, że może nie miał innego wyboru. „Wali mnie to, że Kenny jest większy i starszy – pomyślał. – Może muszę dać mu nauczkę, żeby się odczepił?”

– Tato, co byś zrobił, gdyby ktoś cię tępił?

Mike spojrzał pytająco na syna, jakby jego myśli już dawno pobłądziły w inną stronę.

– Co masz na myśli?

– Ty wiesz tak dużo. Powiedz, co się robi, kiedy ktoś się ciągle kogoś czepia?

Mike podrapał się mocno po swoich krótkich włosach.

– Czy ktoś ci dokucza?

– Tylko pytam. Co byś zrobił? Odpowiedz!

W oczach Mike’a pojawił się zaczepny ognik. Potem rzekł, nie owijając w bawełnę:

– Trzeba być twardym. Nigdy się nie ugiąć.

– A jeśli ten ktoś byłby dużo większy?

– Wtedy trzeba odwrócić szanse. Zaskoczyć go, gdy nie jest przygotowany. Najważniejsze to się nie ugiąć. Nigdy w życiu, cokolwiek by się działo!

Mike wyglądał, jakby oczy miały wyskoczyć mu z orbit.

– Kto to jest? – spytał.

Robin odrzucił widelec na talerz.

– Eee, nikt szczególny. Tylko tak się zastanawiam...

Długą chwilę siedzieli w zupełnym milczeniu. Mike próbował uchwycić spojrzenie syna, lecz Robin chował twarz w cieniu. W końcu Rolle podniósł się z hukiem, przewracając krzesło na podłogę.

– Jest inny sposób – rzekł z tajemniczą miną.

Mike i Robin spojrzeli na niego z identycznym wyrazem twarzy, jakby wyrwał ich z letargu. Na sekundę Rollego uderzyło ich podobieństwo.

– Voodoo! – powiedział.

– Co?

– Zejdźcie ze mną do podziemia.

Nie czekając, okręcił się szybko na pięcie, otworzył drzwi do piwnicy zamaszystym ruchem, po czym zniknął w ciemności.

Mrok na dole sprawiał, że trudno było cokolwiek dostrzec. Samotna świeczka w mosiężnym lichterzu płonęła słabym płomieniem, rzucając upiorne cienie na bladą twarz Rollego. Otaczał go mały, chybotliwy krąg światła. Pozostała część wielkiej piwnicy tonęła w mroku. Rolle zaśmiał się głucho. Wilgotne powietrze przepełniał zapach przygniętych jabłek.

Mike instynktownie wyciągnął rękę, aby zapalić lampę, lecz Rolle go powstrzymał.

– Stop! Duchy lubią ciemności – wyjaśnił obco brzmiącym głosem.

Mike uśmiechnął się odrobinę nerwowo. Robin wziął głęboki oddech, szukając w myślach jakiejś ciętej repliki, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Chcąc nie chcąc, poczuł zimny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

– Voodoo – rzekł Rolle swoim nowym, grobowym głosem. –

Dawno temu kupiłem w antykwariacie książkę na ten temat. Można się z niej było dużo dowiedzieć. Ludy Afryki praktykują voodoo na swoich wrogach od tysięcy lat. Niewolnicy zabrali ze sobą te wierzenia na Haiti. Tajemnica tkwi w pomocy zmarłych. Duchy są łącznikami z tamtym światem. Jeśli pragniesz, by komuś stało się coś złego, prosisz duchy o pomoc.

– I działa? – spytał Robin sceptycznie.

– Trzeba wierzyć – odparł Rolle. – Jeśli wierzysz w moc duchów, to ci pomogą.

Mike i Robin opadli na starą kanapę, która dawno temu została przez kogoś zakryta prześcieradłem.

– Daj spokój, Rolle. Nie wciskaj chłopakowi kitu.

– Testowałeś to kiedyś? – zapytał Robin.

Nie odpowiedział, olbrzymi czarnoksiężnik odwrócił się i zniknął w ciemności. Słyszeli, jak szpera w rupieciach. Po chwili ponownie wkroczył w poświatę rzucaną przez

świeczkę. Pod pachą trzymał oprawiony w ramę obraz olejny, przedstawiający surowego, opryskliwego mężczyznę.

– Wziąłem do pomocy duchy tylko jeden jedyny raz. Było to prawie trzydzieści lat temu. Byłem zaledwie chłopcem. Mniej więcej w twoim wieku, Robin. Może trochę starszym. Zamknęli mnie w domu wariatów w Lund. Pewnej nocy uszyłem z materiału lalkę i wypchałem ją pierzem z poduszki. To była wstrętna lalka, ale miała też przedstawiać wstrętnego upierdliwca. W mojej książce wyczytałem, jak mam postąpić. Tuż po północy wbiłem w pierś lalki wielką igłę, i – wiercie mi albo nie – dzień później usłyszałem, że ten drań dostał ataku serca dokładnie w tym czasie, kiedy dokonałem mojego voodoo. Ostatnią rzeczą, jaką widział, były cycki polskiej dziwki w Ystad.

W piwnicy zaległa znamienna cisza.

– Nie opowiadałeś tego nigdy wcześniej – rzekł w końcu Mike.

– Kto to był? – spytał Robin. – Ten facet, którego zabiłeś?

Nagle głos Rollego zabrzmiał zupełnie normalnie. Grubas zapalił lampę pod sufitem i wzniosł nad głowę olejne malowidło.

– Malcolm B. Andersson. Największy skurwiel, jaki chodził po tej ziemi. Mój ojciec.

Mike i Robin zmrużyli oczy, oślepieni ostrym światłem. Następnie popatrzyli ze zdziwieniem na szpakowatego mężczyznę na obrazie. Zauważyli, że w płótnie było mnóstwo małych dziurek.

– Twój ojciec... – szepnął Robin pod nosem.

– Był prawdziwym dupkiem – zaświadczył Mike.

Rolle wziął głęboki oddech.

– Nigdy o tym nikomu nie powiedziałem – oznajmił uroczyście. – Bo też nigdy nie wiadomo. Z czysto prawnego punktu widzenia popełniłem morderstwo. A przynajmniej podzegałem do morderstwa. Zachowałem to więc dla siebie. Cholera wie, czemu to teraz mówię.

– A te dziurki...? – Robin wskazał na obraz, który Rolle odłożył na wielką zamrażarkę.

Oczy Króla Kul zabłyśły. W pierwszej chwili wyglądało to tak, jakby cisnęły się do nich łzy, lecz później za rogówką pojawił się inny odcień i Rolle wybuchnął gromkim śmiechem.

– Ach, to zrobiłem później. Czasem, kiedy chce się odreagować, dobrze jest posłać kilka rzutek w jakiegoś naprawdę wrednego lub głupiego szubrawca. Spróbujcie sami, to się przekonacie.

W największym pośpiechu cisnął na podłogę przed nimi kilka rzutek, które wyczarował z kieszeni. Następnie okręcił się wokół własnej osi i zniknął na chwilę między meblami, składowanymi w tylnej części piwnicy, po czym wrócił z całym stosem oprawionych w ramy obrazów, plakatów i fotografii, które ustawił w rzędzie na zamrażarce i ogromnej półce na książki, stojącej tuż obok. Były to wizerunki polityków, zarówno prawicy, jak i lewicy, portret króla, starego prezydenta Ameryki, Hitlera, pewnego irańskiego mułły, blondyny z wielkimi piersiami oraz powiększone zdjęcie klasowe. W ostatniej kolejności i z dużym wahaniem Rolle ustawił między obrazami fotografię Mike'a. Również ona miała wiele śladów po strzałach prosto w twarz.

– Cóż, musisz mi wybaczyć – rzekł zawstydzony. – Zdarzało się, że wkurzałem się i na ciebie. Potrafisz czasami cholernie działać na nerwy.

– Akurat to daję za frajer – zaśmiał się Mike i zebrał rzutki z podłogi. Z gwałtowną siłą wypuścił jeden pocisk i trafił Hitlera w czoło, potem drugi, który o mały włos nie ugodził przywódcy centrowego w oko, a w końcu trzeci, ten wwiercił się tuż przy obojczyku czarnookiego ajatollaha.

– Teraz moja kolej! – krzyknął Robin.

Wyciągnął szybko rzutki z obrazów, wskoczył na kanapę i posłał śmiercionośną salwę. Król, blondyna, a na koniec strzał prosto w nos Mike'a na wyblakłym zdjęciu ze szkoły.

– Do ciężkiej cholery, co robisz, gówniarzu?!

Mike złapał syna w swoje olbrzymie, niedźwiedzie ramiona, rzucił go na kanapę i zaczął łaskotać tak, że chłopak wrzeszczał głośno, po części ze strachu, po części z zachwytu. Na koniec obaj

padli wycieńczeni na podłogę, kładąc się na sobie nawzajem.

Rolle obserwował ich z czułością. Westchnął głęboko, a gdy ojciec i syn złapali oddech, zakomunikował, że w kuchni podana będzie kawa z tortem lodowym.

Gdy Robin zabierał się już do pójścia po schodach za ojcem i jego przyjacielem, zauważył coś na kanapie. Był to portfel. Oczekał chwilę. Zdarty skórzany portfel, na wpół otwarty. Musiał wypaść Mike'owi z kieszeni podczas ich hałaśliwej szamotaniny. Z przegródek wyslizgnęło się kilka banknotów, plastikowa karta i mała fotografia. Robin natychmiast ją rozpoznał.

Powoli podniósł zdjęcie i przyjrzał mu się. Musiało być zrobione w piątej, a może szóstej klasie. Nie pamiętał dokładnie.

Ostrożnie wsunął małą fotografię pod ramkę, otaczającą stare zdjęcie Mike'a. Następnie zrobił sześć kroków w tył i uniósł jedną z czerwonych rzutek. Długo i dokładnie przypatrywał się obu twarzom. Wsłuchał się w rytm własnego serca. Precyzyjnie wycelował. Po chwili cisnął rzutkę najmocniej jak potrafił.

Rozdział 15

Obudziło go wycie wiatru. Więźba dachowa starego domu trzeszczała od uderzeń wichury. Robin otworzył oczy i słuchał. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był model samolotu wiszący pod sufitem. Kołysał się od powiewu z jakiejś szczeliny w oknie. Zawiesił go pierwszego wieczoru po przeprowadzce.

„Spitfire – powiedział wtedy Król Kul na widok samolotu i pokiwał głową ze znajomością rzeczy. – Z drugiej wojny światowej. Niemieckie Focke Wulfy nie miały z nim szans.” Zainscenizował pojedynek powietrzny dłońmi, a na jego ustach zahurkotała burzliwa salwa jak z karabinu maszynowego. Potem znieruchomiał, nadał policzki, jakby miało mu to do czegoś posłużyć. „Never was so much owed by so many to so few – Rolle brzmiał jota w jotę jak ten Churchill w meloniku. – We shall never surrender⁹” – rzekł, po czym zniknął.

Robin uśmiechnął się do siebie, leżąc w łóżku i wpatrując się w sufit. Zrobił nieznaczny ruch i natychmiast poczuł, że coś było nie w porządku. Bolały go stawy. Czuł się tak, jakby ktoś przez całą noc łomotał go pałką. Światło dnia, wpadające przez okno, kłuło go w oczy. Gdy nabrał powietrza do płuc, poczuł, że miał poharatane i opuchnięte gardło.

Z szarawej poświaty z zewnątrz nie można było wywnioskować, która jest godzina. Po omacku znalazł na podłodze telefon pomiędzy bokserkami i skarpetami. Piętnaście po dziesiątej. Porządnie zaspał. Nie było już sensu iść do szkoły.

Leżał w łóżku jeszcze chwilę, zamknął oczy i próbował zasnąć, ale rozsadzało mu pęcherz. Musiał się wysikać. Ostrożnie

postawił stopy na zimnej podłodze i wstał. Zakręciło mu się w głowie, Spitfire wykonał zawrotną pętlę akrobatyczną, po czym znowu zawisł, kołysząc się na sznurku u sufitu. Robin poczuł, że ma gęsią skórkę. „Gorączka” – pomyślał.

Prędko założył dżinsy i bluzę z kapturem, które wisały przerzucone przez krzesło. Zrobiwszy kilka kroków, zauważył, że nogi mu drżały, jakby w kolanach pełno było galarety. Przełknął mocno ślinę, aby pozbyć się obrzydliwego smaku w ustach.

W przedpokoju dotarł do niego nowy dźwięk. W pierwszej chwili pomyślał, że to wichura. Głuchy, rytmiczny odgłos dęcia, nie różniący się zbyt od dźwięku tuby. Dochodził zza otwartych drzwi za łazienką. Ziejący ogniem smok? Ciekawość przewyciężyła ciśnienie w pęcherzu. Robin poczłapał naprzód i spojrzał w mrok.

Łóżko stało na środku pustego pokoju niczym ołtarz ofiarny. Po jego bokach wznosiły się dwa marmurowe postumenty, na których górowała para pulchnych cherubinków. Na prześcieradle spoczywało olbrzymie, zupełnie nagie ciało – gigantyczny kawał mięsa, który z pewnością nasyciłby wielu bogów. Czy on był martwy?

Robin przypatrywał się z trwogą Rollemu. Nie słyszał już żadnych dźwięków, za wyjątkiem odległego wycia wiatru. Na twarzy Rollego rysował się pogodny uśmiech. Jego powieki były zamknięte, a usta rozwarte. Brzuch wznosił się nad łóżkiem zupełnie nieruchomo niczym ośnieżony stok.

Nagle wzrok Robina padł na karton, częściowo wsunięty pod łóżko. Było to brązowe pudło po bananach, wypełnione fiolkami z lekarstwami, słoiczkami pełnymi pigułek oraz rozrzuconymi tabletkami. Zwiotczała dłoń Rollego zwisała za krawędzią łóżka, jakby mężczyzna wypuścił spomiędzy palców jeden z pojemniczków do pudełka, na moment przed tym, nim wyzionął ducha.

„Oddychaj, do ciężkiej cholery!”

Robin poczuł ogarniającą go panikę. Lecz w chwili, gdy miał już rzucić się, by obudzić życie w olbrzymim baranku ofiarnym,

ciało nagle zadrżało. Targnęły nim konwulsje na kształt trzęsienia ziemi, które rozeszły się od mięsistych palców u nóg, przez nogi i brzuch, do twarzy, na której łagodny uśmiech przeistoczył się w kurczowy grymas. Z ust Rollego wypłynął przeciągły ryk, podobny do dźwięku pękniętej tuby czy też raczej starego statku parowego, który zawijał do portu.

Robin odetchnął z ulgą. Na wszelki wypadek powstał jeszcze chwilę w drzwiach, przysłuchując się chrapaniu Rollego. Pokój przepęłniał cierpki zapach. Najważniejsze było jednak, że powrócił rytm. Widok emanował dziwnym pięknem.

Po wizycie w toalecie dopadło go pragnienie. Z trudem zszedł na dół po szerokich schodach. Lodówka była w opłakanym stanie. Powąchał opakowanie ze skwaśniałym mlekiem. Zrezygnował z wypicia duńskiego piwa. Po chwili włożył głowę pod kuchenny kran i ugasił pragnienie lodowatą wodą.

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

W całym domu rozbrzmiało znaczące ding-dong, po którym nastąpiły dwa bardziej niecierpliwie ding-dong, ding-dong.

W pierwszym impulsie Robin chciał to zignorować, przemknąć do pokoju na górę i naciągnąć kołdrę na głowę. Lecz nagle przyszło mu na myśl, że mogło chodzić o coś ważnego. Może ten błazen z opieki chciał sprawdzić, jak się mają sprawy. Mike pojechał na złomowisko zapewne dawno temu. Rolle natomiast wydawał się bardziej martwy niż żywy.

Ding-dong, ding-dong!

– Do jasnej cholery, uspokój się! – warknął Robin i natychmiast poczuł krwawy smak w ustach.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, gdy otworzył ciężkie dębowe drzwi była para zdobnych butów kowbojskich na kamiennych schodach. Gdy podniósł wzrok, natknął się na dwoje wściekle wybałuszonych oczu. Nils Ek był niskiego wzrostu. Wysokie obcasy i watowana skórzana kurtka zarzucona na bawełnianą koszulę w zieloną kratę wcale nie dodawały mu centymetrów, co zapewne było zamysłem, lecz wręcz przeciwnie – raczej

potęgowały wrażenie, że dziennikarz był drobną osobą. Mimo że rysy twarzy wskazywały na to, iż zbliżał się do czterdziestki, miał na sobie bejsbolówkę. Sztywne od żeluz włosy odstawały nad uszami.

– *At last we meet*¹⁰...

Mały mężczyzna na schodach oparł się o żelazną barierkę i rozszerzył usta w szyderczym uśmiechu. Jego słowa tonęły niemal w wichurze, lecz Robin usłyszał wystarczająco dużo, by rozpoznać skrzekliwy głos pismaka.

– Powiedziałem przecież, że nie chcę z tobą gadać – wysyczał.

Nie czekając na wyjaśnienie, pociągnął do siebie drzwi. Lecz nim zdążył je zamknąć, coś je zablokowało. Nils Ek trzymał za plecami kij baseballowy, który wepchnął teraz szybko w szparę pomiędzy drzwiami a futryną. Robin z niechęcią ponownie otworzył drzwi.

– Jestem chory. Zostaw mnie.

– Co ty powiesz? A więc wagarujesz? I pewnie jesteś do tego sam w domu, co? Chwilę temu widziałem, jak twój stary odjeżdżał. Prawdziwy z niego twardziel...

Robin czuł, jak wiatr napierał na otwarte drzwi.

– Czy Mike – bo chyba tak ma na imię – wie, co porabiasz nocami?

Zdawało się, że Nils Ek chciał jak najdłużej przeciągać swoją rozkosz. Obnażył kły. Ta groteskowa mina sprawiła, że przypominał kota, który drapał pazurami o podłogę tylko po to, by napawać się widokiem myszy rozdartej między nadzieją a rozpaczą.

– Gówno cię to obchodzi!

Reporter rozchylił drzwi jeszcze bardziej za pomocą pałki, nie napotykając na opór Robina.

– Jak już wspomniałem przez telefon, nie masz wyboru, chłopcze. Wiem, że tam byłeś i rozbijałeś szyby pizzerii „Alladyn”. Ponadto mam zdjęcia, na których jesteś przebrany w ten głupkowaty nazistowski mundur. Jesteś w poważnych tarapatach.

Kranówa zbulgotała w żołądku Robina. Zdławił wymioty i poczuł, jak próg zakołysał mu się pod stopami. Miał wrażenie, że mężczyzna stojący na wprost także się bujał. Wiatr zawodził, a natrętny głos dziennikarza ranił mu uszy. Co za okropny ból!

– Czego chcesz?

– Wpuść mnie, to ci wytłumaczę.

– Nie, do diabła! Obudzisz Króla Kul.

Na moment przez twarz tamtego przemknął cień niepewności. Potem dziennikarz zrobił jeszcze jeden krok naprzód.

– Rolanda Anderssona? Właściciela posesji we własnej osobie? *Do you think I give a fucking damn?*¹¹

Robin wzruszył niezdecydowanie ramionami.

– *Let's skip the crap*¹² – syknął Nils Ek.

Pochylił się do przodu i nagle przybrał groźny wygląd. Gdy mówił, ślina bryzgała mu z ust.

– Sprawa wygląda następująco. Masz mi udzielić ekskluzywnego wywiadu. „Spowiedź nazisty”. Opowiesz o tym, kim są twoi koledzy i o całym planie przejęcia kraju przemocą. Zdradzisz, kto jest przywódcą i gdzie ukrywacie broń. Bomby. Karabiny maszynowe, które ukradliście wojsku. Wszystko! Kapujesz, jaki to gorący temat?

Falset Nilsa Eka przyprowadził Robina o jeszcze większe zawroty głowy. Nie mógł jasno myśleć. O czym ten wariat bełkotał? Jakie bomby i karabiny?

– Nie kapuję?

– Zastanawiasz się, co możesz zyskać – wrzasnął dziennikarz, przekrzykując wiatr. – Nieprawdaż?

Opanował się, gdy gwałtowny powiew poderwał daszek jego czapki. Szybkim ruchem osadził ją na miejscu.

– W takim razie ci powiem. Zachowasz anonimowość. Wsypujemy twoich kumpli. Przywódców szajki nazistowskiej. Jeśli nie możesz skombinować żadnej kryjówki z bronią, musisz coś wymyślić. Powiedz, że zatopiliście to gównu w morzu albo coś takiego. Mnie to obojętne. Kapujesz? Chcę mieć jedynie dobrą historię. Twoją żalostną osobę mam głęboko w dupie. Nie

jestem taki głupi, by nie zrozumieć, że na wszystko wpadli twoi starsi i twardsi koledzy. Pewnie będą na ciebie trochę źli, ale to cena, jaką musisz zapłacić za swoją głupotę. Zagwarantuję, że będziesz anonimowym źródłem. Takim jakby „Głębokim Gardłem”. Jeśli będziesz miał szczęście, cało się z tego wywiniesz. To właśnie zyskasz dzięki mojej propozycji.

Oniemiały Robin wpatrywał się w dziennikarza, który stał, ciężko sapiąc i czekając na jego odpowiedź.

– No i?

– Ty chyba upadłeś na głowę...

Robin pociągnął jeszcze raz drzwi. Lecz tym razem Nils Ek nie zadowolił się zablokowaniem ich kijem baseballowym. Błyskawicznie uderzył pałką palce Robina, tak że drzwi otwarły się na oścież. Potem wydobył skądś automatycznego Nikona i pstryknął kilka zdjęć.

– Możesz mieć pretensje tylko do siebie – krzyknął. – Teraz to ty będziesz szefem nazistów w całej Szwecji!

Nagle zdjęty gorączką mózg Robina zaczął jakby płonąć. Jego ciało rozpałała krwistoczerwona wściekłość i chłopak pchnął w gwałtownym porywie dłońmi pierś Nilsa Eka, tak że ten zachwiał się do tyłu i upuścił swój kij baseballowy oraz aparat. Przez sekundę reporter balansował obcasami kowbojek na najwyższym stopniu i machał rozpaczliwie ramionami, usiłując chwycić barierkę. Robin widział niczym we śnie, jak mężczyzna próbował znaleźć grunt pod nogami. Lecz za nim było tylko powietrze. W następnej chwili pokonany tropiciel nazistów spadł ze schodów głową w dół. Jego kark uderzył o najniższą krawędź z głuchym i nieprzyjemnym łupnięciem. Potem znowu słychać było tylko wiatr, targający chorym kasztanowcem.

Ośłupiały Robin stał w progu przez całą wieczność i patrzył na mężczyznę, który leżał u stóp wysokich schodów z rozłożonymi rękoma i nogami, jakby próbował robić aniołki na białym żwirze.

„Rusz się! – przemknęło Robinowi przez głowę drugi raz tego poranka. – Proszę, oddychaj!”

Jednak nic się nie wydarzyło. Nic poza tym, że na żwir pod głową mężczyzny wysączyła się czerwono-czarna maź.

– Ożeż ja cię, kurwa, pierdołę!

Głos za plecami Robina zagrział z siłą, która mogła niemal mierzyć się z wichurą. Na ramieniu chłopca wylądowała ciężka ręka. Potem poczuł, jak ktoś odsunął go na bok i coś wielkiego przecisnęło się obok niego na schody. Był to Rolle. Założył na siebie stary, pożółkły strój do judo, uszyty dawno temu z takiej ilości materiału, jaka starczyłaby na żagle dla połowy hiszpańskiej armady. Z mozołem i postękiwaniem przemierzył w dół osiem schodów, dzielących go od nieruchomego ciała Nilsa Eka.

– Czy on nie żyje? – wymamrotał Robin.

Rolle ukląkł i przyłożył palce do szyi dziennikarza, a następnie do jego nadgarstka. Skinął głową.

– Jest sztywny jak drut.

Robin poczuł w sercu lodowaty uścisk. Dreszcze, o których na chwilę zapomniał, na nowo rozeszły się po jego ciele i w jednej chwili zaczął trząść się z zimna. Gdy otworzył usta, zęby zadzwoniły. Jedyne słowa, jakie zdołał z siebie wydobyć przeistoczyły się w ciche skomlenie.

– Nie chciałem...

– Nie musisz nic tłumaczyć, Robin. Słyszałem większą część rozmowy.

Król Kul wstał z klęczek i rozejrzał się dokoła. Szare chmury pędziły po niebie z nieprawdopodobną prędkością, a kasztanowce wiły się w bólu. Ulica za potarganym żywopłotem z krzewów bzu była pusta i wymarła. Okna kilku domów, które leżały w zasięgu wzroku, były ciemne.

– Musimy ukryć ścierwo, nim ktoś zauważy – wymamrotał do siebie.

Nie zwlekając, chwycił mocno zmarłego za pasek od spodni, wywlókł go po schodach i puścił zwiotczone ciało na podłogę za progiem. Potem wziął kilka głębokich wdechów i ponownie

zszedł ze schodów, aby zabrać kij baseballowy, roztrzaskany aparat i czapkę. Zanim pocłapał na górę, przysypał stopą czarnoczerwoną maź na ziemi odrobiną kamyczków.

Robin przyglądał się martwemu małemu mężczyźnie, nie będąc w stanie czuć niczego prócz dreszczy, które sprawiały, że marzył jak pies. Oczy trupa były otwarte. Wyglądał, jakby się szyderczo uśmiechał. Z jakiegoś powodu Robin pomyślał, że nie zauważył wcześniej, iż ciężka, mosiężna sprzączka przy pasku dziennikarza miała kształt czaszki byka.

– Nie potrwa długo, zanim zacnie cuchnąć – rzekł Rolle w zamyśleniu.

Spojrzał na Robina.

– Nie wyglądasz na zdrowego.

– Zdaje mi się... że mam gorączkę.

Rolle zrobił niejednoznaczny grymas, lecz po chwili w jego oczach pojawił się błysk zdecydowania.

– Zajmę się tym.

Ponownie chwycił za sprzączkę w kształcie byczej czaszki i podniósł ciało.

– Voodoo? – spytał Robin ledwo słyszalnie.

Król Kul spojrzał na niego z poważną miną i powoli pokręcił głową, aż zatrzęśły mu się policzki.

– Ten człowiek otrzymał już lekarstwo, na jakie zasłużył.

Drzwi do piwnicy były otwarte. Z dołu słychać było upiorne wycie, jakby wiatr tam zabłądził i miotał się teraz w ciemności, gorączkowo poszukując miejsca, w którym mógłby spokojnie osiąść. Rolle włożył swój balast do podziemi z pojękiwaniem.

Robinem wstrząsały dreszcze. Nie wiedzieć czemu, pocłapał za Rollem po schodach do piwnicy, trzymając się kurczowo barierki, aż w połowie drogi uszły z niego ostatnie siły. Usiadł na jednym ze stopni.

Świetlówka pod sufitem rozlewała światło na całą piwnicę. Rolle musiał ją zapalić w drodze na dół. Chłopakowi migotało przed oczyma i był zmuszony je zmrużyć, aby złagodzić kłujący ból. Widział teraz jak przez mgłę Rollego, który przestawił na bok kilka obrazów i otworzył wielką zamrażarkę. Trzy

głęboko zmrożone dorsze zadźwięczały o beton i przejechały po podłodze jak po lodowisku. Potem jeszcze kilka. Następnie Rolle szarpnął trupa za pasek i przerzucił bezwładne ciało przez krawędź zamrażarki, po czym wsunął je w miejsce, gdzie wcześniej leżały ryby. Na koniec spuścił pokrywę, która uderzyła z głuchym trzaskiem.

Gdy Rolle spojrział w górę i ujrział Robina, zdrygnął się, jakby całkowicie o nim zapomniał.

– Musimy coś wymyślić... – rzekł mgliście.

Potem przechylił głowę w bok i spojrział badawczo na chłopca.

– Wcale nie wyglądasz na zdrowego. Wcale.

Stopień po stopniu wspiął się z sapaniem do Robina stojącego teraz na schodach. Targało nim niezdecydowanie. Przez moment zdawało się, że rozważa, by wziąć chłopca na ręce. Lecz potem dotarło chyba do niego, że nie da rady. Westchnął. Następnie przełożył ramię Robina przez swoje barki i mocno chwycił go w pasie, po czym zaczął wlec go po schodach jak żołnierz na froncie, który niesie do domu ранego kompana.

Kiedy położył Robina w łóżku z taką delikatnością, jakby chodziło o ledwo wyklute pisklę, stanął pod modelem Spitfire'a i patrzył. W jego oczach był smutek i Robin nie mógł go nie zauważyć.

– Tata nie może się dowiedzieć – rzekł bezdźwięcznie.

Rolle bez słowa skinął głową.

– Mógłby...

Robin zakasłał, aż zachrypiało i zapłonęło mu w gardle.

– Mógłby jeszcze wziąć wszystko na siebie.

– Wiem.

– Ten głupi cholernik mógłby powiedzieć, że jest wszystkiemu winien. Tylko po to, by mnie ratować. Wsadziliby go na dożywocie. I nigdy więcej byśmy go nie zobaczyli.

⁹ ang. Jeszcze nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym. Nigdy się nie poddamy. – słowa słynnego przemówienia Winstona Churchilla po zwycięstwie w Bitwie o Anglię w 1940 r.

[10](#) ang. W końcu się spotykamy...

[11](#) ang. Myślisz, kurwa, że mnie to obchodzi?

[12](#) ang. Darujmy sobie te pierdoły.

Rozdział 16

Trzy dni i trzy noce ogień szalał we krwi Robina. Po wszystkim okazało się, że już nigdy nie będzie mu dane poukładać sobie tego, co wydarzyło się w ciągu tych koszmarnych dób.

Pierwszego dnia temperatura musiała szybko wzrosnąć.

Po kilku godzinach Robina budzi uczucie zimna, które powoduje, że cały się trzęsie, mimo że ktoś przykrył go dwiema kołdrami.

Bolą go mięśnie. Próbuje się podnieść, ale jego ciało jest zdrętwiałe jak u chorego starca. Ma zawroty głowy. Żołądek zaciska się w skurczu. Wszystko jest rozmyte i chłopak nie może skupić na niczym wzroku. Spitfire krąży po pokoju jak wściekła mucha, odbija się od szyby, pikuje ku podłodze, po czym gwałtownie zawraca i pruje w stronę sufitu. Intensywny ból w skroniach sprawia, że myśli zlewają się w jeden wielki kocioł niepokoju.

Ktoś zawodzi, stęka i jęczy. Odgłosy brzmią przeraźliwie, a Robin nie rozumie, że wychodzą z jego ust.

Dym z granatów kłuje w nozdrza, pieką go oczy i jest mu niedobrze. Kaszle i próbuje wymiotować do wiaderka, które ktoś postawił przy łóżku, lecz z jego ust wydobywa się tylko trochę kwaśnej żółci. Pieprzony Kenny, czemu musiał odpalić to gówno akurat pomiędzy nimi? Robin pędzi przez rynek z cegłą w ręku. Słyszysz wrzask pozostałych chłopaków. Jest wściekły, chce rozwalać i niszczyć, chce zabijać. Szkło rozpada się z zachwycającym traskiem na tysiące kawałków, Robin krzyczy z radości, lecz mimo wszystko ten cholerny ciężar w piersi nie ustępuje.

Ktoś pomaga mu unieść głowę znad poduszki. Przystawia szklanekę do ust. Robin czuje czyjąś dłoń na karku. Pije posłusznie. Zimna woda przepływa przez jego poszarpane gardło. Potem chłopak znowu opada na poduszkę i znika w pustce, lecz nie śpi. Trwa w niespokojnym półśnie. W podróży po rubieżach krainy potępionych.

Sune, ten tłusty szubrawiec. Uśmiecha się szyderczo i chwyta go za kark, sprawiając mu ból. Wykręca jego ramię, powodując rwanie w stawie. Wlece go do piwnicy. Odrobinę za mocno. Robin zna scenariusz, wie, co go czeka na dole, wie również, że wkrótce wyrwie się z tego uchwytu i popędzi daleko stąd. Nie wróci, nim staruch nie umrze. Teraz musi tylko zacisnąć zęby.

Robin cierpi. Próbuje uciec z tej krainy, gdzie żaden rozsądny człowiek by nie wytrzymał, ale jest spętany gumowymi sznurami, które szarpiają go z powrotem. W górę i w dół. Do środka i na zewnątrz. I tak w kółko. Budzi się mokry od potu.

Złośliwy mężczyzna pochyla się tuż nad nim, z ust cuchnie mu czosnkiem, a gdy cedzi swoje groźby, pluje pianą. Robin krzyczy głośno. Jedyne, czego chce, to się go pozbyć. Podnosi się z łóżka, nagle wraca mu energia, jest silny jak wół i odpycha małego mężczyznę, kipiąc z wściekłości. Widzi zaskoczenie i bezradność w jego oczach, kiedy tamten spada bezwolnie jak liść na jesiennym wietrze. Potem jego kark uderza o kamień z głuchym odgłosem. „Ty żałosny dupku! – krzyczy Robin. – Nie miałeś umierać!”

Muszę się wyrzygać, cholera, muszę się wyrzygać, niech to szlag, porzygam się na łóżko.

Prześcieradło zwinęło się pod nim w obrzydliwe wałki. Robin ponownie odpływa. Czas zwariował, nie chce sączyć się przed siebie równym strumieniem, przeskakuje do przodu i do tyłu jak szalenciec. Robinem trzęsą dreszcze.

Nagle spotyka Mike'a.

Budzi go w środku nocy. Potrząsa mocno jego ramię. Robin pociera sklezione oczy. Czuje, że piżama w misie śmierdzi kwaśno

od potu. Mike jest podekscytowany.

– Obudź się, Robin! Musisz mi pomóc.

Robin nie chce się budzić. Chce spać. Zapomnieć o wszystkim dookoła. Pamięta, że był głodny, nim się położył i jeśli znowu szybko nie zaśnie, ssanie w żołądku powróci. Po omacku szuka misia, który leży zazwyczaj za poduszką. Próbuje obrócić się na łóżku, ale w kuchni panuje potworny hałas. Ktoś krzyczy, ktoś inny śpiewa, a Mike nie daje mu spokoju. Robin słyszy brzęk porcelany.

– Wstawaj w tej chwili, do ciężkiego licha!

Kiedy otwiera oczy, dostrzega u Mike'a to spojrzenie, które przemienia ojca w kogoś innego, kogo Robin nie chce mieć za tatę, kogo nawet nie chce znać.

– Musisz zaspiewać dla chłopaków.

Mike bełkocze, a jego oczy, które niekiedy potrafią mienić się niebieskozielonym blaskiem, są teraz całkiem szare i mętne. Ma wyschnięte wargi, a w kąciku jego ust tkwi coś żółtego i ohydneho. Kiedy próbuje się uśmiechnąć, podciąga górną wargę i ukazuje zęby jak drapieżne zwierzę. „Idź sobie – myśli Robin. – Daj mi spać.”

Lecz Mike nie daje za wygraną. Szarpie za cienki rękaw piżamy Robina tak, że chłopiec czuje niemal ból.

– Chodź! Założyłem się o flaszkę. Chłopaki nie wierzą, że umiesz tekst na pamięć.

Na podłodze w przedpokoju leży coś do połowy zawinięte w dywan. Robin odwraca wzrok, przechodząc obok. Gdy wchodzi do kuchni, gapią się na niego beznamiętnie dwaj mężczyźni i jakaś chuda kobieta, z włosami posklejanymi w pasma. W powietrzu unosi się smród pijackich oparów, dymu i starych niedopałków. Na stole pełno jest butelek i puszek, gdzieś pomiędzy nimi stoi garnek i kilka ubabranych talerzy. Kiedy wiedźma chce go pogłaskać dłonią wyglądającą jak szpon, Robin cofa się. Cuchnie od niej moczem. Kobieta mówi coś niewyraźnie, a Robin zauważa, że jej przednie zęby są brązowe i zepsute.

– On ma tylko siedem lat, Mike – skrzeczy. – Powinieneś

pozwolić mu spać.

– Zamknij się! Ma zaśpiewać hymn państwowy.

Robin patrzy na postawnego faceta, który stoi w drzwiach, chwiejąc się na nogach. Który twierdzi, że jest jego tatą. Który kłamie. Wprawdzie ma te same tatuaże, tak samo ogoloną głowę, a nawet tę samą koszulę w paski, wyłożoną niechlujnie z brudnych spodni. Ale to nie tata Robina. Za żadne skarby świata!

Dwaj pozostali mężczyźni gapią się złośliwie. Jeden z nich z jakiejś przyczyny ma na sobie same bokserki. Są żółte w miejscu, gdzie zwykle ocieka na nie penis. Śmierdzi nieprzyjemnie. Drugi wydaje z siebie głośne beknięcia. Trzyma w dłoni dwa zmięte banknoty stukoronowe.

– Pięć minut, Mike. Później flaszka wyparuje.

Robin czuje szturchnięcie w plecy. Słyszy, jak mężczyzna podający się za jego tatę warczy wściekle: „Szpiewaj, upierdliwy gnojku!” Nie rozpoznaje tego głosu. Ani tej purpurowej twarzy i lodowatych oczu. A może pamięta je z innej nocy?

Zaciska więc mocno oczy. I śpiewa. Głośno i wyraźnie:
Północy, prastara, ożywcza jak zdrój,
radosna, spokojna w górskiej szacie...

Dojście do końca pierwszego wersu trwa wieczność, ale choć przez chwilę żule przy stole siedzą cicho. Robin myśli o każdym wyśpiewanym słowie, które pomaga mu odgrodzić się od całego brudu dokoła.

Tyś wielka pamięcią o świetności dniach,
gdy męstwo twoje świat cały sławił...

Kończy i wybiega pędem z kuchni. Słyszy radosne wiwatowanie Mike'a oraz przeraźliwy skowyt chudej wiedźmy. Prędko wślizguje się pod kołdrę i naciąga poduszkę na głowę.

Przed zaśnięciem myśli, że nie chce się już nigdy obudzić.

Nigdy więcej nie chce widzieć, jak ten wielki, wstrętny facet, który zmusił go do zaśpiewania hymnu, leży śmierdzący i żaloszny na podłodze, prosząc go o wybaczenie.

Po chwili zanurza się głęboko w ciemności, do której nie docierają żadne wspomnienia.

Rozdział 17

O Wanji można było mówić, co się chciało, ale czasem potrafiła sprawić, że pewne rzeczy brzmiały z oswobodzającą prostotą: „Potrzeba ci chłopca – stwierdziła i wlepiła wzrok w Amelę. – To jasne jak słońce.”

Odkręciła kranik w kartonie z czerwonym winem i napełniła najpierw swój kieliszek, a potem lampkę Ameli, która była opróżniona do połowy.

– Jak długo już z nikim nie byłaś, jeśli masz być szczerą? – spytała wilgotnymi wargami.

Amela wzruszyła ramionami i nie próbowała nawet liczyć. Wanja uśmiechnęła się.

– Zbyt długo, prawda?

– Taak...

– Pomyśl w ten sposób – ciągnęła Wanja, unosząc dłonią swoje rude, świeżo ondulowane loki, tak że na nadgarstku zabrzęczały jej bransoletki. – Co masz do stracenia? A co możesz zyskać? Zazwyczaj wyobrażam to sobie na przykładzie wagi. Na lewej szalce kładziesz wszystko, co może iść do diabła. Na prawej wszystkie cuda, o których marzysz. Potem widzisz, która jest cięższa. U mnie to zawsze ta prawa. Trzeba mieć odwagę zaryzykować, jeśli chce się zgarnąć najwyższą wygraną.

– I czujesz to samo dzień po? – spytała Amela ze śmiechem.

Wanja parsknęła i łyknęła trochę wina, po czym znowu rzuciła się na oparcie kanapy i wyłożyła nogi na stół.

– Easy come, easy go. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Co ci to da, że będziesz żałować?

– Niewiele...

– O widzisz! Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę papierosa? Wiesz, żeby wejść w imprezowy nastrój.

– Ależ skąd, uchylę trochę drzwi balkonowe.

Po chwili grzebania w torebce Wanja znalazła zapalniczkę i zaciągnęła się głęboko mentolowym papierosem. Wypuściła kilka kółek dymu w stronę sufitu, lecz zorientowała się, że w ustach ma wciąż nikotynową gumę do żucia. Uśmiechnęła się usprawiedliwiająco, wyjęła gumę i utoczyła z niej kulkę między swoimi fioletowymi paznokciami. Następnie rozejrzała się bezradnie i umieściła kulkę na brzegu stołu.

– Chociaż czasami faceci to śwynie – kontynuowała. – A właściwie to całkiem często. Myślę, że czysto statystycznie ośmiu na dziesięciu to dranie. Jeden to pedał. Trzeba więc znaleźć tego dziesiątego.

Amela nie była pewna, co odpowiedzieć, pociągnęła więc łyk wina.

Wanja zaskoczyła ją, kiedy zadzwoniła nagle do drzwi i wpadła jak burza z kartonem Gato Negro w jednej i pakietem płyt CD w drugiej ręce. Była umalowana, a róż na jej policzkach połyskiwał od brokatu. Na nogach miała buty w panterkę. Otaczał ją obłok słodkawych perfum. „Dziś wieczorem koncert Thorleifs w Tingvalla – oznajmiła i udała się prosto do kuchni, by wydobyć z szafki dwa kieliszki. – Prawda, że się wybierzesz, Amelo?”

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Amela ją uściskała. Może Wanja miała rację? Może Amela potrzebowała kogoś, kto wyrwałby ją z rozmyślań? Kiedyś kochała imprezy. Nigdy nie była religijna. Nawet podczas tych opętańczych lat, kiedy wszyscy tam, w domu, zaczęli dzielić ludzi według tego, czy wierzyli w Boga, czy w Allaha. Amela przeczuwała, dokąd to zmierzało i nie chciała w tym uczestniczyć. Jeśli sąsiedzi pragnęli grillować prosiaka, było to ich sprawą. Jej pierwszy chłopak pokazał jej zalety upojenia winem. Nauczył ją tego i wielu innych rzeczy. „On jest inny” – mamrotał jej dziadek z niezadowolaniem, ale jej to nie obchodziło.

– Raz myślałam, że go znalazłam – rzekła Wanja. – Wiesz, tego

dziesiątego. Prawdziwy księżę z bajki. Bosko tańczył. Nosił zawsze stylowe koszule od Armaniego. Gdy wkładałam palce między guziki, czułam się, jakbym pieściła kaloryfer. Do tego szeptał mi ciągle na ucho słodkie rzeczy. Łaskotało, aż ciarki przechodziły. Jeździł nowiusieńkim mercedesem i mówił, że pracuje w branży informatycznej, ale sama nie wiem.

Spojrzała na słupek popiołu na papierosie i rozejrzała się, po czym strzepnęła go do filiżanki po kawie.

– Mówił, że chce się ze mną ożenić. Tylko zapomniał napomknąć, że już był żonaty. Miał dwójkę dzieciaków w szeregowcu w Helsingborgu. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie jego żona i mi to powiedziała. Była załamana. Nic dziwnego. On sam nie dał już nigdy o sobie znać. Cham.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, słuchając Leonarda Cohena, którego głos sączył się powoli z odtwarzacza. Światło świec na stole trzepotało delikatnie w powiewie z otwartych drzwi balkonowych. W mroku na zewnątrz padała mżawka. Lecz kolorowe światełka Ameli rzucały przez okno ciepłą poświatę.

– Mimo to wcale nie żałowałam – rzekła Wanja po namyśle.

Potem spojrzała na Amelę wielkimi oczyma.

– Nigdy tak naprawdę nie opowiedziałaś, co wydarzyło się w Bośni – rzekła.

Serce Ameli zapiekło, jakby ktoś drasnął je nożem. Uśmiechnęła się delikatnie, lecz jej oczy pozostały poważne.

– Miałam syna. Umarł. Ale to było dawno temu. Nie chcę o tym myśleć.

– A jego ojciec...?

– Zniknął dużo wcześniej. Zostawmy to. Czas, byśmy się upiły.

Na początku, gdy Wanja pytała o Bośnię, Amela czuła się urażona, jakby przyjaciółka chciała zadać jej ból, choć oczywiście wiedziała, że tak nie było. Zwyczajnie dość miała już łez i słabości. Odpowiadała wtedy wymijająco i zmieniała temat rozmowy najszybciej, jak się tylko dało. Chciała zostawić za sobą przeszłość i o niej zapomnieć.

Czasami wychodziło jej to całkiem dobrze. Nie myślała nawet o dolinach i lesistych wzniesieniach wokół domu. Coraz lepiej

czuła się w nowym kraju. W Szwecji. Uważała, że ludzie tutaj są na ogół przyjaźni. Jak mogliby zrozumieć to, co zdarzyło się w jej ojczyźnie, jeśli ona sama nie potrafiła tego pojąć?

Potem natknęła się na tego mężczyznę. Przez długi czas w jej koszmarach nie miał imienia, więc przybrał rolę diabła. Od dnia, w którym go ujrzała w sklepie monopolowym, nie mogła się uwolnić od jego twarzy ani na sekundę.

Jednak w głębi duszy wiedziała, że Wanja ma rację, chociaż przyjaciółka nie miała pojęcia, jakie myśli chodziły jej po głowie. To było przecież chore. Zupełnie szalone. Siedzieć samotnie w domu i w szponach nienawiści planować morderstwo. Nie, nie morderstwo. Egzekucję. Ten człowiek nie zasługiwał na nic innego. Wielokrotnie Amela zastanawiała się, czy nie lepiej będzie pójść na policję. Ale na co by się to zdało? Nie miała przecież dowodów. Szwedzka policja nie mogła się chyba zająć wyjaśnianiem zbrodni wojennej dokonanej w Bośni? Zaśmialiby jej się tylko prosto w twarz. A co zrobiłby ten człowiek, gdyby się dowiedział, że ona wpadła na jego trop?

Powinna naprawdę spróbować zapomnieć. Chociażby ze względu na samą siebie. Powinna posłuchać Wanji. Może faktycznie potrzebowała faceta?

Pojechały taksówką do klubu. Wanja paplała o tym i tamtym, a Amela czuła, że od alkoholu kręci jej się w głowie. Zapłaciły za wstęp i zamówiły w barze dwa kieliszki białego wina. W lokalu było ciasno, ale udało im się znaleźć stolik. Usiadły. Nie trwało długo, nim poproszono je do tańca. Najpierw Wanja śmiejąc się, przemknęła jak strzała na parkiet, potem Amela, walcząc z czkawką. Muzyka brzmiała koszmarnie, lecz partner tańczył dobrze. Pachniał męskimi perfumami i płynął po podłodze. Plecy miał trochę mokre od potu. Amela usiłowała sprawić, by jej nieposłuszne stopy nadążały za jego tanecznymi krokami. Gdy mężczyzna zostawił ją przy stoliku z delikatnym ukłonem, nie powiedział ani słowa.

Amela odprowadziła wzrokiem jego plecy w tłumie. Dżentelmen. Choć nieśmiały i dosyć nudny. Raczej nie był „tym dziesiątym”. Zaśmiała się do przyjaciółki, która pomachała jej

ze ścisku na parkiecie. Posłała jej ręką całusa. Orkiestra grała teraz spokojny przytulaniec. Widziała, jak palce Wanji wędrują pieszczotliwie po karku jej partnera obdarzonego pięknymi, kręconymi włosami. Amela dopiła swój alkohol i postanowiła kupić jeszcze jedną lampkę.

Przepchała się do baru i poprosiła o wino i wodę. Gdy już miała wyjąć z torebki portmonetkę, poczuła na ramieniu czyjaś dłoń.

– Pozwól się zaprosić.

To znowu był on. Patrzył na nią cielecymi oczyma. Dopiero teraz zauważyła, że miał mały wąsik nad górną wargą. Pochylił się do niej i zawołał, przekrzykując muzykę:

– Jestem Kent.

– Amela.

Zapięła torebkę.

– Często tutaj bywasz? – zapytał i zamoczył usta w swojej whisky.

Amela pokręciła głową.

– Prawie nigdy.

– Ja jestem tu co tydzień. Grają dobrą muzykę. Lubię tańczyć.

– Jesteś w tym dobry.

Zobaczyła, że się zarumienił i otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zamknął je z powrotem. Pili w milczeniu.

– Może powinniśmy to znowu zrobić? – spytała. – To znaczy, zatańczyć.

Mężczyzna wykonał kolisty ruch szklanką, w której zadźwięczał lód, po czym wychylił ostatni łyk whisky.

– Pewnie.

W drodze na parkiet Amela zahaczyła stopą o próg i potknęła się. Kent musiał ją złapać. Zakłęta i posłała mu głupkowaty uśmiezek. Orkiestra grała powolną piosenkę. Wokalista przechylił głowę w bok i wlał w głos więcej miodu. Śpiewał o tym, że podróżował gdzieś daleko i tęsknił za swoją kobietą. Perkusista wyglądał, jakby miał zaraz zasnąć. Wąs Kenta łaskotał Amelę w policzek. Było to całkiem przyjemne. Ostrożnie przycisnęła dłoń do jego wilgotnych pleców, próbując

sobie wyobrazić, jakby to było mieć go naprawdę blisko siebie.

– Sprzedaję samochody – rzekł, usiadłszy naprzeciw Ameli z nową whisky w dłoni i jeszcze jednym kieliszkiem wina dla Ameli. – W salonie w Sjöbo. Sprzedajemy volvo i renault. Ostatnio także dużo eko-samochodów. Z silnikami Flexifuel.

Skinęła głową i wciągnęła w siebie pół kieliszka.

– A ja sprzątam. Najczęściej u starych bab.

Posłał jej puste spojrzenie. „Jeśli oczywiście akurat nie zalewam się w trupa i nie szukam kogoś, z kim mogłabym się pobzykać” – chciała dokończyć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Kent nie był typem, który cenił wulgarność.

– Wcześniej byłam nauczycielką – wybełkotała.

– O, kurczę.

– Jesteś żonaty?

Taksował wzrokiem parkiet, wybijając palcami takt o blat stolika.

– Nie, rozwiedziony.

– To dobrze – rzuciła Amela. – To znaczy, szkoda, że jesteś rozwiedziony. Ale dobrze, że... Ech, chyba rozumiesz.

Szturchnęła go przyjaźnie w ramię, ale Kent wcale nie sprawiał wrażenia, że rozumie.

– Wspominałeś coś o eko-samochodach. Interesujące. Ile kosztuje takie auto?

Kent pochylił się w stronę Ameli z błyskiem w swoich cielejących oczach. Natychmiast dało się słyszeć, że był teraz na pewniejszym gruncie.

– Nie jest droższe od zwykłego samochodu. Państwo dopłaca specjalny dodatek. Dziesięć tysięcy. Najlepsze jest to, że można tankować i normalną benzynę, i biopaliwo. Ponadto można je mieszać. Wyobraź sobie, że masz pół baku biopaliwa, ale jesteś na prowincji i znajdujesz stację. Mają tam tylko benzynę. Co robisz? Zalewasz do pełna benzyną! To takie proste.

Amela uśmiechnęła się, udając zainteresowaną. Kent wypił łyk alkoholu i ciągnął z zapalem.

– Nowość, która wchodzi teraz na rynek to samochody

elektryczne. Niewiarygodne, jak świat pędzi do przodu. Najpierw hybrydy. A za dziesięć lat wszyscy będą jeździć autami na prąd. Przez długi czas problem stanowiły akumulatory. Szybko się wyczerpywały i trzeba było ładować samochód przez całą dobę. Oczywiście nikt nie może tak długo czekać. Ale wynaleziono...

Amela poczuła, jak opadają jej powieki. Nagłe ożywienie Kenta działało usypiająco. Patrzyła na jego wąs, który poruszał się w górę i w dół, odkąd mężczyźni w końcu rozwiązały się język. Wyglądało to dosyć komicznie. Gdzie podziały się Wanja? Amela wypatrywała jej ukradkiem ponad ramieniem Kenta, ale przyjaciółka zniknęła. „Miejmy nadzieję, że znalazła numer dziesięć” – pomyślała. Orkiestra musiała chyba ustawić głośniejszy sprzęt dźwiękowy, bo do Ameli nie docierało już ani jedno słowo wypływające z ust Kenta. Wyglądał, jakby występował w programie telewizyjnym, w którym ktoś wyłączył dźwięk. Nie żeby jej to jakoś przeszkadzało.

– Słuchasz?

Wzdrygnęła się.

– Uhm, mówiłeś coś o hybrydach...

Po jego twarzy przemknął cień irytacji.

– Tak, choć to już raczej technika przeszłości. W tym momencie pracuje się nad rozwojem...

„Niepojęte, jak ci ludzie się rozmywają – pomyślała Amela. – Tyle blasku, tyle zapachów, a do tego orkiestra tak pięknie gra.” Poczowała, że zaraz się popłacze.

I właśnie wtedy go ujrzała. Stał po drugiej stronie parkietu i świdrował przestrzeń swoimi blisko osadzonymi oczyma. Wylot dubeltówki. Amela miała wrażenie, że serce jej stanie.

– To on! – krzyknęła i zerwała się z krzesła, które upadło na podłogę.

Kent spojrział na nią pytająco i odwrócił głowę, zdezorientowany.

– Kto?

– Diabeł. Widziałam go między tamtymi ludźmi, ale już zniknął.

Amela błędziła rozpaczliwie wzrokiem. Jej serce nie stanęło, lecz wręcz przeciwnie – waliło jak oszalałe. Nagle ogarnęły ją mdłości. Orkiestra grała, jak gdyby nigdy nic. Ludzie wokół niej krzyczeli i śmiali się, ktoś wył ze złości lub z zachwyty, a pary na parkiecie krążyły w wirze, który nie miał początku ani końca.

– Stał tam – powiedziała i wskazała palcem w nieokreślonym kierunku.

– Nie wydaje mi się... – zaczął Kent, wyglądając całkiem bezradnie.

– Muszę iść.

Nie czekając, zabrała szybko torebkę i pobiegła.

– Czekaj! Czy my nie... – usłyszała wołanie za sobą.

W taksówce siedziała zupełnie nieruchomo i cicho. Słuchała radia, z którego płynęła muzyka Abby. Przez całą drogę do domu miała zamknięte oczy.

Gdy zadzwonił budzik, w pierwszym impulsie chciała wyciągnąć rękę i zrzucić go na podłogę. Uciszyć draństwo. Znowu zasnąć. Ale potwornie bolała ją głowa, a do tego pomyślała o pieniądzach. Bardzo ich przecież potrzebowała. Poza tym nigdy nie czuła się dobrze, leżąc w łóżku i biadoląc z powodu kaca.

Odwinęła kołdrę i stanęła chwiejnie na nogach. Rzuciła okiem na ubrania leżące na podłodze. Postanowiła nie jeść śniadania. Starając się nie patrzeć na swoje odbicie w lustrze w łazience, szorowała zęby mocno i długo, aby pozbyć się wstrętnego smaku w ustach. Po kwadransie opuściła mieszkanie.

Ragnhild siedziała i czekała, tak jak to miała w zwyczaju. Od kiedy Amela zorientowała się, że wizyty, podczas których sprzątała mieszkanie Ragnhild, były dla staruszki punktem kulminacyjnym w tygodniu, miała czasami wyrzuty sumienia. Tak jakby samotność kobiety była jej winą. Jednak teraz czuła się absolutnie zbyt słabo, by móc się tym przejmować.

O dziwo nic jej tej nocy nie nękało. W każdym razie żadne

koszmary, które by pamiętała. Może była zbyt odurzona, by w jej głowie mogły zagnieździć się jakieś zmyły. Mimo wszystko miała wrażenie, że ten człowiek, szukając jej, przemykał gdzieś w mroku.

Co prawda Amela nie miała całkowitej pewności, że w sali tanecznej zobaczyła właśnie złego. Wszystko trwało zbyt krótko. Mignął jej tylko przed oczyma. Potem zniknął w tłumie. Lecz jego wzrok palił ją w policzek jak promień lasera. Czy to naprawdę mogło być tylko przywidzenie?

– Byłaś wczoraj na zabawie? – spytała Ragnhild, kiedy odkurzacz przestał wyć. Siedziała w kwiecistym fotelu przy oknie wychodzącym na podwórko i uśmiechała się szelmowsko. Zaledwie chwilę wcześniej głośno chrapała. Do pokoju wpadało blade jesienne słońce, wplatając srebro we włosy staruszki. – To dobrze, Amelo. Trzeba się bawić za młodu. Zanim będzie za późno.

Amela starła pot z czoła i nacisnęła stopą odkurzacz, tak że kabel zaczął wślizgiwać się do obudowy niczym spłoszony wąż. Uwijała się jak w ukropie, żeby zakamuflować kaca. A może, żeby wymierzyć sobie samej karę? Usiadła ciężko na bocznym oparciu kanapy.

– Nic ci nie umknie, Ragnhild.

– Cóż... Nie trzeba być jasnowidzem, żeby zobaczyć, że się wczoraj porządnie zaprawiłaś.

– Wiesz, Wanja... – odparła Amela, jakby to miało wszystko wytłumaczyć.

– Ach, ona – Ragnhild pokiwała głową. – Już jako dziecko była dzika. Miałam ją trzy lata w mojej klasie. Żywiołowa dziewczyna. Może nawet trochę zbyt żywiołowa. Nie garnęła się za bardzo do nauki. Pamiętam, że wyszła za kierowcę ciężarówki. Mówili, że ją zdradzał, ale co ja mogę o tym wiedzieć? Wydaje mi się, że nie mieli dzieci.

– Wiesz sporo o ludziach z miasteczka.

– O, tak. Przez lata przewinęło mi się przez ręce kilka setek dzieciaków – zachichotała. – Pomyśl, ile czasu i siły trzeba było włożyć, żeby wbić im coś do głów. To jasne, że po latach jest się

ciekawym, jak im się układa w życiu.

Rozejrzała się niepewnie po pokoju.

– A tak w ogóle, to która godzina?

– Zawsze o to pytasz po przebudzeniu – odparła Amela i wybuchła śmiechem, lecz pożałowała tego, gdy tylko poczuła przeszywający ból w czole. – Następnym razem kupię ci zegar.

Spojrzała na swój zegarek:

– Wpół do dwunastej.

– W takim razie pora na kawę – rzekła Ragnhild.

Stała na sztywnych nogach i wzięła do ręki swoją laskę.

– Ale zegara nie chcę. Trzeba pozostawić sobie w życiu trochę emocji.

W czasie gdy Ragnhild wyciągała z szafki puszkę z kawą i filtr, wzrok Ameli padł na fotografie stojące na półce. Staruszka opowiedziała jej już o kilku z nich. Zdjęcie ślubne z małżonkiem, który miał na imię Albin i zmarł zbyt młodo. Jedyna córka, mieszkająca teraz w Malmö. Wnuki, grzecznie uczesane i oczekujące przy świątecznym drzewku. W zbiorze znajdowały się także starsze, czarno-białe fotografie krewnych, którzy zmarli dawno temu. Było też kilka zdjęć klasowych, na których Ragnhild, będąca jeszcze w pełni sił, czuwała surowo nad swoimi uczniami.

– Ragnhild, ty wiesz wszystko o tym mieście – powiedziała Amela w nagłym olśnieniu. – Znasz niejakiego Borysa Nicolica?

Ragnhild przystanęła i patrzyła w zamyśleniu na kopiastą miarkę kawy w swojej dłoni. Pokręciła niewyraźnie głową.

– Jest taki jeden człowiek z Jugosławii, który otworzył złomowisko samochodów przy drodze na Spjutstorp. Zastanawiam się, czy nie nazywa się ono przypadkiem „Złomowisko u Borysa”? Czy może chodzić o niego?

Wsypała kawę do filtra i wcisnęła czerwony przycisk.

– Dlaczego pytasz?

– Ech, to nic takiego. Nie wiesz o nim nic więcej?

– Nie, nic ponad to, że jest imigrantem. Ale to słyhać po nazwisku – wyglądała na trochę rozdrażnioną. – Proszę cię, wyjmij filiżanki, a ja usiądę w fotelu i dam odpocząć nogom.

Ragnhild powlokła się do swojego punktu obserwacyjnego przy oknie, usiadła ciężko i rozścieliła na kolanach wełniany koc w kratę. Przez chwilę zdawało się, że zaraz zaśnie. Lecz kiedy Amela postawiła na stole tacę z filiżankami i talerzykiem sucharków migdałowych, staruszka otworzyła oczy i zmrużyła je z zaciekawieniem.

– Czy to ktoś znajomy z twojej ojczyzny?

Amela zeszywniała od nagłego zimna.

– Nie – odparła krótko i nalała kawy do filiżanek. Gdy ujrzała zdziwienie na twarzy Ragnhild, musiała dać jakieś wytłumaczenie.

– Byłam tam naprawić samochód. Miałam problem z rurą wydechową. I tak się teraz tylko zastanawiam.

Podawała staruszce cukierniczkę. Ragnhild wzięła dwie kostki i pomieszała kawę tak energicznie, że w naczyniu powstał wir. Podnosząc filiżankę, odchyliła mały palec. Siorbnęła głośno.

– Był tam jeszcze jeden człowiek – rzekła Amela z namysłem.

– Trochę dziwnie się zachowywał. Miał niespotykane imię. To znaczy, jak na Szweda. Z tego, co pamiętam, nazywał się Mike Larsson.

Ragnhild odłożyła raptownie filiżankę na stół, aż porcelana zabrzęczała.

– Czyżby wrócił?

– Znasz go?

Po bladożółtej twarzy staruszki przemknął niespokojny cień. Długo wpatrywała się w żyły na swoich czerwonych, popękanych dłoniach, jakby należały do kogoś innego.

– Cóż – rzekła wreszcie, spoglądając na Amelę wilgotnymi oczyma. – Znam Mike’a Larssona nie od dziś. Co za nieborak! Choć dawno nic o nim nie słyszałam. Wątpiłam, że jest przy życiu, wzięwszy pod uwagę to, jak się prowadził.

– Opowiadaj!

Ragnhild spojrzała podejrzliwie na Amelę, która przysunęła się z zapalem bliżej na kanapie. Potem jej twarz rozpromieniła się w pomarszczonym uśmiechu.

– Potwornie jesteś zainteresowana...

Amela zaśmiała się fałszywie i udała zażenowaną. Ragnhild podrapała się w zamyśleniu po brodzie.

– Nie wiem, od czego zacząć – westchnęła. Nagle w jej spojrzeniu pojawiło się coś stanowczego. – Może od ostrzeżenia cię. Jeśli masz co do niego jakieś plany, to o nich zapomnij. Mike Larsson to człowiek urodzony pod nieszczęśliwą gwiazdą. Nikomu nie przynosi niczego dobrego.

Podniosła się chwiejnie, przesunęła begonię z parapetu i uchyliła okno. Do środka, wraz ze świeżym powietrzem, wpadły krzyki dzieci bawiących się na podwórku. Staruszka zwróciła się znowu do Ameli.

– Dziwne. Nagle zrobiło mi się okropnie ciepło.

Ragnhild opadła na kanapę i przymknęła oczy. Słaby podmuch wiatru bawił się jej cienkimi włosami.

– Ten Mike, no cóż. Szkoda go było. Szalenie szkoda. Jednak niewielu to rozumiało. Miał bystry umysł. Ale wszystko i wszyscy byli przeciwko niemu. Większość uważała go za diabelski pomiot.

– Więc był twoim uczniem?

– Tak, od czwartej do szóstej klasy. Już wtedy zaczęło mu się źle układać. Jego ojciec był prawdziwym łajdakiem. Pracował w rzeźni. Gdy zamknęli Scans, został bezrobotny. Maltretował i żonę, i syna. Wydaje mi się, że opieka społeczna miała już interweniować, gdy okazało się, że drań opuścił rodzinę. W gruncie rzeczy dobrze, że to zrobił. Ale matka Mike'a... Cóż, dziś powiedzielibyśmy, że była źle sytuowana. Więc chłopak musiał radzić sobie w większości na własną rękę.

Ragnhild umilkła i pogrążyła się w myślach. Amela czekała, lecz powoli ogarniała ją niecierpliwość. Właściwie to nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak jej zależało, by dowiedzieć się więcej o tym prymitywnym mechaniku, który najpierw z nią żartował, a potem, gdy dotarło do niego, że Amela przyjechała na zwiady, stał się nagle podejrzliwy. Choć z drugiej strony pracował przecież u Borysa. „Nie – poprawiła się w myśli. – On służy diabłu. A jeśli chce się dotrzeć do złego, nie zaszkodzi dowiedzieć się czegoś więcej o jego pomagierze.”

– Więc Mike pracuje teraz na złomowisku samochodów? – spytała Ragnhild ospale, jakby zasnęła na chwilę, błędząc w myślach.

– Na to wychodzi.

– Z czasem wyrósł z niego prawdziwy łobuz. Na okrągło wdawał się w bójkę. Niestety, kilku moich kolegów po fachu uważało, że najlepszym sposobem nauczania dziecka ogłady było częstsze bicie. Wstyd mi, kiedy o tym myślę. Mike nie miał chyba wielu przyjaciół. Trzymał się z synem fabrykanta podgrzewaczy, dopóki nie zamknęli biedaka ubóstwego Laurencjusza... Malcolm B. Andersson. Cóż, ten też dostał za swoje. Ta rodzina to kolejna gorzka historia.

Pokręciła ze smutkiem głową i wymamrotała coś cicho. Może było to zaklęcie.

– Przyznam ci się, że Mike Ignął do mnie jak mucha do miodu – rzuciła nagle. – Byłam jedyną osobą na świecie, która się o niego troszczyła. Sam mi to powiedział. W wyższych klasach pomagałam mu czasem odrabiać lekcje, ale na niewiele się to zdało. Nie dlatego, żeby miał kiepską głowę. On po prostu miał tarapaty we krwi. Wisiało nad nim jakieś fatum. Na koncie miał bójkę i drobne kradzieże, a im więcej pił, tym było gorzej. Oskarżano go o włamania i napady. Sama nie wiem, czy to prawda. Krążył między szkołami dla trudnej młodzieży, bywały okresy, że znikał na dłużej. W końcu byłam zmuszona się poddać.

Z podwórka dobiegł krzyk dziecka, a po nim nastąpił dźwięczny śmiech. Ragnhild podniosła się powoli i zamknęła okno. Zacinało się, więc musiała wyteńczyć siły, aż nabrzmiały jej żyły na ręce. Potem się odwróciła i wbiła wzrok w Amelę.

– Pokażę ci coś, czego nikt wcześniej nie widział – rzekła z głęboką powagą.

Ostrożnie wsadziła palce do wazy na półce i wyłowiała z niej kluczyk. Z mozołem uklękła. Zgrzytnął zamek w najniższej szafce w regale.

– Mike odwiedził mnie wtedy po raz ostatni – powiedziała Ragnhild, zwrócona przygarbionymi plecami w stronę Ameli. –

Nie widzieliśmy się wiele lat. Był radosny i powiedział, że właśnie urodził mu się syn. Twierdził, że zacznie nowe życie. Rozmawialiśmy przy kawie, a on wydawał się bardzo szczęśliwy. Oczywiście cieszyłam się jego radością. Do momentu, aż powiedział, że chce dać mi prezent.

Staruszka wyjęła z szafki zawiniątko. Jęknęła, prostując plecy.

– Nie wiem, czemu ci to pokazuję, Amelo. Może, żebyś zrozumiała, że masz się trzymać od niego z daleka.

Wzruszyła chudymi ramionami i wyciągnęła rękę z tobołkiem w jej stronę. Był zawinięty w poplamioną smarem szmatkę.

– W każdym razie Mike dał mi to. Twierdził, że gdy zacznie uczciwe życie, nie będzie już tego potrzebował. Uważał natomiast, że samotnej starszej kobiecie, takiej jak ja, przyda się coś do obrony.

Amela zawahała się. Wokół pakunku roztaczał się ostry zapach. Ostrożnie wzięła zawiniątko do ręki. Zważyła w dłoni. Potem powoli odwinęła szmatkę. W jej wnętrzu połyskiwał czarny rewolwer.

Rozdział 18

Mike gapił się z niezadowoleniem na pieczonego dorsza, którego Rolle przed momentem położył na stole. Masło w brytfannie jeszcze skwierczało. Ryba miała rozdziawione niemo usta i wpatrywała się w Mike'a pustymi oczodołami.

W powietrzu wisiało oskarżenie.

– Ryba jest pożywna. Robin potrzebuje takiego jedzenia szczególnie teraz, kiedy zdrowieje – wyjaśnił Rolle. – Poza tym nie można marnować żywności. Musimy jeść to, co mamy.

– Czwarty dzień z rzędu...

Zrezygowany Mike pogrzebał nożem w brytfance.

– Czy ty przypadkiem nie mówiłeś, że dorsze są zagrożone wyginięciem?

– Ścisłej mówiąc, są wpisane do czerwonej księgi – odparł Rolle z przesadną rzetelnością. – Ale nie dotyczy to ryb z lokalnych połowów. Przestań już narzekać.

– W każdym razie ja jestem głodny – rzekł dzielnie Robin i odkroił porcję rybiego mięsa, którą ułożył obok ziemniaczanego purée na talerzu. Kiedy w jego ciele szalała gorączka, nie zjadł ani kęsa. Teraz był wygłodniały jak wilk. Wetknął do ust kawałek, próbując nie myśleć o zamrażarce w piwnicy. W gruncie rzeczy ryba nie smakowała tak źle.

Mike westchnął jednak nieszczęśliwie:

– Jutro chcę befsztyk.

W głębi duszy myślał, że z Rollem stało się coś dziwnego. Oczywiście zauważył, że przyjaciel z radością przybrał rolę tatusia, kiedy tylko Robin wprowadził się pod jego dach. Nie było w tym nic złego. Chłopak potrzebował możliwie jak

najwięcej troski. Jednak od momentu gdy dzieciak zachorował, Rolle jakby do reszty znikował. Posprzątał między innymi korytarz i wypucował podłogi tak, że gdy Mike wrócił ze złomowiska, w całym domu śmierdziało płynem do czyszczenia. Żwir na ścieżce od schodów do furki był pograbiony i uformowany w równiutkie linie, zupełnie jak na dworskim podwórku. Zaś w kuchni Rolle przyrządził dorsza według starej książki kucharskiej po matce. I tak dzień za dniem. Każdego wieczora na kuchennym stole leżał nowy dorsz wyciągnięty prosto z pieca i gapił się pusto na Mike'a. Na szczęście Rolle ogłosił, że dzisiejsza kolacja, którą przygotował ze szczególną starannością ze względu na wyzdrowienie Robina, będzie ostatnią w tygodniu dorsza trwającym w ich domu. Dla uczczenia tego dnia serwowany miał być nie tylko pieczony dorsz jako danie główne, ale również sorbet z dorsza na deser.

– Przepis jest całkiem prosty – tłumaczył dumnie Rolle. – Wystarczy mieć mikser. Ja znalazłem w szafce robot mamy. Dajcie trochę dorsza i trochę lodu, a potem bełtacie pełną parą. Na koniec dekorujecie wszystko dżemem malinowym.

Postawił na stole trzy kryształowe pucharki z mieniącą się na czerwono lodową masą i rzucił się łakomie na swój.

– Orzeźwiająca... – wykrzyknął z pełnymi ustami. Przegryzł i przełknął z pewnym trudem, po czym zadrżał od nagłego dreszczu. Następnie mlasnął w zamyśleniu językiem o podniebienie. – Chociaż może bardziej pasowałoby to latem? Wiecie, kiedy człowiek chce się ochłodzić.

Mike i Robin odsunęli od siebie swoje pucharki.

– Och, ale się najadłem – bąknęli niemal równocześnie.

– Niedobre? – zdziwił się Rolle.

Ponieważ pytanie nie wymagało odpowiedzi, Mike doszedł do wniosku, że przyszła pora, by ożywić nastrój podarunkiem. Zawsze dręczyło go sumienie z powodu prezentów gwiazdkowych i urodzinowych. Przez lata miał tendencję do zapominania o uroczystych okazjach. Pewnego razu, gdy Robin odwiedził go w więzieniu i Mike wybełkotał jedno

ze swoich mglistych usprawiedliwień, chłopak popatrzył mu prosto w oczy i powiedział: „Nic nie szkodzi, tato. Przecież masz tyle innych ważnych spraw na głowie.” Był to potężny cios w kamienne serce. Mike nie mógł dojść do tego, czy chłopak ironizował. Lecz podczas następnej przepustki pojechał autobusem do sklepu dla majsterkowiczów i kupił model Spitfire’a, który wspólnie skleili.

Tym razem Mike wykonał prezent sam, wkładając w niego serce i troskę, co sprawiło, że czuł szczególną satysfakcję.

– Robin, mam coś dla ciebie – powiedział z wyczekującym uśmiechem na ustach.

Chłopak szybko podniósł wzrok.

– Dla mnie...?

Mike odsunął krzesło i wstał. Wyszedł na korytarz i odszukał paczuszkę w kieszeni kurtki. Była owinięta w gazetę, ale znalazł w biurze Borysa czerwoną tasiemkę, którą uformował w elegancką kokardę. Wzruszył się, widząc błysk w oczach Robina.

– Myślę, że może ci się przydać – rzekł z figlarnym mrugnięciem.

W czasie gdy Robin niecierpliwie szeleścił papierem, Mike i Rolle zerknęli na siebie. Kiwnęli głowami we wzajemnym porozumieniu. W duszy Mike’a pojawiła się na moment tęsknota za czymś dawno utraconym. Potem Robinowi udało się rozerwać wstążkę. Trzymał teraz przed sobą prezent, a na twarzy malował mu się zdziwiony wyraz.

Powykrzywiany kawałek żelaza.

– Co to jest?

– Kastet, chyba widzisz. Sam go zespawałem.

– Aha...

Chłopak obracał żelastwo, przyglądając mu się z każdej strony. Nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. Mike poczuł swędzenie w karku. Gwałtownym ruchem przyciągnął do siebie prezent.

– Wkładasz palce w taki sposób – tłumaczył. – Potem zaciskasz pięść i dziabiesz jak jasny gwint.

Kilkoma mocnymi razami w powietrze zademonstrował instrukcję obsługi kastetu.

– Samoobrona – powiedział i odrzucił broń, aż zadudniła ciężko o kuchenny stół. – Pytałeś przecież niedawno, co się robi, kiedy ktoś kogoś prześladowa, co nie?

Robin milczał.

– Pamiętasz, co tata powiedział? Że jeśli to duży i wredny typ, trzeba odwrócić szanse. Nie wolno się ugiąć. Za nic w świecie nie można stchórzyć i się wycofać. Wtedy będzie jeszcze gorzej.

Mike przypatrywał się swojemu synowi, zadając sobie pytanie, co kołatało się w głowie chłopca. Robin sprawiał wrażenie apatycznego. Niemal zrezygnowanego. Musiał odziedziczyć tę cechę po matce. Jego szarzielone oczy powinny przecież płonąć z ekscytacji. Teraz wyglądały, jakby coś w nich zgasło. Kątem oka widział, jak Rolle gwizdał bezgłośnie, uciekając wzrokiem za kuchenne okno. Mike'a powoli ogarniało drażniące uczucie, że nie udało mu się osiągnąć celu.

– Mógłbyś okazać chociaż odrobinę wdzięczności – mruknął gniewnie.

Natychmiast tego pożałował. Może dzieciak nie wyzdrowiał jeszcze całkiem po grypie. Zaledwie parę wieczorów temu miał zupełnie rozpalone czoło. I w dalszym ciągu szkliły mu się oczy.

Robin pociągnął żałośnie nosem i bąknął coś niewyraźnie.

– Miałem na myśli, ech... wszystko jedno – rzekł Mike.

Uniósł gardę, zaczął markować w powietrzu ciosy w stronę Robina.

– Oj, oj! Wspaniałe uderzenie! Dawaj, mały! – zgrywał się. – Masz odwagę zmierzyć się z tatą Baloo?

Przez moment zdawało się, że Robin podejmie wyzwanie. Kąciki jego ust podniosły się odrobinę, ale po chwili twarz jakby znowu przywiędła. Parsknął pogardliwie.

– Przestań, to nie jest śmieszne.

Z głośnym westchnieniem Mike zaniechał swoich starań. Podniósł się raptownie, aż krzesło uderzyło z łoskotem o drzwi spiżarki.

– Ja pierdolę, jak te dzieciaki są dziś rozpuszczone – powiedział

i wyszedł z kuchni.

Dzwonek u drzwi zabrzmiał złowieszczo. Robin skamieniał i spojrzął na Rollego, który sprzątał ze stołu, pochłonięty śpiewaniem utworu Deep Purple. Nie przerywał sobie.

– Smoooke on the waaater..., fire in the sky... – darł się beztrosko, wywalając resztki ziemniaków do kubła na pomyje.

Robin siedział zupełnie bez ruchu, mając nadzieję, że się przesłyszał. Ale nie, dzwonek ponownie zadzwonił. Dingdong! Po chwili dało się słyszeć z piętra wściekłe grzmienie:

– Głusi jesteście?! Otwórzcie, do diabła!

Na schodach zadudniło, potem ciężkie kroki zabębniły w korytarzu, po czym drzwi otworzyły się gwałtownym szarpnięciem.

– Co to za cholerne dzwonienie?! – przywitał się Mike wzburzonym głosem.

Zapadła krótka cisza, a potem osoba stojąca na zewnątrz wymamrotała coś dyskretnie.

– Ach, to ty, Roine! Proszę, wejdz – ponownie dał się słyszeć głos Mike'a.

Robin zerknął niespokojnie na Rollego, lecz ten wzruszył tylko ramionami i złamał na pół szkielet dorsza, który także wylądował w kubie. Czego chciał ten idiota z opieki?

Nagle Mike zjawił się w drzwiach kuchni. Miał mroczne spojrzenie.

– Chcą z nami gadać.

Robina oblała fala mdłości. Fuj, ależ wszystko cuchnęło rybą! Gdy wstał od stołu, przed oczyma zrobiło mu się ciemno. Nogi miał jak z galarety. Dłoń Mike'a spoczęła ciężko na jego ramieniu.

Kobieta, która stała przy choince i przypatrywała się ze zdumieniem połyskującym plastikowym kulkom wyglądała jak Chinka. Albo Japonka. Robinowi trudno było to rozstrzygnąć. W każdym razie miała skośne oczy. Była duża i dobrze zbudowana, lecz nie gruba. Miała na sobie dzinsy

i czarną skórzaną kurtkę.

– To Ewa Ström – przedstawił ją Roine Lind. Przylepił zatroskaną minę do swojej okrągłej, dziecięcej twarzy. – Jest policjantką. Inspektorem kryminalnym. Chce zadać kilka pytań.

Mike, który najwidoczniej zdążył się już przywitać, opadł z łoskotem na stary fotel do czytania, należący niegdyś do Malcolma B. Kobieta odwróciła się szybko do Robina. Uścisk jej dłoni był przesadnie mocny.

– Rozumiem, że Robin to ty?

Chłopak skinął głową i przyciągnął do siebie rękę. Wokół kobiety unosił się słaby zapach potu i jej skórzanego okrycia. „Ciekawe, czy ma pistolet? – pomyślał. – Jeśli tak, to pewnie w kaburze na szelkach.” Odniósł wrażenie, że mogłaby przeszyć go na wylot tymi swoimi przebiegłymi oczyma. Zmusił się, by nie spuścić wzroku.

– Usiądź!

Polecenie zabrzmiało jak trzask z bicia.

– Mamy specjalne zasady, według których postępujemy, gdy w sprawę zamieszane są dzieci – rzekła zwracając się do Mike’a.

– Dlatego przyprowadziłam tu ze sobą Roinego.

Kurator uśmiechnął się przymilnie i otworzył swoją aktówkę. Tym razem obok dokumentów leżały dwa banany. Wyjął notatnik w kratkę i zaostrzony ołówek.

– Jak to: zamieszane? – spytał Mike podejrzliwie.

Policjantka zupełnie go zignorowała. Poświęciła natomiast dobrą chwilę na badanie dużego pokoju. Poza choinką znajdowały się tu dwa fotele, kanapa, telewizor i stół na podniszczonym orientalnym dywanie, który przykrywał jedynie część wytartego parkietu. W rogu stał piec kaflowy. Ściany były gołe, nie licząc masywnej półki na książki z ciemnego drewna w krótszym końcu pomieszczenia. Na tapecie widniały jeszcze wyblakłe prostokąty w miejscach, gdzie wisiały obrazy, nim Rolle ubzdurał sobie, że go podglądają.

– Niedawno wprowadziłeś się do taty, prawda, Robinie?

– Tak.

– Dobrze się tu czujesz?

Robin poruszył się niepewnie w miejscu.

– Całkiem w porządku.

– Według moich danych, mieszkacie tu wy dwaj plus właściciel domu, Rolland Andersson?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie Rolle w tym samym momencie zaintonował nowy numer ze swojego improwizowanego koncertu Deep Purple w kuchni. „My woman from Tokyooooo” – zagrzmiało w hallu, po czym nastąpiło wściekle trzeszczące solo na gitarze powietrznej.

– To tylko Rolle – wyjaśnił Mike i wskazał głową w stronę kuchni. Potem w wyrazie jego twarzy pojawiło się coś ostrego. – Ale czy mogłaby pani być tak zajebicie miła i powiedzieć, do czego pani zmierza, zamiast tu siedzieć i bawić się w twardą gliniarę, szykanując przy tym mojego syna?

– Nie powinniśmy się teraz unosić – wtrącił Roine i poprawił się na kanapie. – Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli...

– Roine, zamknij się na chwilę – przerwał Mike. – Pozwólmę wytłumaczyć pani policjantce, o co chodzi. – Pochylił się do przodu na fotelu, zwrócił twarz do góry, aż zmarszczyła mu się skóra na karku i wbił gniewne spojrzenie w inspektorę. – No niech to pani z siebie wydusi!

Ewa Ström obserwowała go chłodno, bez najmniejszych oznak strachu.

– Mike, przejrzałam twoje akta, nim tu przyjechałam – rzekła głosem ociekającym pogardą. – Doprawdy imponujące. Kto by pomyślał, że w tej makówce kryje się tak genialny gangsterski mózg?

Robin miał wrażenie, że uśmiechnęła się szyderczo.

– Dla dobra twojego syna będzie lepiej, jeśli sam się na chwilę zamkniesz – powiedziała i wydeła wargi.

„Ona musi mieć pod pachą rewolwer – pomyślał Robin. – W przeciwnym razie nigdy nie odważyłaby się tak zbesztać Mike’a.” Przed oczyma pojawił mu się na chwilę obraz kastetu, który wciąż leżał na kuchennym stole. „Tato, uspokój się! – pomyślał. – Ona jest mimo wszystko glina.” Najwyraźniej Mike

doszedł do tego samego wniosku. Gapił się na nią wściekle, lecz milczał.

– No – rzekła Ewa Ström i przeniosła uwagę na Robina z miną, która wyraźnie wskazywała na to, że uznała pojedynek się z Mikiem za zakończony jeszcze zanim się zaczął.

– Robinie, chciałabym, żebyś powiedział mi jedną rzecz. Co robiłeś po południu i wieczorem w czwartek, dwudziestego października?

Przez umysł Robina przepłynął wezbrany potok febrycznych wspomnień, których nie mógł opanować ani ułożyć w jakimkolwiek porządku. Jaka była dziś data? Nie miał pojęcia. Jeszcze raz stanęło mu przed oczyma, jak chudy dziennikarz leci ze schodów, łomocze karkiem o kamień i leży na żwirze, jak gdyby robił aniołka. Ból w żołądku przybrał na sile. Pewnie reporter zostawił za sobą ślady. Opowiedział kierownikowi o swoich planach związanych z odszukaniem Robina. Albo policja znalazła zdjęcia, o których bredził. Zdjęcia, które ujawniają, co się działo, kiedy tłukli szyby u Araba.

– Nie wiem... Byłem chory – wymamrotał Robin.

– Chłopak miał gripę przez kilka dni – zaświadczył Mike. – Gorączka całkiem ścięła go z nóg.

Ewa Ström zlekceważyła go jeszcze raz.

– To było dokładnie tydzień temu – powiedziała. – Zastanów się.

Mike umilkł. Tydzień temu. Robin nie był chory aż tak długo. Rosło w nim nieprzyjemne uczucie, że nie miał kontroli nad sytuacją. Rozmyślał gorączkowo w nadziei, że wpadnie na jakieś alibi dla chłopca. Czwartek w ubiegłym tygodniu. Czy było to przed czy po tym, jak Robin wprowadził się do Rollego? Co on, u licha, wtedy robił? Mike miał w głowie zupełną pustkę.

Robin liczył rozpaczliwie dni. Cały tydzień. Tyle czasu na pewno nie upłynęło od momentu, gdy Rolle wpakował dziennikarza do zamrażarki. Wszystko rozmywało mu się w głowie. Tak trudno mu było zebrać myśli. „Może wcale nie chodzi o wypadek? – rozważał Robin. – Może policjantka chce zapytać o bomby dymne i rozbite okna? Ale to było chyba

wcześniej niż tydzień temu. Kenny i te jego przekłete pomysły!”

– Byłeś w domu u Lindy Aronsson, prawda?

Robin spojrział pytająco na inspektorę. Linda? Na moment przemknęło mu wspomnienie ich euforii. On, leżący bezradnie na plecach na kwiecistym łóżku. Nad nim jej śmiejące się oczy. Miękkie poduszki i puch unoszący się w powietrzu.

– Tak, właśnie – uśmiechnął się sztubacko, a jego ciało wypełniło uczucie ulgi. – To faktycznie mogło być w zeszły czwartek.

– Kim jest Linda? – spytał Mike.

Ewa Ström nie zdradziła nawet najmniejszym grymasem tego, o czym w tej chwili myślała.

– Tak, Robinie. Kim właściwie jest Linda?

Co ona miała na myśli? Robin niczego nie rozumiał. Dlaczego zadawała takie dziwne pytania? Zirytowany wzruszył ramionami.

– Koleżanką z klasy. Jej mama to murzynka z Afryki. To znaczy, jest czarnoskóra. Linda też. Ale ją adoptowali.

Przez długą chwilę w pokoju panowała absolutna cisza. Z kuchni dobiegał w dalszym ciągu skowyt Rollego. Roine Lind odchrząknął dyskretnie i zaczął rysować w swoim notatniku maleńkie esy-floresy. Lecz Ewa Ström wpatrywała się tylko w Robina swoimi skośnymi oczyma, co z każdą sekundą stawało się coraz bardziej męczące. Najbardziej zdziwiony wydawał się Mike. Oniemiały rozdziawił usta.

– Jej matka adopcyjna, Elisabet Aronsson, skontaktowała się z nami – rzekła w końcu Ewa Ström. – Utrzymuje, że zgwałciłeś jej córkę. Gdy wróciła do domu, w pokoju Lindy wszędzie była krew.

Nagle w głowie Mike’a zapadł mrok. Było to jak zaćmienie słońca. Mimo drażniącego swędzenia w okolicy skroni i narastającego ucisku w przeponie, starał się, jak do tej pory, nad sobą panować. Ale gdy usłyszał, że inspektorka wypowiada najpoważniejsze ze wszystkich oskarżeń przeciwko jego synowi, nie potrafił się już pohamować. Zanim Robin zdążył w ogóle otworzyć usta, aby zaoponować, Mike eksplodował jak potężny

wulkan. Zerwał się z fotela z bulgoczącą lawą w spojrzeniu i wyrzucił z siebie kaskadę cuchnącej siarki.

– Co do chuja pana nędzy?! – wrzasnął. – Co ty insynuujesz, pojebana gliniaro? Że mój syn jest gwałcicielem?! Zboczonym obrzydliwcem? Myślisz, że nie widziałem takich w pierdlu? Wiesz, co się z nimi robi? Łoi się ich, dopóki im fiut nie zbutwieje! Mój syn?! Całkiem ci odjechało. Jesteś lesbą? Inaczej chyba pojęłabyś, że to niemożliwe. Spójrz na Robina! Tacy jak on i ja mają tyle panienek, ile tylko zechcą. Dziewczyny o nas żebrzą! A ty przychodzisz i twierdzisz, że on jest gwałcicielem. Jak, do kurwy nędzy, taka tępa idiotka jak ty zdołała zostać policjantką?!

Mike umilkł, głównie ze względu na to, że skończyło mu się powietrze w płucach. Stał i dyszał, czerwony na twarzy, czując nagłe niezdecydowanie, w jaki sposób ma kontynuować swój wywód. Jego wybuch sprawił, że Roine Lind zakrył z lękiem uszy, podciągnął swoje białe frotowe skarpety pod brodę i zwinął się w kłębek przy oparciu sofy. Robin rozdziawił tylko usta. Zaś Rolle, do którego nie mogły nie dotrzeć ryki Mike'a, stał teraz w drzwiach z rozbawionym wyrazem na twarzy.

Jedyną osobą, która zdawała się nieporuszona, była Ewa Ström. Oparła się ospale w fotelu, tak że poły jej skórzanej kurtki rozsunęły się, odsłaniając pistolet w kaburze, i rzekła bez najmniejszego drżenia w głosie:

– Co prawda głównie ci do tego, Mike – rzekła spokojnie. – Ale tak, jestem lesbijką. Lesbą, jak mówisz. I prawdopodobnie mogłabym sprawić, by twój homofobiczny wykład posłużył za podstawę do skazania cię za zniewagę i grożenie funkcjonariuszowi. Jeśli oczywiście trwonienie czasu na takie nadęte zero jak ty mogłoby mieć jakikolwiek sens.

Skinęła na przerażonego kuratora, który z wypiekami na policzkach postawił z powrotem stopy na podłodze i przybrał bardziej godną pozę na kanapie.

– Podejrzewam też, że nie zarobiłeś sobie dodatnich punktów w protokole Roinego. Może to mieć spore znaczenie, gdy urząd będzie musiał się ustosunkować do tego, czy jesteś zdolny

zadbać o syna. Ale w gruncie rzeczy mam to wszystko w dupie. Jedyne, co mnie interesuje to kwestia, co Robin ma do powiedzenia na temat tego, co zdarzyło się w pokoju Lindy przed tygodniem.

Mike usiadł ciężko z powrotem. Wściekłość zniknęła bez śladu. Nagle poczuł się równie bezsilny jak w więzieniu, kiedy codziennie o ósmej wieczorem zamykano za nim drzwi do celi. Spróbował uśmiechnąć się pocieszająco do syna, lecz wyszedł z tego raczej krzywy grymas.

– Ona kłamie – rzekł cicho Robin. – Ta baba kłamie.

– Masz na myśli Elisabet Aronsson?

Skinął głową i spuścił wzrok na wyświechtany orientalny dywan.

– To przez sztylet. Przez Kennego i ten jego pieprzony sztylet.

Po raz pierwszy na twarzy Ewy Ström pojawił się wyraz, który zdradzał, że nie do końca rozumiała, o co chodzi. Uniosła jedną brew i pochyliła się w stronę Robina.

– Musisz nam to wyjaśnić...

Gdy Robin siedział tak ze spuszczoną głową, w jego umyśle roiło się od pytań. Czego ta gliniara właściwie szuka? Czy było możliwe, by Linda i jej matka oskarżyły go o gwałt? Może ta baba. Ale Linda? To przecież ona chciała palić, to ona nakłoniła go do wojny na poduszki. I ona wyła ze śmiechu, kiedy jej oddawał.

„Policji musi chodzić o tę drugą sprawę – pomyślał Robin. – Bomby dymne. Okno u Araba. Szukają też pewnie dziennikarza. Cała ta paplanina o Lindzie to tylko przykrywka. Chcą, żebym zaczął mówić i się wygadał.”

– Kim jest Kenny? – spytała Ewa Ström.

Robin spojrział na nią, nie unikając jej wzroku.

– Ech, to taki znajomy. Raz, kilka dni przed tym, nim byłem u Lindy, siedzieliśmy i gadaliśmy. Pożyczył mi na chwilę swój sztylet. I wtedy przez przypadek przeciąłem sobie skórę przy kciuku. Proszę zobaczyć...

Robin wyciągnął dłoń i pokazał ranę, pokrytą teraz czarną skorupą. Policjantka szybko na nią spojrzała, po czym znowu

wbiła w niego wzrok.

– Linda zaprosiła mnie na herbatę – ciągnął Robin. – Potem zrobiliśmy... wojnę na poduszki. To ona zaczęła. I kiedy tak psociliśmy, rozdrapałem ranę. Ale nie zauważyłem tego, dopóki nie pojawiła się ta baba... to znaczy, matka Lindy.

– A więc twierdzisz, że cały pokój był obsmarowany twoją krwią?

– Tak.

Robin starał się nie mrugać. Poczł łyzy w kącikach oczu. Mike wydał z siebie westchnienie ulgi, a stojącemu w drzwiach Rollemu wyrwało się beztroskie gwizdnięcie. Roine Lind patrzył pytająco na Ewę Ström, stukając nerwowo ołówkiem o notatnik.

– Akurat to możemy łatwo sprawdzić – rzekła policjantka z namysłem. Posłała Robinowi spojrzenie, które miało chyba wyglądać na sprawiedliwe. Potem zwróciła się do reszty.

– Jeśli mam być szczerą, to mam wątpliwości co do tego zgłoszenia. Przyszło dopiero po kilku dniach od zdarzenia. Oczywiście rozmawialiśmy z Lindą, ale niewiele nam powiedziała. Nie zauważyliśmy u niej żadnych zewnętrznych obrażeń na ciele. Matka nie chciała jej poddać badaniu lekarskiemu.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Mike.

– Czyli mamy sprawę z głowy? – rzucił Rolle jowialnie.

Funkcjonariuszka i kurator spojrzeli na siebie. Potem Ewa Ström skinęła i wstała.

– Nie jest to takie proste. Musimy wszystko dogłębnie zbadać. Ale dziś zakończymy w tym miejscu.

Powiedziawszy to, opuściła pokój. W ślad za nią podreptał Roine Lind.

Gdy Mike i Rolle odprowadzali gości do drzwi, Robin wciąż siedział na kanapie. Serce mu waliło. Myślał o Lindzie. I o zamrożonym na kość ciele w olbrzymiej zamrażarce w piwnicy.

Rozdział 19

– Wyglądasz na zmartwionego – rzekł Borys i objął kark Mike’a swoją mięsistą dłońią. Ścisnął mocniej, zanim zwolnił uchwyt. – Chodzi o chłopaka? – zapytał przyjaźnie.

Mike rzucił klucz nasadowy na bok i wytarł ręce w kawałek szmaty, który wisiał mu u paska. W starej skodzie cholernie przyrdzewiał akumulator. „Będę musiał go chyba odspawać” – pomyślał.

– Nie, wszystko w porządku. Robin miał lekką grypę, ale już wyzdrowiał.

– Mieszka już u ciebie?

– No pewnie. Ma własny pokój i w ogóle. W chacie Rollego jest dużo miejsca.

Borys wyglądał tak, jakby wnikliwie rozważał to, co właśnie usłyszał.

– To dobrze – rzekł i poklepał Mike’a po policzku ojcowskim gestem. Odkąd Mike zaczął pracę na złomowisku, nieczęsto miewał dłuższe rozmowy z Borysem. Najczęściej szef rozdzielał polecenia dotyczące tego, które samochody należy rozebrać, a które naprawić. Jednak teraz wydawał się szczerze zainteresowany.

– Poderwał już jakąś dziewczynę? – spytał Borys, mrugając porozumiewawczo okiem.

– Nieee... – Mike poruszył się nerwowo w miejscu. – A właściwie to chyba tak. Spotyka się z jedną koleżanką. Ale chłopak nie ma jeszcze nawet piętnastu lat.

– Ha, ha! Piętnastu! W takim razie jest już dorosłym mężczyzną. Chce mieć dużo cipek! – Borys dał Mike’owi

kuksańca łokciem i złożył lewą dłoń, formując z niej małą dziurkę, do której wetknął prawy palec wskazujący. – Dużo cipek! – uśmiechnął się z przekąsem i ponownie mrugnął okiem.

Potem rysy jego twarzy złagodniały i Borys spoważniał. Otoczył barki Mike'a ramieniem i odszedł z nim kilka kroków na bok.

– Mike, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. Właściwie to zamierzałem wysłać Jokso – rzucił szybko okiem na tykowanego mężczyznę w zatłuszczonym kombinezonie, który grzebał pod maską jakiegoś volvo w głębi warsztatu. – Ale ma w tym momencie problemy zbzoną. Wiesz, jak to jest... Dlatego muszę poprosić ciebie. Będiesz w domu za kilka dni.

– A o co chodzi?

– O samochód. Kupiłem ciężarówkę. Scanię. Używaną, ale w dobrej cenie. Pomyślałem, że możesz ją dla mnie odebrać.

– Skąd?

– Z Kłajpedy.

Mike przeszukał szybko przypadkowe fragmenty wiedzy geograficznej, które przez lata zdołały zagnieździć się w jego głowie. Czy tak przypadkiem nie nazywała się choroba weneryczna? Kiedy w końcu nie udało mu się umiejscowić miasta o tej nazwie na mapie, spróbował mimo wszystko sprawić wrażenie, że rozumiał.

– Więc mam pojechać do Klamydii i wrócić ciężarówką?

W oczach Borysa pojawił się błysk rozbawienia. Zaśmiał się delikatnie.

– Do Kłajpedy – powiedział. – To na Litwie. Po drugiej stronie Bałtyku. Jokso zawiezie cię dziś wieczorem do Karlshamn. Stamtąd odpływa prom.

*

Obudził się wcześniej i wiedziony niepokojem wyszedł na pokład. Morze o świcie było szare i niegościnne. Niebo w dalszym ciągu przysłaniały grube chmury. Przez całą noc

porządnie bujało statkiem.

Mike zadrżał z zimna, postawił kołnierz swojej skórzanej kurtki i naciągnął czapkę na uszy. Przypatrywał się skrawkowi lądu na horyzoncie, który powoli przybierał coraz większe rozmiary. Stał relingu była zimna. Włożył ręce do kieszeni.

Gdy prom precyzyjnie już kadłub przez wzburzone wejście do portu i sunął po czarnej wodzie kanału, Mike skorzystał z okazji, by przyjrzeć się miastu. Od statku w stronę lądu toczyły się oleiste fale. Przy nabrzeżu, obok wielkich podniszczonych magazynów zakotwiczone były pokryte rdzą towarowce. Szkielety dźwigów zginały swoje karki. Głodne mewy krzyczały nad masztami kutrów.

Usłyszał czyjeś wołanie. Czerwony z zimna marynarz stojący na dolnym pokładzie wyrzucił niedopałek papierosa do wody. Płyty pokładowe zadrgały od silników diesla, które zaczęły teraz pracować cała wstecz. Śruby napędowe smagały wodę za rufą, formując z niej pienisty wir. Z komina buchał czarny dym. Powietrze przecięła cuma. W końcu prom przybił do portu, ocierając się ze zgrzytem o opony zwisające na łańcuchach z krawędzi nabrzeża.

Siergiej. Tak brzmiało imię mężczyzny, z którym miał się spotkać. Borys polecił mu je zapamiętać, tak samo jak i adres. Mike'owi imię wyglądało na rosyjskie, lecz nie zdobył się na odwagę, by zapytać.

Miał trochę ciężką głowę. Poprzedniego wieczoru zabawił w barze dłużej, niż zamierzał. Byli tam sami kierowcy ciężarówek i barman, który posyłał piwo po ladzie, nie odrywając oczu od telewizora. Pod sufitem wisiał gęsty dym. Gdy tylko Mike próbował kogoś zagadnąć, napotykał w większości odmowne ruchy głową i nieprzyjemne milczenie. Powietrze w jego kabinie było jeszcze gorsze – zastałe i duszne. Mike zapadł w niespokojny sen.

Z promu zjeżdżały pierwsze ciężarówki. Rampa grzmiała na znak protestu. Na pokładzie samochodowym kilku marynarzy darło się wściekle do siebie. Mike zstępował po trapie na ląd z osobliwym uczuciem w dołku.

Zaczął iść w zimnym wietrze wzdłuż szerokiej, opustoszałej ulicy, po której obu stronach wznosiły się budynki magazynowe i niewielkie fabryki. „To nie więcej niż kilometr” – poinformował go Borys. Ale samochód można było odebrać dopiero po południu, tuż przed odpłynięciem promu do Karlshamn. „Jak zabić cały dzień w takiej zapadłej dziurze?” – rozmyślał Mike.

Po jakimś czasie ujrzął kobietę siedzącą samotnie na jakichś schodach. Na kolanach miała pokrytego parchem kota. Mike zatrzymał się, aby zapytać o drogę. Z bezzębnych ust kobiety płynęły dźwięki dziecięcej piosenki. Kołysała się powoli do przodu i do tyłu, drapiąc kota za uchem powykręcanyimi palcami. Spod spódnicy wystawała jej jedyna noga, okaleczona i owinięta brudnym tłumokiem. Zdawało się, że ma oczy wywrócone do środka głowy. Widać było tylko białka.

Nagle jakby usłyszała, że Mike przy niej stoi. Może dotarł do niej jego oddech. Umilkła i zwróciła na niego swe ślepe białka. Potem zmarszczyła twarz w uśmiechu i wymamrotała coś niezrozumiałego. Mike wrzucił szybko kilka monet do kubka żebraczki i pospieszył dalej.

Kiedy znalazł się bliżej starego miasta, poczuł ssanie w żołądku. Dotknął dłonią miejsca w kieszeni, gdzie leżały pieniądze, które przekazał mu Borys. „Potraktuj to jak krótkie wakacje. Pooglądaj sobie miasto i zjedz dobry lunch, kiedy będziesz czekał” – powiedział szef. Najwyraźniej zapłata za ciężarówkę, którą Mike miał odebrać, została już uiszczona w inny sposób.

W jednej z suterren znajdowała się kawiarnia, która sprawiała wrażenie otwartej. Kiedy Mike nacisnął klamkę, usłyszał dźwięk dzwoneczka u drzwi. Właściciel zdawał się średnio zachwycony wizytą pierwszego gościa tego dnia. W każdym razie nie okazał radości, rzucił tylko Mike’owi wrogie spojrzenie i powrócił do wycierania szyb. Był wielki i ciężki. Jego nabrzmiąłą, czerwoną twarz otaczała skołtuniona broda.

Mike uśmiechnął się przyjaźnie.

– *Coffee?*¹³

Brodacz charknął, odłożył ścierkę na ladę i napełnił kubek. Kawa pysznie pachniała.

– *Do you have bacon and eggs?*¹⁴

Właściciel kawiarni spojrzął na Mike'a, jakby rzucono mu obelgę prosto w twarz.

– *Yes. Sit!*¹⁵ – zakomenderował, wskazując stolik przy oknie. Mike zabrał swoją kawę i usiadł. W lokalu panował półmrok i śmierdziało w nim starym, rozlanym piwem. Brudne okna przepuszczały jedynie szarobure światło, które padało na ciemne meble i podniszczoną drewnianą podłogę. Plecioną lampę wiszącą u sufitu otaczał żółtawy poblask, który z ledwością docierał do tablicy do darta w tylnym kącie pomieszczenia.

Po kilku minutach drzwi ponownie się otwały i do środka wpadł powiew zimnego jesiennego wiatru. Przybysz rozejrzył się spieszenie po pomieszczeniu. Nim jego rozbiegany wzrok powędrował w stronę baru, zatrzymał się ledwo zauważalnie na Mike'u. Mężczyzna był wysoki i szczupły, niemal wychudzony. Miał tłuste, czarne włosy. Wymienił kilka słów z właścicielem, co zabrzmiało jak słaby pomruk. Potem otrzymał filiżankę kawy i talerzyk z kanapką, a następnie usiadł przy stoliku pod tarczą do rzutek. Rozłożył gazetę z lekkim szelestem.

„Podejrzany typ” – pomyślał Mike, nie wdając się w głębsze rozważania na ten temat.

Zjadł jajka na bekonie i wytarł z talerza żółtko i tłuszcz kawałkiem chleba. Znowu naszedł go niepokój. Myślał o Robinie. Chłopak był taki cichy i zamknięty w sobie. Odnosiło się wrażenie, że ukrywa całe mnóstwo tajemnic. Mike chciał je poznać. Z matką Robina było tak samo. Maria. Nic nie przyprawiało Mike'a o większe uczucie bezsilności niż momenty, gdy się odcinała i uciekała w głąb siebie.

Był czas, kiedy Mike myślał, że stworzą prawdziwą rodzinę. Wtedy, zaraz po narodzinach Robina. Mieli kupić przyczepę kempingową i jeździć na wakacje nad jezioro i do zoo w Kolmården. Może zrobiliby też wycieczkę na Olandię.

W tamtym okresie Mike nie pił i pracował w porcie. Maria miała zacząć szkołę dla dorosłych, zaraz po odstawieniu małego od piersi. Tak ustalili. Ale po kilku miesiącach Mike zauważył, że nie słuchała, kiedy mówił o przyszłości. Wkrótce zdał sobie sprawę, że nie wierzyła, by istniała jakakolwiek przyszłość. Pewnego dnia po prostu zniknęła, a Mike nigdy nie spróbował jej odszukać. Gdy tamtego dnia wrócił z pracy, Robin leżał w łóżeczku i płakał. Na komodzie obok jej łóżka Mike znalazł igłę i woreczek z białym proszkiem, który najwyraźniej zapomniała ze sobą zabrać.

Wiele lat później zobaczył Marię po raz ostatni. Było to na kopenhaskiej Istedgade, ulicy prostytutek i narkomanów. W pierwszej chwili pomyślał, że natknął się na starą kobietę, bezzębną żebraczkę. Udał, że jej nie widzi i przeszedł spieszenie na drugą stronę. Kiedy teraz o tym myślał, czerwienił się ze wstydu.

Mike płakał czasami w samotności. Wmawiał sobie, że dla Robina było równie dobrze, że zniknęła. Ale chłopakowi musiało pewnie brakować matki. Gdy Mike myślał o swoim synu i wszystkich domach dziecka oraz rodzinach zastępczych, w których mały był zmuszony przebywać, wstydził się jeszcze bardziej. „Biedny chłopak, nic dziwnego, że jest taki naburmuszony.” Po raz kolejny przysiągł sobie uroczyście, że odpokutuje za wszystkie te zmarnowane lata.

Z westchnieniem odsunął krzesło, którego nogi zaszurały o podłogę, i podszedł do baru, by dolać sobie kawy z ekspresu. Wtedy dotarło do niego, że wychudzony mężczyzna przy stoliku pod tarczą do darta go obserwuje. Gdy tylko Mike spojrzał w jego stronę, tamten pochylił głowę nad gazetą. Po chwili Mike znowu poczuł na plecach jego ostry i podstępny wzrok. Wyniszczona postać mężczyzny miała w sobie jakiś niezaspokojony głód. Była jak hiena czyhająca w ciemności.

„Może to tylko przywidzenie” – pomyślał Mike.

Niedawna wizyta policji napędziła mu stracha. Trudno mu było rozgryźć tego lizusa, Roinego Linda. Do tego ta wredna cholera, inspektor kryminalna. Lesba czy nie, Mike spotkał

wystarczająco dużo policjantów jej pokroju, aby móc ich rozpoznać. Gliniarzy, którzy grają twardzieli i z góry skazują biednych nędzników. Nie był do końca przekonany, czy pokazał jej, gdzie jest jej miejsce. Właściwie to wcale. Lecz kiedy Robin opowiedział o sztylcie i ranie przy kciuku, Mike odniósł wrażenie, że uwierzyła chłopakowi.

Ten sztylet. Robin wydawał się przestraszony, kiedy opowiadał o wypadku. Mike nie był bynajmniej pewien, czy chłopak mówił prawdę i miał na myśli Kennego, kiedy wspominał o tym, że ktoś go szykanuje? Na tę myśl policzki Mike'a znów zapłonęły. Tym razem nie ze wstydu. Wypił ostatni łyk kawy i opuścił lokal, posyłając krótkie kiwnięcie głowy w stronę brodatego właściciela.

W kolejnych godzinach Mike zastosował się do rady Borysa i spróbował udawać, że jest na wakacjach. Kupił tanią mapę dla turystów i spacerował pomiędzy kościołami i uliczkami miasta. Po południu wyłąziło mu to już bokiem, mimo że zafundował sobie porządną, długi lunch i wypił kilka mocnych piw. Powoli zaczął szukać drogi powrotnej do dzielnicy portowej. Przyszła pora, by odnaleźć Siergieja.

W pierwszej chwili Mike pomyślał, że dotarł w złe miejsce. Pod wskazanym adresem stał zaniedbany dom przeznaczony do rozbiórki. Otaczały go inne, równie zapuszczone budynki mieszkalne i magazynowe. Gdy rzucił okiem w górę elewacji, zobaczył, że wiele szyb w oknach było rozbitych. Lecz w kilku kwaterach wisiały franki. Najwidoczniej ktoś mimo wszystko tu mieszkał.

Wszedł w bramę, w której uderzył go smród moczu i starych śmieci. Wspiąwszy się na trzecie piętro, odczekał chwilę, by złapać oddech. Na papierowej zawieszce na drzwiach widniał napis Babakov, co zgadzało się z informacją od Borysa. Mike zapukał ostrożnie.

Czekał dobrą chwilę, potem usłyszał szuranie po drugiej stronie drzwi, a następnie szcęk łańcucha. Kobieta, która stanęła w drzwiach wyglądała jak zjawa. Długie, cienkie, kredowobiałe włosy i niemal przezroczysta cera. Trudno było odgadnąć jej

wiek. Wpatrywała się w Mike'a bez wyrazu, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by przesunąć się na bok.

Wtedy z wnętrza mieszkania dobiegło szorstkie wołanie. Jakby po rosyjsku. Kobieta wzdrygnęła się i czmychnęła jak pies z podkulonym ogonem. W głębi słabo oświetlonego przedpokoju stał rosły mężczyzna. Ku zdumieniu Mike'a mówił po szwedzku, aczkolwiek z mocnym obcym akcentem.

– Mike, wejdź! Zamknij drzwi. Czekaliśmy.

W kuchni, na drewnianym krześle siedziała trzecia osoba, opierając się o ścianę. Mike natychmiast go rozpoznał. Człowiek-hiena z kawiarni. Czy śledził go cały dzień? Doznał w żołądku nieprzyjemnego uczucia, że coś było nie tak. Na stole przed chudym typem leżał rewolwer. Mężczyzna chwycił broń z obojętną miną i wetknął ją do wewnętrznej kieszeni. Potem pokiwał do Mike'a palcami i odsłonił w krzywym uśmiechu rząd brązowych, przysięgniętych zębów.

– On jest z Czeczenii – powiedział Siergiej, jakby to wszystko tłumaczyło. – Nie musisz się nim przejmować.

– Jestem od Borysa. Mam odebrać samochód – wyjaśnił Mike. Wyraźne uczucie podpowiadało mu, że najlepiej byłoby uporać się z tym zleceniem jak najszybciej.

Jednak Siergiej nie sprawiał wrażenia, jakby go słuchał. Stał zupełnie nieruchomo i taksował Mike'a z góry na dół bez śladu zażenowania, jakby próbował stwierdzić, czy miał przed sobą faceta, na którym można było polegać. Gdy oddychał, przez jego wielkie nozdrza przedzierał się syk.

Nagle ponownie ryknął i kobieta-zjawa ukazała się znowu, równie bezgłośnie, jak zniknęła. Bez słowa otworzyła jakąś szafkę i wydobyła z niej półmisek z kiełbasą, chlebem i kiszonym ogórkiem, który postawiła na stole. Na koniec wyjęła butelkę wódki. Potem się ulotniła.

Na twarzy Czeczeńca zabłysnął chciwy uśmieszek.

– Usiądź! – nakazał Siergiej.

– Sam nie wiem... – odparł Mike. – Prom wkrótce odpływa, a chciałem...

– Siadaj!

Czeceniec uśmiechnął się przyjaźnie. Długim nożem odkroił kawałek kiełbasy i chleba, położył ogórek na talerzu i wykonał zapraszający gest w stronę Mike'a. Potem nalał wódki do trzech literatek.

Mike przełknął ciężko ślinę. Szlag by to! Miał wrażenie, że ciężko mu będzie się wykręcić, nie spierając się z tymi ludźmi. Borys podkreślił przecież, że Siergiej jest jego bliskim przyjacielem i partnerem w interesach. Lepiej będzie robić, co każe. Usiadł więc i się uśmiechnął.

– Świetnie! – rzekł Siergiej. – Widzisz, w moim kraju jest tradycja, że trzeba poznać człowieka, z którym się robi interesy.

Mike dokonywał w głowie szybkiego rachunku. Do terminalu promowego nie mogło być dalej niż kilometr. Ulica była szeroka, a ruch znikomy. Gdy tylko wprowadzi ciężarówkę na pokład, może pójść się położyć i spać przez całą drogę do Karlshamn. Uniósł literatkę w stronę Rosjanina.

– W moim też. Twoje zdrowie!

Mike wygiął szyję do tyłu i odczekał, aż połowa alkoholu spłynie mu do gardła. Poczul przyjemne palenie.

– Na zdrowie!

Siergiej opróżnił swoją szklankę.

– Szwedzi piją jak baby – bąknął pod nosem i nalał wódki dla siebie i Mike'a. Czeceniec, który także wychylił swoją literatkę jednym haustem, przyglądał się temu z rozczarowaniem.

Jedli w bezwzględnej ciszy. W kuchni było zimno. Zarówno Rosjanin, jak i Czeceniec mieli na sobie kurtki. Wódka rozgrzewała. Gdy oddychali, przed ich ustami tworzyły się cienkie obłoczki pary.

Siergiej napełniał szklanki po brzegi sześciokrotnie. Za każdym razem, gdy jego była już pusta, literatka Mike'a była jeszcze w połowie pełna. Czeceniec, który wydawał się coraz bardziej zacierzewiony, nie dostał ani kropli. Raz po raz brał do ręki długi nóż, odkrajał trochę kiełbasy, testował ostrze kciukiem i mamrotał coś posepnie do siebie. W końcu zirytowany Siergiej warknął coś do niego. Wtedy oczy Czeczeńca zaiskrzyły. Potężnym ciosem wbił nóż w blat stołu, aż ostrze zadrgało.

W tej sytuacji Mike stwierdził, że nadeszła pora, by wyruszyć w drogę. Zakasłał i podniósł się z krzesła na chwiejnych nogach.

– Cóż, chłopaki, muszę już lecieć... Miło było poznać.

Rosjanin wytrzeszczył wściekle nabiegłe krwią, opuchnięte oczy. Potem wetknął rękę do kieszeni i cisnął pęk kluczy na stół.

– Stoi na ulicy za rogiem. Jest załadowany i gotowy do jazdy.

Mike zabrał kluczyki. W połowie drogi do drzwi przyszło mu na myśl, że powinien spytać o jedną rzecz:

– Załadowany? Czym?

– Oponami.

Mike wlepił wzrok w Siergieja i pomyślał, jak bardzo tamten przypominał mu byka.

– Opony są tutaj tanie – powiedział Rosjanin i wlał więcej wódki do swojej szklanki. – To dobry biznes.

Mike skinął głową i opuścił mieszkanie.

– Pozdrów Borysa – usłyszał jeszcze wołanie za sobą.

Znalazłszy się na ulicy, poczuł, że był porządnie wstawiony. Zwrócił twarz ku niebu i spróbował się orzeźwić, wciągając w płuca tyle wilgotnego, jesiennego powietrza, ile tylko zdołał. W pobliżu nie było żywej duszy. Jedynie zza rogu przyszwendał się kudłaty kundel i zamerdał ogonem. To był dobry znak.

Ciężarówka stała we wskazanym miejscu. Był to samochód marki Scania, dokładnie taki, jakim przedstawił go Borys. Dostyc duży, nie nowy, ale w całkiem przyzwoitym stanie. „Dziwne, że ma szwedzkie tablice rejestracyjne” – przemknęło Mike’owi przez głowę. Nagła myśl skłoniła go do zajrzenia pod plandekę. W istocie, leżały tam góry opon schludnie ułożonych w stosy. Otworzył szoferkę i wszedł.

Silnik odpalił bez problemu. Mike wrzucił bieg i ostrożnie ruszył w drogę. Wszystko kołysało mu się lekko przed oczami, ale ścisnął tylko mocniej kierownicę, żywiąc w głębi duszy nadzieję, że litewska policja nie miała zamiaru przeprowadzać kontroli trzeźwości właśnie tego dnia.

Minąwszy parę przecnic, ponownie ujrział ślepą żebraczkę. Siedziała na schodach z okaleczoną nogą wyciągniętą na chodnik, tak samo jak rankiem. Kota nie było. Mike nie

mógł się powstrzymać, by na nią nie patrzeć, pozwalając samochodowi posuwać się ślimaczym tempem. Widok kobiety napełnił go znowu nieprzyjemnym uczuciem. Czy nikt się o nią nie troszczył? Czy siedziała tam całą noc, śpiewając swoje dziecięce piosenki? Skąd dostawała jedzenie? „Pewnie cholernie jej zimno” – myślał Mike.

Gdy pojawiła się we wstecznym lusterku, nagły impuls skłonił go do zatrzymania samochodu na poboczu. Wysiadł i pogrzebał w kieszeni spodni, po czym podszedł do kobiety. Gdy włożył swoje ostatnie litewskie banknoty do kubeczka zebraczki, zauważył, że jej usta były umazane krwistą, lepką mazią. Żuła coś. W ręce trzymała surowego śledzia. Potem przełknęła i zaczęła nagle głośno i przeraźliwie skrzeczeć, jakby wpadła w złość. Mając wrażenie, że rzuciła na niego przekleństwo, Mike wrócił truchtem do samochodu.

W terminalu promowym wszystko przebiegło gładko. Mike odnalazł kartkę z numerem rezerwacji, którą dostał od Borysa i zdołał bez specjalnych przygód wprowadzić ciężarówkę na pomalowany na zielono pokład samochodowy. Odetchnął z ulgą i zatrzasnął za sobą drzwi szoferki. W chwili, gdy miał już odszukać swoją kajutę, aby się przespać i wytrzeźwieć, przyszło mu do głowy, że powinien sprawdzić, czy opony są dobrze przymocowane. Wiatr nie ustał przez cały dzień. Na morzu będą pewnie porządne fale.

Znalazł latarkę, po czym rozsznurował plandekę w jednym miejscu, odwinął materiał i wgramolił się do wnętrza przyczepy. Otoczył go ostry zapach gumy. Poprawił lekko ustawienie jednego stosu opon. Wydawało się, że taśmy utrzymywały je w miejscu. Sprawdził jeszcze kilka stert, aż znalazł jedną, która była odrobinę niestabilna. Pochylił się, aby naciągnąć poluzowaną taśmę. W tym momencie ujrzął coś białego za oponami w głębi przyczepy. Oświetlił miejsce latarką. Następnie przesunął nieco ładunek i precyzyjnie się do przodu. Na ścianie od strony szoferki stało mnóstwo białych kartonowych pudełek. Musiała być ich ponad setka. Pełen zły przeczucie Mike otworzył jedno, znajdujące się najbliżej

niego. Było wypełnione brzęczącymi butelkami rosyjskiej wódki.

- Do kurwy nędzy! - wykrzyknął Mike, czując nagły przypływ paniki.

Pierwsza myśl, jaka pojawiła się w jego zamroczonym umyśle podpowiadała mu, by wskoczyć do szoferki, wrzucić wsteczny i zjechać z promu. Jednak na pokład wtaczały się już inne pojazdy. A ponadto jak, do jasnej cholery, miał wytłumaczyć litewskiemu celnikom to, że zaparkował właśnie na pokładzie ciężarówkę wypełnioną szmuglowaną wódką?

Przez chwilę miał wrażenie, że wszystkie jego życiowe niepowodzenia znowu go przygniotły całym swym ciężarem. Chciał tylko płakać. Czuł się tak, jakby wisiąco nad nim jakieś przekleństwo. Boskie prawo natury, że dla Mike'a Lorne Larssona wszystko musiało kończyć się piekielnym fiaskiem.

Osunął się oparty plecami o stos opon samochodowych i myślał o Robinie. Siedząc tak w ciemności, przeklął Borysa i przysięgł sobie, że gdy tylko wróci do domu, porachuje temu fałszywemu skurwielowi kości.

[13](#) ang. Kawa?

[14](#) ang. Można u pana dostać jajka na bekonie?

[15](#) ang. Tak. Niech pan siada.

Rozdział 20

Nauczycielka matematyki, Elisabet Aronsson, mknęła przez dziedziniec szkolny niczym burzowa chmura. Ciągnął się za nią zimny, złowieszczy wiatr, a jej obcasy uderzały o chodnik jak pioruny.

Robin zatrzymał się zdjęty strachem. Nieświadomie przykucnął pod masztem flagowym, którego linki wirowały w łopoczącym tańcu, i spróbował skurczyć się do jak najmniejszych rozmiarów. Ledwo odważył się oddychać. Przez moment zdawało się, że nawałnica przejdzie bokiem. Lecz nagle zmieniła kierunek i zaczęła zmierzać prosto ku niemu.

Zahamowała w odległości dwóch metrów i wlepiła w niego oczy miotające błyskawice. Jej mocno ściągnięty w pasie prochowiec zafurkotał jak żagiel od potężnego powiewu.

– Proszę, proszę, więc przyszedłeś do szkoły... – wypowiedziała swoimi pomalowanymi na czerwono ustami, wykrzywionymi w pogardzie.

Olbrzymia kobieta stała zupełnie nieruchomo i wyglądała tak, jakby samą siłą woli próbowała sprawić, by Robin rozpuścił się i przybrał formę cuchnącej kałuży, która zniknie w jakiejś studziencie ściekowej. Była porażająca w swojej sile. Onieśmielająca w swej arogancji. Robin nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Kątem oka widział, jak kilku uczniów i nauczycieli zmierzających w stronę wejścia przystanęło na schodach, patrząc z zaciekawieniem, jakby czekali na wyładowanie elektryczne. Jedyłą rzeczą, którą w tym momencie słyszał, był hałas dobywający się z jego jelit. Gdyby nie był tak sparaliżowany, popędziłby do toalety i wysrał cały

swój strach.

Kobieta znowu przemówiła.

– Mam ci do powiedzenia jedną rzecz. Nigdy więcej nie rozmawiaj z moją córką. Nigdy się do niej nie zbliżaj. Nawet na nią nie patrz. Od teraz ona dla ciebie nie istnieje. Zrozumiałeś?

Nie czekając na odpowiedź, obróciła się na pięcie i pognała w kierunku parkingu. Robin nabrał powietrza do płuc, lecz było ono w dalszym ciągu przepełnione siarką. Tuż nad dachem szkoły zwisały ołowiane, burzowe chmury.

*

Wichura niosła ze sobą ciężkie krople deszczu, które smagały twarz Robina i wpadały mu do oczu, zniekształcając obraz. Chłopak szarpnął kierownicę i stanął na pedałach. Wściekłość dodawała mu sił. Pochylił głowę i parł rowerem pod wiatr.

Szosa wiła się po równinie niczym czarny, mokry, gigantyczny wąż. Pola lśniły od wilgoci i niknęły w szarej mgle. Wicher huczał w uszach. Lecz Robin się nie zrażał. Jedyne, czego pragnął, to uciec w samotność.

Kiedy zbliżył się do bielonego wapnem kościoła w Benestad, wilgoć przeszła mu już przez spodnie. Pocił się obficie pod kurtką, a w głowie słyszał gorące uderzenia tętna. Odbił na południe, w Ystadvägen, i dostał boczny wiatr, który pozwolił mu teraz łatwiej toczyć się z pagórka. Zaraz potem znowu skręcił w stronę Fyledalen, przejechał przez stary kamienny most, sklepiony nad strumieniem i popedałował po szutrowej drodze wzdłuż pastwisk, na których przemoczone krowy tłoczyły się pod krzewami leszczyń.

Chatka myśliwska leżała na końcu wąskiej leśnej dróżki, na skraju niewielkiej polany. Z trzech stron otaczały ją ciemne świerki, pokryte drobnymi gałązkami brzozy i kolczaste gęstwiny jeżyn. Wyglądała na nieużywaną od lat. Chwasty i zarośla opasały spróchniałe ściany niemal pod sam dach, który

uginął się pod gęstym mchem.

Kiedy Robin dotarł na miejsce, natychmiast rzucił rower na bok i zamasyście otworzył drzwi, aby schronić się przed deszczem, który wprost walił teraz z nieba. Uderzył go smród stęchlizny. Szukając zapalek do lampki oliwnej, usłyszał szelest chowających się po kątach gryzoni. Szybko strzepnął trochę szurzących odchodów z poplamionego materaca i rzucił się na niego wycieńczony. Długą chwilę leżał zupełnie nieruchomo, słuchając własnego oddechu.

„Nie wierzą mi – myślał. – Nikt mi nie wierzy.”

– Dyrektor chce z tobą rozmawiać – powiedziała wychowawczyni, gdy tylko Robin wszedł tego dnia do klasy. – Czeka w gabinecie – wyglądała smutno, jakby wysyłała go na egzekucję. Klepnęła go po karku, nim powlókł się w drogę.

Ingvar Melander siedział za swoim biurkiem z surową miną.

– To nieprzyjemna historia – mruknął i pogłaskał się palcem wskazującym i kciukiem po jedwabistej brodzie. Dyrektor pachniał intensywnie wodą po goleniu. Na zmechacony golf miał narzuconą brązową marynarkę z emblematem Rotary przypiętym do klapy. Robin zwałił się na krzesło dla gości i wlepił wzrok we wroga, nie mówiąc ani słowa. Cokolwiek by go nie czekało, na pewno nie było to nic dobrego.

– Elisabet Aronsson poinformowała mnie o incydencie. Jest zbulwersowana.

„Suka” – pomyślał Robin i milczał.

– Rozmawiałem także z Roinem Lind z opieki społecznej – dyrektor zwlekał z dalszą częścią wypowiedzi, jakby nie był pewien, jak ma się wyrazić. – Roine... Jakby to powiedzieć... Roine przedstawił mi trochę inny punkt widzenia niż Elisabet. Stwierdził, że kierownictwo szkoły powinno poczekać na wyniki śledztwa policji, zanim podejmie jakiegokolwiek działania.

Robin wpatrywał się w niego z mocnym postanowieniem, że nie zacznie się mazgać.

– Więc chyba powinno tak być.

Melander kiwał się na krześle z ergonomicznym oparciem, przyglądając się Robinowi z miną, która nie pozostawiała

najmniejszej wątpliwości, w czyją wersję „incydentu” wierzył. Splótł dłonie na brzuchu z powagą pełną samozadowolenia.

– Czy jest coś, o co chciałbyś zapytać?

– Niee.

Dyrektor wyglądał na urażonego.

– Chciałbym tylko podkreślić jedną rzecz. W tej szkole nie tolerujemy żadnych represji seksualnych. Zwłaszcza w stosunku do dziewcząt o innym kolorze skóry.

– Mogę już iść?

– Oczywiście...

Ingvar Melander westchnął sztucznie. Robin wypadł z gabinetu i z hukiem zatrasnął za sobą drzwi. Miał wrażenie, że cały świat chciał go skrzywdzić.

Kiedy doszedł do tego punktu w swoich rozmyślaniach dotarło do niego, że drży z zimna. Stał na sztywnych nogach, dygocąc w mokrych ubraniach, które przykleiły mu się do ciała, i rozejrzał po chatce oświetlonej bladożółtym blaskiem lampki oliwnej. Plamy krwi na desce pociemniały i zrobiły się brązowe. Przez sekundę poczuł na nadgarstku uścisk Kennego. Obłąd w oczach. Potrząsnął głową, aby przepędzić wspomnienie.

Drewno ułożone w kącie w stos wydawało się suche. Zmiał trochę papieru z gazet, wetknął kilka polan do blaszanego piecyka i podpalił. Buchnął z niego kwaśny, kłujący dym, lecz przez komin wpadł podmuch wiatru, który rozniecił płomień. Robin dołożył drewna i wkrótce po chatce rozeszło się usypiające ciepło. Zdjął ubrania, wszystkie oprócz bokserek, i zawiesił je, aby się wysuszyły. Przyciągnął materac i zawinął się w parę zatęchłych koców.

„Żaden z tych sukinsynów mi nie wierzy” – myślał.

A ten zdrajca Mike po prostu prysnął. Odbieram ciężarówkę z Kłajpedy dla Borysa – napisał w sms-ie. – Wrócę za kilka dni. – Jak znajomo to brzmiało.

Kilka dni. Kilka miesięcy. Kilka lat.

Do tego Rolle, który jak gdyby nigdy nic wpakował trupa do zamrażarki i uśmiechał się potem głupkowato, jakby chodziło o największą błażostkę na świecie. „Co za kosmita!

Cholera, że też ten mały dupek musiał uderzyć głową w schody i umrzeć! Przecież ja nie chciałem. To był wypadek. Ale nikt mi nie uwierzy.”

Leżąc tak, Robin zacisnął szczękę, aż zazgrzytało.

„Jeżeli potrafią sobie ubzdurać, że zgwałciłem Lindeę, to na sto procent uwierzą, że zabiłem dziennikarza z premedytacją” – pomyślał.

Zerwał się ze snu. Ktoś poruszał się przed domkiem. Wiatr targał jeszcze koronami drzew, ale zdawało się, że deszcz osłabł. Zaczął nasłuchiwać dźwięków z zewnątrz. Nie wiedział dokładnie, co to było. Ale na pewno kręcił się tam jakiś człowiek. Albo zwierzę.

Leżał całkiem nieruchomo. Może był to tylko jakiś grzybiarz. Albo dzik. Wyciągnął rękę i dotknął blaszanego piecyka. Był ciągle ciepły. Czy zasnął? A może tylko odpłynął dokądś myślami? Nie trwało to raczej zbyt długo.

O, i znowu ten dźwięk. Odgłos drapania w zewnętrzną ścianę. Potem ktoś powoli nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się z lekkim skrzypnięciem.

– To tylko ja.

Wślizgnęła się szybko do środka i zamknęła za sobą drzwi, jakby się bała, że ktoś ją śledzi. Stała w miejscu i patrzyła na niego. Jeden kącik jej ust podniósł się nieznacznie, ale potem znowu spoważniała. Robin naciągnął koce na ramiona i poczuł się głupio.

– Czego chcesz?

– Jechałam za tobą...

Przebiegła wzrokiem po wnętrzu chatki. Ubrania przy piecyku. Lampka oliwna. Zarośnięte brudem okna, jedno z tyłu domku, jedno przy drzwiach. Stół z deski ubrudzony ciemnymi plamami. Puste butelki i puszki po piwie. Potem ponowny rzut oka na Robina na niechlujnym pościeliu. Kilka razy wciągnęła głębiej powietrze i zmarszczyła nos, a Robin poczuł, że w chatce śmierdziało brudem i przemokłymi ubraniami.

– Musiałam chwilę poczekać na zewnątrz – powiedziała. –
Aż zyskałam pewność, że jesteś sam.

– Teraz już wiesz, więc możesz spadać.

Linda wyglądała tak, jakby nie słyszała. Usiadła ostrożnie na brzegu skrzynki po piwie obróconej dnem do góry i odwinęła z szyi swój długi, przemoczony szalik.

– Głucha jesteś?

– Zimno mi...

Przysunęła skrzynkę bliżej piecyka, zwinęła się w kłębek i zaczęła pocierać dłońmi ramiona.

– Można pożyczyć koc?

Kiedy Robin nic nie odpowiedział, przyciągnęła do siebie poplamioną kapę ze sterty szmat.

– Nie możesz dołożyć trochę więcej drewna?

Niechętnie dźwignął się na nogi, wciąż zawinięty w koce, i władował kilka sztapów drewna do piecyka, po czym ponownie opadł na materac. Linda zachichotała, a on dostrzegł w jej oczach zaczepny błysk.

– Wyglądasz jak mnich.

– Gówno ci do tego!

Zerknął na swoje spodnie, które w dalszym ciągu się suszyły i rozważał, w jaki sposób mógłby szybko wygramolić się z koca i założyć je na siebie, nie wyglądając przy tym błazeńsko. Znad materiału, którym owinęła się Linda wystawały jej jedynie oczy i nos. Przytuliła się do pieca i nagle spoważniała.

– Pomyślałam, że powinnam ci wszystko wyjaśnić – rzekła.

Robin nie odpowiadał.

– Stara oszalała, gdy zobaczyła krew. Darła się i ubzduriała sobie, że zostałam zgwałcona. I że zrobiłeś mi dziecko. Niczego nie kapowałam. Kiedy tylko próbowałam coś powiedzieć, ona wrzeszczała jeszcze głośniejsze. Była totalnie opętana. A ja miałam pustkę w głowie.

Robin prychnął.

– Czy przypadkiem nie trzeba się bzykać, aby zająć w ciążę?

– Próbowałam jej wytłumaczyć, że niczego nie robiliśmy. Że wygłupialiśmy się tylko z poduszkami. Ale ona nie słuchała.

Na dodatek znalazła potem trochę trawy w komodzie. Powinieneś być ją widzieć. Była jak potwór. Kiedy jej odwarknęłam, było jeszcze gorzej. Na koniec wymierzyła mi policzek i zamknęła mnie w pokoju. Totalnie mnie zatkało.

Robin dołożył jeszcze jeden kawałek drewna do piecyka i pogrzebał patykiem w palenisku przez otwarte drzwiczki. Kątem oka widział, że Linda go obserwuje. Napawał się jej niepokojem.

– A potem od razu zachorowałam – powiedziała. – Zasnęłam, a kiedy się obudziłam, miałam okropną gorączkę. Wszystko wirowało. Wymiotowałam i matka powiedziała, że jestem narkomanką i do tego w ciąży. Było mi tak niedobrze. Piekielnie ohydne uczucie. Kiedy gliny miały mnie przesłuchiwać, byłam całkowicie nieobecna. Nie kumałam ani słowa z tego, o czym gadali, a do tego matka cały czas zrędziła. Nie wiem, co im powiedziałam. Chciałam się ich wszystkich jak najszybciej pozbyć.

Robin wrzucił resztki zwęglonego patyka do ognia i spojrzał na nią. Kiedy Linda siedziała tak otulona brudną narzutą, wcale nie wyglądała na tak pewną siebie jak zwykle. Coś mokrego błyszczało jej na policzku. Może były to krople deszczu, których nie udało jej się zetrzeć.

– Ona na pewno każe mi zrobić test ciążowy. Ciągłe jest cholernie zła.

– Na ciebie? Chyba powinna być zła na mnie. To znaczy, jeśli myśli, że cię zgwałciłem.

– Wiem, to wszystko jest strasznie dziwne. Tak potwornie niesprawiedliwe.

Linda pociągnęła nosem i starła dłonią mokry ślad z policzka.

– Wczoraj znowu była u nas policjantka. Ta, co wygląda jak Chinka. Chciała ze mną porozmawiać teraz, kiedy już wyzdrowiałam po grypie. Opowiedziałam dokładnie, jak było. Potem słyszałam, jak gliniarze ochrzaniali matkę w innym pokoju. Chyba porządnie się na nią wkurzyli. Kiedy poszli, wyglądała na całkiem załamana. Jebana suka!

Linda oddychała ciężko. Przez długą chwilę siedzieli oboje

w milczeniu, słuchając wichury, która hulała w drzewach wokół chatki i wlatywała do komina, rozniecając płomień w piecyku. Zapadła ciemność. Deszcz znowu przybrał na sile i uderzał mocno w okno. Z sufitu przy jednej z krótszych ścian spadały ciężkie krople, lądując z posępnym pluskiem w blaszanym wiadrze, które było już do połowy pełne.

– Zastanawiam się, czy nie przeprowadzić się z powrotem do Afryki – powiedziała Linda. – Do domu, do mojej prawdziwej mamy, Grace. Na pewno mogłabym u niej zamieszkać.

– Czy tam nie ma biedy? Głodu i tak dalej?

Wzruszyła przekornie ramionami.

– Można tam tanio żyć. W każdym razie jest tam lepiej niż w tym domu wariatów, w którym teraz mieszkam. I poza tym w Afryce jest ciepło.

Robin rozmyślał o Afryce. Przed oczyma miał dzikich wojowników w piórach, uzbrojonych w oszczepy i tarcze pomalowane na czerwono i zielono. Lwy na sawannie. Obrazki z telewizji przedstawiające podnieconych czarnych mężczyzn, którzy tłoczyli się w małych ciężarówkach na zakurzonych drogach, wrzeszczeli i oddawali strzały w powietrze z karabinów maszynowych. Dzieci z wydętymi brzuchami. Pogrzebał w piecyku nowym kijem. Kątem oka widział, że Linda patrzyła na jego dłoń.

– To przez Kennego – rzekł ponuro. – Straszny z niego cham. Chciał się popisać przed innymi tym swoim pieprzonym sztyletem. I w końcu grzmotnął mnie w kciuk.

Wzrok Lindy powędrował na stół za jego spojzeniem.

– Tam?

Skinął głową.

– To dlatego zakrwawiłem ci pokój. Chociaż wcale tego nie zauważyłem.

Nagle Linda wstała ze skrzynki po piwie i usiadła obok niego na brzegu materaca. Ujęła jego dłoń i przyglądała się strupowi, dokładnie w taki sam sposób, jak robiła to poprzednim razem. Opuszki jej palców wydawały się lekkie jak motyle. Jej

paznokcie były różowe i krótkie, jakby często je obgryzała. Robin spojrzął na swoją dłoń. Była taka szorstka i niezgrabna. Zanieczyszczone rany. Brud pod paznokciami. „To dłoń wojownika – pomyślał. – Dłoń, która umie tylko niszczyć i ranić.”

Linda powoli przyłożyła do niej usta. Ciało Robina oblała fala gorąca.

Potem wzięła jego rękę, odwinęła odrobinę narzutę, którą była otulona i ostrożnie wsunęła jego pokaleczone palce pod swoją bluzkę. Jej pierś była mała i miękka jak śpiący króliczek. Linda spojrzała mu głęboko w oczy i Robin poczuł, jak cały świat zawirował.

Odgłos terkoczącego motocykla sprawił, że oboje zesztynieli. Robin wyrwał dłoń, jakby Linda go oparzyła.

Spojrzeli na siebie z przerażeniem.

Po chwili usłyszeli więcej skuterów i głosów, które krzychały coś do siebie. Zaraz potem przez okno obok drzwi wpadły światła reflektorów. Robin zobaczył błysk w szeroko otwartych oczach Lindy. Byli już bardzo blisko chatki.

„Kenny! – przemknęło Robinowi przez myśl. – Kenny i jego ćwiczenia strzeleckie.” Był przecież piątek i na pewno było już po szóstej. Na zewnątrz huczały silniki, opony buksowały w błocie.

Oboje stanęli na równe nogi i zrzucili z siebie koce. Wystarczyła sekunda, by Robin przyciągnął do siebie parujące ubrania i założył dzinsy i bluzę. Parzyły go w plecy i uda.

– Kto to? – wyszeptała Linda.

Nim Robin zdążył odpowiedzieć, znowu dały się słyszeć głosy. Tym razem dużo bliżej. Położył palec na ustach.

– Ktoś jest w chatce! – usłyszeli krzyk.

– To Robin. Poznaje jego rower.

– Ale jest jeszcze jeden.

Głosy znowu ucichły. Silniki gasły jeden po drugim. Wichura wyła groźniej niż kiedykolwiek, ciskając deszczem i gniewem

w mały domek na polanie.

– Wiem, kto to jest! Rozpoznaję ten pajacowaty rower. Głos należał do Jockego, tego złośliwego, małego dupka.

Był jak zwykle wyczekujący, ostry i żądny krwi.

– Należy do murzynki. Ona chodzi z Robinem do klasy. Widziałem, jak gadali ze sobą w szkole.

– Szybko! – wycedził Robin. Wskazał głową okno z tyłu domku i poczuł uścisk paniki. – Musimy stąd wiać!

Linda gapiła się pusto z otwartymi ustami.

– Nie kapujesz? Zabiją nas. Musimy wiać!

Rozejrzał się desperacko dookoła. Okno było małe i znajdowało się na dość dużej wysokości. „Miejmy nadzieję, że się nie zacięło” – pomyślał i przyciągnął zakrwawioną deskę, po czym ustawił dwie skrzynki po piwie na krótszych bokach. Następnie chwycił Lindę za nadgarstek.

– Wskakuj!

Musiał mocno docisnąć, aby odblokować okno. Potem udało mu się je złapać w ostatniej chwili, by nie trzasnęło o ścianę od uderzenia wiatru.

– Podniosę cię za nogi.

Nie zwlekając, objął uda Lindy i dźwignął ją w górę, podczas gdy ona przeciskała przez okno głowę i tułów. Potem poczuł na barkach jej gumowe podeszwy, ostatnie odepchnięcie, które zadrapało mu policzek i dziewczyna była na zewnątrz.

– Robin, ty zdrajco! – ryknął ktoś za drzwiami.

Dzikim wysiłkiem podźwignął się do parapetu i wysunął głowę oraz barki przez wąski otwór. „Utknę!” – pomyślał. Przez chwilę wisiał bezradnie, lawirując połową ciała w ciemności na zewnątrz i szukając nogami oparcia wewnątrz chatki. W końcu zdołał przenieść punkt ciężkości i wypadł głową w dół na ziemię. Gdy wylądował, poczuł jakby ktoś kopnął go między łopatki, aż z płuc uszło mu powietrze.

Wokół niego panowała gęsta ciemność. Sondował po omacku wysoką, mokrą trawę. Zmurszałe drewno. Pieniek. „Musiałem uderzyć w niego plecami, kiedy spadłem na ziemię – przemknęło mu przez myśl. – Obym tylko nie miał połamanych

kości.” Zamrugał oczami, a gdy spróbował wygramolić się na nogi, usłyszał świst w oskrzelach. Nagle poczuł jej dłoń obejmującą jego ramię.

– Chodź!

W tym momencie huknął ogłuszający wybuch. Po nim nastąpił kolejny. „Piorun” – pomyślał w pierwszej chwili. Potem do niego dotarło. „Strzelba! Ten pojeb wypalił ze strzelby wewnątrz chatki!”

– Zwiali przez okno! – krzyknął ktoś.

– Za nimi! Pędem!

Słyszeli spieszne kroki chlupiące w błocie. Dyszenie młodych mężczyzn wietrzących krew. Zachrypłe okrzyki rozlegające się w ciemnościach nocy.

– Biegiem!

Robin i Linda rzucili się do ucieczki z walącymi sercami. Pędzili na oślep przez las, ścigani nie tylko przez Kennego i jego bandę, ale przez wszystkie demony świata, które wyciągały swoje ramiona, aby ich złapać. Nad ich głowami wichura zawodziła gorzej niż tysiąc wilków. Niewidzialne krzaki i zarośla smagały ich po twarzach. Przeskakiwali przez złośliwe pnącza, które chciały omotać im stopy. Omijali ostre gałęzie, próbujące ich przebić. Walczyli w ciemności ze wszystkimi mocami, przedzierając się przez najbardziej kolczaste ciernie i najbardziej grząskie trzęsawiska, w górę śliskich zboczy i ostrych skał, aż wycieńczeni osunęli się do ciemnej jamy pod olbrzymim, zwalonym drzewem, rozcapierającym potargane korzenie niczym gigantyczny pająk, który właśnie złapał do sieci garść owadów.

Leżeli cicho w ciemności, nasłuchując.

Dyszący. Ubłoceni. Z sercami tłoczącymi gorączkowo krew. Obolali ze strachu.

Po chwili usłyszeli z bardzo daleka kogoś, kto ryczał w wichurze jak porzucony, jurny byk.

– Robin, ty dymaczu murzynek! Zdrajco! Będę cię gonił do usranej śmierci! Uuumrzesz!

Potem w ciemności zagrzmiały jeszcze dwa strzały jak

uderzenia pioruna z czarnego nieba.

Senność ogarniała ich zwodniczo, szepcząc im do uszu jak kusiciel: „Jesteście zmęczeni. Śpijcie. Jutro wszystko się ułoży.”

Już wieczność siedzieli zwinięci w kłębek w błotnistej jamie pod zwałonym drzewem. Dygotali z zimna i czuli, jak drętwieją im palce u rąk i nóg. Słyszeli, jak ich prześladowcy się zbliżali. Jak znikali w lesie. Potem, gdy mieli już odetchnąć, tamci znowu wydali z siebie dźwięki, które przedarły się przez wichurę i deszcz. Słyszeli gałązki łamane pod butami. Przekleństwa. Podniecone krzyki.

Kiedy odważyli się zerknąć spomiędzy oblepionych ziemią nitek korzeni, zobaczyli wędrujące światła latarek i cienie gnające w mroku.

Senność przychodziła jak ostrzeżenie. Zdradzieckie ciepło tuż przed utratą świadomości.

– Jeśli zaśniemy, to umrzemy – wyszeptała Linda, mamrocząc słowa jak zaklęcie. Potrząsnęła Robina za ramię. Zamrugał oczami i ziewnął, nie mając pewności, gdzie się znajduje. Gdy się poruszył, poczuł w ciele ukłucie jakby tysiąca igieł.

Popatrzyli na siebie w ciemności. Potem wygramolili się z paszczy gigantycznego pająka i ostrożnie rozprostowali obolałe stawy. Nie myśleli nawet wracać po rowery. W zamian zaczęli iść przez las. Gałęzie i kora z drzew kaleczyły bosc stopy Robina. Wiele razy potykali się o pnie i korzenie, padając jak dłudzy na ziemię.

Po jakimś czasie dotarli do szutrowej drogi. Postanowili jednak iść wzdłuż niej między drzewami. Wkrótce usłyszeli stukoczące odgłosy silników. Rzucili się na ziemię, prosto w ciernie i ujrzeli pędzące obok reflektory.

Nie mieli odwagi próbować szczęścia na moście. Gdy w zasięgu wzroku nie było żadnych tropicieli, przeczołgali się pod drutem kolczastym i przemknęli przez pastwisko. Osłaniany przez kilka topoli wskoczyli z chlupotem w sitowie i przeszli rzekę w bród. Woda sięgała im do pasa, lecz byli już tak mokrzy, że nie sprawiło im to różnicy.

Przemierzali zalesiony pagórek, potem wpadli na pola, gdzie

czarna ziemia wchłaniała stopy i czyniła każdy krok cięższym. Wyjście na szosę było ryzykowne, musieli ją ominąć. Mieli wrażenie, że błądzili tak w błocie godzinami, nie mogąc odnaleźć żadnych punktów orientacyjnych, które by rozpoznali. Kiedy w końcu pojawiły się pierwsze domy, byli potwornie zmęczeni.

Rozstali się bez słowa przed willą na Lindesborg. Robin czekał w brzozowym zagajniku, aż zobaczył zapaloną lampę w pokoju Lindy. Kiwnęła ręką w oknie i zgasiła światło. Potem wyruszył przez miasteczko, przemierzając ostatni niebezpieczny odcinek do domu Króla Kul.

Rozdział 21

W oknie kuchennym paliło się światło, mimo że niebo zaczęło już przechodzić z czerni w szarość przed brzaskiem. Robin zatrzymał się przy murze opuszczonej kuźni. Był przemoczony do suchej nitki, a jego bose stopy były lodowate. Oddychał ciężko zimnym powietrzem.

Dom majaczył po drugiej stronie ulicy niczym twierdza-widmo. Stał ciężki i pełny tajemnic pod kasztanowcem, który zawodził głośno na wietrze. Deszcz ustał, lecz wichura porywała chmary jesiennych liści, które wirowały nad asfaltem jak nietoperze.

Robin spojrział niespokojnie w stronę sąsiedniego domu, którego jedna ściana była w połowie oświetlona samotną uliczną latarnią. Potem zerknął w głąb ulicy prowadzącej do centrum. Żadnych oznak życia. Musiała minąć więcej niż godzina od chwili, gdy usłyszał warkot motocykli pędzących w noc. Może Kenny i inni znudzili się ściganiem i w końcu zrezygnowali? A może czaili się gdzieś w mroku za domem, gotowi rzucić się na niego, gdy tylko się pojawi? Kiedy nasłuchiwał bardzo uważnie, wydawało mu się, że słyszy czyjeś wołanie przedzierające się przez porywy wiatru. Nie były to słowa, brzmiało to bardziej jak piosenka, której treści nie mógł rozszyfrować.

Wytarł rękawem wydzielinę z nosa i błoto, które miał na twarzy i ponownie spojrział przez ulicę na dom. W kuchni poruszał się jakiś cień. Czym zajmował się Rolle w środku nocy?

Przebiegł przez ulicę na obolałych ze zmęczenia nogach, pchnął furtkę i przemknął po ostrym żwirze. Zrobił duży krok

nad najniższym stopniem, po czym otworzył szarpnięciem drzwi. Nareszcie był w środku. Szybko przekręcił klucz w zamku.

Rolle stał w sieni i gapił się na niego z rozdziawionymi ustami, jakby właśnie zobaczył trupa wygrzebującego się z grobu.

– Dzięki Bogu! – wykrztusił w uniesieniu.

Rozłożył potężne ramiona i otoczył Robina ciepłym, pulsującym objęciem o zapachu... mąki.

Robin stał tak długą chwilę ściśnięty i niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Gdy poczuł, że zaczęło mu się kończyć powietrze w płucach, wyplątał się delikatnie z uchwytu. Kichnął od nagłego łaskotania w nozdrzach. Czerwona, kraciasta koszula flanelowa Rollego była pokryta białym woalem, a przy najmniejszym ruchu z jego brzucha spadał śnieg, który tworzył maleńkie zaspę na chodniku. Oczy lśniły mu ze szczęścia, a może był tylko nietrzeźwy. W jednej ręce trzymał coś, co przypominało grudę ciasta. Mechanicznym ruchem zbliżył ją do ust, odgryzł kawałek, przeżuł i połknął.

– Tak się martwiłem – żalił się. – Nie było cię tak długo, więc musiałem zacząć piec.

– Piec?

– Tak, pierniczki. Przecież wkrótce święta. W każdym razie za dwa miesiące.

W tym momencie przez zapach mąki i swąd ciała Rollego przedarła się nowa woń. Zwiertzyli ją jednocześnie i zaczęli węszyć w powietrzu. Coś przypalonego. Z kuchni do hallu wiała cię cienka mgiełka szarego dymu.

– Znowu? Tylko nie to! – krzyknął zrozpaczony Rolle.

Ruszył w tamtym kierunku z szybkością, która rozkołysała deski podłogi i szarpnął drzwiczki piekarnika. Buchnęła z niego szaroczarna chmura dymu. Rolle rzucił blachę i przypalone ciasteczka na podłogę, gdzie leżała już cała góra zwęglonych resztek. Potem stał ze spuszczonej ramionami i wyglądał tak, jakby nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. W ostateczności nie doszło ani do jednego, ani do drugiego. Zamiast tego opadł na krzesło, odkręcił zakrętkę dużej butelki wódki Explorer, która

stała na stolnicy i wlał w siebie ostatni łyk.

Po chwili beknął i wytarł usta grzbietem dłoni.

– Wiesz, Robin, ja tak dużo myślę – rzekł zmęczony. – Zastanawiam się nad cholernie wieloma rzeczami. Czasem moje myśli krążą po bardzo dziwnych torach.

Kilka razy zacisnął mocno oczy, jakby zamazywał mu się obraz, po czym wytrzeszczył je w przeraźliwym grymasie.

Robin nie wiedział, co odpowiedzieć, siadł więc na krzesło przy piekarniku, podniósł z podłogi jeden pierniczek i wsadził go do ust. Ciastko smakowało jak kawałek węgla drzewnego. Wydał z siebie zdławiony odgłos i wypluł czarną maź do wnętrza dłoni. Rozejrzał się wokół i położył papkę na stole obok rozdartego opakowania pszennej mąki.

Rolle spojrzął na jego ubłocone stopy, potem szybko za okno, a w końcu na jego umorusaną, podrapaną twarz.

– Co się stało?

– Ech, nic. Goniło mnie kilku takich.

– Kto to był?

Robin pociągnął szybko nosem.

– Nikt szczególnie...

– Dlaczego cię gonili?

– Nie wiem...

– Jasne, że wiesz.

– Chyba byli za coś źli. Ale skąd, do cholery, mam to wiedzieć?

Przysunął krzesło nieco bliżej otwartego piekarnika. Poczuł ciepło na plecach. Rolle odłożył pustą butelkę i wyłowił blister zielonych tabletek z kieszeni na piersi. Wycisnął dwie z nich i wrzucił je do gardła jednym szybkim ruchem dłoni.

– To na nerwy. Nic, czym musiałbyś się przejmować – uspokoił go.

Ogarnięci jednakowym niezdecydowaniem siedzieli na swoich krzesłach, omijając się nawzajem wzrokiem. Robin spoglądał na samotny kaktus na parapecie. Był szary i wysuszony, niemal skamieniały. Lecz na samej górze jednego z kolczastych pędów jaśniał mały, czerwony kwiat,

przypominający kroplę natlenionej krwi. Za oknem świt przybrał jaśniejszy odcień szarości. Robin miał wrażenie, że znowu słyszy odgłos motocykla gdzieś w oddali. Kiedy postanowił już pójść na górę do swojego łóżka, Rolle położył ciężką dłoń na jego barku.

– To byli ci rasiści, co nie?

Robin wzdrygnął się, przyłapany. Rolle przyglądał się mu z przenikliwością, bezlitośnie daleką od pijackiego odurzenia.

– Ale kto?

– Wiesz, o kim mówię...

– Niee.

– Byłeś z nimi tamtej nocy, prawda?

– Której nocy? – wycedził Robin.

Rolle skrzywił się znowu i złapał gwałtownie za brzuch. Robin zauważył dopiero teraz, że pod warstwą mąki jego twarz była żółtoszara. Worki pod oczami nawilgły od potu. Na co były te tabletki, które Rolle ciągle w siebie pakował? Wyglądał przecież jak ćpun.

– Myślisz, że nie rozumiem? – rzekł Rolle. – Może Mike'a mógłbyś oszukać. On nigdy nie myśli. W każdym razie nie tym, co ma między uszami. Ale ja myślę potwornie dużo. Nie tak, jak inni. Czasem wychodzą z tego zbzikowane rzeczy, wiem o tym. Takie życie. Ale czasami myślę z cholerną jasnością. Obliczam. Słucham. Obserwuję. Dopasowuję do siebie mnóstwo puzzli. I nagle rozumiem niektóre sprawy. Na przykład to, że dziś w nocy ścigali cię rasiści, z którymi się zadajesz.

Robin parsknął pogardliwie.

– Nie wyobrażaj sobie, że jesteś moim ojcem – warknął.

– Powinienem był cię ostrzec już wtedy, kiedy usłyszałem, jak ten dziennikarz stał na schodach i ci groził – powiedział Rolle. – Trzymaj się z dala od tych idiotów. Taka jest moja rada.

Mokra bluza drapała w szyję. Spodnie kleiły się do ud. Robin poruszył się nerwowo w miejscu. Zmęczenie drażniło ciało. Najchętniej popędziłby do swojego pokoju, zdarł z siebie wszystkie ubrania, naciągnął kołdrę na głowę i po prostu zasnął. Ale w spojrzeniu Rollego było coś dziwnego. Przylepiało

się i wwiercało aż do mózgu. Robin czuł, jak uchodzą z niego resztki sił.

– To był Kenny – wymamrotał. – On... My chcieliśmy nastraszyć kolorowych. Arabów i Jugoli. Czego oni tu szukają? Zabierają wszystkie miejsca pracy i ruchają całą masę panienek. Mike też ich nienawidzi.

– Czemu tak myślisz?

Głos Rollego stał się z miejsca ostry jak brzytwa. Na jego zazwyczaj tak jowialnej twarzy ropuchy pojawił się wyraz, którego Robin jeszcze nie znał.

– Sam tak powiedział!

– Tak?

– Tak mi się wydaje...

– Wydaje?

– Raz przetrzepał skórę jednemu Arabowi w ciupie.

Robin spróbował przybrać hardą minę, lecz nie potrafił sprawić, by wydała się autentyczna. Wyglądało na to, że Rolle nie da się przekonać. Dlaczego patrzył tak dziwnie, jak jakiś pieprzony psycholog z telewizji? Gdy poruszył głową, jego podwójny podbródek zatelepał z gulgotem.

– O twoim ojcu można wiele powiedzieć. Ale nie to, że jest rasistą. Mike albo lubi ludzi, albo ich nie lubi. To, czy dupek pochodzi z Somalii czy z Sjöbo nie ma żadnego znaczenia. Arab, któremu dał w mordę musiał mu podpaść jakąś diabelską zagrywką.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo znam Mike'a od urodzenia! – wybuchnął Rolle i zerwał się nagle z krzesła, które uderzyło o podłogę.

Pełen nowej energii, zaczął śmigać tam i z powrotem między drzwiami kuchni a oknem, niczym jednoosobowa procesja. Jednocześnie gestykulował żywo rękami.

– Mike nie cierpi dręczycieli. Świń, które próbują poniewierać innymi. Rasistów. Faszystów. Nazistów. Ulizanych snobów z wyższych sfer, którym się wydaje, że władają całym światem. Wprawdzie Mike to nerwus. Nietrudno mu wykipieć ze złości. Zresztą, odziedziczyłeś po nim ten temperament. Czasem traci

rozum. Ale możesz być pewien, że Mike ma głęboko w dupie to, czy koleś jest brązowy, czy żółty, albo czy ma bladą, szorstką od zimna gębę prosto z Tomelilla.

Nagle umilkł, jakby niespodziewanie uderzyła go jakaś myśl.

– Twój ojciec był moim aniołem stróżem.

Robin spojrzął na niego pytająco.

– Aniołem? Mike? Co ty wygadujesz?

Rolle pochylił plecy ze stęknieniem i podniósł krzesło z podłogi. Usiadł ciężko. Podrapał się pod rzadkimi, tłustymi pasmami włosów, a następnie uderzył kilka razy dłonią w czoło, jakby chciał pobudzić szare komórki.

– Może powiem tak – rzekł i skrzyżował ręce na piersi. – Jak, twoim zdaniem, czuł się w tej dziurze taki szajbus jak ja, kiedy dorastał? Znerwicowany, cuchnący potem grubas? Bynajmniej nie przypieprzał się do mnie tylko mój ojciec-sadysta, to mogę ci przysiąc.

W jego oczach pojawił się ciemny odcień, a twarz przybrała nieobecny wyraz, jakby Rolle próbował powędrować myślami w przeszłość.

– Pastwienie się nade mną było hobby dwóch wrednych sukinsynów ze szkoły. Śmiertelnie się ich bałem. I zawsze się uginałem, jak powiedziałyby to Mike. Najgorsze było to, że nigdy nie wiedziałem, kiedy mnie spoliczkują albo zamkną w kiblu. Albo kiedy odkryję, że ktoś nasikał mi do tornistra. Jeśli ci chłopacy nie mieli akurat niczego innego do roboty, mogli się przecież zawsze nade mną poznęcać. Stałem się dla nich zajęciem dla zabicia czasu. Czymś, czemu mogli się poświęcać, zamiast wyrywać muchom skrzydła. Inni w klasie zawsze się śmiali. Najgorzej było na gimnastyce. Nie znosiłem kozłów i równoważni. Po zajęciach ci słodcy chłopcy zazwyczaj moczyli ręczniki pod prysznicem i skręcali z nich bicze. Cholernie piekło wtedy cielsko. A nauczyciel gimnastyki wiedział o wszystkim. Był starym oficerem z pułku w Ystad. Nazywał się Nathanson, ale kiedy nie słyszał, większość mówiła o nim Satanson. „Dunderklumpen – wrzeszczał do mnie, kiedy był w dobrym nastroju. Porównywał mnie właśnie do tego grubasa

z kreskówki. – Skacz przez kozła!” Wiedział, że nie będę w stanie tego zrobić. Każdą lekcję kończył, odprawiając wszystkich pod prysznic. Potem uśmiechał się szyderczo i mówił: „Aha, chłopcy, i dopilnujcie, aby Roland nie czmychnął.”

Rolle uśmiechnął się smutno.

– Mike położył temu kres.

– W jaki sposób?

Robin zauważył, że Rolle zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć i po jego ciele rozszedł się dreszczyk ciekawości.

– Leżałem w łóżku przez kilka dni i udawałem chorego. Nie chodziliśmy wtedy z Mikiem do tej samej klasy, ale w chwili słabości opowiedziałem mu o moich dręczycielach. Kiedy wróciłem do szkoły po tych wagarach, natknąłem się w pierwszej kolejności na tych dwóch bydlaków. Ależ się uśmieiałem! Jeden miał wielki bandaż na nosie. Drugi podbite oko, zupełnie sine. Gapili się na mnie, ale nie powiedzieli ani słowa. Po tym wszystkim Nathanson był potulny jak baranek.

– Co mu się stało?

Na twarzy Rollego pojawił się cień niepewności. Wahał się przez chwilę. Potem oblizał usta.

– Mike opowiedział mi o tym – rzekł niespiesznie. – Ale nie jestem do końca pewien, czy to była prawda. Widzisz, on miał swój ulubiony film. Ojca chrzestnego. Widzieliśmy go tysiące razy. Często wczuwał się w tych mafijnych typków. Rodzinę Corleone. A Nathanson miał psa, którego bardzo kochał. Starego labradora. Kiedy spytałem Mike’a, co się chłopu stało, przybrał tajemniczy wygląd. „*I gave him an offer he couldn't refuse*¹⁶” – powiedział. Znał na pamięć całą masę wyszukanych dialogów z filmu. Pamiętam, że potem uśmiechnął się drwiąco i powiedział: „Satanson nie spał z rybkami. Spał ze swoim kundlem.” Mike twierdził, że oderznął burkowi łeb i włożył go pod kołdrę w łóżku tego faceta.

Robin poczuł gorąco na plecach.

– To prawda?

Obrócił się szybko i zamknął drzwiczki piekarnika. Rolle

spojrzał na niego niespokojnie.

– Nie mogłem tego rozgryźć – powiedział po namyśle. – Przecież Mike’a nigdy specjalnie nie interesowały noże. Ale jego rzadko można być pewnym. Kiedy zapytałem go o to jeszcze raz kilka tygodni potem, opowiedział inną historię. Powiedział, że tamtego wieczoru odszukał tylko Nathansona, przyparł do go ściany domu i obiecał, że złamie parszywcowi nos, jeśli nie przestanie mnie dręczyć. W każdym razie Nathanson skończył niebawem pracę. Zdaje się, że dostał posadę w Ystad. A jeśli chodzi o mnie, to wszystko wydarzyło się tuż przed tym, nim ojciec wysłał mnie do domu wariatów.

– Do domu wariatów? Nie myślałem, że...

Robin czuł się coraz bardziej zbity z tropu. Pomyślał o voodoo. Czy to, co powiedział wtedy Rolle, było prawdą? A może siedział tu teraz i go nabierał? Jeśli tak, to nie dał tego po sobie w żaden sposób poznać.

– Do Świętego Laurencjusza w Lund. Mój ojciec, Malcolm B. Andersson miał nadzieję, że zrobią chłopca z jego syna za pomocą elektrowstrząsów i prochów. Niech gnije w swym grobie! Ale to już inna historia.

Głuche uderzenie o szybę okienną sprawiło, że obaj się wzdrygnęli. Musiała to być gałązka, zerwana z kasztanowca przez wiatr. Na podwórku drżały schorowane, kruche konary drzewa. Cierpiący starzec obudził się o jeszcze jednym poranku.

– Od tamtej pory były okresy, kiedy długo się nie widywaliśmy – powiedział Rolle. – Mike lądował w zakładach. A potem mieszkał w Malmö. Między innymi wtedy, kiedy spotkał kobietę, która... została twoją mamą.

Robin poczuł ostre uderzenie w piersi.

– Poznałeś ją?

Rolle potrząsnął głową.

– Mike był tutaj i powiedział, że będzie ojcem. Był dumny jak paw. Ja zawsze niechętnie opuszczałem mój dom. A ona... twoja mama nigdy tu nie przyjechała.

Nagle Robin zobaczył ją przed oczyma.

Twarz unosząca się nad nim jak jasny, pełen ciepła obłok. Jej

oczy się śmieją, a on ma wrażenie, że widzi małe, cienkie zmarszczki wokół ust. Otacza ją chmura złotych włosów, zapewne błyszczą od słońca. On leży w jej ramionach, tuż przy piersi. Słyszy jej oddech. Czuje bijące serce, tak blisko. Ciepło jej ciała sprawia, że ogarnia go senność. Zapach jej skóry.

„To przecież niemożliwe – pomyślał. – Miałem tylko kilka miesięcy, gdy zniknęła.” Strząsnął z siebie tęsknotę.

– Czy on coś o niej opowiadał?

– Nie, nigdy.

– Cholera.

– Często o niej myślisz? – spytał Rolle łagodnie.

– Nie, mam ją w dupie. Tak, jak ona miała mnie. W sumie to dobrze, że zniknęła.

Złapał rolkę papieru toaletowego i oderwał kawałek, który w całości zasmarował.

– Mike też jest zdrajcą...

Wręczył rolkę Rollemu, który odwinął spory skrawek papieru i także wytarł nos, aczkolwiek nieco głośniej, a potem zamrugał wilgotnymi oczyma.

– Powiem ci, jak to jest. Istnieją źli ojcowie. Może nie jest ich zbyt wielu. Ale kilku na pewno. Mój stary był definitywnie jednym z nich. Może stary Mike’a także, ale tego dokładnie nie wiem. I są też wszyscy inni. Ci, którzy robią wszystko tak dobrze, jak potrafią. Takim ojcem jest Mike.

Zapadła cisza. Kapanie z kranu wydało się nagle dużo głośniejsze. W brązowawej brei, która wypełniała zlew po brzegi, pływały dwa napęczniałe pierniczki, podobne do podtopionych trzciniowych łódek. Rolle podniósł się z jękiem i dokręcił kran.

– Później zdarzyło się to jeszcze kilka razy. Ludzie za wszelką cenę chcieli obrzydzić mi życie. A Mike... Cóż, on prędzej czy później zawsze się o tym dowiadywał. Zdaje mi się, że niektórych drani potraktował naprawdę ostro. Potem wieść się rozeszła. Nikt nie śmiał już mnie dręczyć. Nawet wtedy, kiedy Mike’a nie było w pobliżu. Ludzie wiedzieli, że ich dopadnie.

Robina ogarnęło dziwne uczucie. Przed oczyma widział zbliżającego się do niego Mike'a, który śmiał się i krzychał wesoło. Poczuł, jak dwa silne ramiona chwyciły go w pasie i podzuciły do góry. Wisiał tak w powietrzu, całkiem bezwładnie, a potem spadał, lecz ktoś złapał go i wykręcił nim fikołka, od którego załaskotało w brzuchu. Później wylądował na ziemi, nie rozumiejąc, jak do tego doszło. Mike szturchnął go czule po ramieniu. Po chwili przez twarz przemknął mu mroczny odcień, a jego oczy pociemniały. Pojawiła się ta wielka pięść. Robin zauważył, że kłykcie są zdarte i poranione. Nagle Mike był bardzo, bardzo daleko.

– Są ludzie, którzy uważają, że twój ojciec jest rodem z piekła – powiedział Rolle. – Ale dla mnie był zawsze jaśniejącym, białym aniołem.

Potem spojrział przez okno, jakby czegoś szukał. Gdy znowu się odwrócił, Robin ujrzał w jego oczach głęboki smutek.

– Chciałbym się kiedyś odwzięczyć. Chociaż raz chciałbym być aniołem stróżem Mike'a.

[16](#) ang. Złożyłem mu propozycję nie do odrzucenia.

Rozdział 22

Morze kołysało go w odrętwieniu. Martwe fale ciągnęły przez czarną, bezkresną noc, w której niewidzialne chmury sunęły po niebie jak anioły. Mike zwinął się na koi niczym płód i zapadł w sen, ścigany przez wszystkie potworności życia.

Obudził się zaledwie po godzinie. Tlen w kabinie niemal się skończył. Mike był mokry od potu i z trudem łapał oddech. Pościel kleiła się do ciała jak glony. Wciągała go w głębinę. Przepętniony uczuciem, że tonie w ciemności, zaczął dziko wierzcąc nogami.

Nareszcie wolny!

Ostrożnie postawił stopy na podłodze. Lecz w tej samej chwili kadłub statku uniosła nowa fala. Mike stracił równowagę i zatoczył się na ścianę. Uderzył się w bark, aż zapiekło go w punkcie przyczepu mięśni.

– Ała, do licha! – ryknął w samotności.

Po omacku szukał czegoś, czego mógłby się chwycić. „Gdzie, do cholery, zapala się światło?” – przemknęło mu przez głowę. Przewracało mu się w żołądku od smrodu oleju napędowego. Po chwili znalazł drzwi. Goły jak go Pan Bóg stworzył, wydostał się chwiejnym krokiem na korytarz i począł desperacko szarpać za wszystkie klamki, jakie zdołał zauważyć, aż w końcu znalazł toaletę. Udało mu się podnieść klapę nad żółtobrazową dziurą tuż przed tym, nim zwrócił wszystko, co wcześniej zjadł.

Długą chwilę siedział potem na podłodze, zupełnie wykończony, opierając się plecami o muszlę klozetową. Rwanie w żołądku jeszcze nie ustało. Nagle poczuł, że pod jego pośladkami jest mokro i zimno. Powąchał ostrożnie powietrze.

Smród moczu wywołał ponowne wirowanie we wnętrzościach. Okręcił się niczym torturowany robak i zwymiotował resztki żółci.

Potem znowu opadł na umazaną blachę i przysłuchiwał się krążącym bezradnie myślom. Jego głowa łomotała gorzej niż silniki statku, znajdujące się pod nim. Przed oczyma przewijały mu się w przyspieszonym tempie obrazy z poprzedniego wieczoru i nocy, drgając jak w starym projektorze. Pudła z wódką w głębi bagażnika scanii. Mike rozdziera je w dzikiej desperacji. Zamyka się w kabinie i pije zachłannie. Potem błądzi po wąskich, kołyszających się korytarzach. Wrzeszczy i ryczy. Naraz w kabinie pojawia się kobieta. Jest duża i gruba. Śmierdzi smażoną rybą. I wyśmiewa się z niego w języku, którego on nie rozumie. Nagle kobieta nie ma na sobie ubrań. Uśmiecha się obłudnie i ciągnie za pasek u jego spodni. Potem film się kończy, na ekranie pojawia się śnieżenie, a ostatni kawałek taśmy wypada z trzaskiem z koła projektora.

– Cholera! – stęknął Mike i podniósł się na nogi.

Światłówki w korytarzu rozlewały zimne, szare światło. Na poły oślepiiony dotarł po omacku z powrotem do swojej kabiny.

Portfel leżał na podłodze otwarty w szyderczym uśmiechu. Mike pochylił się z trudem i podniósł go. Fotografia Robina była na swoim miejscu. Wziął głęboki oddech. Przemknęła mu przelotna myśl o tym małym zdjęciu, wsuniętym pod ramkę otaczającą odbitkę z jego własną podobizną. Czy włożył je tam Rolle, a może sam Robin? Potrzęsnał głową. Ogłoszenie, prawo jazdy i jego jedyna karta płatnicza były w swoich przegródkach. Ale pieniądze zniknęły.

Z gwałtowną siłą walnął pięścią w ścianę kabiny i zaklął głośno z bólu.

Rozejrzał się bezradnie wokoło. Na koi leżały zaplamione, poskręcane prześcieradła. Wziął je i wytarł z ciała najgorszy brud. Potem wciągnął na siebie dzinsy oraz sweter i chwycił w dłoń skózaną kurtkę. „Świeże powietrze. Muszę oddychać. Muszę pomyśleć.”

Na pokładzie uderzył go przenikliwy zimny wiatr, pozbawiony jednak nieposkromionej siły sztormu. Założył kurtkę i wcisnął czapkę na głowę.

„Zabiję cię, Borys!” – myślał, spoglądając na horyzont.

Pierwsze światła brzasku zabarwiły morze na szaro. Wiatr załamywał jeszcze wierzchołki fal i wyrzucał kaskady białej, musującej piany. Jednak prom przecinał masy wody nieporuszony, unosząc się powoli ponad długimi falami na północny zachód. W oddali wyłonił się przed Mikiem cienki skrawek lądu, nie większy od ciemnej kreski. Potrwa dobrą chwilę, nim przybiją do portu. Zadygotał. Zmusił się, by oddychać głęboko i rytmicznie, w nadziei, że morskie powietrze uspokoi jego wzburzony żołądek.

Gdy tak stał, ujrzął nadlatującą mewę srebrzystą, która zmagala się z wiatrem. Długo frunęła równoległe do statku, kręcąc głową i pokrzykując od czasu do czasu, jakby dziwiła się, cóż to za samotna postać stała na pokładzie. Po chwili przysiadła na relingu tuż obok Mike'a. Spojrzył prosto w jej małoduszne ślepie. Ptak wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć. Żółty dziób rozwarł się, lecz teraz wyszło z niego nie więcej niż marne piśnięcie.

– Czego chcesz, pieprzone mewisko? – wycedził Mike.

Potem rozejrzył się zmieszany. „Czy tracę rozum? – pomyślał. – Stoję tu i gadam z jakimś ptakiem. Dobrze, że jestem sam.” Spojrzył ponownie w stronę lądu. „Muszę pozbyć się wódki z organizmu.”

Mając mewę srebrzystą za swego jedyne go widza, zaczął wykonywać drobne podskoki, aby pobudzić krążenie. Po krótkiej chwili przeszedł do ćwiczenia ciosów bokserskich. Przez pewien czas w pudle trenował gorliwie z workiem. Teraz skulił się za gardą, wymierzył kilka prostych lewą ręką i zamarkował szybki prawy sierpowy. Te ruchy znowu wprowadziły poruszenie w jego żołądku, ale zmusił się do przełknięcia. Czuł, że nie wyszedł z wprawy.

Kiedy zauważył, że opary w mózgu zelżały odrobinę od pracy nóg, przyspieszył tempo. Lewy, lewy i prawy z dołu. Robił

uniki i cofał się, podrygując. Prowokacyjnie zwieszał ramiona i umyślnie się odstaniał, jak Muhammed Ali. Dance like a butterfly and sting like a bee! – Tańcz jak motyl, kłuj jak pszczoła! Uśmiechał się jadowniczo do nieobecnego wroga. Czuł na kręgosłupie strużkę nasyczonego alkoholem potu.

– Borys, ty wazeliniarski, fałszywy sukinsynu! – mamrotał między kolejnymi razami. – Wywiązywać się ze swoich zobowiązań?! Polegać na ludziach! Przysięgam, że właduję ci w dupę flaszkę twojej własnej wody!

Ożywiony tą myślą skakał po stalowym ringu, dysząc i nabierając coraz większych rumieńców. Blok gardą, lekkie wycofanie, potem ostry atak szybką serią lewych i prawych sierpowych, a na koniec zabójczy cios prawym młotem, który obalił niewidzialnego przeciwnika.

Mewa zmrużyła świdrujące oczy.

– Na co się gapisz? – wysapał Mike.

Podrygiwał bez celu i nie spuszczał wzroku z ptaka, który siedział na relingu niczym sekundant, nie okazując najmniejszego strachu.

– Fikasz?

Niespodziewanie skłębiła się w nim nowa fala wściekłości, tym razem skierowana w stronę ptaka. Uniósł gardę. Skulił się, zrobił unik, po czym rzucił się w stronę relingu i wbrew wszelkim zasadom sztuki bokserskiej zaczął wymachiwać ramionami jak wiatrak podczas sztormu. Mewa spostrzegła zagrożenie w ostatniej chwili. Wyfrunęła w górę z przeszywającym serce krzykiem. Uszedłszy cało spoza zasięgu ciosów, wypuściła w popłochu czarno-białą maź, która wylądowała z mlaśnięciem prosto na czole Mike'a, skąd jak na złość spłynęła mu do oka.

Pokonany i upokorzony wydał z siebie przeciągły, nieludzki ryk, który poniósł się nad morzem, podczas gdy mewa odlatywała coraz dalej, stając się jedynie punktem na horyzoncie.

Opadł z sił i zwałił się jak worek na pokład, opierając plecy o reling. Naciągnął rąbek rękawa i starł ptasią kupę z twarzy.

Zrezygnowany pociągnął nosem i zaczął litować się nad sobą. Spojrzał w niebo. Zamrugał piekącym okiem, które nabiegło łzami.

– Czemu wszyscy na tym pierdolonym świecie muszą być przeciwko mnie? – wybełkotał przez ściśnięte gardło.

W chwili, gdy obraz przed jego oczyma zaczął się klarować, spostrzegł coś w okienku znajdującym się nieco dalej w okolicy rufy. Twarz. Było to tylko szybkie mignięcie. Ale bez wątpienia ktoś siedział w środku i go obserwował. Mike odniósł wrażenie, że znał tę wąską facjatę. Tak, to był Jokso.

Zawarkotało, kiedy maszyny pod pokładem samochodowym zaczęły pracować cała wstecz, a prom przybijał do nabrzeża. Mike ścisnął kierownicę i wpatrywał się przez przednią szybę w dziób statku, który otworzył się niczym paszcza olbrzymiego wieloryba. Wokół ciężarówki rozbrzmiewał kaszel startujących silników. Czerwone tylne światła zapalały się jedno po drugim. Mike przekręcił kluczyk w stacyjce i czekał. Kiwał niecierpliwie dźwignią biegów. Opuścił korbką boczną szybę. Nakrył usta stulonymi dłońmi i wypuścił z płuc powietrze przepełnione mentolem i przetrawionym alkoholem. Cuchnęło jak śmietnik. Za ostatnie grosze, które znalazł w kieszeni kupił mocne, miętowe gumy. Jednak jeśli zatrzymałaby go policja, raczej nie dałaby się nabrać. Cicho przeklął się za to, że pogorszył tylko sprawę, próbując zapić swoją rozpacz.

Rankiem przyszło mu na myśl, by po prostu pozostawić na statku ciężarówkę z przemyconą wódką Borysa i zejść spacerkiem na ląd. Zbiec z tego całego bagna. Później przypomniał sobie, że podczas odprawy w Kłajpedzie podał swoje nazwisko. Odnalezienie kierowcy porzuconej Scanii nie zajęłoby policji wielu godzin.

Nie zobaczył już Jokso, chociaż przeszukał każdy kąt promu, kiedy zbliżali się do brzegu. Może mu się mimo wszystko przywidziało? W każdym razie było to bardzo dziwne.

Nagle tir przed nim poruszył się. Mike wrzucił drżącą ręką

jedynkę i potoczył się w stronę rampy. Facet z obsługi w żółtej kamizelce machał niecierpliwie. Czy nie patrzył odrobinę podejrzliwie? Mike wyprostował plecy i spróbował utkwić wzrok w jakimś stałym punkcie przed sobą. Przed terminalem stali i gawędzili dwaj umundurowani mężczyźni, wyglądający na celników. W momencie, gdy Mike ich mijał, wybuchli głośnym śmiechem, od którego cały zeszywniał. Lecz najwyraźniej rozbawiło ich coś innego. Mike przełknął ślinę, zawzięcie wbił wzrok przed siebie i zdołał bez przeszkód wyprowadzić ciężarówkę z terenu portowego na drogę E22. Z uczuciem ulgi obrał kurs na region, w którym mieszkał – na Skanię.

Gdyby Mike Larsson był człowiekiem, którym kieruje rozsądek, może zaparkowałby samochód na poboczu i podumał trochę nad sytuacją. Rozważyłby ryzyko natrafienia na kontrolę policyjną. Kupiłby w jakiejś kafejce filiżankę kawy i dał swojemu organizmowi kilka godzin na usunięcie alkoholu z krwi. Może nawet przespacerowałby się w jesiennej słońcu, aby oczyścić płuca.

Gdyby Mike nie był kąpany w tak gorącej wodzie, przemyślałby alternatywne rozwiązania, gdy wódka zaczęłaby parować mu z głowy. Wziąwszy pod uwagę jego własne doświadczenia ze stróżami prawa, nie można się dziwić, że w jego umyśle nie zaświtała nawet myśl, by zawiadomić policję o Borysie. Lecz dlaczego nie porzucić wódki w jakimś lasku? Policja była w stanie powiązać z nim ciężarówkę. Pudeł z czystą raczej nie.

Gdyby nie był zaślepiony wściekłością i choć raz w życiu zostawił sobie odrobinę czasu do namysłu, może rzuciłby okiem w lusterko wsteczne i dostrzegł, że przez całą drogę z Karlshamn jechał za nim czerwony ford scorpio.

Jednak Mike Larsson był jaki był – zupełnie niezdolny do zważenia dwóch rzeczy na jednej szali. Działał pod wpływem adrenaliny i testosteronu. Był obdarzony wielkim i przestronnym sercem oraz mózgiem, który wysyłał absolutnie zbyt prędkie sygnały do reszty ciała. Nie oznaczało to

bynajmniej, że z jego zdolnością pojmowania rozmaitych zależności w świecie było coś nie w porządku. Mike nie był głupi. Zbyt często jednak elektrony w jego pasmach nerwowych błądziły jakby po rdzeniu kręgowym, a gdy już w końcu udawało im się dotrzeć do czaszki, natychmiast wypadały z powrotem, jeszcze zanim szare komórki zdążyły zlepić z nich właściwą myśl.

Dlatego też teraz Mike wciskał gaz do dechy, przepełniony jednym jedynym pragnieniem – zdrowo stłuc Borysa, gdy tylko dojedzie do złomowiska w Spjutstorp. Co za duppek! Czy Mike nie mówił mu, jak bardzo tęsknił za Robinem? Czy nie otworzył przed nim serca i nie opowiedział o tym, jak każdej nocy w pudle marzył o chwili, kiedy nareszcie wyjdzie na wolność i będzie mógł zająć się chłopcem? A ten skurwiel mydli mu oczy i każe przejeżdżać przez granicę tirem napakowanym wódką. Dobry Boże! Na myśl, że miałby spędzić lata za kratkami, jeśli zostałby zatrzymany, ogarnął go szal. Patrząc na szary asfalt pędzący w jego stronę, zobaczył przed oczyma bladą twarz Robina, który machał mu na pożegnanie ze łzami w oczach, a potem ciężką furtę więzienia, która zamykała się za nim z hukiem.

Gdy wjechał przez bramę prowadzącą na złomowisko, Borys czekał już na podwórku. Postawił futrzany kołnierz kurtki, a ręce wsunął głęboko do kieszeni. Tuż za nim przy kuble na śmieci przechadzał się doberman. Poza tym panował spokój.

Ujrawszy Borysa, Mike chciał w pierwszym impulsie wdepnąć gaz do dechy i staranować zarówno jego, jak i jego psa. Jednak opanował się w ostatniej chwili i wcisnął hamulec, aż ciężarówką zarzuciło, a opony wyorały w ziemi głębokie bruzdy. Kiedy wyłączył silnik, chłodnica oddalona była od Borysa o mniej niż jeden metr. A ten nawet nie mrugnął.

Mike otworzył drzwi szoferki z wraskiem:

– Borys! Ty pierdolony dupku!

Na twarzy tamtego pojawił się wyraz zdumienia. Rozpostarł

ramiona, jakby chciał powitać w domu wytęsknionego syna.

– Mike! Dobrze poszło?

– Czy dobrze?! A jak myślisz? Kurwa, cała służba celna mogła za mną jechać na sygnale!

Mike przemierzył kilkoma szybkimi krokami kałużę, chwycił klapy skórzanej kurtki Borysa, podniósł jego masywny korpus i przycisnął swoje obtarte kłykcie do jego podbródka. Patrzył na swojego szefa przekrwionymi, wściekłymi oczyma, będąc gotowym pobić go na śmierć. Doberman warknął groźnie i odstąpił kły, lecz nie pozwalał sobie na zbyt wiele, jak gdyby nie był pewny, co się dzieje i czekał na komendę.

W momencie gdy Mike dostrzegł nieznaczną zmianę w spojrzeniu Borysa i gdy irytujący uśmiezek na mięsistej twarzy tamtego miał już przejść w coś innego, dużo bardziej surowego, dał się słyszeć klakson samochodu. Na podwórko wjechał stary, rdzawy ford i jeszcze zanim zdążył się zatrzymać, kierowca otworzył szybko drzwi. W dłoni trzymał pistolet.

To był Jokso.

Mike spojrzał prosto w wylot lufy. Mały, czarny otwór. Potem na chudego mężczyznę, który stał w błocie na szeroko rozstawionych nogach, obejmując obiema dłońmi kolbę. Mike wypuścił powoli z rąk kurtkę Borysa i pokazał wnętrze dłoni. Oczy Jokso rozbłysnęły. Oblizał usta w podnieceniu. Widać było, że nie pragnął niczego innego, niż nacisnąć spust i wpakować w pierś Mike'a kilka kul.

Nagle Borys ryknął coś niezrozumiale. Twarz Jokso przybrała wyraz rozczarowania. Schował pistolet.

– Będzie chyba lepiej, jeśli wyłożymy karty na stół – rzekł Borys z niewzruszonym spokojem. Poprawił futrzany kołnierz, potrzęsnał odrobinę barkami i spojrzał na Mike'a niemal jak na małe dziecko.

– Jesteś zdenerwowany, Mike?

– A jak ci się wydaje? Do kurwy nędzy! Nie mówiłeś nic o żadnej wódce! Kapujesz? Mogłem wylądować w pace na wiele lat!

Mike zacisnął pięści, aż paznokcie wpiły mu się w tkanę

przy kciuku, lecz sprawiło to tylko, że złość jakby się w nim spiętrzyła i naraz nie wiedział już, jak ją z siebie wydobyć. Kołysał się niezdecydowanie na czubkach palców, zbity z tropu opanowaniem Borysa.

– Widzisz, Mike... – rzekł Borys i po ojcowsku położył dłoń na jego łopatce. – Praca dla mnie to nie jest zwykła robota. Daję ci pieniądze. Dobre pieniądze, prawda? W każdym razie dużo więcej, niż dostałbyś z zasiłku. Jak myślisz, dlaczego to robię, Mike? Bo jestem miły? Co? Bo masz za mnie myśleć?

Zanim przeszedł dalej, zarechotał głucho i pokręcił głową, jakby powiedział coś zabawnego.

– Ty nie masz myśleć, Mike. W mojej firmie od myślenia jestem ja – Borys postukał się palcem wskazującym po czole. – Tacy jak ty i Jokso, tacy jak wy są moimi dłońmi, moimi rękoma, moimi nogami. Moimi mięśniami. Rozumiesz?

Powędrował swoimi palcami z łopatki Mike'a na jego kark i ścisnął go, odrobinę za mocno, by można to było odebrać za przyjacielską pieśczołę.

– Potrafię być czasem miły. Prawda, Jokso? – rzucił szybkie spojrzenie w bok, nie odrywając uwagi od Mike'a. – Dopóki ludzie robią to, co chcę, jestem bardzo miły. Jeśli nie robią tego, co mówię... Cóż, wtedy zaczynają się problemy.

Josko odstłonił w pochlebczym uśmiešku kilka zębów nadżartych próchnicą. Oparł się o samochód i zapalił zmiętoszonego papierosa, którego trzymał między kciukiem i dwoma palcami w złożonej w miseczkę dłoni. Wybrzuszenie pod kurtką zdradzało, gdzie schował pistolet.

Wściekłość, którą Mike czuł jeszcze przed chwilą, nagle uleciała. Napełniło go teraz coś innego. Nie była to ani groza, ani obawa. Była to głęboka niechęć do obu tych mężczyzn. Nie czuł jej dlatego, że oni, o ile mu było wiadomo, różnili się od niego w jakiś zdecydowany sposób. Wręcz przeciwnie. Borys i Jokso wydawali się być ulepieni z tej samej gliny, co wielu innych oszustów i bandytów, którzy przewinęli się przez życie Mike'a. Lecz w jakiś dziwny sposób jawili się teraz jako symbol wszystkiego, co brudne i podłe, co fałszywe i niebezpieczne,

wszystkiego, co postanowił raz na zawsze zostawić za sobą. Jedyne, co Mike teraz odczuwał to wstręt i intensywne pragnienie, by nie musieć ich już nigdy więcej widzieć na oczy.

– Pierdol się, Borys – wymamrotał i kątem oka zerknął przez podwórze na swojego opla. – Nie chcę u ciebie dłużej pracować. Zwalniam się.

Kiedy się obrócił, by powędrować do samochodu, głos Borysa przeszył powietrze jak uderzenie z bicia.

– Mike!

Zatrzymał się tuż przy ciężarówce i spojrzął na Borysa.

– Jokso, pokaż mu! – zakomenderował sprzedawca złomu. Jego oczy wypełniły się z miejsca pogardą.

Z dłoni Jokso wysunęło się z kliknięciem ostrze sztyletu. Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiezek przepętniony żądzą zabijania. Zbliżał się powoli, jak skradający się drapieżnik. Mike poczuł dreszcz przechodzący przez ciało. Napiął mięśnie, gotowy do walki. Poczował zapach tamtego i coś, co przypominało porażenie elektryczne, kiedy ich ramiona lekko się musnęły. Lecz w chwili, gdy Mike miał już rzucić się do samoobrony, Jokso nagle się odwrócił. Przez sekundę wpatrywał się nienawistnie w koło zapasowe scanii. Potem wwiercił nóż gwałtownym ciosem w czarną gumę. Potrwało chwilę, nim zdołał rozciąć wystarczająco duży otwór. Następnie wetknął w niego rękę i wyciągnął biały pakunek owinięty folią.

– Amfetamina – wycedził.

Mike zachwiał się na widok zaklejonej taśmą paczki. Kac i mdłości, które udało mu się zahamować w drodze z Karlshamn, natychmiast do niego powróciły. Chwycił się bezwiednie za pierś. Znaczenie tego, co leżało teraz w wyciągniętej dłoni Jokso było zupełnie jasne. Wódka to jedna rzecz. Narkotyki – całkiem inna. Jeśli Mike zostałby złapany z kołem zapasowym naszpikowanym amfetaminą, zgniłby w więzieniu. Jeżeli kiedykolwiek wyszedłby na wolność, Robin byłby już od długiego czasu dorosłym mężczyzną, a on sam zgorzkniałym starcem.

Mike przełknął trzykrotnie coś kwaśnego i śluzowatego,

a potem zacisnął pięść i pociągnął nią z całej siły prosto w twarz Jokso.

Chudy Serb padł jak długi na ziemię, a sztylet i biały pakunek poleciały każdy w swoją stronę. Krótką chwilę Jokso siedział w kałuży, a z nosa tryskała mu krew. Patrzył pytająco na swą lepką dłoń. Potem zaczął macać kieszeń kurtki.

– Stop!

Zarówno Mike, jak i Jokso z miejsca się opanowali. Spojrzeli na Borysa. Wydawał się zupełnie nieporuszony.

– Jokso, idź i wepchnij sobie do nosa trochę srajtaśmy – wskazał głową w kierunku magazynu. – Krwawisz jak świnia.

Potem odwrócił się flegmatycznie do Mike'a. Obserwował go długą chwilę, nie mówiąc ani słowa. Czy się uśmiechał? W jednym kąciku jego ust drgała niejednoznaczna fałdka. Spojrzenie szarych oczu sprawiło, że Mike poczuł się rozbrojony. Nagi i pokonany. Zmęczony do szpiku kości. Wyzuty z sił oczekiwał wyroku.

– Pozwól mi to wyjaśnić – rzekł Borys aksamitnym głosem. – Przemyciłeś dużą dawkę amfetaminy. Jaką karę dostaniesz? Powiedzmy... dwanaście lat. Niedobrze. Całkiem niedobrze. Zatem, aby policja nie dowiedziała się o niczym, najlepiej będzie, jeśli w przyszłości będziesz robił to, co ci powiem.

Mike popatrzył na niego pustym wzrokiem.

Borys wspiął się niespiesznie po kilku stopniach schodów do domu. Zatrzymał się, jakby nagle coś sobie przypomniał. Spojrzał na Mike'a z wyrazem, który przywodził na myśl litość.

– A tak na marginesie – rzekł. – Jeśli zdaje ci się, że nie będę miał odwagi, by zawiadomić policję, to zapomnij o tym. Frajerzy tacy jak ty zawsze trafiają za kratki. Pewnie myślisz, że nie ma żadnych dowodów. Albo że ja trafiłbym do ciupy, jeśli doniósłbym na ciebie policji.

Borys wyglądał, jakby rzeczywiście rozważał tę możliwość.

– Cóż, może. Ale czy masz odwagę zaryzykować? Mam na myśli twojego syna. Szkoda, aby znowu został sam.

Odwrócił się plecami do Mike'a, lecz wydawało się, że znów zmienił zamiary.

– Poza tym wcale nie muszę sam dzwonić na policję – uśmiechnął się zgryźliwie. – Mogą to zrobić inni. Na przykład ta rosyjska dziwka, którą pieprzyłeś dziś w nocy na promie. Chętnie opowiedziałaby policji, że zafundowałeś jej prochy, zanim ją wydymałeś. A przy okazji – ona ma na imię Swietłana.

Nim Borys zniknął w domu z psem defilującym za sobą, westchnął ciężko i obłudnie. – Jak już mówiłem, Mike. Frajer taki jak ty zawsze trafia za kratki.

Rozdział 23

Myśl o rewolwerze w szafce Ragnhild nie dawała Ameli spokoju. Tęskniła, by ponownie poczuć w dłoni tamten ciężar. W wyobraźni znowu odwijiała poplamioną smarem szmatkę i czuła w nozdrzach kłujący zapach. Przesuwała opuszkami palców po lśniącej stali. Gładziła kolbę, a potem muskała spust, ostrożnie, ostrożnie.

Następnie wyciągała rękę zdecydowanym ruchem i celowała prosto w jego przerażoną twarz. Stałaby tak przez wieczność, zupełnie spokojnie, napawając się lękiem przed śmiercią widocznym w jego oczach. Upajałaby się władzą. Pozwoliłaby mu cierpieć. Potem nacisnęłaby spust ze spokojem i opanowaniem, i usłyszała huk, który raz na zawsze wyzwoliłby ją od koszmarów.

Gdy do Ameli dotarło, że uśmiecha się sama do siebie, spróbowała natychmiast wygładzić rysy twarzy.

„To takie chore. Siedzę przy stole w kuchni i fantazjuję” – pomyślała. Ragnhild zwróciła chyba uwagę na to, że odpłynęła dokądś myślami tamtego popołudnia. Stara nie była głupia. Prędko zabrała broń, owinęła ją i schowała z powrotem do szafki pod regałem. Zamknęła ją dokładnie i ukryła klucz. Potem nie chciała już więcej mówić ani o rewolwerze, ani o... Mike’u.

Ragnhild ostrzegała ją przed nim. Dlaczego? „Ten chłopak przynosi ze sobą nieszczęście” – powiedziała. Ta troska po ruszyła Amelę. Szczęście czy nieszczęście – już od dawna nie potrafiła odczuwać żadnego z tych stanów.

„Wariuję” – pomyślała, dłubiąc z roztargnieniem w donicze

na oknie. Pelargonie potrzebowała wody. Amela wlała odrobinę z dzbanka i obserwowała, jak ciecz wchłania się w spękaną ziemię. „Muszę wyjść i pooddychać świeżym powietrzem – pomyślała. – Szybko, zanim stracę rozum.”

Gdy otworzyła bramę prowadzącą na parking, jesienne słońce zakłuło ją w oczy. Wiatr ustał, a pokrywa chmur rozluźniła się, tak że promienie słońca mogły teraz przenikać przez maleńkie szczeliny. Amela rzuciła okiem w stronę okna Wanji. Ciemno. Przyjaciółka nie dała o sobie znać od zakrapianego wieczoru w Tingvalla, kiedy po prostu zniknęła. „Powinnam z nią pogadać – pomyślała Amela. – Nie jest dobrze dla mnie, że chodzę odkurzać i szorować toalety u starców, a potem zostaję sama i gryzę się z myślami. Wanja przynajmniej prowadzi jakieś życie. A co robię ja? Więcej zastanawiam się nad śmiercią niż nad życiem.”

Obejrzała się szybko przez ramię i pospieszyła ścieżką obok parku miejskiego, kierując się w dół, w stronę ciężkiego, niebieskiego budynku nauczania początkowego. Jak dobrze, że była niedziela i szkolne podwórko było puste. Widok dzieci hałasujących na przerwie napełniał ją zazwyczaj niepokojem. A może była to tęsknota? Pomyślała o starej szkole przy meczecie w domu. Może Ragnhild miała rację, że Amela powinna wrócić do swego dawnego zawodu?

Minąwszy przejście kolejowe przy domu parafialnym, zaczęła się rozgrzewać. Przyjemnie było porządnie wydłużyć krok. Przegonić lęk z organizmu.

Gdy odbiła w wąską dróżkę, pnącą się obok kościoła w kierunku Skogsbacken i boiska sportowego, zadzwonił telefon. Wyjęła go z kieszeni i spojrzała na numer. Nie znała go. Jej kciuk lewitował przez sekundę pomiędzy zielonym i czerwonym klawiszem. W końcu postanowiła odebrać.

– Cześć, tu Kent.

– Kto?

– Kent. Poznaliśmy się w Tingvalla w zeszłą środę.

– Ach, tak... Cześć, Kent.

Czekając, aż rozmówca powie coś więcej, zastanawiała się,

w jaki sposób zdobył jej numer. Chyba sama mu go nie dała? Kent odchrząknął niepewnie.

– Cóż, pomyślałem... Nie zdążyliśmy się poznać. Zniknęłaś tak nagle.

– Źle się poczułam. Nie upiłam się... Rozbolał mnie brzuch.

Przygryzła wargę i spróbowała zobaczyć go przed sobą. Obraz był dosyć rozmyty. Błyszczące cielece oczy. Wąs, który łaskotał w policzek. Odrobinę spocone plecy. Zdaje się, że ładnie pachniał?

– Szkoda.

– Co?

– To znaczy, szkoda, że się rozchorowałaś. Wydawało mi się, że my...

Umilkł. Amela spróbowała sobie przypomnieć, co czuła wtedy na parkiecie. Zanim dostrzegła... tamtego. Przycisnęła komórkę do ucha i rozejrzała się niespokojnie wkoło.

Bezwiednie przewędrowała przez furtkę prowadzącą na cmentarz. Może dozorca zapomniał zamknąć ją po mszy? Raz, przed kilkoma laty, poszła do kościoła przekonać się, czy mogła tam znaleźć pocieszenie. Było to zimą, i jedyne co zapamiętała to chłód i zapach świec. I pustka. Pieśni, które śpiewali obecni tam ludzie nie zdołały jej przeniknąć, mimo że dobrze rozumiała ich przesłanie. Słowa księdza odbijały się echem od kamiennych ścian, nie poruszając jej. Było dokładnie tak, jak w meczecie w domu, gdzie nigdy nie była w stanie wysłuchiwać tyrad imama, bowiem myśli zawsze odfruwają na zewnątrz, do życia na placu targowym, do sklepów albo nad zalesione pagórki, do najwyższych górskich szczytów. Teraz patrzyła na płyty nagrobne, które połyskiwały w promieniach słońca. Na równo przystrzyżone żywopłoty z bukszpanu i jesienne liście, które dozorca zgrabiał w zgrabne kopce. Na samotną srokę w żałobie drepczącą w trawie. I czuła, że powietrze gęstniało od rozkładu.

– Jesteś tam?

– Co? Tak, jestem.

– Gdzie jesteś?

– Na cmentarzu.

- Aha...
- To znaczy... To nie tak, jak myślisz. Tylko tędy przechodzę.
- Przez cmentarz?

Amela wzruszyła ramionami, nie myśląc o tym, że on przecież nie mógł jej widzieć. Co mu było do tego, w jakich miejscach ona spacerowała? Już miała wyrzucić z siebie coś niezyczliwego, gdy nagle przytłoczyła ją samotność. Zachwiała się i oparła dłoń o jakiś nagrobek. Chłód czarnego granitu przenikał przez palce. Linnea Johansson 1932–2006 – przeczytała skonsternowana. Życie jest tak potwornie krótkie. To tylko chwila, iskra w nieskończoności. Nagle ogarnęła ją nieprzeparta chęć, by poczuć tuż przy sobie ciepłe ciało drugiego człowieka. Prerażona, że Kenta nie będzie już po drugiej stronie linii, wydyszała:

- Nie moglibyśmy się spotkać?

Kent wydawał się zaskoczony.

- Cóż, właśnie po to zadzwoniłem.

Amela słuchała własnego sapania.

- Mam dwa bilety na zawody motocrossowe na torze Svampabanan – powiedział. – Dziś popołudniu. Byłoby fajnie, gdybyś zechciała ze mną pójść.

Ryk motocykli sprawił, że Robin nareszcie się rozpromienił. Mike obserwował kątem oka jego twarz i czuł, że skurcz w żołądku odrobinę ustąpił. Ostrożnie położył dłoń na ramieniu chłopca.

„Kilka godzin – myślał. – Naprawdę tego potrzebujemy. Kilka godzin spędzonych razem, tylko ojciec i syn.” Pomyślał z wdzięcznością o Królu Kul.

Przed południem zbliżali się do siebie jak dwie gradowe chmury. Mike, przepełniony wybuchową mieszanką poniżenia, tłumionej wściekłości i winy. Robin, rozczarowany i z mrocznym spojrzeniem w oczach. Ryzyko wyładowania wisiało w powietrzu i Rolle dobrze to wyczuł.

- Dlaczego nie pojedziecie na Svampabanan? – rzucił

mimochodem, gdy świdrowali się wzrokiem, siedząc po przeciwnych stronach kuchennego stołu. – Przecież dziś wyścigi motocrossowe.

Gdy Mike zmył z siebie pod prysznicem smród moczu, powlekli się bez przesadnego entuzjazmu do samochodu. Droga przez miasteczko do toru wyścigowego zajęła mniej, niż dziesięć minut. Pierwszą osobą, jaką spotkali na parkingu był Roine Lind. Na głowę miał nasuniętą kraciastą czapkę z daszkiem i zmierzał spiesznie w stronę wejścia, trzymając w jednej ręce termos, a w drugiej hot doga. Ujrzawszy ich, rozpromienił się.

– Mike! Robin! – zmierzył ich wzrokiem z góry na dół i skinął z zadowoleniem. – Widzę, że spędzacie wspólnie czas. Bardzo dobrze! – powiedział i uniósł w górę kciuk dłoni, w której trzymał termos, po czym podreptał dalej.

Na trybunie było sporo ludzi. Mike i Robin znaleźli dobre miejsce, na samej górze pod tablicami reklamowymi od strony szosy do Malmö. Gdy tylko usiedli, zawodnicy zaczęli zwiększać obroty silników, przygotowując się do startu. W głośnikach trzeszczał głos spikera. Motocykle ryczały jak dzikie zwierzęta. Rajdowcy kulili się nad kierownicami w kaskach i wspaniałych, niebieskich i czerwonych kombinezonach. Grzmot był ogłuszający. W końcu wystartowali.

– Wow! – wykrzyknął Robin.

Gdy Mike chwycił ostrożnie jego ramię i przyciągnął go do siebie, chłopak nie zaprotestował. Stali tuż obok siebie, dając się wciągnąć widowisku. Powietrze przepełniały spaliny, hałas i krzyki publiczności. Motocykle krążyły jak zawzięte osy, w górę i w dół pagórków, a błoto bryzgające spod kół wkrótce pokryło zawodników wraz z ich maszynami szaroburą mazią. Przelatywali nad stromiznami, bodli się na zakrętach, buksowali i grzęźli w dołach, klęli i zlewali się potem pod kaskami, gazowali z wyciem silników, biorąc rozpęd przed następnym wzniesieniem.

– Szesnastka jest moja – wrzasnął Mike i wyciągnął dłoń. – Dwadzieścia koron. Przyjmujesz zakład?

Robin uśmiechnął się hardo i podjął wyzwanie.

– Ósemka. Pięćdziesiąt koron! – uderzył dłonią w dłoń Mike’a.

Kierowcy, których wybrali, rozgrywali zaciętą walkę na czele stawki. Zawodnik z ósemką na czerwonym kombinezonie prowadził na torze, lecz numer szesnaście w niebieskim nie był dużo dalej za nim. Mike łypnął na ulotkę z programem.

– Twój gość nazywa się Linus Lindblad – krzyknął Robinowi do ucha. – Wygląda na to, że jest faworytem. Błazeńskie imię.

– A twój?

– Wilk – uśmiechnął się z przekąsem Mike. – W ulotce jest napisane, że tak go nazywają. To Polak.

Zakład podniósł napięcie. Długą chwilę siedzieli cicho, śledząc wzrokiem brzęczący rój, który mknął po torze. Tendencja była wyraźna. Na prostych Linus Lindblad zyskiwał przewagę, może za sprawą mocniejszego silnika. Jednak na zakrętach Polak wydawał się lepszy, dzięki umiejętności manewrowania w błocie. Wkrótce obaj zdobyli znaczną przewagę nad resztą współzawodników. Gra toczyła się już tylko między Linusem i Wilkiem. Lecz według tego, co mówił spiker, do końca wyścigu pozostawało jeszcze sporo okrążeń.

Kiedy przez jakiś czas nie działo się nic szczególnego, myśli Mike’a zaczęły powoli odpływać. Kac i wściekłość, które musiał przełknąć, pozostawiły po sobie pieczenie w dołku. Udało mu się na krótko wyprzeć to nieprzyjemne uczucie, lecz teraz znowu dawało o sobie znać. Niepokój drażnił całe ciało. „Pieprzony Borys” – myślał, błędząc bezwiednie wzrokiem po ludziach na widowni. Jugol faktycznie chwycił go za jaja. Z którejkolwiek strony Mike nie spojrzełby na tę sytuację, nie mógł wpaść na żaden sposób, by się z niej wyplątać. Jego los spoczywał w rękach Borysa. Człowiek ten miał wszelką władzę, by zmusić go do nowych zleceń, przy których podróż na Litwę i ściąganie długu u filmowca porno, Raymonda Nygrena, okazały się wycieczkami szkółki niedzielnej.

Gdy był już na najlepszej drodze, by znowu wpaść w złość, jego wzrok zatrzymał się na znajomej twarzy. Ależ tak, to była ona! Wyprostował się odrobinę, aby móc przyjrzeć się jej ponad

kilkoma głowami. Zmrużył oczy, patrząc pod blade, jesienne słońce. Tak, to była ta dziwna kobieta, która pojawiła się na złomowisku i chciała wymienić tłumik w swojej toyocie, mimo że rury były zupełnie nowe. Jej twarz była napięta, dokładnie tak jak poprzednim razem. Na jasnej skórze odznaczały się ciemne cienie pod oczami. Wydawała się taka bezbronna, stojąc wtedy na deszczu. Teraz widział, jak powoli odgarniała z czoła pasemko włosów i patrzyła na pędzące motocykle. Jednocześnie wydawała się w pewien sposób nieobecna. Tamta cienka, biała blizna tuż przy brwi. Mike'owi wydało się, że czuł ją opuszkami palców. Ale przecież chyba jej nie dotknął? Gdy tylko poinformował ją, że cały układ wydechowy lśnił nowością, uciekła jak spłoszone, dzikie zwierzę.

Podczas gdy Mike siedział oniemiały, zauważył, że zwróciła do kogoś twarz, jakby słuchając. Uśmiechnęła się szybko do faceta siedzącego u jej boku. Musiał powiedzieć coś wesołego, ponieważ się zaśmiała. W chwili, gdy Mike pomyślał, że mężczyzna ma głupkowatego wąsa, ona niespodziewanie odwróciła głowę i go spostrzegła. Wzdrygnęła się, zaskoczona. Długą chwilę patrzyła prosto na Mike'a przez mrowie ludzi, niemal jak zahipnotyzowana. Żadnego uśmiechu, żadnego znaku, że go rozpoznała, tylko puste spojrzenie nie zdradzające wżaden sposób tego, co jej chodziło po głowie. Ni stąd, ni zowąd poczuł kroplę zimnego potu spływającą po skroni. Uniósł powoli dłoń i pomachał. Wtedy się odwróciła.

Gdy Robin poczuł rękę Mike'a na barku, po jego plecach rozeszło się niezwykle ciepło. Miał wrażenie, jakby ciężka dłoń ojca, pokryta bliznami po bójkach oraz walkach z opornymi wrakami samochodów, posiadała magiczną moc. Cała siła zgromadzona w masywnym ciele Mike'a przepływała teraz przez jego rękę na syna, i Robin poczuł się wreszcie bezpieczny.

Ależ on tęsknił!

Kiedy dziś przed południem Mike pojawił się w domu,

wyglądał jak ranny byk, którego drażnienie wiązałoby się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Zatrzaskał drzwi samochodu z hukiem, który poniósł się wzdłuż pustej ulicy, potem wymamrotał coś niezrozumiale, pomaszerował po schodach prosto na górę i padł na łóżko. Robin z miejsca doszedł do wniosku, że nie było dobrym pomysłem pytanie go, dlaczego, do jasnej cholery, nie odezwał się przez cały weekend.

„Wszystko jedno” – pomyślał, wbijając wzrok w ubranego na czerwono kierowcę crossowego, który pruł na czele stawki w błotnistej chmurze. Bycie złym i wystraszonym tak cholernie go męczyło. Teraz, gdy siedział przygnieciony jak gorylątko pod muskularnym ramieniem Mike’a, nie bał się niczego. Absolutnie niczego.

Nie przeraził się nawet, gdy spostrzegł Kennego. Szajka siedziała na niewielkim wzniesieniu, oddalonym nieco od trybuny i obserwowała wyścig. Buła póleżał w trawie z puszką piwa w dłoni, Jocke i Sammy wyli i krzyczeli. Jednak Kenny wydawał się mieć świadomość, że ktoś go obserwuje. Obrócił głowę i wlepił wzrok w Robina ponad tłumem widzów. Długą chwilę świdrował go wściekle. Potem zbliżył dłoń do szyi i przeciągnął nią po gardle jak nożem. Robin wystawił w powietrze środkowy palec.

W tym momencie Mike poklepał go po plecach.

– Zaraz się rozstrzygnie! Jeszcze dwa okrążenia.

– Dalej, pajacu-Linusie! – wrzasnął Robin najgłośniejszym głosem, jak zdołał.

Czerwony numer osiem zdobył dobrych dwadzieścia metrów przewagi i frunął po torze. Niebieski Wilk prowadził gnającą za nim zwartą grupę. Lecz dystans pomiędzy nimi raczej rósł, niż się kurczył. Po ciele Robina rozszedł się przyjemny dreszczyk. Teraz nareszcie pokaże ojcu!

Kątem oka spojrzął na Mike’a, którego twarz zaczęła przybierać ciemniejszy odcień.

– Dawaj, Wilku! Gazu!

Na jedno okrążenie przed końcem Linus Lindblad zwiększył przewagę do trzydziestu metrów i gnał naprzód niczym

błyskające, czerwone tornado. Odnosiło się wrażenie, że jego motocykl odznaczał się lepszą przyczepnością na błotnistym podłożu niż maszyny pozostałych. Zawodnik wdrapywał się efektywnie na zbocza i żeglował przez pochyłości niczym smok. Trzeba było cudu, by pozostali zdołali go doścignąć. Lecz w momencie, gdy uniósł się nad ostatnim stromym wierzchołkiem, zdjął lewą dłoń z kierownicy i pomachał do publiczności, pewny swego zwycięstwa.

To był błąd.

Ta chwila pychy sprawiła, że stracił koncentrację przed ostatnim ostrym zakrętem. Ledwo zdążył położyć obie dłonie na kierownicy, a motorem już zarzuciło i znalazł się zdecydowanie za daleko na łuku, gdzie widniał głęboki dół wydrążony w torze. Zamiast zakończyć rundę z numerem jeden na ostatnim wirażu, gdzie mógłby dodać gazu na twardym podłożu, kierowca w czerwonych barwach zakopał się w grząskiej dziurze i stanął w miejscu. Szarpał rozpaczliwie kierownicę, dodając gazu i próbując znaleźć podparcie, lecz koła zakopywały się tylko coraz głębiej w błocie.

Ścigający go zawodnicy natychmiast spostrzegli swoją szansę. W kilka sekund tuzin motocykli przefrunął nad pagórkiem, zawinął obok zdradzieckiego dołu i pognał do finiszu. Prowadził polski Wilk. Wytężając po raz ostatni siły, pochylił się nad kierownicą i przebył z rykiem linię mety jako zwycięzca.

– Auuuuuu! – zawył Mike ku niebu, po czym jeszcze raz klepnął swojego syna po plecach.

Podczas gdy publiczność biła brawo, a ubrany na niebiesko kierowca wykonywał skowyczący piruet na jednym kole, zawiedziony Robin zaczął szperać w kieszeni, szukając pieniędzy.

– Wiedziałem! – darł się Mike. – Wilk tylko czekał, aż ten idiota się zbłąźni. Jasny gwint, co za gość!

– Miało być dwadzieścia koron? – wybełkotał Robin pod nosem.

– Niece, podniosłeś do pięćdziesięciu! – wykrzyknął Mike, śledząc popisy polskiego mistrza crossowego na prostym odcinku przed metą.

Robin gapił się na niego ponuro. Powinien był wygrać. Choć raz w życiu chciał poczuć się jak zwycięzca. Kiedy widział niepokromioną radość w oczach Mike'a, czuł, jakby otwierały się przed nim drzwi do wnętrza, w którym udało mu się tylko na chwilę ukryć swój lęk.

– Pieprzony sterydziaz – wybąkał cicho.

Lecz twarz Mike'a przybrała inny wyraz. Nie promieniał już jak szczęśliwy dzieciak. Uśmiechał się tylko.

– Olej to, stawiam kiełbaski – Robin usłyszał słowa swojego ojca. Potem na jego ramieniu znów wylądowała ciężka ręka.

*

„To musiał być znak” – pomyślała Amela, choć właściwie wcale nie wierzyła w przesady. Tak czy owak, dziwne wydawało się to, że w całym tym tłumie spostrzegła właśnie tamtego mężczyznę.

Mike'a.

Podniosła się ostrożnie na łóżku. Kent jeszcze spał. Leżąc tak na brzuchu wyglądał jak dziecko, tyle że z wąsikami spoczywającym na poduszce. Na swój sposób niewinnie.

Za oknem było czarno. Wstała i pozbierała z podłogi swoje ubrania najciszej jak mogła. Zanim opuściła sypialnię, obejrzała się za siebie po raz ostatni.

Wcale nie było nieprzyjemnie. Zaprosił na kolację. Krewetki i białe wino. Tańczyli do muzyki na parkiecie przed stereo. Potem miała wrażenie, jakby niemal prosił ją o wybaczenie. Jakby myślał, że nigdy wcześniej nie miała kochanki.

Uśmiechnęła się do siebie. Pozwolił jej na kilka godzin zapomnieć. Była za to wdzięczna. Lecz teraz... Spojrzała na jego uśpione ciało. Nic nie znaczący obcy człowiek. Zanim zdążyła zamknąć drzwi jego mieszkania, miała już wrażenie, że to nigdy się nie wydarzyło.

„To mimo wszystko musiał być jakiś znak” – myślała Amela, pnąc się wzdłuż długiej, opustoszałej ulicy. Tamten człowiek

świdrował ją wzrokiem, jakby potrafił spojrzeć jej prosto w duszę. Czy coś podejrzewał? Potrząsnęła głową sama do siebie. To nie było możliwe.

Jednak Ragnhild przed nim ostrzegąca.

Z zepsutej latarni ulicznej dobiegało brzęczenie. W ani jednym oknie nie paliło się światło. Otaczała ją ciemność, lecz Amela nie troszczyła się nawet o to, by się obejrzeć za siebie.

Myślała tylko jednym – rewolwerze.

Rozdział 24

Mike skończył właśnie ostatnią rundkę przeszukiwania po kanałach telewizyjnych, gdy przypomniał sobie, że zostawił w samochodzie wielopak lodów Magnum.

Gapił się pusto w ekran telewizora. Grupa zaprawionych amerykańskich poławiaczy krabów walczyła ze sztormem, by wydobyć na pokład żelazne klatki. Wiatr zawodził, szaroczarne fale wzbijały się ponad reling jak góry, piana wirowała, krople wody osiadały na obiektywie niczym maleńkie perełki, statek przechylał się we wszystkie strony, a zarośnięci marynarze w sztormiakach darli się i klęli na siebie.

„Najniebezpieczniejszy zawód świata” na Discovery.

Mike ziewnął i wyłączył telewizor.

W domu panowała znamienna cisza. Nastawił uszu i wstrzymał oddech. Jak makiem zasiał. Rolle i Robin zniknęli wcześniej na piętrze. Może już spali. Zerknął na stary, ponury zegar ścienny Malcolma B. Zbliżała się północ.

Pomyślał, że trzeba się położyć.

Mimo że po weekendowych przejściach czuł się w duchu wypompowany, zniszczony i zmęczony, miał takie dreszcze, jakby przez jego ręce i nogi przeżerała się cała armia mrówek. Puścił grzmocącego bąka i wyciągnął się na kanapie, aż zatrzeszczały mu stawy.

Czy w lodówce nie stała przypadkiem gromada butelek Norrlands Guld? Zmusił się, by odrzucić od siebie tę myśl. „Opanuj się, do czarta!”

Ach tak, lody. Szkoda, by się zmarnowały, skoro trafił na taką okazję w Lidlu. Pięćdziesiąt sztuk za pół ceny. Robin uwielbiał

Magnum. Mike podniósł się niechętnie.

Za drzwiami uderzył go chłód. Potruchtał do samochodu zaparkowanego na ulicy za furtką, chrzęszcząc drewniakami po żwirze. Błądził kluczykiem po omacku, nim zdołał otworzyć bagażnik. Karton z lodami był jeszcze zimny. Włożył go pod pachę i pośpieszył z powrotem do środka. Dotarwszy do sieni, zrzucił z nóg pantofle i otworzył drzwi do piwnicy.

Schody zatrzęszały demonicznie. Mike błądził palcami po chropowatej ścianie, poszukując pstryczka do lampy. Jak zwykle zepsuty. Przypomniał sobie, że Rolle trzymał na najwyższym stopniu schodów świecznik i pudełko zapalek. Były na swoim miejscu. Wykrzesał ogień i zapalił świecę. Piwnicę wypełniła niespokojnie trzepocząca poświata. Ostrożnie, jakby jego podświadomość wyczuła w powietrzu ostrzeżenie, zszedł na palcach po schodach.

Gdy podniósł wieko zamrażarki, natychmiast zauważył, że nie starczy miejsca na jego okazjnie zakupione opakowanie lodów. Dorsze. Te przekłete dorsze, które wyłowili w zatoce Hanö. Całkiem o nich zapomniał. Spojrzał z wahaniem na zamrożone, pozbawione oczu ryby, leżące bezładnie z rozdziawionymi paszczami, jak w lubieżnym, antarktycznym gnieździe węży.

Pomyślał o Rollem, który uparł się, by zjeść wszystkie oczy, choć jego twarz zrobiła się całkiem zielona.

– Lekarstwo na seks – parsknął pod nosem.

„Dziwne, że zamrażarka jest ciągle pełna po brzegi – przyszło mu po chwili do głowy. – Przecież Rolle serwował dorsza na obiad niemal przez cały tydzień.” Stojąc z jedną dłonią na wieku zamrażarki i pudełkiem z lodami pod pachą, spróbował przekalkulować, co było większym marnotrawstwem: pozwolić się zepsuć dorszowi czy Magnum na patyku? Gdy matematyczny szacunek nie przyniósł jednoznacznej odpowiedzi, doszedł do wniosku, że miał już dosyć rybnej diety Rollego. Odłożył pudełko z lodami i zaczął wywalać zamrożone na kość dorsze.

W momencie, gdy podniósł jedną prawdziwie obrzydliwą sztukę i pomyślał, że w zamrażarce jest już wystarczająco dużo

miejsca na lody, spostrzegł coś na dnie. Tuż przy oszronionej, krótszej ścianie zamrażarki sterczała para sztywnych, nastroszonych pasemek włosów. W pierwszej chwili Mike pomyślał, że zobaczył płetwy albo może wąs na podbródku jakiegoś hojnie obdarzonego przez naturę dorsza. Potem ryba wyslizgnęła mu się z rąk i wylądowała z głuchym grzechotem na betonowej posadzce. Drżącymi palcami odsunął na bok jeszcze kilka łbów. Pod pasemkami włosów zobaczył czoło, a pod nim parę szeroko otwartych oczu, szpiczasty nos i rozchylone usta. Twarz martwego mężczyzny pokrywała cienka warstewka szronu.

Mike wrzasnął z przerażenia.

Wydobył bezdenny ryk z najodleglejszych głębin swojej duszy, tak przepełniony rozpaczą, że naczynia w jego tchawicy rozdarły się, a do ust przeniknął posmak krwi.

Wydał z siebie tylko jeden przeciągły krzyk, lecz musiał on trwać nieskończenie długo, ponieważ gdy w płucach wyczerpało mu się powietrze, na najwyższym stopniu schodów do piwnicy stali już zarówno Rolle, jak i Robin, wlepiając w niego oczy tak wielkie, jak połyskujące plastikowe kulki na choince.

– Co wyście, do kurwy nędzy, nawyprawiali? – wyskrzesał ochryple Mike.

Przez krótką chwilę jego wzrok wędrował pomiędzy trupem w zamrażarce i dwiema jedynymi osobami na całym świecie, które darzył miłością. Olbrzymim, na zawsze straconym Królem Kul i małym, upartym chłopakiem, który był jego własnym odbiciem, krwią z jego krwi i kością z jego kości. Potem zaczął z szaleńczą prędkością opróżniać skrzynię, wyrzucając zamrożone korpusy ryb przez ramię, tak że uderzały o podłogę i sunęły po betonie jak krążki hokejowe.

Gdy Rolle i Robin zeszli ze schodów i stanęli przy nim zdjęci trwożą, Nils Ek siedział samotnie w zamrażarce, oparty o jedną z krótszych ścian. Na jego twarzy malowało się zdumienie, jak gdyby zastanawiał się, dlaczego nie pozwolono mu leżeć w spokoju w jego własnym grobie. Z termostatu dobyło się pstryknięcie. Czerwona lampka zasygnalizowała, że należało

rozmrozić urządzenie.

– Kto to, kurwa, jest? – wycedził Mike zdartym głosem.

Rolle wybełkotał coś niezrozumiale, wydobył z kieszeni plastikowy pojemniczek i wrzucił do ust kilka pigułek. Przełknął ciężko. Był blady i zlany zimnym potem, a jego oczy błędną niespokojnie w mroku.

– To niechcący – powiedział cicho Robin.

– Ale kto...?

Mike umilkł, zupełnie niezdolny, by cokolwiek zrozumieć.

– Dostał to, na co zasłużył – rzekł Rolle. – Wszystko słyszałem. Widziałem na własne oczy.

– Co słyszałeś? Co widziałeś?

– To nie wina Robina. To był wypadek. Ale nawet jeśli ten gość nie roztrzaskałby czaszki o schody, to i tak by umarł.

– Co ty wygadujesz?

– Śmiercionośne rzutki. Voodoo. Byliśmy zmuszeni powiesić na ścianie jego zdjęcie tu, w piwnicy.

– Ale...

Mike spojrzał na przyjaciela z dzieciństwa, który uśmiechał się do niego smutno. Potem na syna, który przygryzał nerwowo wargę.

– Musimy zadzwonić na policję – powiedział Mike. – Do ciężkiej cholery, przecież nie możemy trzymać zwłok w zamrażarce!

– Nie! – krzyknął Robin i spojrzał na niego zawzięcie.

– Nie da rady – rzekł Rolle i położył na umięśnionych plecach Mike'a swoją rękę, ciężką jak zaslachtowane prosię. – Zastanów się choć raz w życiu. Martwy dziennikarz zostaje znaleziony w zrujnowanej chacie, zamieszkaną przez szprycującego się tabletkami czuba, bandytę-alkoholika i... – tu łypnął niespokojnie na Robina. – I małego chłopca, który właśnie opuścił rodzinę zastępczą i jedyne, czego pragnie, to mieszkać ze swoim ojcem-szajbusem i jego obłąkanym kolegą. Myślisz, że opieka mu na to pozwoli? Nigdy w życiu!

– Ale jak...?

– Miej w dupie, jak. Miej w dupie, kto. Taka jest moja rada –

powiedział Rolle mętym tonem, przypominającym głos wyroczni.

Mike przyglądał mu się zbity z tropu. Myśli w jego głowie krążyły jak jesienne liście w cyklonie, a on nie był w stanie uchwycić choćby jednej z nich. Kim, do cholery, był ten zmarznięty na kość typ, który siedział tu z rozdziawionymi ustami? W jaki sposób znalazł się w zamrażarce? Mike potrzęsnał głową tak mocno, że zaszumiało mu w uszach. Jak to było możliwe, że dosłownie wszystko w jego beznadziejnym życiu mogło się tak potwornie nie udać? Jeszcze przed chwilą siedział przed telewizorem i zamartwiał się tym, jak ma się wywinąć z podstępnej narkotykowej pułapki Borysa. Już sam ten fakt był wystarczająco fatalny. Teraz miał jeszcze na karku zwłoki. I Robina...

– Czy to ty odebrałeś mi życie?

Gdy Mike zobaczył, jak jego syn spuścił wzrok na podłogę, poczuł w skroniach ukłucie paniki. Usłyszał ciężkie, smutne westchnienie Rollego.

– Powiedziałem przecież, że to niechcący – wymamrotał Robin tak cicho, że ledwo było go słychać.

W tym momencie do Mike'a dotarło, że nie było czasu na pytania. Wszystko jedno, kto siedział w skrzyni z gębą pełną szlamu z ryb. Musiał stamtąd zniknąć, i to szybko.

– Musimy zatopić dziada – powiedział zdecydowanie.

Rolle przytaknął.

– Zamierzałem to zrobić, kiedy spaliście. Ale tak jakby mi się nie udało.

Spojrzał w zamyśleniu w cień, gdzie nie dosięgało światło trzepoczącej świecy.

– Zdaje mi się, że coś tutaj mam – powiedział, po czym poczłapał w kąt piwnicy i zaczął gmerać pod szeleszczącym brezentem. Po chwili wrócił, wlokąc za sobą po podłodze coś ciężkiego. Był to rulon siatki ogrodzeniowej, sztywnej i zardzewiałej ze starości.

– Pomyślałem, że jeśliby...

Przerwał i spojrzał kątem oka na Robina, który skulił się

na najniższym stopniu schodów. Następnie na zwłoki w zamrażarce. Potem pochylił się, chwycił ciało, potrząsnął nim, aby oderwało się od szronu, po czym wziął trupa w objęcia jak małe dziecko i umieścił na podłodze. Nils Ek pozostał w pozycji siedzącej, z plecami prostymi jak struna i tym samym co wcześniej zdziwieniem na twarzy. Z jego sztywnych włosów spadło kilka drobinek śniegu.

– Myślę, że przydałoby się go wyprostować – rzekł Rolle.

Nie czekając na odpowiedź, usiadł z ciężkim klapnięciem na wyciągniętych nogach nieboszczyka jak olbrzymi, groteskowy niemowlak siadający na kolanach swojego patykowatego tatusia.

– Wybacz, Nisse – powiedział i poklepał prędko zwłoki po policzku, po czym zwrócił twarz w górę, w stronę Mike'a.

– Sprawdź, czy uda ci się go rozłożyć na płasko.

Mike chwycił niechętnie szyję nieboszczyka i ostrożnie pociągnął jego głowę. Nils Ek nie zamierzał dać za wygraną. W dalszym ciągu siedział zgięty pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, sztywny i nieprzejednany.

– Mocniej! – zachęcał Rolle. – Nie możemy czekać, aż się rozmrozi.

Mike rzucił mu pełne irytacji spojrzenie. Ukląkł i chwycił nieboszczyka jeszcze raz, tym razem od przodu, obejmując ramionami jego tułów, a następnie pochylił się w jego stronę jak zapaśnik próbujący podnieść swojego rywala. Poczzerwieniał na twarzy z wysiłku. Nie wydarzyło się jednak nic więcej poza tym, że koniuszek nosa Nilsa Eka drasnął go w ucho. W końcu Mike poddał się ze stęknieniem.

– Spróbujemy z drugiej strony – rzucił Rolle.

– Jak to?

– Usiądź tutaj i zaprzyj się o moje plecy – wyjaśnił i obrócił swoje ciężkie ciało w taki sposób, że w rezultacie wylądował na piszczelach nieboszczyka, siedząc plecami do niego. – Człowiek ma przecież mocniejsze nogi niż ręce. Przyłóż stopy do jego jadaczki i napieraj jak tylko potrafisz.

Mike wykonał wszystko zgodnie z instrukcją. Wgramolił się

w lukę pomiędzy pulchnymi plecami Rollego a chudym tułowiem nieboszczyka. Opierając łopatki o swego przyjaciela, zgiął nogi i umieścił podeszwy na barkach głęboko zmrożonego dziennikarza, po czym spróbował rozszerzyć się jak sprężyna. Napierał z całych sił. Czuł, jak zapada się w miękkie, ciepłe plecy Rollego, jednocześnie doznając mrożenia pod stopami. Nils Ek w dalszym ciągu rozdziawiał szeroko usta, jakby w niemym krzyku protestu. Z jego ciała wydobyło się słabiutkie syknięcie. Nie pozwolił się jednak złamać.

– Cholera! – wykrzyknął Mike i sturlał się ze zwłok. – Zmieścimy go w samochodzie zgiętego w pół.

– Nie, musi być jakiś sposób – rzekł Rolle, podnosząc się z mozołem. Podrapał się w zamyśleniu u nasady włosów. – Oj, Nisse, Nisse, ale z ciebie uparty sukinsyn – mamrotał pod nosem.

Nagle jego oczy zaślniły. Mrugnął chytrze do Robina, który wspiął się kilka stopni wyżej i obserwował walkę na piwnicznej podłodze nieobecny wzrokiem. W końcu Rolle uchwycił siedzące zwłoki za barki i przepchnął je przed sobą jak stary fotel w stronę schodów, gdzie delikatnie wsunął kowbojki Nilsa Eka pod najniższy z drewnianych stopni.

– Przykro mi, Nisse – wybełkotał, stanął okrakiem nad ciałem i umiejscowił swój olbrzymi tyłek na twarzy nieboszczyka, po czym usiadł. W pierwszej chwili nie wydarzyło się nic. Potem z jednego stawu biodrowego dobył się trzask i tułów zmarłego opadł na podłogę z ostrym zgrzytem niczym most zwodzony.

– Ta-dam! – wykrzyknął Rolle triumfalnie i wstał. – Teraz trzeba go tylko zawinąć.

Z pewnym wysiłkiem udało im się rozłożyć zardzewiałą siatkę ogrodzeniową, położyć rozprostowanego Nilsa Eka na jednym końcu i zwinąć wszystko w schludny pakunek. Kiedy skończyli, Mike spojrzął na Rollego.

– Kamieniołom?

– Kamieniołom! – przytaknął przyjaciel.

W tej samej chwili odwrócili się do Robina.

– Ty zostaniesz tutaj – rzekł Mike.

Chwilę później wszyscy trzej siedzieli w samochodzie.

Kruki krakały ochryple, jakby czekały na śmierć. Nie pokazywały się jednak. Noc była spokojna. Miliony gwiazd iskrzyły się na aksamitnie czarnym nieboskłonie.

Przez długą chwilę stali przy samochodzie, w samym środku wszechświata, i spoglądali w nieskończoność.

– Powiadają, że te ptaki mogą żyć tyle, co człowiek – rzekł Rolle w zamyśleniu. – Nie wiem, czy to prawda.

Mike i Robin słuchali.

– Starzy ludzie mówią na nie tutaj w dalszym ciągu „raun”. To pranordyckie słowo. Podobno kruki są niezwykle mądre.

Odwrócił się do nich z uśmiechem.

– Wiecie, Hugin i Munin. Siedziały na ramionach Odyna. Jeden mądry i odważny, drugi z pamięcią, która nigdy nie zawodziła. Część Indian z Ameryki Północnej wierzy, że świat został stworzony przez kruka.

– Corvus corax. Żyją maks czterdzieści lat. A teraz chwytaj – rzekł Mike posępnie, otwierając bagażnik.

Robin oświetlał wszystko latarką. Pod kilkoma warstwami ciężkiej, zardzewiałej siatki mignęło mu oko. Z jednego końca żelaznego rulonu wystawały buty zmarłego. Poza tym, dziennikarz był szczelnie zawinięty.

Mike i Rolle musieli się porządnie wysilić, aby wydobyć makabryczny ładunek z bagażnika. Zaparkowali samochód przy szutrowej drodze, tak blisko starego kamieniołomu, jak tylko zdołali podjechać. Mimo to byli zmuszeni przeciągnąć swój balast kilkaset metrów przez brzozowy las i zarośla, aby dotrzeć na skalne urwisko, wznoszące się nad najgłębszym miejscem.

Bezdenno padół.

– Jak, do cholery, mamy dotaszczyć go aż tam? Waży co najmniej ze sto kilo – westchnął zniechęcony Mike.

– Powlecemy to gówno – zaproponował Rolle. – Robin, będziesz świecił latarką, żebyśmy widzieli, gdzie stawiamy

stopy.

Rzucił okiem na blady sierp księżycyca, uśmiechający się do nich szelmowsko nad skalistym wzniesieniem. Potem chwycił żelazną siatkę.

– Pomóż mi!

Trawa ociekała rosą i sięgała im wysoko nad kolana. Wkrótce Robin poczuł wilgoć wdzierającą się przez buty. Spodnie kleiły mu się do zziębniętych ud. Pozwolił snopowi światła powędrować wzdłuż wąskiej ścieżki, która wiła się ledwo dostrzegalnie pomiędzy pniami drzew. Mike i Rolle stękali głośno. Ich stopy zapadały się w podmokłą ziemię z plaskaniem i sykiem. Człapali powoli, ale do przodu, wlokąc swój balast pod górę po zboczu, w stronę bardziej kamienistego podłoża. Kruki nad ich głowami krakały złowieszczo.

Naraz Robin poczuł się tak, jakby sam przeobraził się w ptaka, jakby wyfrunął z własnego ciała ponad wierzchołki drzew i krążył nad nimi lekko na skrzydłach. Kręciło mu się w głowie. Łaskotało trochę pod pachami i szumiało w uszach. Poza tym było cicho. Rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu kruków. Hugin i Munin, czy tak się nazywały? Chciał z nimi porozmawiać. Przecież jeżeli stworzyły świat i jeżeli były tak odważne i mądre, powinny mu chyba pomóc? Ale stało się oczywiście tak, jak zwykle. Teraz, kiedy w końcu nauczył się latać, one się ukrywały. Pieprzone tchórze.

W dole, na ziemi, zobaczył błędzące światło latarki. Biały pień brzozy, który rozbłysnął, a potem znowu pociemniał. Wykrzywioną, ociekającą potem twarz Rollego, która zamigotała na ułamek sekundy. Dziki wzrok Mike'a. A w mroku, ciągle w mroku, mały, chudy cień. Samotny.

Światło gwiazd kłuło go w plecy.

Gdzie się podział księżyc? Robin pomachał skrzydłami i poszybował w górę, ku wierzchołkowi skalistego wzniesienia. Ach, więc tam się ukrył. Księżycowy rogal. W pierwszej chwili zdawało się, jakby śmiał się z akrobacji lotniczych Robina, lecz potem zmarszczył nagle ostre czoło, wysunął szpiczasty podbródek i przybrał wściekły wygląd. Robin wzdygnął się

i poczuł podmuch zimnego wiatru, przenikającego przez pióra. Cholerny czerstwy dziad!

Ponownie zwrócił wzrok ku ziemi. Powierzchnia wody wyglądała jak czarne lustro. Odbijał się w niej cały ocean nieba. To w tym miejscu Linda unosiła się w poświęceniu księżyca. Jakby była martwa. Robin uśmiechnął się na to wspomnienie. Nagle przepełniło go pragnienie, by płynąć w mroku tuż obok niej, leżeć na plecach i pozwalać ciemnej wodzie obejmować ciało, wyciągnąć rękę, muskać końce jej palców i czuć, że Linda żyje. Złożył skrzydła zdecydowanym ruchem i zaczął pikować w dół. Spadał ku tafli wody w szaleńczym pędzie. Linda leżała zupełnie nieruchomo z rozłożonymi ramionami. Gdy już rozpostarł pióra, by miękko wylądować, dostrzegł, że stało się z nią coś dziwnego. Była całkowicie spuchnięta. Ciało nie miało tej jedwabistej gładkości, jaką powinno mieć, lecz było rozrzedzone i gąbczaste. Jej podniesione wargi odsłaniały zęby w koszmarным grymasie. A oczy!? Nie było ich. W miejscu, gdzie powinny się znajdować ziały dwie puste jamy.

Kruki!

Z obłąkańczym krzykiem Robin zatoczył się w powietrzu tuż nad taflą wody i wzleciał ponownie w niebo. Serce mu stanęło. Zwrócił twarz ku gwiazdom i poczuł na policzkach lodowate krople. Po chwili jego łzy zaczęły spadać, jak cichy nocny deszcz, na niewielką kompanię, przedzierającą się przez brzezinę tam w dole, na ziemi.

Właśnie przeturlali ciężki jak ołów balast po kilku przygniłych pieńkach i znaleźli się na skalnym urwisku, gdy Mike poczuł na czole deszcz. Zdumiony popatrzył w niebo. Ani jednej chmurki.

Starł krople rękawem i spojrzał na Robina.

Chłopak płakał.

Mike odczuł gwałtowny skurcz w żołądku. Przełknął coś twardego i palącego. „Nigdy nie widziałem, żeby płakał” – przemknęło mu przez głowę. Gdy dokonał tego odkrycia,

ogarnął go smutek, tak głęboki i tak obezwładniający, że nie był w stanie zrobić nic więcej, niż stać tam ze zwieszonymi ramionami.

„Niech mnie diabli, nigdy nie widziałem, żeby płakał! Mój własny syn.”

Robin chlipnął i wytarł wydzielinę spod nosa. Patrzył w ciemność pustym wzrokiem. Latarka zwisała ku ziemi.

Wtedy usłyszeli głos Rollego:

– Bywaj, stary zgniłku!

Potem grubas przystawił stopę do metalowej siatki i kopnął tak, że rulon przewalił się przez krawędź urwiska. Gdy uderzył o wodę, dał się słyszeć głuchy plusk.

Nie mówiąc ani słowa, Rolle wziął latarkę z ręki Robina i oświetlił nią ciemność w dole. Tłumok kołysał się leniwie na powierzchni, a rozchodzące się od niego fale płynęły w stronę skały. Przez krótką chwilę zdawało się, że będzie się unosił na wodzie. Potem dał się słyszeć syk i bulgot. Nils Ek zniknął powoli w głębinach.

Rozdział 25

Zorientował się, że jest śledzony, kiedy trzymał w ręku mortadelę. Mgliste przecucie, że ktoś go obserwuje, kazało Mike'owi podnieść wzrok. Kobieta przy zamrażarce spojrzała mu apatycznie w oczy. W dłoni miała paczkę groszku. Gdy wrzuciła ją do wózka, rozległ się drętwy grzechot. Potem wytarła nos i usunęła coś z górnej wargi wymiętą chusteczką. Chłodnia wydawała z siebie słabe brzęczenie. Kobieta bez pośpiechu pocłapała w alejkę między regałami.

Czy było ich więcej?

Mike rozejrzał się skołowany. Sklep nie był pusty, lecz mimo to osobliwie zimny i ponury. Klienci posuwali swoje wózki z rozkojarzeniem, jakby właściwie nie przyszli tam po zakupy, tylko raczej dla zabicia czasu. Ich twarze były szare i blade. Być może cierpieli na anemię. A może to przez świetlówki na suficie? Ich oczy spowijała matowa błona obojętności.

Mimo to Mike miał wrażenie, że go pilnowali.

Za każdym razem, gdy ktoś z nich miał już zniknąć z zasięgu jego wzroku, dostrzegał podstępne spojrzenie. Jednak działało się to tak szybko, że nie miał do końca pewności. Ułamek sekundy i było po wszystkim. Chudy staruszek przy stoisku z wędlinami. Znudzona ekspedientka, która nieprzerwanie mełła gumę do żucia między szczękami, gdy przerzucała z roztargnieniem pomarańcze na stoisku owocowym. Kobieta w różowym dresie, która właśnie władowała do swojego wózka wielopak papieru toaletowego. Kim oni właściwie byli? Nagle Mike pojął, że nie wiedząc kiedy, wkroczył do jakiegoś filmu i został otoczony przez statystów. Nieprzyjemny w tym wszystkim był fakt, że to

najwyraźniej jemu przydzielono główną rolę.

W nadziei, że ich zaskoczy, zaczął krążyć tam i z powrotem. Jednak ogony były szybkie.

Nagły impuls skłonił go do skierowania wzroku ku górze. Wysoko, na brzegu regału znajdowało się okrągłe lustro, pochylone pod kątem do podłogi. Zobaczył w nim znowu kobietę z opakowaniem mrożonego groszku. Stało się to dokładnie w momencie, gdy podniosła twarz i spojrzała prosto na niego, tym razem bez apatii, lecz z głębokim oskarżeniem.

Mike zgarnął szybko kilka litrów mleka, bochenek chleba oraz sześciopak niskoprocentowego piwa i pospieszył do kasy. Kasjerka uśmiechała się życzliwie, jakby go rozpoznała. Lecz pod jej ciężkimi jak ołów, niebieskimi powiekami było coś jeszcze. Tusz do rzęs rozmazał się odrobinę na policzku, jakby kobieta płakała. Czy było jej go żal? Jej długie czerwone paznokcie rozbłyły, gdy wyciągnęła dłoń, by odebrać od niego dwa stukoronowe banknoty.

Kiedy wyszedł ze sklepu, usłyszał czyjeś wołanie.

– Mike!

Ewa Ström stała oparta o wóz policyjny, zaparkowany pod lokalną filią gazety „Ystads Allehanda” po drugiej stronie ulicy. Pomachała mu ręką. Wyglądało na to, że na niego czekała.

– Mógłbyś tu na chwilę podejść?

Zabrzmiało to jak rozkaz. Pełen złych przeczuć Mike zaczął zbliżać się do niej, trzymając w dłoni torbę z logo marketu.

W momencie, gdy wszedł na krawężnik i otworzył usta, by coś powiedzieć, z biura gazety wyszedł niewielki łysy mężczyzna w prochowcu. Zatrzymał się w miejscu i spojrzał na Mike’a bez mrugnięcia okiem. Jedyne nozdrza drgały mu delikatnie. Wysunął ostry koniuszek języka i oblizał kącik ust.

„Jaszczurka” – pomyślał Mike.

Być może do gada upodobiła mężczyznę jego pozbawiona włosów, nierówna czaszka. Odnosiło się wrażenie, że w każdej chwili mógł wciągnąć swą małą głowę pod postawiony kołnierz płaszcza, jak żółw pod pancerz.

– To Mike, o którym ci opowiadałam – rzekła Ewa Ström.

Tamten popatrzył złowrogo bez słowa, po czym zwrócił głowę ku niebu, jakby chciał zaznaczyć, że zobaczył już to, co było do zobaczenia, i dokonał swojej oceny. Pod prochowcem mignął biały kołnierz koszuli i limonkowy krawat. Skóra pod brodą zwisała, tworząc luźne fałdy.

– Dobrze, że się pojawiłeś, Mike. Zamierzaliśmy się z tobą skontaktować – powiedziała Ström.

– Co się stało?

Mike odchylił się na bok, by spojrzeć za nią w mrok, panujący za drzwiami redakcji. Wśród nich ktoś się poruszał. „Gliny – pomyślał. – To jasne, że prędzej czy później ktoś musiał zacząć się zastanawiać, gdzie się podział ten pismak.” Mike poczuł, jak zagulgotało mu w brzuchu. Odchrząknął i splunął, a jego ślina wylądowała w rynsztoku, nieco bliżej lśniących butów małego mężczyzny, niż celował.

Małe stopy poruszyły się, a policzki policjanta zapłonęły czerwienią. Świdrował przestrzeń wzrokiem, lecz w dalszym ciągu nie otwierał ust.

– Nie domyślasz się? – spytała Ewa Ström, nieufnie przyglądając się Mike’owi.

– Nie, co?

– Czy ty w ogóle czytasz gazety?

Mike wzruszył obojętnie ramionami.

– Niezbyt często.

Udawał odprężonego i nieświadomego, ale w jego głowie kłębiły się myśli. Oczywiście Robin opowiedział mu w końcu, co się wydarzyło. Gdy stali na skraju urwiska w kamieniołomie, patrząc na zamrożonego dziennikarza znikającego w głębinie, chłopakowi rozwiązał się język. Słowa wypływały mu z ust potokiem. Ten idiotyczny nazistowski numer. Rozbijanie szyb u Araba. I pismak, który się narzucał, próbując go szantażować.

Dlaczego Robin nie powiedział niczego wcześniej?

Co prawda nie sprawiłoby to żadnej różnicy. Nigdy nie znaleźliby wy tłumaczenia na martwego mężczyznę na schodach domu Rollego – co do tego Mike był zupełnie przekonany. Dla takich, jak oni, wyjście było oczywiste. Dożywocie dla niego,

ponowny pobyt w domu wariatów dla Rollego i poprawczak dla Robina.

Mike nigdy nie zamierzał do tego dopuścić!

Gdy stali na skraju urwiska w kamieniołomie, wziął chłopca w swoje niedźwiedzie ramiona i przytulił do piersi. Ścisnął go kurczowo. Wpatrywał się w iskrzące gwiazdy na czarnym firmamencie. I rozpaczliwie szukał słów, którymi dobry ojciec powinien pocieszyć swojego syna.

Jednak ani Bóg, którego Mike przez całe życie się wypierał, ani nikt inny nie obdarzył go talentem wysławiania się. Dlatego milczał. Mocno tulił chłopca. I w głębi duszy liczył na to, że jego siła przepłynie na to wątłe ciało, które trzymał w objęciach.

Pewnym wysiłkiem woli usunął z myśli minioną noc i powrócił do obecnego dnia. Mijające ich brudne volvo wprowadziło w wir kilka liści, które nie zdążyły jeszcze zbutwieć przy krawężniku. Obserwował krępą policjantkę, która stała w rozkroku, parząc na niego oskarżycielsko. Na myśl o wszystkich obelgach, którymi ją obrzucił podczas ich ostatniego spotkania, przeszedł go dreszcz. Przeklął w duchu swój porywczy temperament. Teraz przyjdzie mu pewnie za to odpokutować.

– Zniknął – rzekła Ewa Ström. – Od tygodnia nikt go nie widział.

– Kto? – spytał Mike wyczekująco.

– Nils Ek. Jest lokalnym reporterem w tutejszym oddziale „Ystads Allehanda”. A raczej był. Nie wiemy, co się z nim stało. Pewnego dnia po prostu nie pojawił się w pracy.

– Dziwne. Ale co to ma ze mną wspólnego?

Ewa Ström spojrzała pytająco na chudego mężczyznę w prochowcu. Zdawał się tego nie widzieć. Wydobył z wewnętrznej kieszeni cienkie blaszane pudełko i wyjął z niego wąską cygaretkę, którą zapalił srebrną zapalniczką. „Ronson – skonstatował Mike w myśli. – Jaszczur musi być jej szefem.”

Gdy policjant przemówił po raz pierwszy, jego głos był zaskakująco jasny, jakby nigdy nie przeszedł mutacji.

– Słuchaj dokładnie Mike’u Larssonie, bo teraz powiem ci,

co to zniknięcie ma wspólnego z tobą.

Zawiesił głos i zmierzył Mike'a wzrokiem.

– Może cholernie dużo. A może ma z tobą gównem wspólnego. Właśnie tego chcemy się dowiedzieć. Widzisz, kiedy my, policjanci, mamy podstawę do podejrzewania kogoś o przestępstwo, działamy odruchowo. Instynktownie, ale profesjonalnie. Zgarniamy element społeczny. Tak się składa, że do niego należysz. Zadajemy pytania. Trochę węższymy. Za dziewięćdziesięcioma procentami całego diabelstwa w społeczeństwie stoją niewydarzeni bandyci, tacy jak ty. A większość z was jest tak cholernie tępa, że zaczyna śpiewać, kiedy tylko się zdenerwuje.

Policjant ułożył usta w niewielki okrąg, wydmuchał gęstą chmurę dymu i zmrużył oczy.

– Czy wyraziłem się wystarczająco jasno, byś zdołał to pojąć?

Jego koleżanka zakasłała dyskretnie. Mike poczuł swędzenie w okolicy skroni. Zacisnął ukradkiem pięści w kieszeniach kurtki i zmusił się do uśmiechu, zwracając się do Ewy Ström.

– Dostałaś dziś do współpracy rezolutnego szkraba – rzekł przymilnym głosem.

Zauważył delikatne drganie w kącie jej ust.

– Nie wiedziałem, że policja z Ystad przyjmuje praktykantów...

Na jej twarzy pojawił się na moment wyraz rozbawienia. Wyjęła telefon komórkowy z przepaszającym mruknięciem i odwróciła się, jakby nagle sobie przypomniała, że musi sprawdzić, czy nie dostała przypadkiem jakiejś wiadomości. Gdy Mike ujrzał mroczny odcień w oczach niewysokiego policjanta, natychmiast pożałował swoich słów. Przeklął w duchu.

– To Björn Bernhardsson – rzuciła Ström i podniosła wzrok. Jej twarz była teraz całkowicie zresetowana. – Jest komisarzem i prowadzi wstępne śledztwo w sprawie zniknięcia Nilsa Eka.

– Fajnie – wymknęło się Mike'owi.

– Wejdz – zakomenderowała kobieta, wskazując kciukiem drzwi redakcji.

Pierwszą rzeczą, jaką poczuł Mike po przekroczeniu progu był zapach dymu i przypalonej kawy. Na brzegu biurka stał pokryty

starym brudem ekspres, poczerniały na dnie. Kabel, jak zwieszony ogon, dyndał nad podłogą, wyrwany z gniazdka w największym pośpiechu. „Pismak najwyraźniej zapomniał wyłączyć sprzęt, kiedy wybierał się na poszukiwanie Robina – pomyślał Mike. – Mógł wybuchnąć pożar. Na biurku jest przecież pełno starych gazet i papierów. Ale taki już mój cholerny pech, że pożaru nie było!”

– Całe szczęście, że biurko nie zajęło się ogniem – rzekła Ewa Ström, węsząc nosem w powietrzu. – Ekspres musiał być włączony przez kilka dni.

W szarym blaszanym sejfie na dokumenty szperali dwaj policjanci w cywilu. Niski, przypominający teriera mężczyzna z szeroką szczęką oraz jego tykowały młodszy kolega z burzą blond włosów na głowie i zaspianym wyrazem twarzy. Obaj podnieśli wzrok i szybko kiwnęli głowami. Wydawało się, że właśnie kończyli rewizję miejsca zbrodni. Wysoki wsunął ostatnią szufladę z trzaśnięciem.

– Myślę, że skończyliśmy – powiedział i zarzucił na plecy czarny worek na śmieci, wypełniony zarekwirowanymi papierami. – Komputer weźmiemy ze sobą na komendę, żeby przeanalizować w spokoju twardy dysk.

Bernhardsson zrobił niewyraźny gest ręką. Gdy dwaj policjanci maszerowali do wyjścia, rozglądał się dokoła, jakby dumając nad tym, od czego zacząć. Mike obserwował jego poszukiwanie z narastającym zdenerwowaniem, do chwili aż natknął się na ostatni z rzędu sensacyjnych wycinków z pierwszych stron gazet przypiętych do ściany.

Rynek w Tomelilla zdewastowany przez rasistów.

Nagle Bernhardsson zawrócił na pięcie, jakby chciał zaskoczyć Mike'a, i wlepił w niego wzrok.

– Wiesz do czego odnosi się ten nagłówek?

Mike udał, że się głęboko zastanawia.

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia.

Parsknięcie za jego plecami zdradziło, że Ewa Ström nie dała się przekonać.

– Ten gość, Nils Ek, zrobił w zeszłym tygodniu sensacyjny

reportaż.

Bernhardsson wykrzywił pogardliwie usta, jakby chciał zaznaczyć, że jeżeli chodziło o rację bytu, to w jego oczach lokalny reporter takiego szmatławca jak ten znajdował się jedynie nieznacznie wyżej od przestępczych pasożytów typu Mike'a.

– Banda chuliganów, którzy wystroili się za nazistów, zrobiła małe przestawienie na rynku. Rozbili między innymi okna w pizzerii u Araba. Lokal nazywa się „Alladyn”.

Po raz kolejny zrobił wystudiowaną pauzę, z wyraźnym zamiarem okazania swojej dezaprobaty.

– Można by pomyśleć, że to sztubackie wygłupy. Gdyby nie zniknięcie Nilsa Eka kilka dni potem. Trudno w tej sytuacji nie zadawać sobie pytania, czy jedno z drugim nie ma jakiegoś związku.

Ewa Ström rozłożyła bez słowa numer „Ystads Allehanda” na biurku. Na pierwszej stronie widniała fotografia szczupłego mężczyzny o ostrych rysach twarzy i sterczących włosach. Uśmiechał się. Zaginiony – wieścił nagłówek napisany grubą, czarną czcionką. Na jego widok w głowie Mike'a zabłysnął inny obraz, jakby oświetlony fleszem z aparatu. Ta sama twarz, lecz sztywna i pokryta kredowobiałym szronem.

– Rozpoznajesz tego faceta? – spytała Ström.

– Nie.

Mike'owi udało się wydobyć z siebie znudzone ziewnięcie.

– Szczerze mówiąc, to nie rozumiem, czego ode mnie chcecie.

– Szczerze mówiąc, Mike, to jestem coraz bardziej przekonany o tym, że kłamiesz! – wysyczał komisarz głosem, który stawał się coraz wyższy, by na końcu przejść w krzykliwy falset.

Potem obniżył ton głosu.

– Wiesz, co myślę? – powiedział nisko.

Mike pokręcił głową.

– Myślę, że zabiłeś tego faceta. Myślę też, że wiesz, gdzie on jest.

Mimo że Mike cały czas rozumiał, dokąd zmierzał komisarz, miał wrażenie, jakby dostał potężne uderzenie pięścią w brzuch.

W swoim życiu oskarżany był już, słusznie czy niesłusznie, o wiele rzeczy, jednak nigdy wcześniej o morderstwo. Dlatego ogarnęły go teraz mdłości.

Z największym trudem zdławił wściekłość, zwrócił się do Ewy Ström i przylepił do twarzy wilczy uśmiezek.

– Słuchaj, Ström, chwyć swojego brzdąca za ucho, żeby ci nie zwiął.

Dokończył ostatnią sylabę tuż przed tym, nim Bernhardsson grzmotnął dłonią w biurko, sprawiając, że przewrócił się kubek po wypitej kawie, a kilka porzuconych dokumentów powirowało na podłogę.

– Morderstwo! – wykrzyknął policjant. Jego oczy były czarne jak węgiel. – Morderstwo, Mike’u Larssonie! Możesz być pewien, że wsadzę cię za kratki!

Skończywszy, wydobyl z wewnętrznej kieszeni płaszcza jakąś fotografię i upuścił ją na stół przed Mikiem.

– Znaleźliśmy to przed chwilą w jednej z jego szuflad.

Mike nie musiał długo przypatrywać się zdjęciu, by zrozumieć, co przedstawiało. Kilka zamaskowanych postaci z kostkami brukowymi w dłoniach. Dym w środku nocy. Mógł niemal słyszeć dźwięk tłuczonego szkła. Zdjęcie było zamazane. Lecz nie na tyle, by nie dało się rozpoznać chłopaka na pierwszym planie, który właśnie podciągnął kominiarkę na czoło. Jego wytrzeszczone oczy patrzyły prosto w obiektyw. Mike nie miał żadnych wątpliwości. To był Robin.

Nagle zachciało mu się płakać. Ogarnęło go paraliżujące zmęczenie. Ugryzł się w policzek, aby nie dać po sobie niczego poznać. W tle słyszał jasny, chłopięcy głos Björna Bernhardssona.

– Jak zapewne rozumiesz, zamierzamy sprowadzić chłopaka na przesłuchanie.

– Do diabła, przecież on jest nieletni...

Mike na próżno poszukiwał współczucia na twarzy Ewy Ström. Policjantka patrzyła obojętnie za okno.

– Jestem jego ojcem. Mam prawo przy tym być...

– Zamknij się, Mike!

Gadzi język Bernhardssona prześlizgnął się po jego wargach, a w głębi jego oczu coś jakby się żarzyło.

– Nie masz prawa do niczego. Myślisz, że jesteśmy tak głupi, by pozwolić ci uczestniczyć w przesłuchaniu i wywierać wpływ na chłopaka? Co? W tym momencie istnieją dla ciebie dwa wyjścia. Albo będziesz tu grzecznie siedział przez tych kilka godzin, kiedy będziemy gadać z Robinem – moi chłopcy dotrzymają ci towarzystwa. Albo aresztuję cię na miejscu i dopilnuję, byś został zatrzymany za morderstwo.

Nie czekając na odpowiedź, komisarz okręcił się na pięcie i opuścił pokój.

Rozdział 26

Widząc czarne volvo wjeżdżające powoli na szkolny parking, Robin znowu poczuł się ścigany.

Przypomniiał sobie koszmar z ubiegłej nocy. Psy wyły jak wilki. Pędziły za nim przez jakiś plac. Zwierzęta sapały, odślaniając swoje żółte kły. Robin wołał desperacko o pomoc, lecz wszyscy ludzie odwracali się, zupełnie jakby był przezroczysty jak powietrze. Kiedy się obudził zlanym zimnym potem, w ustach miał wciąż krwawy posmak. Potem siedział jeszcze w łóżku, słuchając swojego łomoczącego serca i patrząc na światło brzasku za oknem.

Obawy Robina spełniły się, kiedy drzwi samochodu się otworzyły. To była ona. Gliniara o wyglądzie Eskimosa. Na jej widok przeszył go dreszcz.

Rozejrzał się dokoła po szkolnym podwórku. Siedział na ławce, która stała samotnie pod półnagim kasztanowcem. Tuż przy ceglany murze kawałek dalej tłoczyło się kilka dygoczących z zimna dziewczyn, trzymających papierosy między zmarzniętymi palcami. Przeszywający wiatr zamiatał bruk.

Tego ranka Robin zamierzał zostać w domu, lecz zmusił się, by pójść do szkoły, aby nie budzić podejrzeń. Pierwsze lekcje zniknęły mu już z pamięci. W głowie pozostał jedynie bełkotliwy szum i zastyła zapach. Mia, jego wychowawczyni zapytała oczywiście, jak się czuje. Z ledwością odpowiedział. Był potwornie zmęczony. W momencie, gdy wyłonił się czarny samochód, rozważał właśnie, czy nie pojechać rowerem do domu Króla Kul i nie zbudować kryjówki w głębi ciemnej piwnicy, by już nigdy w życiu nie pokazać się prawdziwemu

światu.

Policjantka przeciągnęła się, lustrując wzrokiem szkolne podwórko. Dostrzegła go niemal natychmiast. Schyliła się szybko do samochodu. Po chwili otworzyły się drzwi od strony pasażera. Z auta wysiadł mały, łysy facet w obszernym płaszczu i spojrzał prosto w stronę Robina.

„Muszę uciekać” – przemknęło chłopakowi przez głowę.

Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Ciało miał ciężkie jak kamień. Nie był w stanie ruszyć się z miejsca.

Gdy policjanci powoli zbliżali się do niego, zobaczył kątem oka, jak dziewczyny zgasiły swoje papierosy pod ceglanym murem i pospieszyły do wejścia. Ich śmiech został zmieciony przez silny podmuch wiatru. W drzwiach uskoczyły na bok jak spłoszona ławica ryb. Z wyjścia wypłynęła majestatycznie Elisabet Aronsson i obrała kurs prosto na wielkie schody prowadzące na ulicę. Sprawiała wrażenie, jakby jej się spieszyło. W połowie drogi przez szkolne podwórko dostrzegła Robina i policjantów. Przystanęła i spojrzała w ich stronę.

– Dzień dobry – rzekła krzepka policjantka i uśmiechnęła się surowo do Robina.

Chłopak otworzył usta, lecz z jego gardła wydobył się jedynie chrypliwy dźwięk.

– Pamiętasz mnie, prawda? Ewa Ström, inspektor kryminalny. Byliśmy u ciebie w domu w zeszłym tygodniu.

Wyrwało mu się poirytowane prychnięcie. Pochylił głowę ku ziemi. Małe, błyszczące buty. Niechętnie podniósł wzrok i spojrzał na łysego mężczyznę. Facet przypominał węża. Zdawało się, że mógł przejrzeć Robina na wylot swoimi jadowitymi oczyma.

– To mój szef, Björn Bernhardsson. Chcielibyśmy chwilę z tobą porozmawiać – rzekła Ewa Ström.

– O co znowu chodzi?

Policjanci przyglądali mu się w milczeniu, jakby mieli nadzieję, że coś wyjawii. Żołądek Robina był jak pusta pieczara. Z każdym oddechem przeciągał po nim zimny wiatr, który doprowadzał do ust chłopca smak zgnilizny.

– Wydaje nam się, że wiesz – odparła Ewa Ström.

Gliniarz o wyglądzie węża tylko patrzył. „Cholernie nieprzyjemny typ” – pomyślał Robin. Tymczasem policjant wydobył z blaszanego pudełka wąskie cygaro, robiąc to bardzo powoli, jakby wydawało mu się, że gra w jakimś filmie, po czym je zapalił. Spoglądał przez dym zmrużonymi oczyma, nie mówiąc ani słowa. Tym razem gliny nie przyszły zapytać, co wydarzyło się w domu Lindy, to było pewne.

– Możesz chyba wybrać się z nami na małą przejażdżkę? – spytała Ewa Ström. – Żebyśmy mogli porozmawiać w spokoju.

– Powiedziałem przecież wszystko poprzednim razem. To mój pieprzony kciuk zakrwawił jej łóżko.

Drętwym ruchem podniósł dłoń i pokazał strup na fałdzie skóry przy kciuku.

W tej samej chwili do rozmowy włączyła się Elisabet Aronsson. Zdążyła do nich podejść niezauważona przez nikogo, i gdy zaczęła swój pouczający wywód, wszyscy troje podskoczyli.

– A więc jednak policja wreszcie poszła po rozum do głowy. Naprawdę, najwyższy czas, by wziąć tego chłopca w obroty. Po tym zajściu moja Linda czuła się fatalnie. Nikt nie powinien być narażony na taką traumę i...

– Cicho!

Nagle ze skośnych oczu Ewy Ström posypały się błyskawice. Zrobiła dwa szybkie kroki, podniosła się na czubkach butów i wbiła palec wskazujący w pierś przerażonej nauczycielki.

– Ta sprawa nie ma z tobą nic wspólnego!

– Ale...

– Nie zamierzam mówić tu, co myślę o takich snobistycznych babsztylach jak ty. Ale nie mieszaj się w to. Jeszcze jedno słowo, a dopilnuję, by oskarżono cię o fałszywy donos. Zrozumiano?!

Rosła nauczycielka stała sztywna i oniemiała. Jej usta drżały, a ich kolor zmienił się z czerwonego na szary, jakby odpłynęła z nich krew. Rzuciła szybkie, pełne nienawiści spojrzenie w stronę Robina, po czym odwróciła się ponownie do Ewy Ström. Szeroka twarz inspektorki była nie dalej jak kilkadziesiąt

centymetrów od kobiety.

– Zrozumiano?

Upokorzona i pokonana Elisabet Aronsson okręciła się na pięcie i przemaszerowała przez podwórko szkoły.

Bernhardsson wyglądał na rozbawionego. Rzucił cygaretkę na ziemię i zdeptał ją butem.

– No – rzekła Ewa Ström i zwróciła się do Robina. – Jedziemy na przejażdżkę?

Wysoki policjant wydawał się miły. Jego błękitne oczy lśniły jak jeziora prostoduszności. „Pitbulterier jest znacznie gorszy” – pomyślał Mike. Wyglądał na uporczywego typu, który potrafiłby wgrzyźć się w ścięgno Achillesa i nie puszczać, jakkolwiek człowiek by nie kopał.

Ale chyba idiotyzmem byłoby spróbować. Bernhardsson i Ström zinterpretowałyby ucieczkę z prowizorycznego aresztu jak przyznanie się do winy. Bynajmniej nie pomogłoby to Robinowi. Czy mógł zadzwonić i ostrzec chłopca? Wyjął komórkę z kieszeni.

– Zapomnij, Mike – uśmiechnął się szyderczo pitbull.

Mike wbił w niego wzrok i wsunął telefon do kieszeni dżinsów. Kiedy położył dłonie z powrotem na udach, zauważył, że drżały. Co, u licha? Całe ciało było jak jeden wielki szybkar, zdolny w każdej chwili wybuchnąć. W uszach słyszał głuchy szum tętna. „Muszę coś zrobić – myślał. – Nie mogę dopuścić, by gliny wycisnęły z Robina ostatnie soki. Jeśli dowiedzą się prawdy, już nigdy go nie zobaczę.”

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Obaj policjanci spoczęli na drewnianych krzesłach tuż przed drzwiami. Wysoki ziewnął znudzony. Pitbull siedział z wyprostowanymi plecami i przymkniętymi oczyma, jakby próbował zabić czas na medytacji, ale nie mógł się do końca wyciszyć.

Mike zaczął nieświadomie szukać tropów. Kim był Nils Ek? Przy wejściu do pokoju stała para kaloszy, pokrytych zaschniętym błotem. Obok leżały zwinięte w kłębek wełniane

skarpety. Na ścianie naprzeciw wycinków z pierwszych stron gazet wisiał plakat zespołu country, o którym Mike nigdy nie słyszał. Bejsbolówka na szafce. Błady jak mumia kaktus w oknie. Mike nie dostrzegł natomiast żadnych fotografii ani innych osobistych rzeczy.

Przez głowę przebiegła mu myśl. Czy Nils Ek, leżący teraz w głębinach, miał także małe zdjęcie w swoim portfelu?

Mike odrzucił ją prędko. Facet był przecież zwykłą mendą. Narzucał się i groził. Próbował dopuścić się szantażu. Poza tym to, że spadł i złamał sobie kark było przecież nieszczęśliwym wypadkiem.

Oby tylko Robin trzymał gębę na kłódkę.

*

Gliniarz o wyglądzie węża usadowił się na tylnej kanapie. Facet w dalszym ciągu nie wypowiedział ani słowa, tylko gapił się ponuro. Do Robina dotarło, że czekał na odpowiedni moment, by wbić mu w szyję swoje zęby jadowe.

Przez krótką chwilę zdawało mu się, że poczuł na karku oddech Bernhardssona. A może był to powiew wiatru od wąskiej szczeliny w bocznej szybie, którą uchyliła Ström?

Policjantka uśmiechała się do niego przyjaźnie. Jedną ręką na kierownicy, drugą na dźwigni zmiany biegów. Wokół niej unosił się zapach skórzanej kurtki. „Grają dobrego i złego glinę” – pomyślał Robin.

– Port? – spytała Ewa Ström i rzuciła okiem w lusterko wsteczne.

– Czemu nie? – odparł jasny głos z tylnego siedzenia.

„Gestapo” – pomyślał Robin, czując przeszywający dreszcz.

Milczenie miało go wystraszyć. Nie był na tyle głupi, by się tego nie domyślić. Miało sprawić, by się spocił, zupełnie tak, jak w telewizji. Najgorszy w tym wszystkim był fakt, że całkiem dobrze im to wychodziło. Pikanie radia policyjnego, szum klimatyzacji, głuchy dźwięk silnika i ciężki oddech Ström.

Wszystko to wprawiało go w cholerny niepokój. Żołądek grzmiał jak burza z piorunami. Kiedy mijali kościół w Benestad, zastanawiał się, czy nie poprosić ich, by się zatrzymali, żeby mógł tam pobiec i skorzystać z toalety, ale postanowił się wstrzymać. Słowa Mike'a dzwoniły mu w uszach: „Nigdy się nie uginaj. Nigdy nie pozwól im zobaczyć, że się boisz.”

Dopiero gdy Ewa Ström odbiła przy wjeździe do Ystad i pozwoliła autu potoczyć się w dół, w stronę terminala promowego, Robin zdobył się na odwagę, by zadać pytanie:

– Dokąd jedziemy?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Po jednej stronie drogi wznosiły się dwie wysokie cysterny paliwowe. Potem minęli rzędy kontenerów, czekających ciężarówek i wagonów kolejowych, na koniec okrążyli wielki skład drewna, po czym Ewa Ström skręciła na nabrzeże i zaparkowała tuż przy jego krawędzi. Zgasiła silnik. Kawalek dalej Robin ujrzał wypływający z portu, biały prom.

– Świnoujście – rzekła Ström.

– Co?

– Prom – wyjaśniła i wskazała głową. – Płynie do Polski.

Robin milczał. Śledził wzrokiem statek, dopóki nie zniknął mu z pola widzenia.

– Nikt nam tutaj nie będzie przeszkadzał – rzekł jasny głos za nim. – Rzadko widać tu kogokolwiek. Zazwyczaj zabieram tu ludzi, kiedy chcę pogadać z nimi w spokoju.

Robin postanowił nie odpowiadać.

– Zastanawia mnie pewna rzecz – rzekł mężczyzna na tylnym siedzeniu. – Gdyby tak mieć zwłoki. Gdzie można by je wyrzucić? Myślałeś kiedyś o tym, Robinie?

– Niee.

Pokręcił niepewnie głową.

– No dalej. To sprawa, nad którą chyba każdy się kiedyś zastanawiał. To znaczy, czysto hipotetycznie. Gdyby zabiło się kogoś przez przypadek. Jak pozbyć się zwłok? Co? Tak, by nikt ich nie znalazł.

Na tylnej kanapie zatrzeszczało i nagle komisarz gapił się

na niego w lusterku wstecznym. Był teraz blisko. Tuż za zagłówkiem. Jego oddech śmierdział dymem papierosowym.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Kim są pozostali chłopcy?

– Którzy?

– Wiesz, o czym mówię, Robinie. Pozostali chłopcy, którzy bawili się w nazistów i rozbijali szyby u Araba. Kim oni są?

Robin wstrzymał oddech. Skąd oni to wiedzieli? Czy Kenny albo któryś z chłopaków sychnął? Co za cholerny cwaniak! Pewnie zesrał się w gacie, ledwo gliny zaczęły go przyciskać.

– Jak to: rozbijali szyby? – wycedził.

– Będzie równie dobrze, jeśli nam powiesz – rzekła Ewa Ström matczynym tonem i położyła dłoń na jego ramieniu. Strząsnęła ją wściekle z siebie.

Wtedy Bernhardsson pochylił się do przodu i rzucił mu na kolana powiększone zdjęcie.

– Rozpoznajesz tego chłopaka?

Nagle w umyśle Robina zapanował mrok. Powrócił do tamtej nocy. Bomby dymne, Ultima Thule w magnetofonie, wydzierający się Kenny i reszta chłopaków, ciężar kostek brukowych i upajający odgłos tłuczonego szkła. Poczł kłucie w oczach i nieświadomie potarł szybko twarz grzbietem dłoni. Potem natknął się na rozbiegany wzrok na fotografii. Jego własne oczy. Pismak nie blefował więc, kiedy groził, że ma na wszystko dowody.

– Wydaje nam się odrobinę dziwne to, że Nils Ek nie opublikował tej fotografii.

Komisarz szeptał niemal do ucha Robina.

– Nie masz podobnego wrażenia?

Robin czuł się jak ofiara węża. Był sparaliżowany. Próbował oddychać najciszej jak zdołał.

– Pomyśleliśmy więc, że może miał inne plany – wysyczał Bernhardsson, nie oddalając się od karku Robina.

Odczekał dobrą chwilę.

– To interesujące, że na zdjęciu widać tylko jedną twarz. Twoją.

Robin powtarzał bezgłośnie swoją mantrę, nie poruszając ustami: „Nigdy się nie uginaj”.

– Oczywiście istnieje także możliwość, że pan Ek zrobił więcej zdjęć tamtej nocy. Fotografii, na których widać, kim są twoi kumple. Jednak nie znaleźliśmy takowych. Ani wśród odbitek, ani na żadnej karcie. Aparat oczywiście zniknął, więc nie można wykluczyć, że nie ma innych fotek. Jednak nie wydaje się to zbyt prawdopodobne.

Björn Bernhardsson zrobił krótką pauzę, jakby chciał dać Robinowi szansę na reakcję.

– Wyobraźmy sobie, że istnieje tylko zdjęcie z twoją twarzą – ciągnął komisarz. – Wtedy powracamy do pytania, do czego reporter zamierzał go użyć?

– Skąd mam to wiedzieć? – wycedził Robin, lecz natychmiast tego pożałował. Lepiej stulić gębę.

Za plecami słyszał, jak Bernhardsson zmieniał pozycję. Zapach tytoniu zdradził, że zapalił cygaretkę. Wąska strużka dymu wiła się w stronę sufitu samochodu.

– Odszukał cię, prawda? Znalazł cię i żądał pieniędzy albo czegoś innego. Nie mam pojęcia, czego on mógł od ciebie chcieć. Ale jestem całkiem pewien, że ten mały, pazerny pismak skontaktował się z tobą, żeby pogadać o tym zdjęciu. I coś się wydarzyło. Sprawy wymknęły się spod kontroli. A potem Nils Ek zniknął nagle bez śladu.

Robin nie odważył się nawet oddychać. „Jeśli otworzę usta, to się wygamam – pomyślał. – Nigdy się nie uginaj. Ten sukinsyn blefuje. On tylko improwizuje. Tak naprawdę nic nie wie.”

Nagle Bernhardsson uderzył z impetem dłonią w tył zagłówek, aż głowa Robina odskoczyła do przodu.

– Odpowiadaj, do ciężkiej cholery!

– Björn! – ryknęła Ewa Ström.

Odwróciła się i spojrzała na swojego szefa.

– Uspokój się, Björn. On jest nieletni.

Komisarz otworzył drzwi auta z poirytowanym warknięciem i wysiadł na nabrzeże. Do środka, wraz z wiatrem, przedostał się

zapach soli i zgniłych wodorostów. Policjant stał długą chwilę nieruchomo i wpatrywał się w kipiela za piersem. Potem okręcił się wokół własnej osi i machnął ręką Robinowi.

– Chodź tutaj.

Ewa Ström skinęła w stronę Robina i wskazała kciukiem drzwi. Chłopak niechętnie wysiadł z samochodu. Od morza wiał zimny wiatr. Kilka mew krzychało nad szarą taflą wody w basenie portowym.

– Widzisz, Robinie – rzekł komisarz przyjaźniejszym tonem. – Czasami dobrze jest ulżyć swojemu sercu. Tamten numer na rynku to przecież nie koniec świata. Oczywiście był głupi. Ale to nic, o czym można by dużo gadać. Nic, czym miałbyś się niepokoić. Natomiast jeśli wiesz, gdzie podział się Nils Ek i nam tego nie powiesz, to już całkiem inna rzecz. Wtedy możesz być oskarżony za współudział w morderstwie. A tego chyba nie chcesz?

Bernhardsson objął Robina poufale ramieniem i pociągnął go w stronę krawędzi nabrzeża. Robin pozwolił się niechętnie prowadzić. Mimo niewielkiej postury, policjant wydawał się mieć sporo siły.

– Twój tata, Mike, jest znany ze swego ostrego temperamentu. Daje się szybko ponosić nerwom. Łatwo wpada w tarapaty. Rozumiemy, że ty tego nie zrobisz. Ale jeśli opowiesz, co dokładnie się wydarzyło, pomożesz nie tylko sobie. Pomożesz także Mike'owi.

Robin zacisnął szczęki. Prowadził rozpaczliwą walkę, by zablokować wszystkie kanały, którymi mogły wydostać się z niego kipiące wewnątrz uczucia. Nie był przecież żadnym kapusiem. Za cholerę się nie ugnie.

Nagle poczuł na karku dłoń Bernhardssona. Szczupły kciuk i cztery miękkie palce. Głaskały go ostrożnie. Kątem oka widział, jak komisarz spogląda na wodę w dole.

– Wiesz ile czasu potrzeba, by ludzkie ciało rozłożyło się w wodzie? Masz o tym jakiegokolwiek pojęcie, Robinie? Lata. Jeśli zatopi się zwłoki, to najpierw puchną jak balon. Brałem udział w wyławianiu wielu takich. Potwornie cuchną. Potem mięso

zaczyna gnić i odpadać. Oczywiście, jeśli wcześniej nie zjedzą go ryby. Lub kraby. Nie potrafią sobie jednak poradzić ze szkieletem. Z kośćmi. Musi upłynąć cholernie dużo czasu, zanim znikną.

Uścisk na karku Robina twardniał. Początkowo tylko odrobinę, ledwo zauważalnie. Potem bardziej stanowczo. Kciuk uciskał miejsce tuż pod uchem. Palce wskazujący i środkowy wygięły się jak szpony. Robin poruszył się w miejscu, lecz sprawiło mu to tylko jeszcze większy ból.

– Jeśli natomiast zakopie się zwłoki, cały proces przebiega inaczej. Robaki pełzają tam i z powrotem. Kiedy się je usunie, ciało wygląda naprawdę paskudnie.

– Nie mogę oddychać – wysapał Robin.

Jednak zamiast zwolnić uchwyt, Bernhardsson ścisnął jeszcze mocniej. Robin poczuł zawroty głowy. Nagle tamten pochylił jego głowę do krawędzi nabrzeża i chłopak był zmuszony patrzeć prosto w wodę.

– Czy tak zrobiliście? – wysyczał komisarz. – Ty i twój ojciec? Zatopiliście pismaka w morzu, gdy go zabiliście? A może zakopaliście go na pożarcie robakom? Odpowiadaj, do jasnej cholery, ty pieprzony gówniarzu!

– Wystarczy, Björn!

Ewa Ström stała w rozkroku przed samochodem i wyglądała tak, jakby zastanawiała się, czy nie wyciągnąć swojej broni. Bernhardsson ścisnął szyję Robina po raz ostatni z wściekłym przekleństwem, a następnie pchnął go tak, że chłopak upadł jak długi na asfalt, pokryty drobnymi kamyczkami.

Poczuł pieczenie w dłoniach. Oślepiiony łzami, przyłożył mocno czoło do ziemi. Nie ugiąć się. Nie stracić głowy, teraz, gdy już prawie udało mu się przez to przejść.

– Idź do samochodu, Robinie – usłyszał chłodny głos Ewy Ström.

Powoli i z trudem stanął na nogi. Strzepnął trochę brudu z kolan. Siedząc w aucie, oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

Za otwartych drzwi dobiegała go ich cicha rozmowa.

- On coś wie. Jestem pewien, że on coś wie.
 - W ten sposób niczego z niego nie wydobędziesz.
 - On coś wie... On i jego ojciec.
 - Nie mamy żadnych konkretów. Tylko to zdjęcie, ale na dłuższą metę nie wystarczy ono za dowód.
- Po chwili ciszy komisarz znowu zabrał głos.
- Musimy załatwić rewizję w domu tego świra, u którego mieszkają.

Rozdział 27

To bardziej instynkt niż rozum zmusił Mike'a do uciezki. Kiedy pojawiła się okazja, zareagował odruchowo.

Siedział już długą chwilę przy biurku martwego dziennikarza, patrząc na dwóch ziewających policjantów, którzy go pilnowali. Ciśnienie w czasie rośnie z każdą tykającą minutą. W końcu było to nie do zniesienia. Odnosił wrażenie, że między jego uszami wisiał brzęczący przewód wysokiego napięcia. Im mocniej pocierał kłykciami skronie, tym bardziej był rozsierdzony. Ponadto w jego duszy ciągle wołał przerażony głos: „Muszę skontaktować się z Robinem, zanim policja go złamie!”

Przed oczyma widział Björna Bernhardssona dokręcającego zgniatacz kciuków na palcach chłopca. Bezlitosne światło lampy do przesłuchań bijące prosto w twarz. Zatrzaskiwane drzwi do aresztu. Samotność w mroku. „On temu nie podoła – myślał zrozpaczony Mike. – Jest przecież tylko dzieckiem.”

Możliwość nadarzyła się, gdy w kieszeni policjanta o wyglądzie pitbulteriera zadzwoniła komórka. Funkcjonariusz rzucił Mike'owi surowe spojrzenie, po czym wstał i odebrał z warknięciem. Nagle w postawie jego ciała zaszła jakaś zmiana. Ramiona opadły. Zniknęła czujność i zastąpił ją niepokój. Odwrócił się twarzą do szafki katalogowej i mamrotał coś subtelnie, lecz niesłyszalnie. „To jego żona” – pomyślał Mike.

Zdawało się, że wysoki policjant niemal zasnął, oparty plecami o futrynę drzwi. Drewniane krzesło balansowało groźnie na dwóch nogach. Pod górną wargą mężczyzny, porośniętą rzadkim zarostem, odznaczało się wybrzuszenie

utworzone przez porcję tytoniu. Zakołysał się lekko i mlasnął z zamkniętymi oczyma. Obliznął językiem kącik ust i odegnał muchę, która jakimś cudownym trafem zdołała przeżyć jesienne chłody.

Może to właśnie widok ospałej muchy wywołał odruch u Mike'a. W ułamku sekundy synapsy w rdzeniu kręgowym połączyły się w sposób tak typowy dla jego charakteru.

Rycząc jak jurny byk, rzucił się naprzód i ugodził wzdychającego tęsknie pitbulla w plecy tak, że policjant wpadł bezwładnie na blaszaną szafkę. Potem wykonał piruet godny Bruce'a Lee i wymierzył w locie kopnięcie karate prosto w krzesło drugiego funkcjonariusza. Dwie nogi, na których stał mebel, osunęły się, a policjant pogrążony w błogim śnie wyśladował na podłodze ze zdumioną miną.

Mike nie marnował czasu. Przeskoczył nad leżącymi policjantami i wypadł z redakcji. Z ich przekleństwami dzwoniącymi w uszach puścił się biegiem na oślep. Nie troszcząc się o to, że ludzie na rynku gapią się na niego, przemknął jak zjawa po bruku obok budki z jedzeniem i samotnego sprzedawcy warzyw, oddalając się w stronę przejścia kolejowego. Tam zdołał w ostatniej chwili zrobić unik pod szlabanami, które opadały powoli przy akompaniamencie dzwonek, sygnalizujących nadjeżdżający pociąg z Ystad, potem skręcił gwałtownie po drugiej stronie torów, by nie przewrócić spacerującej matki z wózkiem, a następnie zawinął sprintem na rogu obok księgarni i popędził z płonącym sercem w stronę dworca kolejowego. Dopiero, gdy zatrzymał się za budynkiem stacji, przed dyskontem Bo Ohlsson, dotarło do niego, że nie miał pojęcia, dokąd zmierzał.

„Cholera, pobiegłem w złym kierunku” – pomyślał, stojąc zgięty w pół z rękami na udach i dysząc tak, że z płuc wydobywał się świst.

„Zastanów się, Mike! – syknął zdesperowany głos w jego wnętrzu. – Spróbuj pomyśleć choć raz w swoim zasranym życiu!” Jeżeli Robin poszedł rano do szkoły, policja już go znalazła. Jedyna nadzieja w tym, że chłopak zwagarował. Było już

za późno, by wrócić po samochód, który Mike zaparkował przed marketem. Drżącymi rękoma wyszperał z kieszeni komórkę.

Padła. Bateria się rozładowała. Ze wściekłym rykiem cisnął telefon o asfalt, tak że obudowa roztrzaskała się na tysiące okruchów, a elektronika rozsypała się na chodniku.

W tym momencie usłyszał głos za plecami:

– Mike!

Okręcił się do tyłu, gotowy do walki.

– Wanja!

W pierwszej chwili miał pustkę w głowie. Spoglądał na obie kobiety, nie mogąc poukładać sobie w umyśle tego, co widział. Jego stara, dzika Wanja. Razem z tą dziwną osobą, która weszła na złomowisko u Borysa. Kobieta, której twarz zaczerwieniła go w tłumie na torze motocrossowym.

– Jak zwykle zły – rzuciła Wanja i uśmiechnęła się kąśliwie.

Mike gapił się na nie bez słowa. Wodził bezradnie wzrokiem pomiędzy swą dawną miłością i tą osobliwą kobietą. Tak jak poprzednim razem, zobaczył, jak odgarniała z rozkojarzeniem pasemko włosów z białego czoła. Maleńkie zmarszczki przy ustach zadrgały. Czy tak się uśmiechała? A może była tylko przestraszona? Może chciała mu coś powiedzieć?

Robin.

„Muszę pędzić do domu i go ostrzec.”

Mike odwrócił się bez słowa i zaczął biec.

Długo stały w miejscu, odprowadzając wzrokiem plecy krępej postaci truchtającej wzdłuż drogi.

„Jest w nim jakaś bezradność” – pomyślała Amela.

Za pierwszym razem ją wystraszył. Pamiętała to dokładnie. Świdrował ją dużymi, szaroniebieskimi oczyma, gdy już zrozumiał, że zepsuty tłumik był kłamstwem. Jej ręce drżały na kierownicy, kiedy wyjeżdżała ze złomowiska. Jego wzrok palił w kark. Ragnhild także sporo jej opowiedziała. „Amelo, trzymaj się od niego z daleka – mówiła staruszka. – Prześladuje go pech.”

Jednak w tych oczach było coś innego. Jakaś bezradność, jakby ten człowiek nigdy nie mógł do końca zdecydować o swoim losie.

Mike.

Poruszyła niezauważalnie ustami, gdy ujrzała, jak znika za ceglanym budynkiem domu spokojnej starości.

– To takie dziwne! – wybuchła Wanja. – Człowiek nie widział go całą wieczność, aż nagle zostaje przez niego niemal przewrócony na ulicy. Wyglądał na całkiem opętanego.

– Znasz go?

– Cóż, można tak powiedzieć.

Amela przyjrzała się badawczo przyjaciółce, która w dalszym ciągu wypatrywała Mike'a w głębi ulicy. W jej głosie słychać było gorz.

– Kim on jest?

– Największym pieprzonym nieszczęściem na tej ziemi – odparła Wanja. Prychnęła i uśmiechnęła się pod nosem. – Choć całkiem zabawnym nieszczęściem.

– Jak...?

– Byliśmy ze sobą – przerwała szybko Wanja. – Przez pewien okres myślałam, że na serio coś z tego będzie.

– Ty i on?

– Wydaje ci się to dziwne?

Amela nie odpowiedziała, tylko podniosła z ziemi czerwono-białą torbę z zakupionymi przed chwilą podgrzewaczami, którą upuściła w popłochu na widok Mike'a. Ruszyły spacerem w stronę centrum. Przed dworcem kolejowym stali dwaj starsi mężczyźni z czerwonymi uszami, wystającymi spod czapek z daszkiem. Czekali na autobus. Wyglądali na zmarzniętych. Ich oddechy tworzyły cienkie obłoczki pary. Wiatr ustał, lecz powietrze było zimne i dżdżyste. Amela żałowała, że nie wzięły samochodu.

Czy wydawało się to dziwne? Zastanawiała się, co to miało oznaczać. Wanja i... Mike. Może mimo wszystko nie.

– Nie mogłabyś mi o nim opowiedzieć? – zapytała, gdy zatrzymały się przed sklepem odzieżowym. Spojrzała

na przyjaciółkę w niewyraźnym lustrze szyby wystawowej. Wydawało się, że myśli Wanji odpłynęły do jesiennych trendów, jak gdyby zapomniała już o spotkaniu z Mikiem. W Ameli wezbrała fala irytacji. „Kurzy mózdzek! Czy choć raz nie mogłaby skupić się na jednej myśli dłużej niż przez pięć sekund?” W końcu Wanja podniosła wzrok.

– Chodź! Napijemy się kawy w cukierni, to dowiesz się wszystkiego.

Kiedy usiadły przy jednym z okrągłych stolików zdawało się, jakby Wanja chciała zdręczyć jej ciekawość.

Filizanki parowały. Amela objęła swoją dłońmi, aby ogrzać palce. Wanja podmuchała herbatę z dzikiej róży, a następnie wymieszała energicznie cukier, tak że łyżeczka zadzwięczała o porcelanę.

– No?

Wanja uśmiechnęła się szyderczo.

– Okropnie jesteś ciekawa...

– To oczywiste, że robię się ciekawa, kiedy wpadamy na twojego byłego chłopaka, który zachowuje się jak idiota. Czego się spodziewałaś?

– Patrzył na ciebie. Długo. Widziałaś? Wyglądał, jakby cię znał.

– Tak? Nie zauważyłam.

Amela zaśmiała się fałszywie.

– Wiesz, to dla mnie żadna nowość, że chmara facetów ślini się na mój widok.

Wanja zawiesiła na niej wzrok, jakby nie dała się przekonać. Potem odwróciła się do okna i spojrzała na opustoszałą ulicę. Narysowała w roztargnieniu serduszko na zaparowanej szybie. Potem prychnęła sama na siebie i zmasała je szybko łokciem. Spojrzała na Amelę.

– Mieliśmy po jakieś dwadzieścia lat i można powiedzieć, że byliśmy parą. W każdym razie przez jakiś czas. Ja pracowałam w salonie fryzjerskim niedaleko parku rozrywki. Jest już

od dawna zamknięty. Mike zastępował kogoś od czasu do czasu w firmie świadczącej usługi rolnicze. Jednak nie przejmował się szczególnie pracą. Twierdził, że ma większe plany.

Zaśmiała się do siebie.

– W tamtym czasie mu wierzyłam. Był dziki. Ostro imprezowaliśmy i pamiętam, jaką miał energię. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, był niemal zdesperowany. Gaz do dechy i szybkie życie – w to mu graj. Niektórzy go nienawidzili. Ja uważałam, że nie można się mu było oprzeć. W każdej chwili mogło się wydarzyć cokolwiek. Pewnego razu przyjechał do mnie wielkim, lśniącym chevroletem. Krzyknął: „Wskakuj, jedziemy do Paryża! Jesteśmy Bonnie i Clyde.” Ależ to była wolność! Zostawić za sobą całe to gówno i czuć wiatr we włosach. Dokładnie tak, jak na filmach. Oczywiście nie zorientowałam się, że Mike ukradł ten samochód pewnemu szpanerowi z Ystad. Spędziliśmy w Paryżu fantastyczny tydzień. Zapraszał mnie do wytwornych restauracji, piliśmy szampana. Potem pieniądze się skończyły i musieliśmy wracać do domu autostopem. Wydaje mi się, że sprzedał tego chevroleta jakiemuś Francuzowi. W każdym razie przez dobrą chwilę bał się kolegów tamtego gościa z Ystad.

W zamyśleniu zbliżyła filiżankę do ust.

– Ale było w nim coś mrocznego.

– Mrocznego?

Wanja otuliła szczelniej szyję futrzanym kołnierzem płaszcza, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

– Tak, właściwie był całkiem samotny. Nie miał rodziców ani krewnych. Tylko tego świra, u którego mieszkał w Tomelilla.

– Świra?

– Prawdziwy cudak. Wydaje mi się, że miał na imię Rolle. A raczej ma na imię, bo chyba nadal mieszka w tym wielkim domu, który odziedziczył po swoich rodzicach. Jego ojciec był właścicielem fabryki podgrzewaczy i posiadał spory majątek. Plotka głosiła, że w domu był tyranem. Może dlatego syn wyrósł, na kogo wyrósł. Rolle był prawdziwym odludkiem. Widziałam go tylko kilka razy. Ale on i Mike byli jak bracia.

Wydaje mi się, że z jakiegoś powodu Mike czuł się odpowiedzialny, by się nim zajmować. Pamiętam, że raz spróbowałam zażartować na temat Rollego. Nazwałam go psychopata czy jakoś tak. Mike momentalnie wpadł w szal. Oczy dosłownie mu płonęły. Myślałam nawet, że mnie uderzy.

Wanja umilkła i zdawała się odpływać myślami za okno. Amela wahała się. W jej głowie wyłoniło się nagle pytanie. „Dlaczego tak bardzo chcę wiedzieć, kim jest ten człowiek?” Szybko je zagłuszyła.

– Czy bywał agresywny?

Na te słowa Wanja wzdrygnęła się, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

– Dlaczego pytasz?

Amela poczuła, że się czerwieni, choć w rzeczywistości nie miała do tego powodów. Ależ to było irytujące. Na ustach Wanji pojawił się znowu tamten szyderczy uśmieszek. Tarmosiła z roztargnieniem dyndający kolczyk.

– Amelo, przyznaj, że go już spotkałaś. Prawda? Natknęłaś się gdzieś na niego, co nie? Urzekł cię jego urok. W przeciwnym razie nie byłabyś tak zainteresowana. Tylko mi nie mów, że zlecono ci u niego sprzątanie, poszłaś i się zakochałaś!

– Nie, nie. To nie tak.

Amela potrząsnęła mocno głową.

– Dobra, spotkałam go. Raz. Musiałam wymienić tłumik w aucie i pojechałam na złomowisko w Spjutstorp. On tam pracował. Zachowywał się bardzo... dziwnie.

– I poleciałaś na jego piękne oczy?

Nagle w głosie Wanji pojawiło się coś gorzkiego, niemal złowrogiego. Szperała w torebce z poirytowaną miną, w końcu znalazła gumę nikotynową, którą wsadziła do ust. Długą chwilę żuła mocno i mechanicznie, patrząc na Amelę. Potem jakby doszła do wniosku, że powinna współczuć przyjaciółce. Położyła poufale ręce na jej dłoniach i zniżyła głos.

– Mike był niespokojną duszą. Musisz wiedzieć, że wielu się go bało. Miał diabelski temperament. Dawał się szybko ponosić nerwom i potrafił być bardzo agresywny. Mnie nie uderzył

nigdy. Nie jest damskim bokserem, to trzeba mu przyznać. Ale gdziekolwiek się znalazł, zawsze pakował się w jakąś drakę. Wiedziałam, że zajmował się trochę podejrzanymi sprawami. Początkowo mnie to za bardzo nie obchodziło. Ale w końcu stało się dosyć uciążliwe.

Umilkła na chwilę. Westchnęła, jakby z powodu jakiejś bardzo smutnej rzeczy, którą chciała zarówno zapomnieć, jak i pozostawić w pamięci.

– Ogarniał mnie coraz większy strach. Jego zachowanie było autodestrukcyjne. Zorientowałam się, że powoli, ale skutecznie zacznie się wyniszczać. Mnie także, jeśli z nim nie zerwę. Miał przecież tak wielkie plany. Ciągłe się tym chwalił, ale nigdy nie chciał powiedzieć, co to było. Pewnego razu przyszedł do mnie w środku nocy. W pierwszej chwili pomyślałam, że jest pijany, ale to nie było to. Był raczej jakby upojony czymś innym. Potwornie się z czegoś cieszył. Powiedział: „Wanja, teraz jestem niewyciężony.” Użył właśnie tych słów. Najpierw po prostu się z niego zaśmiałam. Ale on obstawał przy swoim. „Teraz nie dopadnie już mnie żaden skurwiol – upierał się. – Teraz jestem na prostej drodze do szczytu.”

Wanja pociągnęła lekko nosem. Utoczyła z gumy niewielką kulkę między paznokciami i wrzuciła ją do filiżanki po herbacie.

– Chciał mi coś pokazać. Żebym zrozumiała, że mówił poważnie. To był rewolwer. Czarny rewolwer. „Już się ze mnie nie śmiejesz” – powiedział. Pamiętam, że kiedy go do mnie wyciągnął i spytał, czy nie chcę go dotknąć, ogarnęło mnie śmiertelne przerażenie. Gdy krzyknęłam, że nie chcę go więcej widzieć, miałam wrażenie, jakby z jego twarzy spadła maska. Był zupełnie nagi. Bezradny, jakby niczego nie rozumiał.

Amela skinęła powoli. Ścisnęła dłonie Wanji. Przed oczyma widziała tego dziwnego mężczyznę. Dużego i groźnego. A jednocześnie tak bezradnego. I myślała o zawiniątku, które Ragnhild wydobyła z zamkniętej na klucz szafki w regale. O rewolwerze w cuchnącej smarem szmatce.

– Wtedy widziałam go po raz ostatni – rzekła Wanja i wstała od stolika. – Potem pojechał chyba do Malmö.

*

Basen był jak otwarty grób. Kiedy grabarze w końcu go zasypią, nikt nie będzie w stanie go znaleźć.

Jesienne liście zdmuchnięte z drzew w parku rozrywki tworzyły wysokie zasy na dnie. Butwiały, zmieniając kolor z żółtego i czerwonego na brązowy i czarny. Wokół niego unosił się zapach wilgoci i śmierci.

Zgarnął więcej liści na nogi i brzuch, potem oparł głowę z powrotem o twarde kafelki. To rzeczywiście grzało. Trochę więcej pod kark, żeby mieć miękkie podparcie. Mokry dotyk na policzku. Słyszał, jak coś poruszało się przy jego uchu. Może robaki. Chrząszcze lub inne owady. Robina nie obchodziło, co to było. Spoglądał na wieżę do skoków, białą i odrapaną na tle szarego nieba.

Wiedział, że ona przyjdzie. Czuł to instynktownie. Policjanci wypuścili go przed szkołą. Nie powiedzieli wiele więcej. „Odezwiemy się. Puść sygnał, jeśli przyjdzie ci na myśl coś, o czym chciałbyś nam powiedzieć.” Ström dała mu kartonik z numerem telefonu.

Chodziło im oczywiście o Mike'a. Robin próbował się do niego dodzwonić, ale stary miał wyłączoną komórkę. Cały ojciec.

„Powinienem pojechać do domu – pomyślał wtedy. – Sprawdzić, czy on tam jest. I pogadać z Rollem.” Ale zmienił zdanie. Może policjanci obserwowali dom. Nabraliby w stosunku do Mike'a jeszcze więcej podejrzeń. Zamiast tego zabrał swój rower ze stojaka pod schodami szkoły. Wtedy zobaczył, że Linda wyszła właśnie ze sklepiku.

Zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie, jak mógł wyglądać widziany z góry, z brzegu basenu. Biała twarz w morzu na wpół zbutwiały liści. Tonąca. Liczył w głowie sekundy. Ile czasu zajmie jej przedarcie się przez dziurę w płocie i wykombinowanie, gdzie się ukrył? Wychłodzona przebieralnia. To tam wślizgnie się najpierw. Budka ratownika, choć była

pewnie zamknięta. Kiosk – zaryglowany. Wkrótce spojrzy za brzeg basenu i zobaczy, że Robin jest bliski utonięcia.

Otworzył oczy. W górze, tuż pod chmurami szybował czarny ptak.

– Umarłeś?

Zeszła już z drabinki. Stała na brzegu obniżenia prowadzącego do głębszej części basenu i przyglądała się mu. „Woda sięgałaby jej tam do piersi” – pomyślał Robin w swym grobie w głębinie. Dziewczyna usiadła i ześlizgnęła się w dół po kafelkach.

– Chciałeś, żebym za tobą pojechała, co nie?

– Uhm.

– Ciągłe cię ścigają?

Robin zaczął nasłuchiwać odgłosu motocykli. Morze liści szumiało i szeleściło.

– Nie wiem.

Kenny i jego kumple. Czy powinien był powiedzieć o nich policji? Czy mógł porozmawiać z Lindą o wszystkim innym? Zredukować ciśnienie. Rozproszyć ból głowy. W środku wszystko tak wibrowało. Gdy tylko zamykał oczy, atakowały go obrazy. Mały mężczyzna wyciągnięty na żwirze u stóp kamiennych schodów, z rękami rozłożonymi, jakby chciał robić aniołki. Kałuża krwi pod karkiem. I czarna woda w kamieniołomie, połykająca go zachłannie. Spojrzał na Lindę. Jak by to było, gdyby nagły huragan zmiotł wszystkie liście z całego świata do tego basenu i pogrzebał ich razem? Robin usiadł prędko.

– Gliny zgarnęły mnie ze szkoły – powiedział.

– Słyszałam.

– Naprawdę?

– Mnóstwo się o tobie mówi. Na przykład prawie wszyscy wiedzą, że brałeś udział w rozbijaniu okien u Araba. Z Kennym i resztą.

– Jakie to popieprzone. Nie kumam już...

Robin umilkł w środku zdania.

– Jak ci poszło z matką, kiedy wróciłaś do domu? – spytał po chwili ponuro.

Linda uśmiechnęła się gorzko i zaczęła szperać w swojej torbie. Zmięty papierek i kilka brązowych okruszków w małym foliowym woreczku. Zwinęła to w krzywego papierosa i zapaliła. Zaciągnęła się głęboko i spojrzała na chmury. Słodki, mdły zapach zmieszał się z liśćmi.

– Spoliczkowała mnie. Potem nie gadała ze mną przez cały weekend. Chcesz?

Nie odpowiedział, opadł z powrotem na plecy. Linda oparła się na łokciu. Jej oczy lśniły.

– Powinniśmy po prostu zwiać – powiedziała. – Jak Thelma i Louise. Widziałeś to? One mają wszystko gdzieś. Ciągłe dostają łanie od swoich facetów. Więc pryskają i rabują banki. Są zajebiste. Na końcu, kiedy ścigają je gliny, pieprzą wszystko i zjeżdżają z urwiska.

– Umierają?

– Tutaj film się kończy. Samochód leci w powietrzu. Można samemu rozstrzygnąć. Widziałam to mnóstwo razy. Czasem myślę, że lądują na miękkim zboczu pokrytym zieloną trawą i po prostu jadą dalej. Choć z drugiej strony każdy chyba rozumie, że istnieją tylko twarde skały.

– Ja na sto procent wjechałbym prosto w jakiś jebany słup telefoniczny – wybąkał Robin.

Linda zaśmiała się i położyła głowę na jego ramieniu.

– Dlaczego tutaj leżysz?

– Ładnie pachnie.

– Uhm.

– A poza tym, no nie wiem... To jest takie miejsce, w którym można pomyśleć. Posiedzieć w spokoju. Przyjeżdżałem tu, kiedy Sune...

– Co?

– Ee, nic.

Umilkł. Upokorzenie w piwnicy. Mężnie zdławił ból. Musi trzymać przeszłość na dystans.

– Kim jest Sune?

– To dupek, u którego wcześniej mieszkałem. Zanim wrócił Mike.

Wziął jointa z jej palców i napełnił płuca przesyconym niepokojem dymem. Długą chwilę leżeli zupełnie spokojnie, wsłuchując się w ciszę. Czarnego ptaka nie było już widać.

– I działa?

– Co?

– Myślenie, tu na dole.

Wypuścił z ust obłok, który zawisł nad ich głowami jak ciężka, mdląca mgła.

– Najtrudniejszą rzeczą są dla mnie słowa.

– Jak to?

– To dziwne. Najczęściej w głowie mam tylko jedną, wielką miazgę. Ale czasami wydaje mi się, jakby tam w środku udawało mi się coś połączyć. Jakby rzeczy lądowały na swoim miejscu. Są krótkie momenty, kiedy dokładnie rozumiem, o co mi chodzi. Ale potem, kiedy mam to wyjaśnić... Kiedy mam powiedzieć to głośno, słyszę, jak powstają w tym dziury. Niektóre słowa znikają. Sam nie rozumiem, co mówię.

Zerknął niespokojnie na Lindę.

– Potem widzę, jak ci, z którymi gadam, też gówno z tego rozumieją. Gapią się tylko, jakbym był jakimś idiotą.

Linda leżała zupełnie nieruchomo, jakby chciała, by słowa, które wypowiedział, spokojnie osiadły. W kopcach wokół nich syczało i szeleściło. Wtem znad wieży do skoków dobiegło ich krakanie. Były teraz dwa. Czarne cienie na szarym oceanie nieba.

Hugin i Munin. Rolle powiedział, że tak się nazywały. Jeden mądry, a drugi odważny.

– Dokładnie rozumiem, co masz na myśli – rzekła cicho Linda.

*

Chory kasztanowiec rozcapierał gołe, guzowate gałęzie ku niebu niczym stara wiedźma, próbująca uchwycić ręką chmury. Brązowe liście przykrywały podmokły trawnik. Pod odrapaną ścianą domu kępy barszczu wyrastały niczym równe

szeregi kościotrupów.

Ciemno i głucho.

Mike nasłuchiwał. Przejeżdżający przed momentem wóz policyjny zmusił go do ukrycia się za murem starej kuźni. Tropili go już jak zwierzę. Czy dopadli Robina?

Kiedy droga wreszcie wydawała się wolna, przeszedł przez ulicę, wspiął się kilkoma susami po kamiennych schodach i otworzył drzwi. W domu było cicho.

– Halo?! Jest tu kto?

Ani skrzypnięcia. Czy ktoś czyhał na niego w mroku? Wstrzymał oddech.

Wtedy usłyszał przeciągłe, udręczone chrapnięcie, które przeszło w urywany charkot, niewiele różniący się od odgłosu traktora, któremu kończyło się paliwo. Nagle silnik zgasł.

Rolle leżał na kanapie w salonie. Miał zamknięte powieki i koc na nogach. Przez żaluzje sączyło się szare światło, które odbijało się smutnym, matowym blaskiem od plastikowych kulek na choince. Na stole leżały pootwierane pudełka, rozrzucone tabletki i pusta puszka po piwie. Potężnego mężczyznę otaczał zgniły zapach. Jego twarz była bladożółta, a do skroni przykleiło mu się kilka mokrych od potu pasemek włosów.

– Rolle! Obudź się, do diabła!

Mike potrząsnął nim mocno.

Policzki Rollego zatelepały i mężczyzna otworzył oczy. Spowijała je mleczna błona.

– Mike? – wybełkotał, jakby nie miał pewności, czy śnił, czy był na jawie.

– Widziałeś Robina? Muszę się z nim skontaktować. I to już.

Rolle podniósł się na kanapie z ogromnym wysiłkiem i rozejrzał się wkoło.

– Co się stało?

– Gliny mnie ścigają. I chcą gadać z Robinem. Dowiedzieli się, że ten dziennikarz tu był.

– Ale jak...?

Zdezorientowany Rolle podrapał się po głowie i mlasnął

bezradnie językiem o suche podniebienie.

– Cholera, ale mi się chce pić – jęknął.

– Pieprzyć jak! – wykrzyknął desperacko Mike. – Muszę skontaktować się z Robinem i go ostrzec – błądził wzrokiem po pokoju, jakby był tu po raz pierwszy. – Gdzie w tym domu jest telefon?

Rolle zamrugął smutno oczyma.

– Nie ma. Odcięli kilka lat temu.

– A twoja komórka?

Jedyną odpowiedzią było wzruszenie ramionami.

– Nie mam. Kto miałby do mnie dzwonić?

– Kurwa, kurwa, kurwa! – Mike walnął pięścią w blat stołu i rzucił się tyłem na fotel.

Kiedy Rolle wstał z kanapy, rozległo się trzeszczenie. Rzucił okiem na Mike'a i poczłapał do kuchni. Gdy wrócił, trzymał w dłoni wazon na kwiaty wypełniony po brzegi wodą.

– Nie było żadnego czystego naczynia – bąknął usprawiedliwiająco.

– Co za szajsu się najadłeś? – spytał Mike i trącił butem jedno z pustych pudełek na stole.

– Eee, tylko trochę leków. Na nerwy.

Zrobił dwuznaczną minę i zaczął łykać wodę, tak że jabłko Adama w jego gardle wędrowało w to górę, to w dół. Gdy opróżnił wazon, prychnął jak wieloryb i wytarł usta rękawem swetra. Jego wzrok z miejsca zrobił się odrobinę jaśniejszy.

– Pomyślmy. Skąd policja wie, że pismak tu był?

– Ten sukinsyn zrobił zdjęcie Robinowi. Policja znalazła je w redakcji. Robin był z bandą, która rozbiła szyby temu Arabowi z pizzerii na rynku. W środku nocy. Przebrani za jakichś nazi...

Mike westchnął z rezygnacją.

– Niedobrze – rzekł Rolle po namyśle.

– Może gliny niczego nie wiedzą. Ale podejrzewają, że gryzmoła próbował wyłudzić od Robina pieniądze. Ibże ja go zabiłem. Albo Robin – Mike spojrział szybko na przyjaciela. – Albo ty.

W pokoju zapadła pełna niezdecydowania cisza. Obaj przyjaciele patrzyli pusto przed siebie. Za oknem zaczęło się już ściemniać. Wydawało się, że na dworze jest zimno.

Po chwili Rolle zdjął ostrożnie jedną plastikową kulkę z choinki i uniósł ją przed siebie pod światło, jakby była szklaną kulą. Nagle rzekł przytłumionym głosem, spowitym woalem mądrości.

– Jedyne, co możemy zrobić, to wszystkiemu zaprzeczyć. Policja nie wie niczego. Zgadują i liczą na to, że się skompromitujemy. Robin to twardej. Wie, co ma mówić.

Mike spojrzał boleśnie na przyjaciela.

– Jest jeszcze jedna rzecz... – odchrząknął zażenowany. – Dałem plamę. Gliny mnie złapały. I spanikowałem, kiedy pomyślałem o Robinie. Więc rzuciłem się na dwóch strażników i uciekłem.

– Uciekłeś?

– No...

– Oj, niedobrze. Bardzo niedobrze.

Rolle zawiesił ostrożnie kulkę na choince. Kilka suchych igieł opadło bezgłośnie na podłogę.

– Czyli policja tu przyjdzie – rzekł poważnie. – Nie możesz więc pozostać w domu.

*

Właśnie miał się zacząć program, gdy usłyszała jego wołanie z piwnicy.

– Gunborg!

„Tak wcześnie” – pomyślała. Jak zwykle wydawał się być w złym humorze.

Ostrożnie wydobyła z miski czekoladkę, odwinęła papieraś i włożyła ją do ust. „Jeśli nie będę robić hałasu, może znajdzie sobie coś innego do roboty.” Uniosła filiżankę i napiła się kawy. Czekolada pysznie rozpływała się w ustach. Jednak w żołądek wgryzał się już niepokój.

– Gunborg!

Połknęła w ciszy pralinę i wstrzymała oddech. Siedziała zupełnie nieruchomo na kwiecistej kanapie przed telewizorem. Prowadzący miał nową marynarkę. Wydawał się taki miły. Żywiłowy i wesoły. Ale powinien mieć pod spodem porządną koszulę, nie ten pstrokaty sweter.

– Witam w programie „Jeden z dziesięciu”! – rzucił triumfalnie. Kamera przesunęła się po twarzach uczestników. Muzyka. Światła w studio zamigotały.

Słuchała w napięciu.

– Mats! Jak nazywa się rzeka płynąca przez Londyn?

– Tamiza – wymamrotała pod nosem.

– Tamiza – odpowiedział rudzielec o imieniu Mats. Ping! – zabrzmiało w telewizorze.

Przeszedł ją dreszczyk radości. Ale przecież to było banalne. Rzuciła szybko okiem za okno. Ciemność zapadła dawno temu. Wydawało się, że na zewnątrz jest mgliście i zimno. Wzdrygnęła się. W oknie kuchennym u sąsiada paliło się światło. Ktoś poruszał się za zasłonką. „Ciekawe, czy mnie u nich słychać, kiedy nie mogę powstrzymać krzyku? – pomyślała. – To chyba niemożliwe.”

– Mario, co jest głównym składnikiem rosyjskiej zupy o nazwie barszcz?

„Czerwone buraki” – pomyślała.

– Czerwone buraki – odparła kobieta imieniem Maria, nauczycielka z Säfte. Ping!

Następnego pytania nie usłyszała, bo teraz wrzasnęła ze schodów:

– Gunborg! Gdzie się, do cholery, podziewasz?

Wzdrygnęła się i poczuła ogarniający ją strach. Nie potrafiła go już dłużej tłumić. Mężczyzna zbliżał się. Kroki brzmiały ponuro i ciężko. Słuchała bicia swojego serca. Fala mdłości przebijała się do gardła. Jak tyle razy wcześniej myślała o chłopcu. Zamknęła mocno oczy. Sumienie nękało ją z jego powodu. Dręczyły wspomnienia. Za każdym razem słyszała przecież uderzenia. Ale chłopiec prawie nigdy nie krzychał. Właściwie co miała robić? Odkąd zniknął z domu, jej położenie

jeszcze bardziej się pogorszyło. Teraz była już tylko ona. Teraz Sune miał już tylko jedną osobę, na której mógł wyładować swoją złość.

Stał w drzwiach. Zwisające, owłosione ramiona. Podkoszulek cuchnący potem.

Przez jej strach przedarła się szybka myśl: „Czy kiedykolwiek kochałam tego człowieka?”

– Proszę, proszę, siedzisz sobie tutaj i opychasz się czekoladą. Pukwa!

Spojrzała na niego. Trzęsła się na całym ciele. Przygotowywała się, by nie czuć absolutnie nic.

Rozdział 28

Mgła podpełza o zmierzchu. Na razie można ją tylko przeczuwać. Cienkie welony snują się między grobami. Zimny oddech Boga rozściela się na granicie jak błona. Bukszpan pobłyskuje. Krety kulą się pod ziemią, gotowe, by rozpruć nowe kopce, gdy zapadnie noc.

Trawa jest już mokra. Wilgoć wdziera się do butów, lecz Mike tego nie zauważa. Jest zmęczony. Tak potwornie zmęczony błąkaniem się wkoło, jak pokutująca dusza. Na jego czaszkę spadają krople z gałęzi czerwonego buku. Ciężkie krople, dudniące w głowie.

Na cmentarzu jest pusto. Nie widać ani żałobników, ani zbłąkanych dusz. „Muszę odpocząć – myśli Mike. – Muszę znaleźć miejsce, w którym będę miał czas pomyśleć.”

Ostrożnie bada drzwi kościoła. Rozwierają się bez skrzypnięcia. Przystaje na chwilę i spogląda niespokojnie przez ramię. Dozorca musiał zapomnieć zamknąć. A może w środku ktoś jest? Widzi, że drzwi do zakrystii są uchylone. Przez szparę pada słabe światło. Może klecha siedział tam i żłopał wino mszalne? W takim razie pewnie zasnął. W kościele panuje grobowa cisza. Mike zamyka za sobą drzwi.

Konfirmacja. To tutaj siedzieli i śpiewali psalmy. Obłudni i bezbożni. Węszy w mroku. Zapach jest ten sam. Zaprawa murarska i stearyna. Senność, która zawsze ich nachodziła, msza, która nie miała końca, powieki ciężkie jak ołów. Mike ma wrażenie, że to było tak dawno temu. Przesuwa opuszkami palców po kościelnej ławce. Trzeci lub czwarty rząd od tyłu. To tam wyrył trupa czaszkę, kiedy myślał, że nikt nie widzi. Ksiądz

wpadł we wściekłość. Wytargał go za włosy i wyrzucił na dziedziniec kościelny. Lecz koniec końców Mike, tak jak i wszyscy inni, dostał swoją komunię. Krew i ciało Chrystusa. Mike widzi ich klęczących w białych albach przy balustradzie. Myśli, że chyba tylko ten jeden jedyny raz sprawił radość swojej matce.

W zakrystii jest pusto. Lampka na biurku oświetla otwartą Biblię. Notatnik z jakimiś bazgrołami. Ksiądz musiał się dokądś spieszyć. Może ktoś kona?

Ma takie ciężkie nogi. Przez cały dzień nie udało mu się odpocząć. Błądził w kółko jak tropione zwierzę, szukał, ukrywał się, próbował być niewidzialny. Wyciąga się na twardej ławce kościelnej. Zezuje na postać Chrystusa na krzyżu nad ołtarzem.

– Masz jakiś ratunek dla biednej duszy? – mamrocze pod nosem. – Możesz mi powiedzieć, jak mam ocalić mojego syna? Nie, tak myślałem – wzdycha ciężko. – Więc sobie wiś i się gap, jeśli właśnie tego chcesz!

Powieki mu opadają. Bezradność wysssała z ciała wszystkie siły. „Nie mogę zasnąć – myśli. – Nie mam czasu na spanie. Zamknę tylko oczy na kilka sekund, pozwolę odpocząć głowie. Wkrótce zabiorę się za całe to diabelstwo na zewnątrz.”

Zasnęła. Amela przypatruje się staruszce leżącej w swym łóżku nieruchomo jak mumia. Patrzy z czułością. Już teraz ciąży jej sumienie. To jak nieunikniona zdrada.

Podniszczony koc porusza się niemal niezauważalnie na piersi Ragnhild. Twarz jest gładka i pełna spokoju. Nie tak pomarszczona, jak wtedy, gdy staruszka się śmieje. Jej suche usta są odrobinę rozchylone. Postawiła szklankę wody na szydełkowej serwetce na stoliku nocnym. Uchyliła okno. Jesienne powietrze sprawia, że firanka lekko łopocze.

Lecz od czasu do czasu w kącikach oczu staruszki pojawia się drżenie, jakby nie mogła całkiem zapaść w najgłębszy sen. Może śni o tym, co powiedziała jej Amela.

Wcale nie miała zamiaru tego robić. Ale gdy już odkurzyła

mieszkanie i wyczyściła muszlę klozetową w łazience, a potem usiadła przy kuchennym stole, by jak zwykle napić się ze staruszką kawy, słowa po prostu z niej wypłynęły. Oczywiście rozmawiała już wcześniej z Ragnhild o okrucieństwach, jakie miały miejsce tam, w domu. Nie, nie w domu – raczej daleko stąd, w obcym kraju. Jednak nigdy wcześniej nie odsłoniła aż tak wiele. Tylu szczegółów o złu i przelanej krwi.

A co w tym wszystkim najgorsze, dała jej do zrozumienia, że planuje zemstę.

Wtedy staruszka popatrzyła na nią mrocznym wzrokiem, w sposób, jakiego Amela jeszcze nie знаła. „O czym ty mówisz, dziewczyno?” – spytała ostrym tonem. Amela prędko oprzytomniała i zaśmiała się, sugerując, że oddaje się tylko nic nieznaczącym fantazjom, po czym zmieniła temat rozmowy. Lecz Ragnhild przez długą chwilę nie spuszczała z niej wzroku.

„Może to ten niepokój sprawia, że kiedy śpi, drży jej skóra pod oczami” – myśli Amela, stojąc nad nią.

Powoli przymyka drzwi do sypialni. Przekrada się bezgłośnie po parkiecie. Wie, gdzie jest kryjówka. Klucz w ceramicznej wazie. Ostrożnie wprowadza go do zamka. Przekręca, a z mechanizmu dobywa się słabe kliknięcie. Nasłuchuje, lecz słyszy jedynie własne tętno. Następnie otwiera szafkę i wyjmuje zawiniątko.

Zna już ten przenikliwy zapach. Odwija szmatkę. Czarny rewolwer. Waży go w dłoni. Waha się przez chwilę. Potem wkłada go ze stanowczością do torebki.

Ktoś go widzi. Mike uświadamia to sobie głęboko we śnie. Czuje palące spojrzenie na policzku i na długo przed tym, nim otwiera oczy wie, że nie jest to wzrok wiecznie cierpiącego Jezusa na krzyżu.

Siada powoli. Ksiądz stoi zaledwie parę metrów od ławki. Jest bordowy na twarzy. Wygląda, jakby cały był wypełniony krwią, którą podtrzymuje jedynie cienka, przezroczysta powłoka

skóry. Włosy są kredowobiałe i jeżą się na głowie jak zimne ognie. Jego koścista dłoń wyciąga się w oskarżycielskim geście, a usta formułują tylko jedno słowo:

– Ty!

Mike podnosi się prędko. Ma zeszywniałe plecy i czuje rwanie między kręgami.

– Ałć!

Ksiądz w dalszym ciągu celuje w niego palcem wskazującym, jak pistoletem. Czy to on? Ten sam stary kaznodzieja-fatalista, który udzielał im konfirmacji? W takim razie musi mieć ponad sto lat. Tamte żylaste pięści sprawiły mu ból. Wydaje się, że dziadek go rozpoznaje. Ale to chyba niemożliwe? Może mają wciąż tę samą formę do odlewania swoich księży?

– Co tu robisz?

Grzmiący głos odbija się echem od kamiennych ścian.

– Drzwi były otwarte. Chciałem tylko chwilę odpocząć...

Ksiądz milczy, ale spogląda tak, jakby nie miał nic przeciwko temu, by przybić intruza do nowego krzyża nad ołtarzem. Jego szare oczy lśnią zimnym blaskiem. Mike na darmo szuka w nich miłosierdzia. Po omacku robi kilka kroków w bok, potem odwraca się zdecydowanie i zaczyna zmierzać w stronę drzwi.

– Przyszedłeś tu kraść? – słyszy za swoimi plecami.

– Uciekam przed kimś. Ale ciebie to chyba gównem obchodzi, klecho!

Ostatnia rzecz, jaka do niego dociera, nim wymyka się z kościoła, to groźba księdza.

– Jeśli coś ukradłeś, to wyślę za tobą policję!

Na zewnątrz uderza go wilgoć i chłód. Jest ciemno. Mgła zgęstniała. Która może być godzina? Mike nie ma pojęcia. Czas zaczął mu się zlewać w głowie. Ile godzin albo dni upłynęło, odkąd zatopili pismaka w kamieniołomie? Odkąd Mike umknął policji? Ile czasu minęło, odkąd rozmawiał z Robinem? Czuje rwanie w całym ciele, lecz tym razem to nie z powodu twardej kościelnej ławki.

Spogląda na cmentarz. Kamienie nagrobne unoszą się we mgle, jak zjawy. Mleczne opary mogą zarówno sprowadzić

go z drogi, jak i coś mu podarować. Mike uświadamia sobie, że mogą być mu pomocne. Nasłuchuje odgłosów. Słyszy samochód przejeżdżający z szumem opon w stronę przejazdu kolejowego.

Gdy stoi tak całkiem bezradny, przypomina sobie niewyraźnie, że śnił o czymś tuż przed tym, nim został zbudzony przez księdza. Spotkał kogoś we śnie. Pędził przez okolicę, gdzie tuż nad ziemią snuł się dym, po drugiej stronie musiała być też mgła. Lecz on gnał bez trwogi przez tę ziemię niczyją, bo miał konkretny cel. Był ktoś, kto mógł pomóc. Kto? Tego nie wiedział, ale to nie miało znaczenia, bo był pewien, że jeśli tylko pobiegnie wystarczająco szybko, wszystko się wyjaśni. Mimo że mknął we mgle przez całą wieczność, nie męczył się. Ani odrobiny krwawego posmaku w ustach. Ani jednej kropli potu na czole. Tylko nieustający strach, że nie zdąży na czas.

Ragnhild.

Czy żyje? Mike nie ma pojęcia. Wyłoniła się w jego głowie zupełnie niespodziewanie. Czy nadal mieszka w tym żółtym ceglany domu przy rynku? Widzieli się tak nieprzyzwoicie dawno temu. Lecz w tym momencie Mike'owi nie przychodzi na myśl ani jedna osoba na całym świecie, która otworzyłaby przed nim drzwi. Zaczyna powoli iść w stronę centrum, nasłuchując niespokojnie, czy nie jest śledzony.

Nie napotyka nawet psa z kulawą nogą. Poświata latarni rozmywa się w matowe błędne ogniki. Mike ma wrażenie, jakby wędrował w strefie wojennej. Nikogo nie widać. Nikogo nie słychać. Lecz wróg może czaić się wszędzie.

Na parkingu przed marketem dostrzega cień jednego jedynego samochodu. To musi być opel, który pożyczył od Borysa. Ma kluczyki w kieszeni. Ale nie zbliża się do auta. To może być pułapka. Zamiast tego przemyka chyłkiem pod murem redakcji „Ystads Allehanda”. W środku jest ciemno. W oświetlonej budce z jedzeniem widzi sylwetkę mężczyzny, który właśnie zamyka. Nad pustą fontanną czuwa postać Artemidy. Mike przystaje pod domem z żółtej cegły.

Wpatruje się w górę fasady. Prawie wszędzie jest ciemno,

uchylone jest tylko okno na drugim piętrze. Ze środka sączy się dźwięk rozmowy, któremu towarzyszą historyczne wybuchy śmiechu. Ktoś ogląda telewizję. Mike podnosi wzrok. „Mieszkała chyba na samej górze?” Dostrzega lekko trzepoczącą poświatę, jakby zapalona była tylko świeczka.

Brama nie jest zamknięta. Natychmiast znajduje jej nazwisko na szarej tablicy ze spisem lokatorów. Ragnhild Norén. Musi być potwornie stara. Dzwoni do drzwi z uczuciem wstydu.

Mija długa chwila, nim słyszy szurające kroki. Szybkie mignięcie w otworze wizjera. Mike robi instynktownie krok w tył. Po chwili przekręcona zostaje gałka zamka i drzwi uchylają się, tworząc szparę. Przypatruje mu się para oczu. Gdy ma już otworzyć usta, drzwi się zamykają i przez moment Mike myśli, że jest już za późno. Lecz nagle słyszy, jak staruszka gmera przy łańcuchu zabezpieczającym. Drzwi otwierają się z lekkim skrzypnięciem. I po raz drugi tego wieczoru Mike słyszy słowo brzmiące jak oskarżenie.

– Ty!

Staruszka stoi skamieniała i patrzy na niego, jakby na jej progu objawił się sam Archanioł Gabriel lub czart. Usta na podłużnej twarzy otwierają się niemo ze zdumienia. Szlafrok zwisa na ciele niczym jedwabna draperia. Rzadkie, srebrne loki opadają na cienką skórę skroni Ragnhild.

– Mogę wejść?

Staruszka cofa się o krok.

– Czternaście lat i dziesięć miesięcy. Już myślałam, że nie żyjesz. Dopóki nie doszły mnie słuchy, że wróciłeś.

Jej głos jest przytłumiony i gderliwy. Mike ryzykuje szybki uścisk. Łopatki pod miękkim materiałem wydają się ostre i kruche. Staruszka pachnie trochę cierpko. Klepie go słabo po plecach.

– Ragnhild, potrzebuję pomocy.

Kobieta wyslizguje się z jego uścisku.

– Więc to tak...

– To nie tak, jak myślisz.

– Skąd wiesz, co myślę?

Przerywa im odgłos samochodu startującego z piskiem opon na ulicy. Mike spieszy do okna i odsuwa odrobinę firankę. Na tyle, na ile pozwala mu na to mgła i ciemność, widzi, że rynek jest pusty.

– A więc znowu cię ścigają – wzdycha staruszka. – Co tym razem nabroiłeś?

Mike siada ciężko przy kuchennym stole. Nie wie, od czego zacząć. Wszystko w nim tak kipi, że ma wrażenie, jakby miał pęknąć z hukiem na tysiąc kawałków. Nagle gardło ściska mu płacz.

– Nie mogą znowu odebrać mi Robina – mówi, pociągając nosem.

Ragnhild stoi w progu i spogląda na niego. Jej oczy błędzą z dziwną nerwowością. Ależ ona się zestarzała. Mike podejrzewa, że gryzą ją teraz wspomnienia, przez co sam czuje się jak żałosna baba. W jaki sposób ona może mu pomóc?

– Robin to twój syn? Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem. Nie mogę go znaleźć.

– Zadzwoń do niego.

– Komórka mi się zepsuła i... Masz telefon?

– A jak myślisz?

Ragnhild wskazuje głową czerwony aparat wiszący na ścianie nad ekspresem do kawy. Mike porywa słuchawkę i wklepuje numer. Drżą mu palce, ześlizgują się z klawiszy i musi zacząć jeszcze raz. Słucha dźwięku połączenia z walącym sercem. Po sześciu sygnałach ktoś odbiera.

– Tak?

– Robin! Gdzie jesteś?

– W domu. A ty gdzie się podziewasz?

Chłopak wydaje się wściekły. Jego głos dochodzi jakby z bardzo daleka. Mike rzuca niepewne spojrzenie na Ragnhild i po chwili odwraca się do niej plecami.

– Ja... cóż, wszystko się pochrzało. Szukała cię policja?

– Uhm, zgarnęli mnie pod szkołą.

– I co?

– Przyjechała ta podobna do Eskimosa. Był z nią jakiś mały

facet, chyba jej szef. Wyglądał jak wąż.

Szczęki Mike'a napinają się.

– Powiedziałaś coś?

Robin prychnęła pogardliwie.

– Nie puściłem pary z ust. Zaciągnęli mnie do portu w Ystad. Wąż grał twardziela. Próbował mnie nastraszyć. Ale trzymałem gębę na kłódkę.

– Znaleźli zdjęcie u tego gościa... – Mike ogląda się szybko przez ramię i napotyka wzrokiem przymrużone z zaciekawienia oczy Ragnhild. – Wiedzą, że brałeś udział w tej idiotycznej sprawie.

– Wiem.

W słuchawce zapada cisza. Mike słucha z obawą oddechu syna. Potem głos Robina brzmi nagle bardzo słabo i wątko.

– Dlaczego nie wracasz do domu?

– Nie mogę. Gliny mnie ścigają. Oni... W pewnym momencie straciłem głowę i im uciekłem.

– Nie żartuj!

– To prawda.

W słuchawce słychać coś, co brzmi jak szloch. Żołądek Mike'a wypełnia tępy ból. Nogi się pod nim uginają. Chwyta jedną ręką futrynę drzwi i przyciska czoło do tapety.

– Czy Rolle jest w domu? – pyta zachrypłym głosem.

– Uhm, ale jest jakiś dziwny. Wydaje się całkiem oderwany od rzeczywistości.

Mike przeklina w duchu. Cały Rolle! Właśnie teraz, kiedy jest najbardziej potrzebny! Mike odchrząkuje i usiłuje mówić bez drżenia w głosie.

– Słuchaj, Robin. Wszystko się ułoży. Musi się ułożyć. Ale nie mogę się wychylać, dopóki nie obmyślę jakiegoś planu. Rozumiesz?

– Tak.

Na linii słychać jakiś szum. Słaby szmer w uszach. Czy to mgła?

– A jeśli założyli podsłuch na mojej komórce? – mówi cicho Robin.

Przerażenie wbija się w pierś Mike'a jak nóż. Oddycha ciężko i spogląda na Ragnhild, która w dalszym ciągu stoi nieruchomo jak posąg.

– Natychmiast kończymy rozmowę.

Słyszy kliknięcie w słuchawce. Czeką chwilę. Potem zawiesza telefon z powrotem na ścianie.

– Muszę się gdzieś ukryć – mówi, obróciwszy się. – Tylko dziś w nocy.

Staruszka kiwa głową.

– W takim razie nie zaszkodzi, jeśli zrobię nam dzbanek kawy.

Fotografie na regale wydają się dziwnie znajome. Mike obserwuje je w żółtym blasku świec. Czarno-białe zdjęcie ślubne. Ragnhild przyciska do piersi bukiet kwiatów, promieniejąc młodością i szczęściem. Pan młody uśmiecha się niemal z zażenowaniem. I wszyscy krewni otoczeni razem ozdobną ramką. Mike odnosi wrażenie, jakby ich już kiedyś spotkał. Słyszy krzątanie Ragnhild w kuchni. To brzmi tak swojsko. Są i zdjęcia klasowe. Bierze je i ogląda każde z osobna. Na trzeciej półce odnajduje siebie samego. Stoi w ostatnim rzędzie z twarzą wetkniętą pomiędzy głowy dwóch dziewczyn, których imion nie pamięta, i robi brzydką minę. Wydaje się, że Ragnhild tego nie dostrzegła. Stoi z lewej strony swojej klasy i uśmiecha się surowo do aparatu.

Na fotografii brakuje tylko Rollego.

Musiał zwagarować lub jak zwykle zachorować. Zdjęcie jest zrobione na długo przed tym, nim wylądował w psychiatryku.

– Często siedzę przy oknie w kuchni i patrzę na rynek. Lepiej widać, kiedy pali się tylko kilka świec. Lubię ich zapach.

Ragnhild kładzie tacę na ławie. Dwie filiżanki i talerzyk z kilkoma kanapkami z serem na serwetce.

– Pomyślałam, że możesz być głodny.

Mike odstawia fotografię na półkę.

– Twój syn skończy chyba wkrótce piętnaście lat?

Czoło Ragnhild rozpruwa głęboka zmarszczka. Mike widzi

po raz pierwszy, że kobieta się o niego niepokoi.

– Tak, w grudniu. Urodził się w wigilię.

Gdzieś w głębi duszy Mike'a zapala się na moment kilka okrucich tamtego szczęścia. Zachwyty nad nowym życiem. Duma. I bezdenne rozpacz, kiedy zrozumiał, że wszystko rozsypie się w drobny mak.

– Czy jest podobny do swojego ojca?

– To żywa kopia.

Siada obok niej na kanapie i wyjmując z zapalem swój portfel. Fotografia jest wystżepiona na brzegu. Staruszka bierze ją do ręki i ustawia w odpowiedniej odległości od okularów. Gdy muska jego rękę, Mike czuje, że opuszki jej palców są delikatne jak jedwab. Czy wcześniej nie były twarde i szorstkie? Przyjrzawszy się dokładnie zdjęciu, Ragnhild oddaje je Mike'owi.

– Fotografia ma już kilka lat. Robin jest teraz większy, choć mimo wszystko dosyć mały. Nie jest dryblasem jak ojciec.

Mike próbuje się zaśmiać, ale brzmi raczej na zmęczonego.

– Ma ten sam temperament. Daje się szybko ponosić nerwom i jest uparty jak osioł – mówi i wkłada zdjęcie z powrotem do portfela.

Gdy wychłptał już w milczeniu swoją kawę i połknął dwie kanapki z serem, Ragnhild kładzie mu na dłoni swoje chłodne palce.

– Mike, teraz musisz mi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło – mówi z powagą.

Mike wydaje z siebie żalosne westchnienie i opada na poduszkę. Zamyka oczy i szuka miejsca, od którego ma zacząć. Słowa. Wydobywanie ich z siebie nigdy nie było jego mocną stroną. Układanie ich we właściwym porządku, tak by tworzyły sens. Przez całe życie więzły mu w gardle, gdy żądano od niego wyjaśnień. „To nie była moja wina. To był wypadek. Nie zamierzałem...”

Mike słyszał już tysiąc razy siebie samego dukającego wytłumaczenia i usprawiedliwienia, których nikt nie pojmował. Zacinał się, gdy tylko ktoś go oskarżał, słusznie czy niesłusznie.

Stawał się niemy lub w najlepszym wypadku zaczynał się jąkać. Tysiąc razy budziło to niemożliwą do powstrzymania wściekłość.

Jednak dokładnie tak jak przed wieloma laty, uspokaja go cierpliwość Ragnhild. Ona czeka. Patrzy mu w oczy, nie poganiając. Daje mu czas, by znalazł słowa i ułożył je w zdania.

Więc Mike opowiada. Czas stoi w miejscu, a on leży z głową na poduszce na kwiecistej kanapie Ragnhild, otoczony blaskiem świec i lawendowym zapachem starszej kobiety. Pozwala słowom płynąć. Miesiące po tym, jak Maria zniknęła i został sam z Robinem. Niepowodzenia, alkohol i agresja, jaką w nim rodził. Pierwszy raz, kiedy zabrano mu chłopca. Wszystkie pobyty w więzieniu. Tęsknota, rozpacz i paraliżująca bezsilność. W końcu niezachwiane postanowienie, które podjął pewnej nocy, gdy siedział w swojej celi i patrzył przez kratę na śnieżnobiały księżyc: „Odzyskam Robina i nigdy, przenigdy nie pozwolę, by znowu odebrał mi go jakiś sukinsyn.”

Gdy w końcu milknie, ma wrażenie, jakby obudził się ze snu.

– Która godzina? – pyta sennie.

– Nie wiem – odpowiada spokojnie staruszka. – Jest noc.

– Nie masz zegarka?

Ragnhild kręci głową i uśmiecha się w mroku.

– Nie. Uważam, że życie jest bardziej ekscytujące, jeśli czasem się nie wie. Ranek nadchodzi jak niespodzianka. Wieczór także.

Mike kiwa głową w zamyśleniu. Po chwili dostrzega, że staruszka w dalszym ciągu czeka, by coś usłyszeć. Opowiada więc ostatnie wydarzenia. Wszystko, co zaszło od jego powrotu do Tomelilla.

Po wysłuchaniu jego opowieści staruszka wygląda na zmartwioną. Jej twarz jest bledsza niż wcześniej. Zaciska swoje bezkrwiste usta, robiąc zamyśloną minę.

– Zastanawiam się nad jednym – mówi. – Gdzie mieszkał Robin, kiedy siedziałeś ostatnim razem w więzieniu?

Mike poprawia się nerwowo na kanapie.

– U rodziny zastępczej. Tym razem umieścili go w Tomelilla. U Sune i Gunborg Olssonów.

Gdy widzi jej pogardliwą minę, czuje pieczenie w dołku. To oczywiście, że Ragnhild wie, co to za ludzie.

– Ach tak, u niego – mówi powściągliwie. – Nigdy nie lubiłam tego faceta. O jego żonie wiem niewiele. Ale on jest chyba centrowcem, tak mi się przynajmniej wydaje. Choć to oczywiście nie ma nic wspólnego ze sprawą.

Gdy staruszka nie mówi już nic więcej, Mike wstaje gwałtownie, zdjęty niepokojem. Musi coś zrobić. Musi obmyślić jakiś plan. Podchodzi do okna i znowu wpatruje się w opustoszały rynek. Światło w budce z jedzeniem zgasło, a mgła jest tak gęsta, że nie da się już dostrzec ani posągu, ani fontanny, ani wielkiego budynku banku po drugiej stronie.

– Ostatnim razem kiedy tu przyszedłeś, byłeś świeżo upieczonym tatą – rzuca Ragnhild w jego stronę. – Pamiętasz?

– Uhm.

Nagle jej głos brzmi słabiej, jakby nosiła w sercu winę.

– Nie tak dawno temu ostrzegłam przed tobą pewną osobę. Trochę się teraz tego wstydzę.

– Ostrzegłaś? Kogo?

– To dziewczyna, o którą bardzo się martwię. A raczej kobieta. Raz się z tobą spotkała. Ubzdurałam sobie, że była w pewnym sensie zainteresowana. Więc pomyślałam, że powinnam ją ostrzec przed tym, że... cóż, mogłaby wpaść w tarapaty, gdyby zaczęła się z tobą zadawać. Przepraszam. Zrobiłam głupstwo.

Mike wpatruje się w nią pytającym wzrokiem.

– Kto to jest? Z nikim się nie spotkałem.

Ragnhild spogląda na niego smutno. Potem wyciąga ze szlafroka chusteczkę i głośno wyciera nos.

– Ma na imię Amela – mówi, skręcając róg materiału pomiędzy palcami. – Zadawała masę pytań, najpierw dotyczących tego Borysa, właściciela złomowiska w Spjutstorp, a potem ciebie. Spotkała cię tam. Wydawała się taka... zainteresowana.

– Amela – mamrocze Mike.

Dziwna kobieta znów patrzy prosto na niego przez krzyżący tłum i ryk motocykli. Jej twarz jest blada i znajduje się tak

daleko. Mike chce się do niej przedrzeć i zapytać, dlaczego go prześladuje. Jednak wie, że nie zdąży, nim ona zniknie. Ta blizna u nasady włosów, Mike zastanawia się, skąd ją ma.

– Nie powinnam była tego robić – mówi Ragnhild i podnosi się niespodziewanie żwawo. – Ale pomyślałam o tym, co miałeś przy sobie, kiedy byłeś tu ostatnim razem i zaczęłam się o nią bać.

Wkłada rękę do ceramicznej wazy na regale i wyławia z niej klucz. Mike patrzy na nią, nie rozumiejąc, o czym ona mówi. Amela. Tak nagle wyrosła z ziemi razem z Wanją.

– A ty pamiętasz? – pyta Ragnhild i wtyka klucz do zamka.

Słychać kliknięcie i drzwiczki się rozchylają. Staruszka maca ręką wewnątrz szafki. Na jej twarzy maluje się z wolna zdumiony wyraz.

– Nie ma go! – mówi, patrząc z przerażeniem na Mike’a.

– Czego?

– Rewolweru. Zamknęłam go tutaj, kiedy mi go dałeś. Nie pamiętasz? Powiedziałeś, że będzie mi potrzebny do obrony. Leżał w tej szafce przez czternaście lat. Ale teraz zniknął.

Mike niczego nie rozumie. Nie poświęcił broni ani jednej myśli od dnia, w którym zdecydował się nigdy więcej nie brać jej do ręki. Wspomnienie powoli odżywa. Mike spogląda na twarz Ragnhild i widzi, że staruszkę uderza jakaś myśl.

– Amelo – ubolewa. – Biedna, głupia dziewczynko. Co ty chcesz zrobić?

Nagle sztywnieje z krzywym grymasem zastygłym na twarzy i wlepia w Mike’a oczy płonące stanowczym żarem.

– Mówiła o zemście. Było to po niej widać, ale ja nie chciałam w to wierzyć. Musi chodzić o tego Borysa. On jest z Jugosławii, prawda? Ona zamierza go zabić!

Gdy Ragnhild chwyta go za ramię, jej dłoń jest jak pazur.

– Amela chce zabić Borysa. Musisz ją powstrzymać, Mike!

Rozdział 29

Wilgoć rozścieliła już szarą powłokę na przedniej szybie. Wkrótce Amela będzie zamknięta jak larwa motyla w swoim kokonie. Wstrząsa nią dreszcz. Zaczyna się robić zimno.

Ręka drży nieznacznie, kiedy kieruje lusterko wsteczne na dół, w ostatniej próbie proszenia o łaskę. Jedyne co widzi, to para oczu unoszących się w mroku, jak gdyby jej ciało rozpułnęło się i przemieniło w majaczącego ducha. Ducha osoby szykującej zemstę.

Gasi światełko pod sufitem. Czy się waha?

Sama nie wie. W głowie ma zupełną pustkę. Powtarzała sobie tysiące razy, że powinna zapomnieć. Jednak wspomnienia powracają. I to coraz częściej od momentu, w którym napotkała wzrok tego mężczyzny w sklepie monopolowym i zrozumiała, że on już dawno zapomniał o swoich grzechach. To przecież niesprawiedliwe. Dlaczego jemu, samemu diabłu, ma się upiec, jeśli ona cierpi co dzień i co noc? Obrazy wspomnień znowu nadciągają. Amela je czuje i chce stawić im opór, ale nie potrafi. Jest zbyt słaba. Opiera głowę o zagłówek, zamyka oczy i pozwala im płynąć.

Myśleli, że są bezpieczni.

Kwaterna ONZ w Potocari. Tysiące uchodźców tłoczą się wokół dawnej fabryki akumulatorów. Powietrze wibruje od paniki. Amela ściska dłoń Adnana najmocniej jak potrafi, by nie zgubić go w tłumie. Żołnierze w błękitnych hełmach mają ich ochraniać, lecz gdy ostatecznie nadchodzi wróg, nie robią nic. Odurzeni zwycięstwem wojownicy, śmierdzący brudem i krwią, oddzielają mężczyzn od kobiet i dzieci. I chłopców. Zabierają

także chłopców. Ludzie krzyczą i żebrzą o życie. Nagle on staje przed nimi. Mężczyzna z blisko osadzonymi oczyma. Trzyma w ręku karabin maszynowy, a do paska przyczepiony ma duży nóż. Przystaje na krótką chwilę i patrzy, najpierw na Amelę, następnie na Adnana, jakby nie był pewny wieku chłopca. „Litości! On jest tylko dzieckiem!” W pamięci Ameli ten krzyk niesie się w zgiełku przez całą wieczność. Mężczyzna chwytając chłopca za kark i wyrzuca go jednym szarpnięciem. Adnan próbuje chwycić się czegoś coś palcami, jego twarz jest biała jak śnieg, a oczy wielkie jak spodki. Amela krzyczy i krzyczy, leży na ziemi i wczepia się w nogę żołnierza, lecz on uwalnia się od niej jednym kopnięciem. W głowę trafia ją ciężki but, na sekundę ciemnieje jej przed oczyma, nie czuje krwi spływającej po skroni. W tym momencie nikt nie słyszy dźwięków. Wokół siebie widzi ludzi z powykrzywianymi twarzami. Płaczą i błagają, przeklinają i złorzeczą, lecz do Ameli nie docierają żadne dźwięki. Przytrzymują ją silne ramiona. Adnan i tamten mężczyzna oddalają się w stronę lasu. Chłopiec miota się jak ryba w sieci. To ostatnia rzecz, jaką Amela widzi. Potem zapada ciemność.

Później, w autokarze dla uchodźców jadącym do Tuzli, Amela myśli, że odbierze sobie życie, jak tylko odzyska siłę.

Otwiera oczy. Pozwała, by wycieraczka na przedniej szybie wytarła otwór w mokrym kokonie motyla. Mgła jest gęsta. Nawet gdy miała włączone reflektory w drodze do tego miejsca, widziała przed sobą tylko kilka metrów szutrowej drogi, która zniknęła w szaroczarnych oparach. Wie, że jego forteca znajduje się gdzieś przed nią. Nie myśląc nawet o tym, by zmienić zamiar, chwytając swoją torebkę. Rewolwer. Waży czarny ciężar w dłoni. Wie, że jest naładowany. Bierze głęboki oddech i otwiera drzwi samochodu.

Mike zbiega ze schodów i wypada prosto w mgłę. Samochód. Ma w nosie to, czy policja go obserwuje. W uszach dzwonią mu słowa Ragnhild: „Amela chce zabić.”

Nie, Amela nie może zabić!

W jedną minutę staruszka powiedziała dostatecznie dużo, by zrozumiał. W sześćdziesiąt sekund wytłumaczyła mu wszystko na tyle, by jego serce wypełnił intensywny żar. „Musisz ją zatrzymać!”

Te słowa dudnią mu w głowie, wszystko inne nagle znika, cała rozpacz i paralizująca bezsilność, teraz jego umysł krzyczy do niego: „Nareszcie możesz coś zrobić!”

Amela nie może zabić. Nikt nie może zabijać. Nikt więcej nie może umrzeć.

Otwiera drzwi samochodu i wkłada kluczyk do stacyjki. Opel kaszle jak schorowany starzec. „No, dalej!” Mike ponownie przekręca kluczyk i wciska pedał gazu, lecz iskra jest coraz słabsza i w końcu rozrusznik pada z żalosnym jęknięciem.

– Cholera jasna!

Wali mocno pięścią w deskę rozdzielczą.

Pierwszą rzeczą, jaką widzi, otwierając z impetem drzwi auta, jest rower. Damka. Stoi oparty o słup latarni na środku pustego parkingu przed marketem. Porzucony. Zapięcie rozerwane. To niemal siła wyższa. Bierze w ręce kierownicę i bez wahania wskakuje na siodełko.

Przy ogrodzeniu złomowiska pali się latarnia. Amela zatrzymuje się i słucha. Czy zainstalował kamery? Rozgląda się szybko dokoła. Ostrożnie popycha dłońią bramę, która powoli się rozwiera. „Dziwne, człowiek, który ma tyle na sumieniu.” Zapach rozlanego oleju i gumy otacza wraki samochodów, kryjące się we mgle.

Po raz pierwszy uderza ją myśl, że być może mężczyzna nie jest w środku sam. Nie ma rady. Spogląda na zegarek. Północ. Jest już za późno, by zawrócić.

Lampa przy schodach do domu rzuca żółte światło, które pada na posąg. Amela dobrze zna ten surowy profil. Marszałek Tito z zimnego granitu.

Tuż obok stoi zaparkowany jeep. Jest umazany błotem,

zupełnie tak, jak ostatnio. Amela dotyka karoserii koniuszkami palców. Domyśla się, że gdzieś między przednią szybą a deską rozdzielczą wetknięty jest mały obrazek w złoczonej ramce. Święty Sawa. Jego wzrok śledzi ją w ciemności. Krzyże na szacie, Biblia w ręku. Oddech Ameli wypływa, tworząc obłok dymu.

„Tym razem nie ochronią go żadni święci – myśli. – Ani święci, ani diabły.”

Nagle słyszy za sobą głuchoe warknięcie. Tuż przy bramie stoi pies, ledwo dostrzegalny, szary cień. Z jego gardła wydobywają się złowieszcze dźwięki, lecz zwierzę się nie przybliża. Wydaje się, że czeka, by kobieta zaczęła uciekać. Amela cofa się o krok. Instynktownie czuje, że musi poruszać się powoli. Szpera w torebce, szukając rewolweru. Obejmuje kolbę palcami. „Powinnam być przerażona” – myśli. Lecz jej ciało jest zdyscyplinowane, a umysł jasny. Ogląda się przez ramię i mierzy odległość do schodów. Najwyżej dwadzieścia kroków. „Jeśli przybliżę się jeszcze kawałek, zanim pies zaatakuje, to mam szansę zdążyć.”

„Oby drzwi nie były zamknięte na klucz!”

Robi jeszcze jeden krok i widzi, że pies się porusza. W dalszym ciągu jest tylko cieniem, lecz teraz trochę wyraźniejszym. Słyszy jego sapanie, podejrzewa, że zwierzę odchyła uszy do tyłu. Jest pewna, że odsłania kły. Wtedy pies znowu warczy, cicho i groźnie. Amela ma wrażenie, że słyszy jego myśli: „Nawet nie próbuj. Myślisz, że nie rozumiem, co robisz?” Kobieta przesuwa się jeszcze odrobinę do tyłu i szepce:

– Proszę, nie szczekaj. Jeszcze nie... – Chciałaby móc popatrzeć zwierzęciu w oczy.

Piętnaście kroków do schodów, lecz dystans jest w dalszym ciągu odrobinę za długi.

Pies zbliża się cicho. Szara sierść przybrała bardziej żółty odcień. Amela widzi teraz jego błyszczące ślepie.

„Szykuje się do ataku – myśli i cofa się jeszcze kawałek. – Napina mięśnie nóg. Rzuci się na mnie. Muszę biec.”

Dokładnie w tym momencie, gdy Amela się odwraca i rusza w stronę schodów, słyszy psa puszczającego się pędem

z przeraźliwym ujadaniem. Łapy rozchlapują błoto, szczęki ociekają śliną, gotowe, by wbić się w jej ciało. Wkrótce zwierzę wykona ostatni skok w powietrzu. Lecz sportowe buty Ameli dobrze trzymają się podłoża. Jest silna. Jest szybsza niż kiedykolwiek wcześniej, wbiega po kamiennych schodach. Wolną ręką naciska klamkę, drzwi otwierają się – to cud – lecz ona nie ma czasu na refleksję. Wpada do środka i na moment przed tym, jak zamykają się za nią drzwi, dostrzega jeszcze ciemny korpus rzucający się w jej stronę. Dobiega ją ciężki, głuchy huk, czuje drżenie drzwi, po którym następuje żałosne skomlenie na zewnątrz. Z chłodem, który zdumiewa ją samą, przekręca gałkę zamka i udaje się na poszukiwanie swojej ofiary.

Nie ma już czasu na podchody.

Biega od pokoju do pokoju z rewolwerem gotowym do strzału. W korytarzu świeci słaba lampka, na ławie stoi kilka szklanek do whisky. Amela potyka się o brzeg dywanu, lecz odzyskuje równowagę. Rondle i zatłuszczone talerze w kuchni, zgaszone światło w pokoju na prawo. Błądzi wzrokiem i nagle widzi poświatę, padającą przez uchylone drzwi w głębi domu.

„Sypialnia” – myśli i otwiera drzwi kopnięciem.

Mężczyzna siedzi na łóżku. Patrzy na nią ze zdumieniem i mruga zaspany, jakby zerwał się ze snu i zdążył jedynie zapalić lampkę nocną. Na jego ciele zwisa poplamiony podkoszulek. Nogi wystające ze slipów są białe. Otacza go ostry, nieprzyjemny zapach.

„Jak on staro wygląda” – myśli Amela. Blisko osadzone oczy przypominające wylot dubeltówki już jej nie przerażają. Mężczyzna wydaje się taki zmęczony. Widać wyraźnie, że jej w ogóle nie rozpoznaje. Mruży oczy, niczego nie rozumiejąc.

– Czego chcesz?

– Nie ruszaj się!

Nagle Amela nie wie, co ma robić. Ma go tak po prostu zastrzelić? Nie, on musi się dowiedzieć, dlaczego. Naraz rewolwer ciąży jej w dłoni. Odbezpiecza go.

– Nie wiesz, kim jestem?

Mężczyzna kręci powoli głową.

To takie poniżające. On niczego nie pamięta. Życie Adnana nie znaczyło absolutnie nic.

Amela rozgląda się niepewnie po pokoju. Zapala lampę pod sufitem, aby lepiej widzieć. Łóżko wygląda niechlujnie. Najwyraźniej ten człowiek nie ma kobiety. Na podłodze leżą porzucane czasopisma motoryzacyjne. Góra ubrań na krześle. Ciemne, zasunięte zasłony. I obraz świętego na ścianie.

– Święty Sawa cię nie uratuje – mówi Amela w swoim ojczystym języku. Słowa brzmią obco w jej ustach. Są jak zaklęcie.

Mężczyzna w łóżku prychnął w stronę obrazu.

– Już dawno temu przestałem wierzyć w zabobony – odpowiada w tym samym języku.

– Srebrenica – mówi Amela i wlepia w niego wzrok. Lodowaty chłód, który odczuwała jeszcze przed chwilą, zniknął. Piersią wstrząsa żar. – Nie pamiętasz?

Mężczyzna jeszcze raz kręci głową. Zdaje się szukać w pamięci. Początkowe zdumienie w jego oczach zamieniło się w coś innego. Strach. Amela widzi to teraz wyraźnie i czuje narastającą niepewność. Mężczyzna oddycha ciężko i z wysiłkiem. Wszystko byłoby dużo łatwiejsze, gdyby nie wydawał się tak wystraszony i stary.

– Byłeś tam, prawda?

– Może.

Amela zrzuca jego ciuchy z krzesła i siada.

– Fabryka akumulatorów pod Potocari – słowa więzną jej w gardle. – Mały chłopiec. Dziecko. Wyrwałeś mi go z rąk. Pamiętasz? Co z nim potem zrobiłeś?

Amela czuje zimną łzę spływającą po policzku. Wyciera ją z irytacją. Chce zamknąć oczy, ale nie ma odwagi. „Muszę być silna. Nie mogę ustąpić.” Lecz nagle jakby znikąd dociera do niej myśl: „A jeśli się pomyliłam? Jeżeli to nie jest on?”

– Odpowiadaj, do cholery! – krzyczy wściekle.

Mężczyzna cofa się na łóżku. Potem w jego oczach zachodzi jakaś zmiana, bardzo nieznaczna, ledwo dostrzegalna dla Ameli. Powoli pokazuje swoje puste dłonie i zaczyna wstawać.

– Chciałbym ci pokazać pewną rzecz.

W jego głosie jest jakieś błaganie. Nie wypowiadając ani słowa, prosi o litość. O to, by Amela się zastanowiła i spróbowała zrozumieć. Głos rozsądku podpowiada Ameli, że musi go powstrzymać, że on zamierza ją oszukać, ale kobieta nie słucha tego głosu, nagle czuje się niepewnie i po raz pierwszy tej nocy żałuje, że nie została w domu.

– Chodź – mówi przyjaźnie mężczyzna.

Amela cofa się i pozwala mu przejść koło siebie. Ściska kolbę tak, że bieleją jej palce. Widzi, że lufa opadła, unosi ją więc i celuje w jego plecy. Podąża za nim pełna złych przeczuć. Jego ciało jest duże i ciężkie, lecz jednocześnie jest coś komicznego w slipach, które zwisają mu pod pośladkami. Nie wiedzieć czemu, zauważa, że mężczyzna ma brudne palce u stóp.

Gdy zapala lampę, Amela dostrzega, że przywiódł ją do małego biura. Stoi tu biurko ze starym komputerem. Górna szuflada jest do połowy wysunięta. Mężczyzna odnotowuje to ledwo dostrzegalnym uniesieniem brwi. Na blacie leży kilka poplamionych olejem faktur i pęk kluczy. W rogu stoi masywny sejf.

– Jak masz na imię?

– Amela – odpowiada i natychmiast tego żałuje.

Mężczyzna kiwa głową na znak, że przyjął to do wiadomości.

– Ja jestem Borys, ale możliwe, że już to wiesz.

Bez pośpiechu wyciąga rękę po album ze zdjęciami leżący na regale.

– Widzisz, Amelo – mówi, patrząc na nią ze smutnym uśmiechem. – W tamtym czasie działo się tyle strasznych rzeczy. Tyle strasznych rzeczy. Naprawdę próbowałem zapomnieć.

– Więc przychodzę jak upiór z przeszłości? – Amela stara się nie załamywać głosu. – Jak przypomnienie. Co? Chyba rozumiesz, że zamierzam cię zabić?

Mężczyzna patrzy na nią cierpliwie, niemal jak ojciec na nieposłuszne dziecko.

– Myślisz, że boję się śmierci?

Nagle paraliżuje ją zmęczenie. Amela nie wie, co począć.

Czuje, jakby płomień nienawiści, który się w niej palił, nieoczekiwanie przygasał, jakby paliwo, które go zasilało, zaczynało wyciekać, niczym benzyna z przerdzewiałego baku.

Na podwórku słysząc znowu szczekanie psa.

– Pozwól, że ci coś pokażę – mówi Borys i otwiera album.

Pełno w nim zdjęć z przeszłości. Wyblakłych fotografii. Mężczyzna ostrożnie przerzuca kartki, na pozór zaabsorbowany. Po chwili rozkłada na biurku stronę z dużą, powiększoną odbitką. Na zdjęciu widać kobietę i młodego mężczyznę. Stoją przed domem z czerwoną dachówką, w ogrodzie rosną winorośle. Kobieta uśmiecha się dumnie i spogląda na twarz młodego mężczyzny, który opiekuńczo obejmuje jej plecy ramieniem.

– To sprzed wojny – padają słowa Borysa.

Amela spotyka wzrok młodego mężczyzny. „Gdyby Adnan żył, dziś byłby starszy niż ten człowiek z fotografii” – myśli.

– Muzułmanie spalili dom. Ich ciała... były kompletnie zwęglone, kiedy tam przybyłem.

W pomieszczeniu jest bardzo ciepło. Kończy się tlen, ledwo można oddychać. Amela z trudem łapie powietrze. Kobieta na zdjęciu już się nie uśmiecha, patrzy z wyrzutem na Amelę, jakby to była jej wina. „To takie złudne. Czy kiedyś ją spotkałam? Twarz wydaje się znajoma. Nie, to tylko przywidzenie. Tracę grunt pod nogami. Muszę odzyskać kontrolę.”

Za późno czuje jego silne palce obejmujące jej nadgarstek.

Zanim zdąży zareagować, on wykręca szarpnięciem rewolwer z jej dłoni. Broń uderza ciężko o podłogę.

Potem mężczyzna podnosi rękę i wymierza jej palący policzek, od którego Amela pada na ścianę. Nawet nie krzyczy. Ciemnieje jej przed oczyma. Osuwa się na dywan, dotykając plecami tapety. Zanim upada, wie już, że jest pokonana.

Mike leci przez noc jak anioł. Niosą go gęste obłoki, pedałuje jak szalony, na oślep w ciemności i mgle, jednak to nie ma

znaczenia, bo zna przecież drogę. Mknie po asfalcie szybciej niż dźwięk zipania, które z każdym oddechem wydobywa się z jego płuc.

„Musisz ją zatrzymać!”

Wezwanie Ragnhild rozbrzmiewa mu w głowie, gdy skręca w szutrową drogę pnącą się na złomowisko. Instykt podpowiada mu, że liczy się każda sekunda. Słony i zimny pot spływa mu po skroniach. Serce tłoczy krew, która tryska do żył. Mike chce zatrzymać czas. Bolał go stawy, lecz zaciska zęby i gna rowerem naprzód, aż spod kół bryzga błoto. Przed pokonaniem ostatniego odcinka staje na pedałach, pochyla czoło i wytęża się tak, że kwas mlekowy krzepnie w mięśniach ud.

Nagle, jakby znikąd, pojawia się przed nim jakiś cień. Zderzenie jest bolesne. Mike przelatuje nad kierownicą. Udaje mu się schować głowę, ale uderza mocno barkiem o blachę i przetacza się przez przeszkodę, po czym ląduje na plecach w rowie.

W pierwszej chwili niczego nie pojmuje. Potrząsa głową, przeklinając. Ściera ziemię z policzka. Potem widzi, że to samochód. Biała toyota zaparkowana na środku wąskiej drogi między polami. Musi należeć do Ameli.

„W takim razie Ragnhild miała rację. Ta kobieta naprawdę zamierza zabić Borysa.”

Stanąwszy z trudem na nogi, czuje ostry ból w łopatce. Gryzie się w policzek, by nie wrzasnąć. Zdrętwiała mu noga. Z roweru pozostał wrak, przednie koło jest wygięte. „Jak daleko jeszcze do firmy? Nie więcej niż sto metrów. Zdam, jeśli pobiegnę” – myśli i kuśtyka dalej przez mgłę.

Brama stoi otworem. W pierwszej kolejności dostrzega za ogrodzeniem psa, który wyłania się z mroku. To doberman Borysa. Macha kikutem ogona, radośnie ujadając.

– Dobrze już, dobrze... – szepce Mike. Przykuca i pozwala psu polizać dłoń mokrym językiem. Zwierzę poszczekuje i skomli potulnie. Kładzie się na ziemi i czeka na komendę.

– Zostań.

Mike podnosi rękę. Dwa palce w stronę ślepi. Pies jest

posłuszny. Nie rusza się z miejsca, gdy Mike wstaje i przekrada się na schody.

Ostrożnie naciska klamkę. Zamknięte. Prześlizguje się bezszelestnie wzdłuż fasady. Przykłada dłoń do jednego z okien i zagląda do środka. Pusto. Po chwili słyszy przytłumione głosy nieco dalej. Krótco potem uderzenie, zdławiony krzyk i łomot. Śpieszy dalej. Dostrzega ich w następnym pokoju. Borys stoi tyłem do okna, ma szerokie barki, a skóra głowy z krótko przystrzyżonymi włosami tworzy fałdy za uszami. Na podłodze pod tylną ścianą siedzi skulona Amela. Z nosa cieknie jej krew. Patrzy zrezygnowanymi, lśniąco oczyma, jakby czekała na dobiecie.

Potem widzi, że Borys się pochyła. Rewolwer! Leży przed nim na dywanie. Czarny i błyszczący.

Mike widzi, jak palce Borysa chwytają kolbę z drewna orzechowego i jak mężczyzna prostuje plecy. Wnioskuje z kąta pochylenia jego szyi, że Borys wbija wzrok w Amelę siedzącą na podłodze. Przez szybę przedostaje się niewyraźny głos. Nie można rozróżnić słów. Mike uświadamia sobie, że w tym momencie rozstrzyga się los kobiety. Dokładnie w tej chwili zapada decyzja, czy będzie ona żyć, czy umrze, a na całej ziemi jest tylko jeden człowiek, będący w stanie powstrzymać mężczyznę, który niebawem stanie się jej katem.

Rozgląda się desperacko dokoła. Tito! Marszałek stoi przy schodach i jak zwykle spogląda triumfalnie na samochody przeznaczone do złomowania. Mokry granit połyskuje. W jednym momencie z ciała Mike'a znika cały ból. Z siłą byka zawiesza się na szyi wielkiego przywódcy i szarpie tak, że głowa odłącza się od piedestału. Potem bierze olbrzymi kamień w ręce, podnosi go wysoko, przez chwilę chwije się od ciężaru, lecz udaje mu się wziąć okno na cel. Zwiększa prędkość, zamyka mocno oczy, wydaje z siebie wściekły ryk i ciska marszałka Tito ze wszystkich sił przez szklaną szybę, po czym sam wlatuje do pokoju niczym ludzki taran w kaskadzie odłamków.

Kiedy otwiera oczy, zauważa, że dobrze wycelował. Kamienna głowa musiała uderzyć Borysa w plecy. Handlarz złomem leży

na podłodze i wygląda jakby poraził go piorun kulisty.

Rewolwer!

Do oczu spływa mu czerwona, lepka wydzielina, która zamazuje obraz. Mike wyciera twarz rękawem. Borys zaczął się ruszać. „Gdzie, do cholery, jest rewolwer?” Nagle go dostrzega. Wpadł pod biurko i leży w kurzu, obok listwy przypodłogowej. Mike czołga się gorączkowo w odłamkach szkła. Lecz Borys okręca się na podłodze i próbuje rzucić się na broń. Obaj kopią stopami, szukając podparcia, żaden z nich nie dosięga rewolweru, ale nagle znajdują się tuż obok siebie. Tak blisko, że Mike czuje kwaśny oddech Borysa i ciepło bijące z jego wykrzywionej twarzy. Ich wściekłe spojrzenia się spotykają. W następnej chwili palce Borysa dosięgają wyświeconej drewnianej kolby, zahaczają o nią, a w przekrwionych oczach Serba pojawia się błysk triumfu. W tym momencie Mike stawia wszystko na jedną kartę. Napina mięśnie karku i wyrzuca głowę jak kobra w silnym ciosie czaszką. Na odgłos łamanej kości nosowej wiwatuje w duchu. Leżąc na podłodze, dokańcza starcie, uderzając kolanem w przeponę, a następnie kroczy przeciwnika. Borys wydaje z siebie płaczliwy odgłos, potem leży już zupełnie nieruchomo. Mike przyciąga do siebie rewolwer i podchodzi na czworakach do Ameli, która przyciska się z przerażeniem do ściany.

– Żyjesz? – pyta, z trudem łapiąc oddech.

Kobieta ma kredowobiałą twarz.

Mike odkłada broń i bierze w dłonie ręce Ameli. Ściska jej palce i nie może powstrzymać impulsu, by nie pogłaskać szybko jej policzka. Zostawia na jej skórze bordowe ślady. Czyja to krew? Delikatnie potrząsa kobietą.

– Amelo, możesz być spokojna. To ja, Mike. Przysłała mnie tutaj Ragnhild.

Kobieta odwraca pomału głowę.

– Już po wszystkim – Mike próbuje ją uspokoić.

Lecz jej ciemnobrązowe oczy nadal płoną strachem i nagle Mike pojmuje, że Amela nie patrzy na niego, lecz na coś z tyłu, ponad jego ramieniem.

– Nie...

W pokoju rozlega się strzał. Jeden ostry strzał z pistoletu, który przeszywa błonę bębenkową. Czy on nie żyje? Czy ona nie żyje? Mike obraca się błyskawicznie za siebie i napotyka szyderczy uśmiech na twarzy Jokso.

Mężczyzna stoi za rozbitym oknem. Wylot lufy pistoletu wycelowany jest prosto w Mike'a. Nos Jokso jest w dalszym ciągu odrapany i spuchnięty. Gdy śmieje się do siebie, z jego gardła wydobywa się lekki bulgot.

– Pieprzony poganiacz niewolników – mówi. – Już od dawna miałem go po dziurki w nosie.

Mike rozgląda się z konsternacją. Amela wydaje się cała i zdrowa. Sam też niczego nie czuje. Jego wzrok zatrzymuje się na Borysie. Serb leży w dalszym ciągu, oparty o jedną z nóg biurka. Na środku czoła rozwiera się mała, czarna dziura. Jego szeroko otwarte oczy zasnuły się mgłą.

Gdy Mike się odwraca, Jokso zdążył już wetknąć rękę do środka, otworzyć rozbite okno i wdrapać się do pokoju, zamykając je starannie za sobą. Ostre krawędzie szkła wystają z drewnianej ramy, jak klingi noża. Następnie Jokso staje w szerokim rozkroku i patrzy z góry na Mike'a i Amelę. Oblizuje usta i kołysze się na palcach, jak gdyby się do czegoś przygotowywał.

Naraz uderza Mike'a z całej siły w twarz kolbą pistoletu. Mike słyszy chrupnięcie w kości policzkowej, z mózgu promieniuje palący ból. Przed oczami robi mu się ciemno.

– Teraz jesteśmy kwita – dociera do niego głos gdzieś z oddali.

Widzi jak przez mgłę, kiedy Jokso okrąża biurko. Przykuca przy sejfie, nie spuszczać ich z pola widzenia. Gdy ustawia szyfr, z zamka dobywa się kliknięcie. Potem otwiera szarpnięciem drzwiczki i zgarnia kilka plików banknotów do foliowego worka. Wstaje iśmieje się pod nosem z zadowoleniem.

– Brudne pieniądze. Na Borysie można polegać. Nikomu nie będzie ich brakować.

Wtem na jego wąską twarz opada złowieszczą powaga.

Trzyma pistolet skierowany w ich stronę, jakby mimo wszystko chciał się wytłumaczyć.

– Pomyślałem, że to będzie wyglądać jak samobójstwo. Borys zastrzelony z własnego pistoletu. Niegłupie, co? Gwizdnąłem go dziś rano z szuflady w jego biurku. Ale teraz, kiedy wszystko schrzaniliście... Teraz muszę się zastanowić.

Przez długą chwilę stoi zupełnie nieruchomo z przekrzywioną głową i wygląda tak, jakby coś rozważał. Mike zezuje na Amelę. Prerażenie zniknęło. Kobieta oddycha ciężko. Błądzi wzrokiem. Szuka gorączkowo jakiegoś wyjścia. Rewolwer? Leży akurat poza zasięgiem.

W tym momencie Jokso wydaje z siebie zatroskane westchnienie. Lufą pistoletu muska znacząco swój spuchnięty nos.

– Należy spłacać swoje długi – mówi przyjaźnie. – Tak zawsze mówił Borys. W sumie bardzo mądrze. Właśnie dlatego cię przed chwilą uderzyłem, Mike. Można powiedzieć, że jesteśmy kwita. A teraz zabiję was oboje, bo tak mi się po prostu podoba.

Powoli opuszcza broń i odsłania zęby w lubieżnym uśmiechu.

Mike dostrzega kątem oka, że Amela zamyka powieki. „Szykuje się na śmierć” – udaje mu się jedynie pomyśleć. Potem znowu dopada go myśl, że to nie może się wydarzyć, że tylko on może temu zapobiec. Napina więc mięśnie, by jeszcze raz się poświęcić.

W momencie, gdy ma już rzucić się naprzód i przyjąć na siebie nieuchronną kulę, słyszy za oknem szczekanie psa. To doberman. Jest bardzo blisko, a jego ujadanie przepętnia żądza krwi. W nagłej konsternacji Jokso rozprasza się i spogląda za okno.

Wtedy Mike wykonuje ślizg po odłamkach szkła. Trafia Jokso ponad kostkami, tak że Serb traci równowagę i wymachując ramionami, pada prosto na futrynę okna. Słychać syknięcie, gdy ostre szklane noże przebijają mu płuca, i przechodzą na wylot między żebrami i guzikami jego fioletowej koszuli. Wierzga jeszcze nogami. Potem wisi już tylko z różowymi bańkami wydobywającymi się z ust. Pistolet Borysa w jednej ręce, worek foliowy wypełniony banknotami w drugiej.

– Ja pierdolę! – dyszy Mike.

Długą chwilę gapią się jak zakłęci na martwych mężczyzn.

– Mają to, na co zasłużyli – mówi Mike, próbując brzmieć przekonująco.

Amela nie odpowiada. Kręci w milczeniu głową. Nie stawia oporu, gdy Mike pomaga jej się podnieść.

– Musimy stąd uciec, nim ktoś się tu pojawi – mówi Mike.

– Rewolwer – szepce Amela. – Nie zapomnij swojego rewolweru.

Mike pochyla się i podnosi go z podłogi. Jeszcze raz spogląda na trupy. Najpierw na Borysa. Potem na Jokso.

„Pieniądze” – myśli Mike. Wzrusza usprawiedliwiająco ramionami.

– Sam to powiedziałeś – mamrocze i wykręca worek ze stygnącej dłoni Jokso. – Nikomu nie będzie ich brakować.

Na podwórku czeka pies. Macha ogonem i skomle jak szczeniak. Mike przykuca i drapie go za uszami. Zwierzę sapie z oddaniem i liże jego dłoń.

– Przykro mi, kolego, ale nie mogę cię zabrać ze sobą.

Amela patrzy na niego ze zdumieniem. To wszystko jest jak sen. Zbyt nieprawdopodobne, by mogło być prawdziwe. Czuje się niemal tak, jakby to ona była martwa. Ale nie chce umierać, chce żyć.

– Masz dokąd pójść dziś w nocy? – pyta cicho.

*

Jedna z żarówek w kolorowym łańcuchu lampek na balkonie Ameli migocze, jakby zaraz miała się zepsuć. Czerwone, zielone i żółte światło rozptywa się we mgle i wpełza do sypialni razem z wilgocią.

Płomień świecy trzepocze w powiewie od otwartego okna.

Mike słucha jej oddechu. Czy śpi? Przytula klatkę piersiową do jej kręgosłupa i wdycha zapach ciepłej skóry. Mokre od potu pasemko włosów klei się do białego karku. Głowa spoczywa

ciężko na jego ramieniu. Mike podejrzewa jednak, że Amela czuwa.

Zbliża się świt. Godzina wilka. Amela z pewnością nie może zasnąć, gdy bestie wyją najbardziej przeraźliwie.

Milczeli przez całą drogę w samochodzie. Mike złożył tylne siedzenie, wrzucił do auta wrak roweru i bez słowa wziął od niej kluczyki. Amela wpatrywała się przez szybę w bagniste pola jak zahipnotyzowana. Drżała z zimna. Gdy dotarli na miejsce, otworzyła drzwi mieszkania, poszła prosto do sypialni i odwinęła kołdrę.

– Przytul mnie, Mike – rozkazała i zwinęła się w pozycji embrionalnej. – Tul mnie mocno, dopóki się nie ogrzeję.

Ile czasu minęło? Godzina? Dwie albo trzy? Przestała drzeć już dawno. Mike unosi ostrożnie głowę znad poduszki i spogląda na radiobudzik. Cyfrowe zera mrugają w takt migotania światełek na balkonie. Czy nie obchodzi jej czas?

„Jeśli chce, to mogę tu leżeć całą wieczność” – myśli Mike. Delikatnie zamyka ją w swoich objęciach.

– Czuję się, jakbym była dwiema osobami – mówi nagle Amela.

Mike nie odpowiada.

– Odkąd zobaczyłam tamtego człowieka, czuję się, jakby ktoś zawładnął moim ciałem. Połowa mnie to zwykła Amela. Drugą połowę... opanował ktoś obcy. Ktoś, kto musiał wykonać zadanie. Nie mogłam wypędzić tego mężczyzny z głowy. Byłam pewna, że zabicie go sprawi mi rozkosz.

– Ale zmieniłaś zdanie?

Amela odwraca się pod kołdrą i patrzy na Mike'a szeroko otwartymi oczyma. Jej oddech jest ciepły.

– Tak – mówi. – Nagle się obudziłam. Jakbym znowu odzyskała kontrolę nad całym umysłem. Pokazał mi fotografie swojego syna. To zbiło mnie z tropu. Kiedy odebrał mi rewolwer, wiedziałam już, że nigdy nie strzelę. Najgorsze było, że on to wiedział.

– Ty po prostu nie jesteś mordercą – mówi Mike.

– A ty jesteś?

Na to pytanie Mike się wzdryga, jakby dostał od niej cios.

– Przepraszam – mówi natychmiast Amela i kładzie gorące palce na jego policzku. – Wiem, że powinnam ci podziękować.

– Ech, to tylko... – Mike milknie, nie mogąc znaleźć słów.

– Ragnhild ostrzegała mnie przed tobą. Pokazała mi rewolwer.

– Cóż, dałem go jej dawno temu.

Widzi niespokojne drżenie na jej twarzy, jakby bała się odpowiedzi, którą otrzyma na zadane szeptem pytanie.

– Zabiłeś nim kogoś? Mike, zabiłeś kogoś... przed dzisiejszą nocą?

Mike próbuje mówić tak spokojnym głosem, jak tylko potrafi.

– Nie.

Amela leży długą chwilę z twarzą oddaloną zaledwie o kilka centymetrów od jego twarzy, i bada jego niebieskozielone oczy.

– To dobrze – mówi po chwili.

Gdy Mike widzi jej zaufanie, oblewa go ciepło, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie czuł. Cisza i spokój. Świeca, której płomień nieznacznie się porusza. Słaby blask kolorowych lampek na balkonie. I Amela – tak blisko, tak blisko.

– Ragnhild opowiadała trochę o tym, co przeżyłaś – mówi cicho Mike. – O twoim synu... Ja też mam syna.

Rozdział 30

Zostawia notatkę na stole w kuchni Ameli. Kilka nabazgranych w pośpiechu słów na odwrocie jakiejś ulotki: „Muszę zobaczyć się z Robinem”. Mike. Przez parę sekund zastanawia się, czy nie napisać czegoś więcej, lecz nie przychodzą mu do głowy żadne słowa. Ponadto przeczuwa, że czas nagli.

Za bramą natychmiast dopada go mgła. Zapina kurtkę i spogląda na kolorowe lampki na balkonie. Gdy wymykał się z łóżka, Amela spała głęboko. W nozdrzach ma jeszcze jej zapach. Sól na ustach. Rozgląda się dokoła. Rozwidniło się, lecz najbliższa sylwetka budynku wygląda tylko jak szary, groźny cień. Po ulicy przetacza się samochód z bladymi reflektorami.

Mike idzie spiesznym krokiem po ścieżce za przejściem kolejowym i kościołem, potem truchta na wschód. Rewolwer ciąży mu w kieszeni kurtki. „Muszę się go pozbyć – myśli. – Później, załatwię to później. Teraz muszę biec do domu, do Robina.”

Ma wrażenie, jakby minęło bardzo dużo czasu od momentu, gdy stał i rozglądał się pod murem starej kuźni, choć było to przecież wczoraj. Po drodze nie spotkał ani żywej duszy. W oknie kuchennym pali się światło, upodabniając je do słabej latarni morskiej w mlecznej mgle. Żadnych radiowozów w zasięgu wzroku. Mike przemyka przez drogę jak widmo, otwiera furtkę i przekrada się po żwirze. Rower Robina leży rzucony pod płotem. Przynajmniej chłopak jest w domu. Aby upewnić się, czy w budynku nie ma nikogo więcej, Mike przystaje i nasłuchuje. Słyszy jedynie umierający kasztanowiec, ociekający wilgocią.

Obaj siedzą przy kuchennym stole, jak gdyby nie mieli do roboty nic prócz czekania.

– Mike! – wybuchają Rolle. – Cholera, już myślałem...

Rolle jest spocony i zupełnie żółty na twarzy. Jego wzrok ma w sobie coś dziwnego, przyjaciel wydaje się bardziej nerwowy niż zwykle.

– Jesteśmy bezpieczni? – szepce Mike.

– Na razie tak. Gliny były tu wczoraj wieczorem i węszyły za tobą. W każdej chwili mogą wrócić.

Robin patrzy wielkimi oczyma. Na stole przed nim stoi kubek i talerz ze zjedzoną do połowy kanapką z serem.

– Nie wiedzieliśmy, co mamy robić – mówi Rolle. – Więc zjedliśmy małe śniadanie. Jesteś głodny?

Mike kiwa głową.

– Jak wilk.

– Masz paskudnie zeszpeconą gębę. Coś ty robił?

– Ech, to długa historia – mówi Mike i wodzi palcami po opuchliznie na kości policzkowej.

Potem spogląda na Robina. Od momentu, gdy Mike pojawił się w drzwiach kuchni, chłopak nie ruszył się z miejsca. Odwrócił tylko głowę i wytrzeszczył oczy, jakby ujrzął upióra. „Walczy – myśli Mike. – Cholera, ależ on walczy!”

Nagle Robin zrywa się od stołu i rzuca się w stronę Mike’a, przyciska twarz do jego piersi i kurczowo się w niego wczepia.

– Robin...

Mike czuje, jakby ktoś wydrążył mu wielką dziurę w brzuchu. Obejmuje chłopca ramionami i słyszy jego szloch. Robin jest mały, lecz mimo to ma silne ciało. Mike mocno przytula chłopca, aż jego stopy odrywają się od podłogi. Dociska nos do jego ostrzyżonej na jeża głowy i wdycha jego zapach, chce wyrwać je w sobie na zawsze.

Kiedy tak stoją, przewija mu się w pamięci nocna opowieść Ameli. „Jak by to było już nigdy więcej nie móc trzymać własnego syna w ramionach?” Mike przyciska Robina mocno do siebie, jak gdyby robił to po raz ostatni, i nie przestaje, dopóki nie słyszy, jak chłopak z trudem łapie powietrze.

– Uff, dusisz mnie.

– Czy gliniarze bardzo cię dręczyli? – pyta Mike, nie zwalniając do końca uścisku. Słowa więzną mu w gardle. Pociera dłonią kącik oka.

– Eee, nie było tak źle. Chciałem złożyć im dupska, ale odwieźli mnie do domu, więc to olałem.

Robin pociąga nosem. Mike uśmiecha się szeroko. Naraz widzi, że twarz chłopca kamienieje. Czuje rękę szperającą mu w kieszeni.

– Co to jest?

Zanim Mike zdąży go powstrzymać, Robin wygrzebuje rewolwer i przygląda mu się z miną zdradzającą groźną mieszankę zdumienia, strachu i podziwu.

– Kurwa, Mike! Łazisz z pukawką w kieszeni? – wykrzykuje Rolle i chwytą się za czoło. – Ty idioto!

– Ostrożnie! – syczy Mike i bierze broń z ręki Robina.

Obaj patrzą na niego w sposób, który nie daje mu możliwości wykręcenia się od wyjaśnień. Mike czuje się postawiony pod ścianą. Otwiera usta, ale stoi tylko niemy jak ryba. Od czego, do licha, ma zacząć?

– To wcale nie tak, jak myślicie... Mam go już od dawna.

– Nie kapujesz, co się stanie, jeśli policja złapie cię z rewolwerem w kieszeni? – warczy Rolle. – Nie masz szans.

– Zastrześliłeś kogoś? – pyta Robin z trwogą w głosie. Cofnął się o krok i patrzy na Mike'a, jak gdyby nie wiedział, w co ma wierzyć.

– Oczywiście że nie, do jasnej cholery.

Mike drapie się po głowie i patrzy ze wstrętem na rewolwer. Potem odkłada go na zlewozmywak, jakby był cuchnącym odpadkiem. Przyciąga do siebie krzesło i siada na nim okrakiem zbłokciami na oparciu.

– Siądźcie!

Robin łypie na Rollego, który już siedzi, i stosuje się do polecenia ojca. Mike kaszle sucho w zwiniętą dłoń.

– Zapomniałem o tej spluwie, rozumiecie? – mówi. – Kiedy gliny ścięły mnie wczoraj wieczorem i nie wiedziałem, dokąd

pójść, pobiegłem do domu Ragnhild. To ona powiedziała mi, że Amela ukradła rewolwer.

Obaj patrzą na niego w osłupieniu.

– Kim jest Ragnhild? – zastanawia się Robin.

– I kim jest Amela? – pyta Rolle.

Mike wydaje z siebie zgnębione westchnienie. Próbuje ułożyć w głowie słowa i zdania w coś sensownego. Oczywiście wie, że musi zacząć od początku, jeśli chce, żeby zrozumieli. Lecz słowa skaczą ciągle tu i tam, pozostawiając za sobą spore wyrwy. Mike zna to uczucie, powoduje ono zawsze, że w czasie rośnie mu ciśnienie.

Gdy ma już spróbować, dzwoni telefon. Ścieżka z Indiany Jonesa. To komórka Robina. Chłopak wysuwa ją z kieszeni spodni.

– Tak?

Twarz chłopca zasnuwa chmura, która rzuca ciemny cień na jego czoło. Ciało napina się jak katapulta.

– A po co? – warczy.

Z trzeszczącego telefonu wydobywa się kobiecy krzyk. Robin oddala słuchawkę od ucha. Potem wyciąga ją do Mike'a ze złowróżbną miną.

– To Gunborg. Mówi, że musi z tobą pogadać.

– Gunborg?

Mike bierze telefon do ręki i odchrząkuje. W tym samym momencie coś sobie uświadamia. Nie wie, co sprawia, że klapki nagle spadają mu z oczu. Może coś w spojrzeniu Robina. Coś w sposobie, w jaki wymawia imię tej kobiety. Gunborg. Właśnie wtedy do Mike'a dociera coś, co przez cały czas przeczuwał, lecz co wyparł w najbardziej wstydlivy kąt świadomości, coś, co zamknął na klucz, który potem wyrzucił i zmusił się, by o tym nigdy nie myśleć. Nim słyszy jej głos w słuchawce, wie już, że kobieta wyjawia mu coś potwornego.

– Ehm... Z tej strony Mike Larsson – mówi łamiącym się głosem.

W pierwszej chwili dociera do niego tylko szloch kobiety.

– Przepraszam... Przepraszam, że tak dzwonię.

Jej głos jest bełkotliwy. Mike'a gryzie niepokój. Czuje, że teraz musi poznać prawdę.

– Co się stało?

Słyszysz, jak kobieta wyciera nos na drugim końcu linii. Po chwili jej głos odrobinę się uspokaja.

– Zgłosiłam Sunego na policję. Pobił mnie. Dziś w nocy... Było gorzej niż zwykle.

Mike drży na całym ciele.

– Byli tu dziś rano – mówi kobieta. – To znaczy, policjanci. Wszystko im powiedziałam. Także o Robinie.

– Jak to, o Robinie?

Mike ledwo ośmiela się oddychać. Patrzy na syna i odczytuje z jego twarzy, że chłopak wie dokładnie, co Gunborg zamierza opowiedzieć. Dostzega błysk nienawiści i oskarżenia w tych niebieskozielonych oczach, które są przecież jego własnymi oczami. Jego własne, przeklęte oczy. Jego własny syn. Robin powinien mieć oczy kogoś innego, życie kogoś innego, ojca kogoś innego. Powinien był uniknąć patrzenia na całe to gówno, na jakie patrzył. Powinien był uniknąć przekleństwa bycia synem takiego pieprzonego mięczaka jak Mike Lorne Larsson.

– Sune zabierał go często do piwnicy i bił. Sune... jest chory. Wydaje mi się, że cieszy go poniżanie. Poniżanie Robina. I poniżanie mnie.

Głos Gunborg brzmi teraz zupełnie pusto, jakby w jej duszy nie pozostało już nic.

– Ja o tym wiedziałam. To jest najgorsze. Słyszałam wszystko, choć chłopiec nigdy nie krzychał. Nastawiałam wtedy głośniejszy telewizor.

Robin wstał z krzesła. Zmierza do drzwi powoli, wyglądając, jakby schował się w swojej skorupie.

– Policja szuka teraz Sunego – mówi Gunborg. – Pojechał wcześniej rano polować na zajęcia. Ma swój teren łowiecki niedaleko kamieniołomu. Strzela do zajęcy w polach. Przykro mi, Mike. Pomyślałam, że zadzwonię i powiem ci to wszystko, bo jestem to winna tobie i Robinowi... Przepraszam.

– Zabiję tego skurwiela! – ryczy Mike w powietrze.

Potem rozgląda się zbity z tropu, jakby nagle nie wiedział, gdzie się znajduje.

– Ten bydlak pojechał polować na zające. Kapujecie? Poluje na zające na jakimś jebanym polu!

Za późno dociera do niego, że Robin wyslizgnął się już z kuchni. Rolle siedzi przy oknie i wygląda na nieszczęśliwego. Rozkłada ręce.

– Co się stało?

Rewolwer! Nie ma go już na zlewie!

– Neeeeee! – krzyczy Mike, słysząc jednocześnie zatraskujące się drzwi wyjściowe. – Czekaj, do jasnej cholery!

Wybiega do przedpokoju z wałącym sercem, potyka się o kabel lampy i upada na podłogę. Przeklinając, staje z trudem na nogi i otwiera szarpnięciem drzwi. Zatrzymuje się na kamiennych schodach, świdruje wzrokiem mgłę i wykrzykuje z rozpaczą:

– Robin!

Echo odbija się od muru starej kuźni.

– Robin!

Furtka jest otwarta, a rower, który leżał rzucony pod płotem, zniknął.

– Cholera jasna!

„Muszę go dogonić – myśli Mike. – Muszę go zatrzymać, zanim zrobi coś, czego będzie żałował przez całe życie.”

Pola pod kamieniołomem. To tam ten skurwiela poluje na zające.

– Dokąd on pojechał?

Rolle stoi w przedpokoju, zmęczony i zrezygnowany. Nie tracąc czasu na wyjaśnienia, Mike wsuwa stopy w buty do biegania i rusza prosto w mgłę.

*

Pies-tropiciel przybywa z ujadaniem w porze, kiedy słońce

powinno być w zenicie. Lecz okolica spoczywa jeszcze spowita wilgocią i rozpaczą, która odcina światło. Jest szaro i wszystko unosi się w nierealnych, mlecznych oparach.

Gdy Rolle słyszy dudnienie do drzwi, wrzuca prędko pigułki do ust, połyka je, a potem chowa woreczek do szafki przy wiadrze na pomyje. Ból nie może go teraz zdominować.

Przeczuwa, co się wydarzy.

Policjant stojący w drzwiach to mały, chudy, łysy mężczyzna w za dużym prochowcu.

– Björn Bernhardsson. Komisarz z wydziału kryminalnego. Szukam Mike’a Larssona.

– Nie ma go w domu – mówi mgliście Rolle i spogląda ponad ramieniem niskiego mężczyzny. Tuż za komisarzem stoi policjantka o azjatyckim wyglądem, którą rozpoznaje, natomiast u stóp schodów widzi jeszcze dwóch mężczyzn, z których jeden trzyma na smyczy zawzięcie dyszącego brązowego psa nieokreślonej rasy.

– A chłopak?

– Podobnie. Nie ma go.

Z niezadowoloną miną komisarz taksuje wzrokiem potężną postać Rollego, od rozczochranej głowy po brudne palce u nóg.

– A pan to właściciel domu, Roland Andersson?

– Tak jest... W czym mogę pomóc?

– Mamy nakaz rewizji.

Bernhardsson macha prędko jakimś dokumentem, który znika potem w kieszeni jego płaszczu.

Rolle przybiera zdumioną minę. Jednocześnie myśli, aż głowa mu pęka. „Pismak. To oczywiście jego szukają.” Rzuca niespokojne spojrzenie na psa, który szarpie niecierpliwie smycz. W tym domu nie znajdzie zwłok. Ale Rolle przyswoił sobie z książek także sporo wiedzy o psach-tropicielach. Wie, że potrafią wywęszyć, gdzie leżał martwy człowiek, nawet jeśli nie ma już ciała. Grubas wzdycha i kiwa słabo głową do policjantów. Właściwie podjął już przecież decyzję.

– Co macie państwo nadzieję tutaj znaleźć?

Bernhardsson odsuwa go ostentacyjnie na bok.

– Mamy powody, by sądzić, że zaginiony dziennikarz Nils Ek był w tym domu.

– Kto?

– Nils Ek. Proszę się przesunąć!

– Proszę pozwolić, że nie będę przeszkadzał – mówi spokojnie Rolle.

Pozwala im wmaszerować do sieni. Chodzi za nimi z wyczekiwaniem, kiedy tak węszą po domu. Gwiżdże cicho smutną melodię, patrząc niemal nowymi oczyma na wszystko, co tak dobrze zna. Na to, co było jego twierdzą przez tyle lat. Co stałoby się także ich twierdzą. Plastikowe kulki mienia się ślicznie na choince. Jednak do świąt pozostał jeszcze ponad miesiąc. Mieliby własną świąteczną szynkę piezoną w musztardzie. Domek z piernika. Kaczora Donalda w telewizji. Mike i Robin siedzieliby tu na kanapie, a on przyszedłby, pohukując jak Święty Mikołaj, ubrany elegancko na czerwono. Śmialiby się z niego, a on kochałby ich całym swym sercem. Całą swą chorą głową.

Jeden jedyny raz.

Wyciera łzę, która spłynęła po policzku.

Wydaje się, że policjanci skończyli przeszukiwanie piętrowego. Stąpają ciężko po schodach. Pies ujada i węszy w salonie, rwie smycz. Komisarz obserwuje to wzrokiem pełnym nadziei.

– Jest tu jakaś piwnica? – pyta ponuro.

Rolle wskazuje drzwi. Myśli o wszystkich obrazach voodoo na dole. O dziurach w oczach fabrykanta podgrzewaczy, Malcolma B. Anderssona. Prycha pod nosem. „Powinieneś to wszystko widzieć, pieprzony staruchu. Gliny robią rewizję w twoim pięknym domku. Oby palił cię wieczny ogień piekielny, tatuśku, i obym nie musiał cię tam spotkać!”

Wkracza ciężko po schodach do swojej sypialni. Zostawia otwarte drzwi. Rzuci okiem na skrzynkę z zapasem leków. Jest w niej dużo więcej ponad to, co powinno wystarczyć. Zdaje się, że policja się tym nie zainteresowała.

Opróżnia prosto do ust pierwsze lepsze opakowanie. Potem jeszcze jedno. Cherubinki uśmiechają się do niego z czułością.

Następnie otwiera górną szufladę małego biurka i wyjmuje papier. Jeden, zupełnie biały, niepozaginany arkusz.

Z piwnicy dobiegają go podekscytowane krzyki.

– Suka oznacza! Wykryła zapach zwłok!

Rolle chwyta długopis. Widzi, że ręka odrobinę mu drży. Pora się pospieszyć. Czasu jest coraz mniej.

Rozdział 31

Gdy zając wybiega, Sune porzucił już niemal nadzieję, że weźmie coś na muszkę w tej mgle. Zwierzę musiało przyzaić się głęboko w bruździe. „Cholerna pogoda na polowanie” – myśli na moment przed tym, nim zając wyłania się i mknie w dal.

Spokojnie, by śrut zdążył się rozmieścić, wiedzie kolbę w stronę policzka i naciska spust. Huk niesie się przez mleczną mgłę.

W pierwszej chwili myśli, że spudłował. Zając biegnie dalej. Lecz w momencie, gdy Sune chce wystrzelić z drugiej lufy, widzi, że zwierzę traci siłę w tylnych skokach. Wlecze się jeszcze kilka metrów przed siebie, po czym pada. Mężczyzna łamie strzelbę i podchodzi do zdobyczy.

Śrut wbił się w udo. Widzi trzy czarne punkty w futrze. Nie jest to na tyle duża rana, by szarak padł na miejscu, lecz i nie tak znikoma, by miał szansę przeżyć. Zając rozkopuje ziemię przednimi łapami. Sapie i patrzy na niego żółtobrazowymi ślepiami.

Przez długą chwilę Sune stoi i przygląda się mu, nie robiąc nic. Trąca go lekko gumowcem. Czeką, aż zwierzę zacznie kniazić. Lecz zając nie wydaje z siebie ani jednego dźwięku. Walczy i drapie ziemię pazurami, ale nie może ruszyć z miejsca, udaje mu się jedynie zataczać w żałosnych wykrętach.

„Dziś rano Gunborg była taka dziwna – myśli Sune. – Miała coś nieprzyjemnego w oczach. Chyba wczoraj wieczorem nie potraktowałem jej jakoś okropnie mocno? Choć wyglądała jak pożał się Boże, kiedy siedziała w tym swoim szlafroku i się

gapiała. Stara i wredna. Nie machnęła nawet ręką, żeby się umalować. Nie nałożyła nawet pudru na policzki. Jakby chciała zrobić mi na złość.”

Sune strząsa z siebie dreszcz i wyjmuje nóż. Przykuca i zaciska dłoń na długich uszach zwierzęcia. Pozwala zającowi zwisać przez chwilę w ręce i wierzgać. Potem podcina mu gardło i czeka, aż spłynie krew. Gdy zwierzę nieruchomieje, otwiera mu brzuch kilkoma wprawnymi cięciami i wydobywa palcami wnętrzności. Wyciera lepka maź o tył spodni. Potem chwyta zająca za nogi i idzie do samochodu. „Nim pojadę do domu, kropnę jeszcze jednego małego sukinsyna.”

*

W uszach Robina szumi wiatr, choć wcale nie powinno wiać. „To twoja wina, twoja wina, twoja wina.” Płynie nad ziemią, ślepy i nagi. Z mgły wydzielają się maleńkie krople, które przenikają przez bluzę i chłodzą pierś. „Wszystko to moja wina.”

Omam nie mija skrętu w boczną drogę. W ostatniej chwili dostrzega powykręcany dąb, który stoi tam, niczym troll. Słychać szcęk błotnika, gdy przednie koło wpada w dziurę.

Kiedy prostuje kierownicę, w dali na równinie rozlega się huk. Robin czuje kołatanie serca i zwiększa tempo. Pedałuje jeszcze kilkaset metrów po wąskiej, szutrowej drodze, biegnącej między polami, po czym hamuje i zeskakuje z roweru. Cisza otacza go natychmiast wilgotnym objęciem. Ogarnięty nagłą niepewnością stoi i wpatruje się w mgłę, rozścielającą się tuż nad czarno-brunatną ziemią. W zamyśleniu naciąga na głowę kaptur bluzy. Gdzieś tam znajduje się pole łowieckie Sunego. Lecz teraz role się odwróciły. Teraz to ten pieprzony staruch będzie zdobyczą.

Kiedy Robin wkłada rękę do kieszeni, czuje stal. Rewolwer jest cięższy, niż myślał. Rewolwer ojca.

Stoi tak długą chwilę, patrząc na broń. Czarny metal i ciemna, brązowa kolba z drewna. Wącha go delikatnie i czuje ostre

kłucie w nozdrzach. Ogląda dokładnie kolt i udaje mu się znaleźć zatrzask bębna. Ostrożnie go otwiera. W komorach znajduje się sześć naboí. Zamyka bęben lekkim trzaśnięciem, jak to widział na filmach. „Ciekawe, czy Mike kłamał? – myśli Robin. – Czy naprawdę nikogo nim nie sprzątnął?”

Właśnie dlatego Robin musi teraz zrobić to sam. Nie dlatego, że Sune chłostał go u siebie w piwnicy. Mógłby o tym zapomnieć, choć na samą myśl pali go w środku tak, że czuje przejmującą potrzebę wypróżnienia się. Musi to zrobić dlatego, że widział wściekłość w oczach Mike’a, gdy zadzwoniła Gunborg.

„Zabiję tego skurwiela!”

Nie było wątpliwości, że Mike mówił poważnie. Robin kręci głową sam do siebie. „Nie, tato – myśli. – Nikogo nie zabijesz. Nigdy więcej nie będziesz siedział w więzieniu. Będziesz tutaj, u mnie. To ja wygrzmocę temu choremu sukinsynowi mózg z błba.”

„Sune zaparkował pewnie auto gdzieś blisko, przy drodze. Może powinienem je znaleźć i czekać? – myśli Robin. Jednak czuje dreszcz niecierpliwości. – Trochę potrwa, zanim stary się pojawi. Mike na pewno już tu biegnie. On nie rozumie. Muszę zrobić to teraz.”

Robi kilka kroków. Błoto pola wciąga mu nogi. Stopy grzęzną w nim po kostki. Za każdym razem, gdy je podnosi, ziemia wydaje z siebie udręczone westchnienie.

Przemierzywszy krótki odcinek, zatrzymuje się i słucha. Czuje się niemal tak, jakby był ślepy. Nie ma wiatru, a mimo to słyszy zawodzenie w uszach. Czy mgła może wydawać dźwięki? Te malutkie, maluteńkie kropelki wody, które kładą się pomału na ziemi?

Jednak słyszy jeszcze coś innego. Nie widać ich, kraczą gdzieś wysoko nad jego głową. A może siedzą i czekają, jak sępy na drzewie, na skraju pola?

Kruki.

„Ciekawe, czy jedzą padlinę?” – myśli Robin.

*

Gdy Mike słyszy odgłos silnika, radiowóz jest już bardzo blisko. W ostatniej sekundzie rzuca się na bok, stacza do rowu i kładzie plackiem na trawie. Czy go zauważyli?

Ostrożnie unosi głowę i widzi niebiesko-białe volvo przejeżdżające po asfalcie. Światła reflektorów rozplływają się w żółtawym obłoku. Samochód toczy się pomału w dal, lecz Mike leży w trawie, dopóki dźwięk silnika zupełnie nie zniknie. Wokół niego pachnie ziemią. Pod brzuchem czuje lodowate podłoże. Ściera z twarzy kilka źdźbeł trawy i staje z mozołem na nogi. Próbuje uporządkować sobie wszystko w głowie. Gunborg powiedziała, że policja będzie szukać Sunego w okolicy pola łowieckiego. „Muszę stać się niewidzialny – myśli Mike. – Przecież ścigają i mnie.”

Na sztywnych nogach wychodzi niepewnie na drogę. „W okolicy kamieniołomu” – powiedziała Gunborg. Mike domyśla się tylko, o które pola jej chodziło. Najgorsze, że Robin na pewno dobrze wie, gdzie zazwyczaj poluje Sune. Chłopak musiał też słyszeć Gunborg w słuchawce. Co on, u licha, zamierza zrobić?

Właściwie zna odpowiedź.

Mike biegnie i dyszy, nie widząc prawie nic. Czuje, jak coś ciepłego spływa mu po policzkach i wie, że nie jest to krew. Słowa Gunborg rozbrzmiewają stale w jego głowie: „Wydaje mi się, że cieszy go poniżanie. Poniżanie Robina.”

Czuje się winny. Robin, silny jak on, ale drobny i chudy. Bezradny, w mrocznej piwnicy Sunego. Myśli, ciężkie jak uderzenia młota, wałą w mózg Mike'a. „Dlaczego się nie zorientowałem? Jak mogłem go tak zawieść?”

Mruży oczy i zwiększa tempo. Tłumi bolesne uczucia i pędzi wzdłuż drogi, niemal na oślep. Jego buty ledwo dotykają asfaltu. Siła i determinacja powracają w jednej chwili.

Wielki dąb na rozwidleniu wyciąga sękate ramię, jakby chciał coś wskazać. Szutrowa droga pnie się w stronę kamieniołomu.

Prowadzi tam jednak więcej ścieżek i Sune równie dobrze mógł wybrać inną. Ale Mike wie jedno: oni są gdzieś w tamtych polach.

Robin i Sune. Myśliwy i zdobycz.

Nie ma chwili do stracenia. Mike pędzi kolejną najszybciej, jak potrafi. Serce bije jak oszalałe, czerwona fala gorąca uderza w skronie. Wściekłość zniknęła. Zniknęła niepoohamowana żądza zabijania, rozbudzona przez słowa Gunborg. Cień gnający po ścieżce przez pola nie jest mścicielem. Jest wybawcą.

Widzi rewolwer w dłoni chłopca. „Robin, do jasnej cholery, pomyśl, co robisz!” Mike musi zapobiec katastrofie.

Gdy przystaje i nastawia uszu, słyszy tylko własne sapanie. Aby nie zagłuszać dźwięków z nieznanego przestrzeni, zmusza się do wstrzymania oddechu. Potem biegnie jeszcze kawałek i znowu staje. Wokół niego jest cicho. Jak na froncie, kiedy żołnierze czekają, aż oficer dmuchnie w gwizdek na znak, że mają wypełznąć z okopów i przystąpić do ataku.

„Gdyby tylko mgła opadła – myśli Mike. – Gdyby tylko można było ich dojrzeć.”

*

O dziwo, zauważa w oczach zająca jakieś oskarżenie. Odkłada martwe zwierzę na gazety, które rozścielił w bagażniku.

„Weź się w garść!” – myśli i wypluwa torebkę snusu, która ląduje obok tylnego koła. Otwiera plecak i wygrzebuje z niego termos. Nalewa parującą kawę do plastikowego kubeczka i rozwija z papieru dwie kanapki z kiełbasą. „Palce śmierzają mi krwią – stwierdza, wzięwszy pierwszy kęs. – Świeża krew. Trochę jak zimne żelazo.”

Kawa rozgrzewa żołądek. Sune przeciąga się z przyjemnością pod kurtką i bierze jeszcze jeden łyk. Potem znowu spogląda na zająca.

Wspaniały okaz. Trzeba ściągnąć z niego skórę i zawiesić go za skoki na kilka dni na werandzie, żeby skruszał. Potem Sune

nakłoni Gunborg, by przyrządziła zająca w potrawce z owocami jałowca, boczkiem i śmietaną. Już czuje ssanie w żołądku.

Ale to nie tylko głód. Bierze jeszcze jeden kęs kanapki i rzuca resztę na ziemię. Wyjmuje fajkę i nabija ją w zamyśleniu tytoniem.

Cholernie się dziś rano gapiła. Nie powiedziała ani słowa, ale właściwie to nie musiała. Miała w oczach jakiś nieznaną cień. Wyglądała niemal tak, jakby go nienawidziła.

Wzrusza ramionami. „Z czasem jej przejdzie. Ale jakoś nie bardzo mi się spieszy, by wracać do starej.” Beka sucho i masuje się chwilę po brzuchu. „Chyba nie robią mi się wrzody na żołądku?” – myśli.

Potem wypija ostatni łyk kawy i wystukuje popiół z fajki o felgę. Chowa z powrotem kubek i termos, po czym zatrzaskuje klapę bagażnika. Następnie chwytą strzelbę i wsuwa nowy nabój. Spogląda na pole, mrużąc oczy. „Będę miał niezłe szczęście, jeśli wezmę na muszkę jeszcze jednego w tym mleku” – myśli.

*

Kruków już nie słychać. Nagle Robin zaczyna drżeć z zimna. Błoto wciąga nogi, a z każdym krokiem w głąb pola stopy grzęzną jeszcze bardziej. Ma wrażenie, że sama ziemia, ohydnie mlaskając, chce ściągnąć go w dół i pogrzebać. Robin przystaje po raz setny i nastawia uszu.

Już dawno stracił orientację. Wydaje mu się, że chodzi w kółko przez całą wieczność. Nie ma pojęcia, która może być godzina. Czas się zatrzymał. „Gdybym chociaż wiedział, w którym miejscu na niebie jest teraz słońce – myśli. – Wtedy byłbym pewny, gdzie iść.” Jednak jakkolwiek by nie wyteżał wzroku, wszystko wokoło zlewa się w jedną całość. Szara mgła nad czarną glebą. Gdyby tylko nie było mu tak zimno, położyłby się na ziemi i zaczął płakać.

„Lepiej było odszukać auto Sunego i tam poczekać – myśli. –

Ale teraz jest już za późno.”

Ponownie wyjmuje rewolwer z kieszeni i mierzy w nieznane. Próbuje sobie wyobrazić, jak to będzie mieć Sunego na celowniku. Ten tłusty sukinsyn musi mieć czas, by zrozumieć, co się dzieje. Musi wpaść w przerażenie, opuścić podwójny podbródek na pierś i zacząć się ślinić, jak wtedy, gdy zasypiał na kanapie przed telewizorem po tych wszystkich razach, kiedy sprawiał lanie Robinowi.

„Ręka mi nawet nie zadrży – wmawia sobie Robin. – Ani odrobinę. Wspaniale będzie widzieć go wijącego się na ziemi, beczącego jak baba i proszącego o przebaczenie. Żebrzącego o życie na kolanach. Dam mu na chwilę spokój, pozwolę mu uwierzyć, że będzie żył, a potem przyłożę mu stopę do piersi i pchnę go prosto w ten gnój. Hasta la vista, baby! A na koniec paf! Kula między oczy.”

Powoli opuszcza ramię. Wie, że siebie nie oszuka. Nie ma najmniejszej ochoty zabijać Sunego. Jedyne czego chce, to zapomnieć o tym bydlaku. Nigdy więcej o nim nie myśleć. Ale to niemożliwe. Musi to zrobić. Musi zdążyć przed Mikiem.

Nagle słyszy odległe trzaśnięcie. Odgłos jest słaby, lecz Robin jest niemal pewien. To dźwięk zamykanego bagażnika. W jednej chwili krew zaczyna krążyć szybciej i chłopak puszcza się bez zastanowienia w kierunku, z którego dobiegł hałas. Pędzi przez pole z rewolwerem gotowym do strzału, grzęznące stopy już go nie spowalniają, teraz jest szybszy od wiatru. Biegnie, aż szumi mu w uszach i pali go w płucach, nie widzi nic, lecz to jedno jedyne trzaśnięcie rozbrzmiało we mgle jak róg i Robin wie teraz, że jest na kursie prosto na swoją zdobycz. Po minucie, a może godzinie wyłania się przed nim samochód Sunego. Stoi na polnej drodze przy kamiennym ogrodzeniu. Pobliska wierzba rozczapierza cienkie, zimne gałęzie.

Zbliża się ostrożnie. Staje bez ruchu, ściskając kolbę i czeka, aż jego zdobycz się ujawni. Potem podkrada się jeszcze kawałek. Okrąża samochód. Nikogo tam nie ma.

Rozgląda się niezdecydowanie. Sune musiał znowu zniknąć na polu. Robin spogląda na auto i myśli, aż głowa mu pęka. Ma

czekać czy biec dalej?

Nie wiedząc czemu, kładzie dłoń na klapie bagażnika. Jest zimna i mokra. Wciska zamek. Mechanizm otwiera się z kliknięciem świadczącym o tym, że jest dobrze naoliwiony. Robin stoi długą chwilę, patrząc na zakrwawionego zająca.

Potem jego wzrok pada na grudę ziemi przy oponie samochodu. Widnieje na niej ślad buta. Kilka pofalowanych rowków na bryle spłaszczonego błota, która odpadła zapewne od podeszwy Sunego. Kawałek dalej leży jeszcze jedna, a tuż obok zwiędłego chwastu na skraju drogi kolejna.

Przestępuje nad rowem i podąża wzrokiem za śladami. Gdy uświadamia sobie, że powstały nie dalej, jak przed paroma minutami, nachodzi go mrozące uczucie. Wciąga w nozdrza odrobinę zimnego powietrza. Czuje zapach spalonego tytoniu. Sune był tu przed momentem i zostawił w samochodzie ustrzelonego zająca. Potem zapalił sobie i znowu zniknął we mgle. Nie mógł jednak zejść zbyt daleko. Robin zsuwa wilgotny kaptur na kark i czuje chłód przeszywający czaszkę. Rusza truchtem niczym węszący pies myśliwski.

Mimo że musiało już minąć sporo czasu od rana, słońce wciąż jest niewidoczne. Nad bruzdami tłustej gleby zwisają gęstsze niż wcześniej opary mgły. Robin podąża za śladami z głową pochyloną ku ziemi. Musi polegać teraz na słuchu i węchu.

Nagle oba zmysły reagują dokładnie w tym samym momencie. Robin słyszy odgłos lejącej się cieczy, czując jednocześnie klucie w nozdrzach. Podnosi wzrok i widzi w pewnej odległości przed sobą cień, ledwo dający się odróżnić. To Sune. Stoi w szczerym polu tyłem do Robina i najspokojniej w świecie sika. Pogwizduje nawet lekko pod nosem, fałszywie i koszmarnie, lecz mimo to Robin rozpoznaje melodię. Słyszał ją już wielokrotnie. Słowa wyłaniają się niespodziewanie w jego głowie. Bo właśnie dziś kupiłem ci małą różyczkę w kwiaciarni. Czerwoną jak krew¹⁷...

Próbuje się nie ruszać, lecz nie może powstrzymać dreszczy. Słyszy, jak cień przed nim puszcza przeciągłego, donośnego bąka,

po którym następuje lubieżne stęknienie. „Chowa członek – myśli Robin. – Ma zajęte ręce. Powinienem to zrobić teraz.”

Jednak rewolwer stał się nagle śliski, jakby ktoś natarł go mydłem. Próbuje go nieporadnie ująć i o mało co nie wypuszcza z rąk. W końcu chwyta broń, zaciska palce wokół kolby i odbezpiecza spust. Gdy wyciąga ramię, by wycelować, Sunego już nie ma.

Robina ogarnia przerażenie. Czy się zdemaskował?

Mgła nad polem gęstnieje i Robin nie widzi dalej, niż na kilka metrów. Gwizdanie ustało. Odwraca głowę w desperacji i nasłuchuje. Jedyne, co słyszy, to słaby szum drobniutkiego deszczu, którego krople są tak maleńkie, że wydają się unosić w powietrzu, nieważkie jak lotki dmuchawca. I własne serce. Ma wrażenie, że bije w klatce piersiowej potężniej, niż dzwon kościelny.

Dokąd poszedł Sune?

Niezdolny, by podjąć decyzję, czy pobiec naprzód, czy zawrócić i uciec, chłopak stoi nieruchomo w miejscu. Pomału obraca się wokół własnej osi, celując rewolwerem we mgłę.

Wtedy zostaje gwałtownie pchnięty w plecy i pada bezwładnie na ziemię. Broń wyfruwa mu z dłoni. Na jego grzbiecie ląduje jakieś ciężkie ciało, wyciskając mu powietrze z płuc. Robin syczy i pluje, by usunąć ziemię z ust i nosa, próbuje kopać i drapać, lecz przeciwnik jest silniejszy i blokuje go swoim ciężarem. Kiedy ma już krzyknąć, czuje wielką dłoń przesuwaną się po omacku po jego twarzy i kładącą się jak pokrywa na ustach. Gryzie z całej siły w jeden palec, mając wrażenie, że wziął w zęby żylastą kielbasę. W ustach pojawia się smak krwi, lecz dłoń pozostaje na miejscu. Potem do jego ucha przyciska się para wilgotnych warg.

– Cicho, do cholery! – ktoś syczy tak blisko, że głos jest niemal w jego głowie.

– Mike?

– Cicho.

Brudna dłoń znowu zakrywa mu usta, teraz łagodniej, lecz mimo to zdaje się, jakby Mike nie śmiał zaufać, że Robin

zrozumiał, iż musi milczeć. Długą chwilę leżą nieruchomo w błocie, tuż obok siebie. Czekają na znak. Wokół nich unosi się zapach ziemi, rozkładu i tłustych dżdżownic, lecz Robin czuje także woń potu Mike'a, i to napełnia go spokojem.

Kiedy obaj zaczynają się już rozluźniać, dzwoni telefon komórkowy.

– Kurwa!

Mały aparat gra głośno i donośnie melodyjkę z Indiany Jonesa, która niesie się nad polem. Mike szpera rozpaczliwie w kieszeni i gdy w końcu wydostaje telefon, nie zdobywa się na nic innego niż naciśnięcie zielonego klawisza. Z drugiego końca linii słychać jasny głos.

– Cześć Robin, tutaj Roine Lind z opieki społecznej. Chciałbym z tobą porozmawiać.

W tym samym momencie mgłę przesywa ryk.

– Halo?! Kto się tu, u diabła, kręci?

Słyszą plaskanie truchtających kroków. Sune jest coraz bliżej. Dobia ich szcęk składanej lufy dubeltówki. Rozglądają się za rewolwerem, ale gdzieś zniknął. Zdjęci paniką Mike i Robin patrzą na siebie.

– Halo? Jesteś tam, Robin? Tu Roine...

W końcu Mike przytomnieje. Błyskawicznie podnosi się na kolana i ciska telefon niczym granat, tak daleko, jak tylko potrafi, po czym ponownie pada i przyciska siebie i Robina płasko do ziemi. Żaden z nich nie śmie oddychać. Kroki ucichły. Sune przystanął. Słyszą, jak spluwa i bełkocze jakieś przekleństwo.

W oddali trzeszczy głos Roinego Linda, który jest teraz ledwo słyszalny.

– Jesteś tam? Robin...

Potem milknie.

Mike unosi ostrożnie głowę i wypatruje. Dostrzega teraz Sunego. Niewyraźny cień, będący o krok od zniknięcia w mlecznych oparach. Przed postacią sterczy lufa strzelby. Mężczyzna się nie rusza. Dźwięki najwyraźniej go zmyliły. Nie wie już, dokąd ma iść.

– Wiem, że ktoś tam jest – woła. – Wyłaź, w przeciwnym razie odstrzelę ci łeb!

Brzmi gniewnie. Wściekle jak rozdrażniony dzik. A jednocześnie sztucznie i odrobinę niespokojnie.

Potem znowu zaczyna iść. Najpierw robi kilka ciężkich kroków w stronę Mike'a i Robina, lecz potem najwyraźniej zmienia zdanie i skręca w kierunku telefonu, który zamilkł.

Nagle Sune nie jest już sam w oddali. Po polu porusza się kilka innych sylwetek i daje się słyszeć czyjeś wołanie:

– Sune Olsson! Policja. Odłóż strzelbę i podejdź!

– Co, u licha...

Zatrzymał się, zбитy z tropu. Cienie są już przy nim.

– Żadnych głupich ruchów, Olsson. Idziesz z nami.

– O co chodzi?

– Jesteś podejrzany o pobicie. Zgłosiła cię twoja żona, Gunborg. Idziesz z nami.

Mike i Robin przyciskają się do ziemi najmocniej jak mogą, podobni do dwóch zajęcy, które liczą na to, że myśliwy ich nie dostrzeże. Z policzkami w błocie patrzą sobie prosto w oczy, nie wydając z siebie nawet szeptu.

– Łazi tu za mną jakiś sukinsyn – słyszą skargę Sunego. – Dzwoniła mu komórka...

– Tak, tak. Cicho już. Idziesz z nami do samochodu.

– Czy nie słyszycie, co mówię? Ktoś mnie śledzi.

– Zamknij się, Olsson!

– Nie rozumiecie? Śledzą mnie...

Głosy powoli zamierają. Po chwili słychać zatraskiwane w oddali drzwi samochodów i startujące silniki. Dopiero gdy na polu zapada zupełna cisza, Mike i Robin ośmielają się poruszyć. Obaj przewracają się na plecy i patrzą ku niebu, którego nie widzą. Mike zwleka w nieskończoność z przerwaniem milczenia.

– Robin, co zamierzałeś zrobić? – wyrzuca w końcu w powietrze.

– Zastrzelić bydlaka.

Mike ledwo śmie zapytać o coś więcej.

– Co on z tobą robił?

Kiedy Robin odpowiada, jego głos jest ochrypły i słaby.

– Bił mnie. Jak tylko trochę wypił. Miał w piwnicy pas.

Pociąga przekornie nosem.

– Chociaż kiedy urosłem, nie miał już odwagi mnie bić.

– Ale dlaczego nic nie mówiłeś...?

– Powiedziałeś, że go zabijesz, tak? Kiedy Gunborg zadzwoniła, krzyknąłeś w słuchawkę, że zabijesz tego skurwiela.

– Tak, ale...

Gdy Mike zwraca twarz do Robina, widzi, że głęboko w niebieskozielonych oczach chłopca tli się żar.

– Tato, dostałbyś dożywocie. Kapujesz? Dożywocie. Dlatego musiałem zdążyć przed tobą. Nie skończyłem jeszcze piętnastu lat. Nie mogą mnie wsadzić do więzienia.

Nagle Mike'a wypełnia silne ciepło. Ma wrażenie, że spłonie od środka. Nie jest w stanie wydobyć z siebie ani jednego dźwięku. Nawet przekleństwa. Słowa więzną mu w gardle. W głowie wirują rozpaczliwe myśli i mimo że leży na ziemi, czuje potworne zawroty głowy. Przez moment wydaje mu się, że spada. Wyciąga rękę w desperackiej próbie ratunku. Chwyta bluzę Robina, przyciąga chłopca do siebie i obejmuje go kurczowo drżącymi ramionami.

Mike płacze i słyszy gdzieś tuż przy sobie, że Robin także szlocha i pociąga nosem, jak małe dziecko.

– To moja wina...

– Nie!

– Tak, wszystko. To moja wina, że pismak zginął ibże gliny cię ścigają. I to moja wina, że chciałeś zatłuc Sunego.

– Nie, nie! – krzyczy Mike. – Nic nie jest twoją winą. Do jasnej cholery, Robin! Nic nie jest twoją winą.

Przez długą chwilę, bezkresną jak wszechświat, nie pada ani jedno słowo. Wydaje się, jakby żaden z nich nie miał już siły. Jakby skończyły się myśli. Leżą na polu spleceni ze sobą jak para zwierząt. Chłód ustąpił. Nagle ogarnia ich ciepło i znużenie, unoszą się na sennym pograniczu.

– Dlaczego nigdy cię nie było, ty świnió? – mamrocze w końcu

Robin.

– Obiecuję ci – mówi Mike i przytula policzek do jego mokrych, ściętych na jeża włosów. – Obiecuję ci, Robin, że od teraz będę już zawsze przy tobie. Będę prawdziwym ojcem.

Kiedy ponownie przewracają się na plecy i rozkładają ramiona w błocie, niczym brudne anioły, widzą, że mgła zaczyna ustępować. Pole omiata słaby podmuch, przepędzając gęste tumany, zaś wysoko w górze blade słońce wbija promienie między chmury.

Kruki znowu poczuły wiatr w skrzydłach. Szybują w ciszy, nie wydając żadnego dźwięku. Robin unosi nieznacznie rękę i macha.

– Co teraz robimy? – pyta cicho.

– Idziemy do domu – mówi Mike. – Nie mamy innego wyboru. Gdy przyjdą gliny, powiemy całą prawdę.

Odwraca się do syna z wilczym uśmiechem.

– W każdym razie prawie całą.

[17](#) *Ty just nu ibdag så köpte jag en liten ros iben blomsteraffär. En ros röd som blod...* – słowa piosenki Arnego Quicka pt. Rosen

Rozdział 32

Woda kamieniołomu jest jak zawsze czarna i pełna zwodniczych tajemnic. Nikt do tej pory nie wie, gdzie znajduje się dno. W głębinach na dole wijące się węgorze uczują w gnijącej strawie.

Robin patrzy przez zmrużone powieki w kierunku skalnego urwiska po przeciwnej stronie. Słońce kłuje w oczy. Ile czasu minęło od tamtej pory?

Gdy leżał pod gałązkami brzeziny i podpatrywał Lindę, była ciepła, letnia noc. Kiedy zepchnęli Nilsa Eka na miejsce wiecznego spoczynku, panowała lodowata jesień.

Spoglądają na siebie.

– Ty, czy ja?

Robin nie odpowiada. Ubłocony telefon komórkowy tak, czy siak nie działa. Chłopak bierze krótki zamach i wyrzuca go. Od skalnych ścian odbija się głuchy plusk. Po tafli wody rozchodzą się miękkie kręgi.

Potem chłopak odwraca się i kiwa głową.

Mike patrzy na toporny rewolwer, który trzyma w dłoni. Lufa pełna jest ziemi, a metal stracił swój blask. Spotyka badawcze spojrzenie Robina i zastanawia się w duchu, o czym chłopak myśli. Obiecuje sobie, że kiedyś go zrozumie. „Niech mnie szlag, kiedyś dowiem się o wszystkim, co chodzi mu po głowie.”

– Sprzątnąłeś nim kogoś?

Mike kręci powoli głową.

– Nikogo.

– Serio?

Mężczyzna wzdycha i odwraca się w stronę wody.

– Raz było blisko. Naprawdę blisko. Było to zaraz po twoich narodzinach. Spotkałem w knajpie w Malmö pewnego kolesia. Wygadywał masę świństw o Marii. O twojej mamie. Twierdził, że... Zresztą obojętne, co twierdził. W każdym razie powiedział mnóstwo brzydkich rzeczy. A ja nagle wpadłem w szał, stanąłem przy nim i przytknąłem mu rewolwer do gęby.

– I co?

– Ludzie wrzeszczeli, jak opętani. W końcu dotarło do mnie, co wyprawiałem. Zacząłem się bać samego siebie. Byłem śmiertelnie przerażony. Następnego dnia pojechałem do Tomelilla i dałem rewolwer Ragnhild.

– Ragnhild?

– Tak, to stara nauczycielka, która mieszka przy rynku. Ten pomysł był niezłe pomyłony. Ale sądziłem, że może przyda jej się broń. Wiesz, do samoobrony. Po świecie kręci się mnóstwo podejrzanych typów...

Mike przerywa i wzrusza z rezygnacją ramionami.

– Powinienem był dawno temu wrzucić go do morza.

Po raz ostatni waży ciężar w dłoni. Potem rzuca rewolwer wysokim łukiem nad wodą. Stoją cicho na brzegu i obserwują wędrującą w powietrzu broń, dopóki nie przecina lustra wody i nie znika w głębinie. Ze znamiennym uczuciem, że znaleźli się w punkcie zwrotnym, słuchają echa plusku i patrzą na okrągłe fale, toczące się ku skałom. Gdy ślady na wodzie nikną, Robin rękawem bluzy wyciera twarz.

– Co się stało z tym dupkiem z knajpy?

– Załatwiłem go prawym prostym – rechocze Mike i obejmuje syna ramieniem.

Schodzą bez pośpiechu w stronę ścieżki. Wysoko nad ich głowami krążą czuwające kruki. Czarne cienie na tle nieba, które jest teraz błękitne. Z chmur pozostały jedynie małe, miękkie kłaczkę. Ptaki kraczą przyjaźnie.

– Maria... – mamrocze Robin pod nosem.

Mike ściska jego ramię i delikatnie się uśmiecha.

– Chcieliśmy dać ci na imię Jezus – mówi, podnosząc rower. – Urodziłeś się przecież w wigilię. Ale zmieniliśmy zdanie, kiedy

zobaczyliśmy twój paskudny ryjek.

– Głupek!

– Wskakuj na bagażnik, to podrzucę cię do domu.

*

Chory kasztanowiec ugina się w żałobie nad kamiennym domem. Przy popękanej fasadzie sterczą niemo kępy barszczu. Dwie umorusane postaci, przejeżdżające chwiejnie na rowerze pod murem starej kuźni wydają się być ostatnimi gośćmi zmierzającymi na pogrzeb.

Z daleka dostrzegają samochody. Policja najwyraźniej już tu dotarła. Można się było tego spodziewać. Ostrożnie, by nie zdradzić się za wcześnie, opierają rower o słupek furtki i przemykają po żwirowej ścieżce. Zatrzymują się na kamiennych schodach i strzepują zeschnięte błoto z ubrań, na tyle, na ile jest to możliwe. Spluwają w dłonie i ścierają odrobinę brudu z policzków. Potem Mike otwiera drzwi do domu Króla Kul.

Pierwszą napotkaną osobą jest Roine Lind, który drepcze do nich z salonu w swoich białych skarpetach frotté.

– Mam smutną wiadomość – mówi. Jego okrągła, dziecięca twarz jest blada.

Patrzą na niego pytająco.

– Roland nie żyje.

Mike ma wrażenie, jakby ktoś walnął go młotem w brzuch. Uchodzi z niego powietrze i z miejsca traci całą siłę w nogach. Słania się po korytarzu, na wpół oślepiony lepką cieczą płynącą mu z oczu. Świat wiruje, jakby Mike siedział na karuzeli i obracał się z dziką prędkością. Tam Robin, tu Roine przemykający ze świstem, a w salonie obok choinki, przybranej iskrzącymi plastikowymi kulkami, migają mu gliniarze, ścigający go dniem i nocą. Zrozpaczony szuka czegoś, czego może się chwycić, aby zatrzymać tę mordęgę i w końcu udaje mu się zaczepić o słupek masywnej balustrady schodów.

– Dowiedziałem się, że Gunborg zawiadomiła policję

i przybyłem tu najszybciej, jak mogłem, żeby porozmawiać z Robinem. Jestem za niego w pewnym sensie odpowiedzialny. Kiedy przyszedłem, policja już tu była – papla nerwowo Roine.

– Gdzie on jest? – jęczy Mike. – Gdzie jest Rolle?

– Leży na górze w swoim łóżku – mówi ktoś za jego plecami.

Mike sztywnieje na dźwięk tego jasnego, chłopięcego głosu. Björn Bernhardsson stoi tuż przy nim i wytrzeszcza oczy.

– Odebrał sobie życie – mówi chłodno komisarz. – Wpakował w siebie całą aptekę.

Mike zaciska mocno pięści. Patrzy po kolei na każdą osobę z grupki, która zebrała się wokół niego w korytarzu. Potem rusza pędem na górę.

Na twarzy Króla Kul, leżącego z dłońmi splecionymi na swym potężnym brzuchu maluje się wręcz majestatyczny spokój. Rolle wydał ostatnie tchnienie i właściwie wygląda na szczęśliwego. Flanelowa koszula w czerwoną kratę jest zapięta pod samą szyję, a rzadkie pasemka włosów elegancko przyczesane. U jego boku unoszą się białe cherubinki. Na ustach grubasa widnieje uśmiech, jego oczy są zamknięte, nie licząc małej szparki pod lewą powieką. „Zdaje się, jakby zastygł w połowie mrugnięcia” – myśli Mike.

– Biegły sądowy właśnie odjechał – mówi Ewa Ström, stając w drzwiach. – Teraz czekamy tylko, aż zabiorą go do kostnicy. Nie ma problemu, jeśli chcesz... się pożegnać – potem Mike słyszy jej kroki na schodach.

Nie wie, co powinien zrobić. W głębi duszy nie jest zdziwiony. Cały czas jakby przeczuwał, że to się wydarzy, choć ta świadomość nigdy nie zdołała przedostać się do jego mózgu. Ma wrażenie, że już się wypłakał, choć czuje lekkie kłucie u nasady nosa.

Robin wyłonił się ukradkiem u jego boku, lecz nie mówi nic. Chłopiec oddycha nierówno i przytula się mocno do niego, jakby się bał, że nagle zostanie sam na sam ze zmarłym.

„Co zrobiłby Rolle, gdybym to ja tu leżał? – myśli Mike. –

Na pewno nie śpiewałby psalmów. Może zacytowałby jakiegoś starego Greka z jednej z tych książek, które składował w swojej

dziwnej głowie? Albo wygłosiłby elegancką mowę, zainspirowaną którymś z francuskich filozofów?” Ale Mike nie dysponuje ani książkami, ani mowami... Właściwie co mówi się w takich sytuacjach?

– Żegnaj, stary przyjacielu – mamrocze pod nosem, klepiąc zmarłego po policzku.

Schodząc na parter, spotyka dwóch sanitariuszy w żółtych kamizelkach. Skłaniają głowy z szacunkiem i mijają go śpiesznie. U stóp schodów czeka Bernhardsson. Odwiesił swój prochowiec. Jego ponury wyraz twarzy i ciemny garnitur sprawiają, że można go wziąć za przedsiębiorcę pogrzebowego.

– Chwilę temu mieliśmy w domu psa tropiącego – mówi z jakąś złośliwością w głosie.

– Aha...

– Oznaczył miejsce bardzo wyraźnie. W piwnicy przy zamrażarce. Masz na to jakieś wytłumaczenie?

Mike nie odpowiada. Patrzy pustym wzrokiem na komisarza i widzi przed sobą zupełnie inną scenę. Widzi Rollego, który kładzie swój wielki tyłek na twarzy głęboko zmrożonego dziennikarza i prostuje męczyznę jak wygięty gwóźdź swoimi stu osiemdziesięcioma kilogramami. Mike nie może powstrzymać lekkiego uśmiechu.

– Z czego się śmiesz? – cedzi Bernhardsson.

– Z niczego.

– Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza dla faceta z twoją opinią? Zwłoki w domu osławionego bandyty, Mike’a Lorne Larssona! Bo to chyba twój dom? Dla mnie sprawa wydaje się jasna. Jak go zabiłeś? Kulką w łeb? A może po prostu pobiłeś na śmierć?

Zaaferowany mały komisarz nie może ustać w miejscu. Podnosi się i opuszcza na czubkach swoich czarnych wypolerowanych butów i wbija w Mike’a palące spojrzenie.

– Mów, do ciężkiej cholery! Mógłbyś przynajmniej pomyśleć o swoim synu. Przyznaj się teraz, to nie będą mu postawione zarzuty. W końcu przywykłeś do siedzenia w pace, a chłopakowi jest przecież dużo lepiej bez ciebie.

Chociaż Mike jest świadomy, że te słowa mają go zranić, i tak wbijają mu się w serce jak noże. „Przecież to prawda – myśli w chwili słabości. – Robinowi jest lepiej beze mnie. Jeśli wezmę wszystko na siebie, jemu się upiecze. Mogę odsiedzieć jeszcze jedną rundę w kiciu, potem wyjdę, a wtedy znowu zamieszkać razem z Robinem i...”

Nagle pojawia się myśl o Sunem. O Robinie, który hamuje płacz w ciemnej piwnicy. Nie, nie dopuści, by coś takiego znowu się wydarzyło! Lecz Mike jest zmęczony. Tak piekielnie zmęczony, że nawet skronie nie swędzą go, jak powinny. Tak wykończony, że nie ma nawet ochoty dać zjadliwemu komisarzowi w mordę. Patrzy ze smutkiem na Robina, który, jak szczeniak, chodzi za nim krok w krok, odkąd weszli do domu.

Kiedy ma już otworzyć usta, Ewa Ström odchrząkuje.

– Może chciałbyś to przeczytać? – pyta i wyciąga do niego arkusz białego papieru.

Bernhardsson rzuca swojej koleżance poirytowane spojrzenie.

Mike patrzy na nią ze zdziwieniem.

– Co to jest?

– List – odpowiada. – List do ciebie, a możliwe, że do nas wszystkich, nie jestem pewna. Napisał to, zanim wpakował w siebie te wszystkie tabletki.

Mike odbiera kartkę z nieznacznym drżeniem dłoni. Bez trudu rozpoznaje charakter pisma Rollego. Jest wytworny, jak w starodawnym testamencie, lecz tym razem brzuszki i laseczki liter są odrobinę rozsunięte. Wygląda na to, że Rolle się spieszył.

„Do wszystkich żyjących nadal

Życie jest krótkie i brutalne. Od jakiegoś czasu cierpię na poważną chorobę. Cirrhosis hepatis, lub – jak brzmi jej mniej chlubna nazwa – marskość wątroby. Niedawno wywiązały się nieuleczalne komplikacje. Kiedy ostatnim razem byłem w szpitalu w Ystad (było to we wrześniu), lekarz dawał mi cztery miesiące życia.

Innymi słowy, i tak wkrótce miała nadejść na mnie pora.

Fakt, że skracam sobie teraz cierpienie ma swoją szczególną przyczynę. Nie mam bowiem ochoty spędzać moich ostatnich dni, męcząc się w areszcie lub na wyczerpujących przesłuchaniach policyjnych. Dlatego oznajmiam teraz wszystkim i każdemu z osobna, co się wydarzyło. Parę tygodni temu do moich drzwi zapukał pewien mężczyzna. Przedstawił się jako lokalny redaktor, Nils Ek. Wypowiadał pogroźki i miotał złośliwe twierdzenia na temat Robina, którego traktuję niemal jak własnego syna. Żądał także pieniędzy, uciekając się do postępku, który przypominał szantaż. Wpadłem w złość, doszło do rękoczynów i w całym tym zamieszaniu pchnąłem go niechcący w taki sposób, że upadł tyłem i uderzył głową o schody. Gdy ujrzałem, że jest martwy, ogarnęła mnie panika i ukryłem ciało w zamrażarce w piwnicy. W zeszły weekend postanowiłem pozbyć się zwłok na dobre. Wziąłem samochód Mike'a (Mike był wtedy w podróży służbowej w krajach bałtyckich), umieściłem ciało w bagażniku i pojechałem do kamieniołomu w okolicy Övraby. Jeżeli nikt nie wyłowił jeszcze Nilsa Eka, spoczywa dalej na dnie, owinięty siatką ogrodzeniową. Chcę podkreślić, że ani Robin, ani Mike nie wiedzieli o tym zajściu.

Nie byłem aniołem – mimo to umieram z lżejszym sercem.

Na honor i sumienie
Roland Andersson”

Przeczytawszy, Mike podnosi wzrok i spogląda na dwóch stojących przed nim policjantów. Czuje, jak Robin wyrywa list

z jego ręki. Powoli dociera do niego, o czym myślał Rolle w ostatnich minutach swojego życia.

– Wyglądasz, jakbyś nie wiedział, że on był chory – mówi Ewa Ström z wyczekiwaniem w głosie.

– Nie, nie miałem pojęcia.

– Czy to nie dziwne? Przecież byliście ze sobą tak blisko.

Mike czuje wzbierającą w nim chmurę wyrzutów sumienia. Nagle z trudem przychodzi mu oddychanie powietrzem w tym starym, kamiennym domu.

– Rolle jest... Był trochę dziwny.

– Hm, tę diagnozę możemy oczywiście sprawdzić w szpitalu w Ystad – mówi z namysłem Ewa Ström.

Nagle Bernhardsson wyrywa list Robinowi i wygraża nim w powietrzu, jak stary kaznodzieja, który skonfiskował swojemu uczniowi czasopismo pornograficzne.

– Ten list niczego nie dowodzi! Oczywiście Andersson bierze winę na siebie, żeby jego kumpel mógł pozostać na wolności. Kłamie! Mike, to ty zatłukłeś dziennikarza i możesz być pewien, że wpakuję cię za kratki!

– Uspokój się, Björn – mówi Ewa Ström, patrząc chłodno na swojego szefa, który oddycha gwałtownie po swoim wybuchu wściekłości.

Potem policjantka zwraca się do Mike'a.

– Powiedz nam, co ty o tym wiesz.

Zanim Mike odpowiada, Robin podnosi żarliwie głos.

– Rolle napisał prawdę. Mike i ja nigdy nie widzieliśmy żadnego dziennikarza. A poza tym tata wyjechał na weekend. Na Litwę. Możecie to chyba sprawdzić w firmie promowej?

Wyciera szybko nos kawałkiem papieru toaletowego, który znalazł w kieszeni i patrzy na Ewę Ström wytrzeszczonymi, jasnymi oczyma.

– To, że ktoś spada ze schodów nie musi być przecież morderstwem – rzuca spokojnie kobieta, jakby dedukowała na głos. – Mogła to być tylko chwila nieostrożności. Człowiek wpada w złość i popycha kogoś, nie mając zamiaru go zabić. Prawnicy nazywają to nieumyślnym spowodowaniem śmierci.

Lub równie dobrze mógł to być po prostu nieszczęśliwy wypadek.

Przez sekundę Mike'a kusi jej pułapka. Potem podejmuje decyzję. Przybiera zatroskaną minę.

– Rolle nie kłamie. Nic nie wiedziałem o tym dziennikarzu. Robin też. Jestem tego zupełnie pewien, bo inaczej by mi powiedział.

– Do kurwy nędzy! – wybucha Bernhardsson i nagle robi się czerwony jak rak. – Nie myśl sobie, że możesz tu stać i wypierać mi się w żywe oczy. Od trzydziestu lat pracuję w policji i wiem, jak działają takie kanalie jak ty. Nigdy się nie przyznajecie, nawet jeśli stoicie po uszy w gównie... Ale ja i tak cię przyskrzynie!

Przez krótką chwilę wydaje się, jakby komisarz stracił wątek. Odwraca się szybko do Ewy Ström, lecz ta zdaje się być teraz bardziej zainteresowana pajęczyną wokół lampy u sufitu. Bełkocze coś bezgłośnie. Bernhardsson drapie się z irytacją za uchem.

– W każdym razie jesteś winny ataku na funkcjonariusza. Pobiłeś dwóch policjantów, których wyznaczyłem do pilnowania cię w redakcji. Mogę cię za to aresztować.

– Nie byłabym tego taka pewna, Björn – mówi spokojnie Ewa Ström. – Właściwie to wątpię, czy nasi koledzy, Kling i Klang, będą chcieli świadczyć. Rozmawiałam z nimi dziś rano i uważają, że sprawa jest trochę żenująca. Obawiam się, że policja zbłąźniłaby się w tym procesie.

W tym momencie słychać dyskretne kasznięcie. Roine Lind oblewa się pąsem, gdy wszyscy nagle kierują na niego uwagę. Pstryknięciem wyłącza długopis, którym robił zapiski i zahacza go starannie o brzeg swojego notatnika.

– Jako reprezentant do spraw socjalnych nie chcę się mieszać do prac policyjnych – mówi. – Lecz jako osoba odpowiedzialna za dobro Robina muszę zaznaczyć, że byłoby wielką szkodą dla chłopca, gdyby w tej ciężkiej chwili odsunięto od niego ojca. O ile dobrze rozumiem, nie ma żadnych dowodów na to, że Mike popełnił jakieś poważne przestępstwo. Dlatego będzie

lepiej dla wszystkich, jeśli pozwolimy ojcu i synowi wspólnie pogodzić się ze stratą przyjaciela rodziny, Rolanda Anderssona.

W hallu zapada długie milczenie.

Mike posyła opiekunowi krzywy uśmiech, dostając w odpowiedzi pokrzepiające skinienie. Robin wstrzymuje oddech.

– Cóż, można by to chyba właśnie tak podsumować – mówi w końcu Ewa Ström z jakąś niefrasobliwością w głosie.

– Cholera jasna! – wrzeszczy Bernhardsson i kopie w balustradę z taką siłą, że nie jest w stanie powstrzymać grymasu bólu.

Z czarną, dymiącą chmurą frustracji nad swoją nierówną czaszką wykonuje szybkim krokiem dwa okrążenia po wytartym chodniku w korytarzu, po czym przystaje i wybałusza wściekle oczy.

– Ty! – cedzi, wskazując palcem Mike'a.

Przerywa mu dzwoniący telefon. Wkłada z irytacją rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobywa komórkę. Odbiera z warknięciem i słucha długą chwilę, nie zdradzając po sobie niczego. Zadawszy szorstko kilka krótkich pytań, kończy połączenie i spogląda na Ewę Ström z zastygłą twarzą. Odciąga współpracownicę na stronę i szeptem jej coś do ucha.

Ström wydaje z siebie fałszywe gwizdnięcie. Potem komisarz zwraca się do Mike'a, jakby uderzony nagłą myślą.

– Pewnie kojarzysz złomowisko samochodów „U Borysa”? Jeszcze raz wszystkie spojrzenia kierują się na Mike'a. Przełyka niezauważalnie ślinę i próbuje nie dać po sobie poznać, że w żołądku ma wielką kulę. Być może dlatego, że jest już zbyt zmęczony, by popadać w panikę, udaje mu się choć raz w życiu zachować przytomność umysłu właśnie wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebuje.

– „U Borysa”? Parę razy dorywczo tam pracowałem. Nie znam chłopca zbyt dobrze. Ale w zeszły weekend odbierałem dla niego ciężarówkę z Kłajpedy. A co?

– Został zastrzelony dziś w nocy. Całe jego biuro jest rozwalone.

– O, cholera – mówi Mike, próbując wyglądać na dostatecznie zaskoczonego. Kręci spokojnie głową. – Cóż, nie jestem do końca zdziwiony. Podejrzewałem, że ten facet ma problemy...

– A gdzie sam się podziewałeś dziś w nocy? – pyta Bernhardsson i wygląda, jakby zapalił się w nim nowy promyk nadziei.

– Przykro mi, że pana zawiodę – uśmiecha się półgębkiem Mike. – Miałem randkę. Dama, o której mowa, ma na imię Amela. Spędziłem z nią całą noc. Jeśli mi pan nie wierzy, mogę podać nazwisko i numer telefonu.

– To u niej się tak uświniłeś?

Komisarz lustruje z obrzydzeniem stojącą przed nim, ubłoconą postać. Mike śmieje się z zakłopotaniem i wystudiowanym gestem strzepuje odrobinę kurzu z nogawki spodni.

– Nieee, ubrudziliśmy się dziś rano, kiedy wyszliśmy obserwować ptaki. Robin i ja postanowiliśmy zostać ornitologami. To nasze wspólne hobby. Obudziłem go skoro świt. Jeśli chce się zobaczyć naprawdę rzadkie gatunki, trzeba wstać wcześniej i nie można się brzydzić czołganiem w krzakach. A tak na marginesie: widzieliśmy błotniaka zbożowego. Jego łacińska nazwa to *circus cyaneus*.

Przez chwilę Bernhardsson wygląda, jakby miał dostać udaru mózgu. Otwiera usta, lecz wydaje z siebie jedynie zdławione sapnięcie.

– Mogę za to dać wskazówkę – mówi w zamyśleniu Mike. – U Borysa pracuje gość o imieniu Jokso. Podejrzany typ. Naprawdę wstrętny. Gdybym był gliną, to bym go sprawdził.

Uśmiecha się uprzejmie. Jednak Bernhardsson zdaje się nie doceniać jego uczynności. Wygląda raczej, jakby chciał udusić Mike'a.

– Jokso także nie żyje – prychna. – Wygląda na to, że Jugole urządzili tam sobie jakąś pieprzoną wendetę.

– O, kurczę! – mówi Mike.

Bernhardsson rzuca mu uniestwiałające spojrzenie.

– Sprawdź jego alibi! – warczy do Ewy Ström.

Potem odwraca się na pięcie, wypada z domu i z hukiem

zatrząskuje za sobą drzwi.

– Pa, pa, szkrabie! – mówi cicho Mike i macha od niechcenia.

W tym momencie na schodach pojawiają się sanitariusze. Jęczą głośno i stękają. Dźwigają nosze, na których spoczywa olbrzymia, bezkształtna masa, przykryta prześcieradłem. Nogi mężczyzn uginają się w kolanach, a ich ciała kołyszają niepokojąco pod niesionym balastem. Przytaszczenie go na dół, do sieni, zajmuje im dobrą chwilę.

– Poczekajcie! – woła nagle Robin.

Ze zwinnością wiewiórki pędzi do choinki w salonie i w kilka sekund jest już z powrotem.

– On jest ciężki... – dyszy tragarz z przodu.

– Pośpiesz się – stęka do Robina jego współpracownik, który wygląda jak sztangista czekający z nabrzmiętymi żyłami na sygnał sędziego, że podniesienie jest zaliczone i może już puścić sztangę na podłogę.

Robin podchodzi do noszy, nie zwracając na nich uwagi, i unosi prześcieradło. Leżący tam Rolle wygląda nierealnie. Niemal, jak wielka lalka, ulepiona z marcepanu albo ciasta. Jego dłonie są nadal splecione na czerwonej flanelowej koszuli.

Robin przesuwa delikatnie sztywne palce zmarłego, układając przed jego zamkniętymi oczyma plastikową kulę, która wygląda teraz jak szklana kula do wróżenia. Wewnątrz kołysze się na nitce maleńki aniołek.

Kiedy sanitariusze zmierzają chwiejnie do drzwi ze zmarłym Królem Kul, Mike czuje w swojej dłoni dłoń Robina. Chłopak jest tuż przy nim.

– Powiedział, że chciałby być twoim aniołem stróżem – szepce Robin tak cicho, że usłyszeć go może tylko Mike.

Epilog

Wiosna nadeszła wcześniej. Już pod koniec marca słońce rozlewa ciepło, które rozpędza mgły znad lądu i morza. Woda Bałtyku połyskuje błękitnie i przyjaźnie, a pokrzykiwania mew przepęlnia nadzieja.

Mike Larsson jest szczęśliwy, gdy nabiera powietrza do płuc i spogląda na horyzont.

M/S Wiekuista jest faktycznie urzeczywistnieniem obietnic starca. Greger Kling siedzi wraz z innymi na leżaku na tylnym pokładzie i zdaje się zadowolony z faktu, że nie musi stać za sterem. Zupełnie zdębiał tamtego dnia, gdy Mike wręczył mu worek banknotów i zapłacił gotówką za połowę łajby. Silnik stukocze, napawając poczuciem bezpieczeństwa, a łódź przecina wodę płynnie jak orka.

Kling zgodził się sprzedać holownik trochę taniej w zamian za to, że Mike odkupił od niego także warsztat przy kei. Teraz Mike zajmuje się naprawianiem silników łodzi i wypływaniem w morze z turystami na letnie połowy dorsza. Można mieć gorszą pracę.

Poza tym pozostało także trochę pieniędzy ze sprzedaży domu. Rolle zapisał go oczywiście w testamencie swojemu jedynemu przyjacielowi. Fabrykant podgrzewaczy Malcolm B. Andersson przewróciłby się w grobie między robakami, gdyby się dowiedział, że jego dziedzictwo przeszło na starego recydywistę i jego piracką łajbę. Choć Rollemu ten pomysł pewnie by się spodobał.

– Opowiadałeś już wszystkim o Gudriksenie? – woła Mike przez otwarte drzwi prowadzące na mostek kapitański.

– O kim?

Kling wygląda na zdziwionego.

– O piracie. Tym, który miał bazę w porcie w Curaçao i uprowadzał tankowce z Wenezueli.

– Ach, o nim. No więc wyobraźcie sobie, był sobie pewien poszukiwacz przygód...

Ragnhild wygląda, jakby z chęcią chciała posłuchać opowieści. Zawinęła się w trzy koce, a na swoje siwe loki naciągnęła głęboko czerwoną czapkę z pomponem. „Mike, pomyśl, że było mi dane jeszcze raz wzbyciu wyruszyć w morze” – gruchała w kółko, odkąd wyruszyli z Simrishamn.

Roine Lind początkowo pobladł trochę na twarzy. Gdy Mike spytał go pewnego dnia, czy chce popłynąć z nimi na wycieczkę po morzu, bardzo się ucieszył. Wydawało się niemal, jakby nigdy wcześniej nie otrzymał takiej propozycji. Już w porcie wpakował w siebie garść tabletek na chorobę morską, mimo że jego ojciec ma łódź w Juleboda. „Na wszelki wypadek” – usprawiedliwiał się z zażenowaniem, kiedy wszyscy ujrzeli, że załazki fal daleko na morzu mogłyby z ledwością rozhuścić łódeczkę z kawałka kory.

Teraz Roine waha się przez chwilę, gdy Kling proponuje koniak do kawy. Potem kiwa głową, pozwala staremu fanfaronowi nalać sobie trochę i pociąga łyk, po czym opada znowu na leżak z filizanką na kolanach.

Od czasu do czasu Mike spogląda na nich przez ramię. Niekiedy słyszy, co mówią, niekiedy wiatr przechwytuje ich słowa i niesie je w morze. Mimo wszystko to, co Mike zdoła wyłapać jest całkiem dobre.

– To prawda, tato?

Robin stoi obok niego w drzwiach prowadzących na mostek.

– Co?

– Historia o piracie. Tym, co kupił fabrykę likieru w Curaçao.

Mike wzrusza beztrosko ramionami.

– Skąd my możemy wiedzieć, co jest prawdą, a co nie? To po prostu dobra historia, prawda?

Robin rzuca mu przeciągłe spojrzenie.

- Mogę poprowadzić? – pyta po chwili.
- Jasne – odpowiada Mike i ustępuje na bok.

Koło sterowe jest błyszczące i wytarte, latami wypieszczone lata przez liczne ręce marynarzy. Piratów. Przemysłników wódki. Hm, czemu nie?

Od czasu do czasu Robin myśli jeszcze wciąż o małym mężczyźnie, którego owinęli siatką ogrodzeniową i zatopili w kamieniołomie. Czasem ma niemal wrażenie, jakby to się nigdy nie wydarzyło, jakby to wszystko było tylko złym snem. Jednak policja wyłowiła przecież zwłoki, więc to chyba musi być prawda.

Jaszczur z komisariatu robił jeszcze kilka prób, by przyprzeć Mike'a do muru, jednak bez powodzenia. Rolle przyznał się przecież w liście.

Teraz o tajemnicy wiedzą tylko oni dwaj. To cichy pakt Mike'a i Robina. Co się wydarzyło, to się wydarzyło. „Nigdy nie myśl, że to była twoja wina” – wpajał mu raz za razem Mike. Przeszłości nie da się zmienić. Teraz ani pismak, ani Sune, nie pojawiają się już tak często nocami w jego głowie.

- Trzymaj trochę pod wiatr – mówi Mike i kładzie rękę na jego dłoni, spoczywającej na sterze.

Rana przy kciuku Robina już dawno się zagoiła. Jedyne, co z niej pozostało, to mała, biała kreska. Musiał oczywiście przyznać się do tego, że był w bandzie, która rozbijała szyby u Araba. Kenny, który jest starszy, wylądował w poprawczaku. Miał na sumieniu całą masę świństw. Roine napisał piękne zaświadczenie, że akt wandalizmu na rynku miał miejsce, zanim Mike przejął opiekę nad swoim synem, i że bez wątpienia będzie lepiej dla Robina, jeżeli od teraz zamieszka u swojego biologicznego ojca.

„Roine jest dobry, choć wygląda jak ciota” – myśli Robin. Potem jego myśli płyną ku Lindzie.

Amela wyleguje się na swoim leżaku. Słońce rzeczywiście pali trochę w policzek, a do tego kawa z koniakiem od Gregera Klinga także robi swoje. Co jakiś czas w jej głowie pojawiają się stare wspomnienia, nic na to nie poradzi. Adnan byłby dziś

doroślým męzczyzną. Czasem, gdy zamyka oczy, chłopak biegnie ciągle przez rynek.

Cieszy się, że wreszcie poszła za radą Ragnhild i podjęła zastępstwo w szkole. Obawiała się znowu stanąć przy tablicy przed uczniami i wbijać im do głów angielskie słówka, lecz poszło łatwiej, niż przypuszczała. Dzieci tutaj nie różnią się przecież niczym od tych tam, w domu. Wymawianie tego słowa już jej nie boli. Domem może być przecież więcej niż jedno miejsce na ziemi.

Gdy otwiera oczy, widzi Mike'a i Robina na mostku kapitańskim. „Że też sobie ubzdurałam, że on jest niebezpieczny – myśli. – Tyle dobra w jednym człowieku.”

Policja zadawała jej oczywiście pytania w sprawie alibi Mike'a. Czy widzieli się tamtego wieczoru? „Tak, to była nasza pierwsza miłosna noc” – odparła bez najmniejszego drżenia w głosie. Potem przeczytała w gazecie, w jaki sposób Serbowie pozbawili się nawzajem życia w wendecie dekady w Spjutstorp. Na wspomnienie o całym morzu krwi Amelę przechodzi dreszcz. Myśli o tym, że Mike uratował jej tamtej nocy życie.

Wstaje powoli i podchodzi do niego. Obejmuje ramionami jego brzuch i wtula twarz w kark pod islandzkim swetrem. Mike śmieje się, gdy Amela wbija figlarnie zęby w jego zamazany tatuaż.

„Ech, cholera, Amela mogłaby być chyba dobrą matką dla chłopaka” – myśli w głębi duszy. Nie mówi jednak nic.

– Tato, i pomyśleć tylko, że znalazłeś całą tę forszę w foliowym worku – rzuca Robin przez ramię.

– Ciii... nie tak głośno – szepce Mike i łypie niespokojnie na Roinego Linda siedzącego na rufie.

Amela przesuwając palcami po skołtunionych pasemkach, które od jesieni urosły na głowie chłopca.

Potem stoją we trójkę, patrząc na morze. Robin z obiema rękami na sterze. Mike i Amela tuż za nim. Przez otwarte drzwi wpada ciepły wiatr. Pachnie morzem i wodorostami, dociera też do nich słaba woń oleju i dziegciu. Silnik miękko stukocze, z rufy dobiega czyjś śmiech, a wysoko nad M/S Wiekuistą

pokrzykują szczęśliwie mewy.

– *Larus canus* – mówi Mike, śledząc ich lot. – Wkułem wszystkie nazwy, kiedy siedziałem w celi. Zaznaczałem w książce krzyżykiem każdego ptaka, którego dostrzegłem przez okno. Nauczyłem się ich ubarwienia. Gdzie składają jaja i ile mają młodych. W jaki sposób szybują, zawisają w locie i pikują w dół. Wszystkiego.

Spogląda na Amełę.

– Chore, co nie?

Jej włosy łaskoczą go lekko w policzek.

– Wcale nie – mówi Amela, kręcąc głową. – Ani trochę.

Mike bierze głęboki oddech.

„Wszyscy, których kocham, są tutaj.

Tu i teraz, tuż obok mnie.

Chciałbym tylko, żeby Rolle mógł z nami być.”

Tytuł oryginału: *Mike Larssons Rymliga Hjärta*

Zdjęcie na okładce: Fotograf/® Roy Bishop/Trevillion Images

Redakcja: Anna Wajs-Magierska dla Studia Wydawniczego 69, Olsztyn

© 2010 Olle Lönnæus

First published by Damm förlag, Forma Books AB, Sweden

© wydanie polskie Wydawnictwo REA s.j.

ISBN 978-83-7544-507-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Każda reprodukcja, adaptacja całości lub części niniejszej publikacji, kopiowanie do bazy danych, zapis elektroniczny, mechaniczny, fotograficzny, dźwiękowy lub inny wymagają pisemnej zgody Wydawcy i właściciela praw autorskich.

Wydawnictwo REA s.j.

Dział handlowy

01-217 Warszawa, ul. Kolejowa 9/11

tel.: 22 631 94 23, 22 632 69 03, 22 632 68 82

fax: 22 632 21 15

handlowy@rea-sj.pl

www.rea-sj.pl



Plik cyfrowy został przygotowany na platformie wydawniczej [Inpingo](#)

Warszawa 2012